

# Cień Ojca

Jan Dobraczyński



*... Dobrze jest mówić o Jej przywilejach,  
ale przede wszystkim trzeba móc Ją  
naśladować.*

*Ona woli, gdy Ją naśladujemy, niż gdy  
podziwiamy,*

*a Jej życie było takie proste...*

*A ileż trudów, ile zawodów!*

*Ile razy ludzie robili wyrzuty dobremu św.  
Józefowi.*

*Ile razy nie chcieli zapłacić za jego pracę.*

*Bylibyśmy bardzo zdumieni,*

*gdybyśmy wiedzieli, ile oni cierpieli...*

*Św. Teresa od Dzieciątka  
Jezus*

## Część pierwsza

# Żona

### 1

Żar południowego słońca, wtłoczony w ciasną uliczkę, wydawał się aż gęsty. Pobielone mury płonęły oślepiającym blaskiem. Mały osiołek przywiązany do odartego z kory pnia akacji zwiesił żałośnie głowę i tylko gniewnie uderzał po bokach ogonem, gdy mu zbyt dokuczały muchy. Obok niego dwoje dzieci, przykucniętych na drodze, bawiło się w piasku. Chociaż zajęte były zabawą, gdy drogą przechodził wysoki, barczysty mężczyzna, chłopiec wyprostował się i powiedział:

– Pokój z tobą, wuju Józefie.

– I z tobą pokój, Judo – odpowiedział mężczyzna.

Na chwilę zatrzymał się przy dzieciach. Poklepał przyjaźnie po ramionach chłopca i uśmiechnął się do dziewczynki, która pozostała przykucnięta i tylko z dołu patrzyła na mężczyznę wielkimi czarnymi oczami.

– Z tobą także, Saro – rzucił młój.

Ruszył dalej. Szedł wolno, zatopiony w myślach. Dzieci obróciły głowy i patrzyły za nim.

Zatrzymał się przy furtce w murze. Zanim ją przekroczył, zamknął na chwilę oczy i wyszeptał: „Baruk ata Adonaj, melek ha olam”. Była to jedna z berak, które odmawiało się w ciągu dnia, przy różnych okazjach; tę należało odmawiać przed postawieniem ważnego kroku. Potem dopiero pchnął skrzypiącą, dobrze sobie znaną, furtkę. Sam ją kiedyś zrobił.

Za furtką był miły cień i aromatyczna woń rozgrzanych słońcem liści i traw. Obok muru szło się wąskim przejściem do ogrodu. Niby dach rozpinały się nad nim gałęzie potężnej sykomory. Wokół narosłego węzłami kory pnia znajdował się mały placyk. Słońce ściekało na ziemię przez liście i siało drgającymi plamami blasku.

Niegdyś, gdy był dzieckiem, ten placyk wydawał mu się duży – można się tu było bawić. Dziś śmieszył małością.

Człowiek, który leżał na posłaniu pod drzewem, był nakryty mimo skwaru pasiastą derką. Już z daleka słyhać było jego ciężki, sapiący oddech. Józef podszedł bliżej, nachylił się nad leżącym. Stary mężczyzna drzemał. Białe, przerzedzone włosy unosiły się nad czaszką niby poderwany wiatrem puch. Usta, w których zostało tylko kilka zębów, miał rozchylone, wargi zagubione wśród białego zarostu. Dłonie o nabrzmiałych żyłach leżały na derce i lekko drżały. Stary człowiek miał na palcu gruby, niekształtny pierścień, obwiązany nitką, aby się nie zsunął.

Cofnął się, przysiadł na niskim stołeczku, zdecydowany cierpliwie poczekać na obudzenie się śpiącego. Wokoło panowała cisza, żadne szelesty nie odzywały się wśród liści. Ptaki zasnęły w gałęziach. Nieruchome, jakby zrobione z gliny, jaszczurki wygrzewały się na słońcu. Czasami nagle traciły swą nieruchomość i szybko, bez najmniejszego dźwięku, przebiegały z miejsca na miejsce, by znowu zastygnąć w bezruchu. Jedynie ukryte w trawie cykady odmierzały czas swym strzykaniem. Z dłońmi wspartymi na rozstawionych kolanach zaczął odmawiać nową berakę: „Bądź błogosławiony, wieczny Panie, Władco wszechświata, za to, że zsyłasz swemu ludowi ciszę, abyśmy mogli myśleć o Tobie i czcić Twoją wolę...”

Od najmłodszych lat kochał ciszę. Cisza mówiła do niego dobitniej niż głosy. Żądała wciąż tego samego: czekania. Obok biegło życie – niespokojne i hałaśliwe. Padało tyle słów niepotrzebnych, tyle skarg nieprzemyślanych, tyle zapewnień, które naprawdę nic nie znaczyły... Tkwił w tym nurcie ze swoją ciszą, niby kamień w korycie potoku. Czekał – choć właściwie nie wiedział, na co czeka. Czekał na to, co mu miała powiedzieć cisza.

Co wieczór – gdy minął czas upału – na placu za wsią rozlegały się bębenki i fletnie. Młodzież schodziła się na zabawy i tańce. Biegli na nie także młodszy bracia Józefa. Z daleka dochodziły do niego wesołe głosy, śmiechy, klaskanie...

Nie towarzyszył braciom nigdy. To nie znaczyło, że nie go do zabawy nie ciągnęło. Był przecież młodym mężczyzną. Przychodziły chwile pokusy. Wezwania ciszy walczyły z wezwaniem serca. Ale cisza zawsze zwyciężała.

Dni płynęły wypełnione pracą w warsztacie. Pracę przegradzały chwile

odmawianych berak. W szabat, we dni wspólnych modlitw szedł do synagogi. Gdy przychodził jego dzień, nakładał taliss, wstawał z miejsca, podchodził do pulpitu, brał z rąk hazzana święty rulon Tory nawinięty na drewniany walek. Odczytywał mocnym głosem właściwą paraszę, obrócony twarzą w stronę, gdzie wznosiła się wciąż jeszcze niewykończona świątynia.

W warsztacie miał zawsze wiele roboty. Nigdy nie brakło ludzi przychodzących z zamówieniami. Był szeroko znany z solidności i zręczności. A przy tym za robotę nie żądał wiele. Podczas układów z zamawiającym nie było nigdy targów. Wiedzano, że gdy ustalił cenę, odpowiada ona prawdziwej wartości materiału i skromnej należności za pracę. Dotrzymywał także obiecanego terminu.

W jego warsztacie ciągle świergotał hebel i stukał młot. Rozlegały się także często głosy dziecinne. On – człowiek milczący – lubił dzieci i chętnie z nimi rozmawiał. Sprawy dziecinne interesowały go więcej niż sprawy dorosłych. W warsztacie zawsze znajdowała się gromadka małych widzów. Patrzyli, jak pracuje, pytali go, a on im odpowiadał. Czasami przywoływał chłopca, wkładał mu w rękę piłkę albo hebel. Pokazywał, jak trzymać, jak władać narzędziem. Dawał do obróbki kawał drewna. Czasami chwalił i klepał życzliwie zręcznego ucznia, czasami kiwał głową i tłumaczył popełnione błędy. Wszystkie dzieci we wsi nazywały go wujem. Zresztą przynależał mu ten tytuł jako najstarszemu przedstawicielowi rodu.

Furtka, przez którą przyszedł, skrzypnęła. Zobaczył w przejściu pod ścianą zbliżających się mężczyzn. Szli wolno, z powagą, ubrani bogato w nietutejsze stroje i inaczej niż wszyscy mieli przycięte brody. Na ich płaszczach nie było przepisanych przez Prawo chwastów – cici. Obaj należeli do rodu, ale przed laty opuścili rodzinną wieś i zamieszkali daleko, w Antiochii. Stali się bogatymi kupcami. Dziś przybyli w odwiedziny do rodzinnego gniazda.

Skłonili się Józefowi, a on odpowiedział na ich ukłon.

– Pokój z wami.

– Pokój z tobą. Jesteś pewno Józefem synem Jakuba? – zapytał jeden z przybyłych.

– Jest tak, jak powiedziałeś.

– Rozmawialiśmy wczoraj z twoim ojcem. Zapragnał, abyśmy przyszli jeszcze

raz i dokończyli rozmowy w twojej obecności. Ale on, widzę, śpi.

– Nie śmiem go budzić.

– Mówisz, jakbyś był chłopcem – zaśmiał się drugi z kupców. – A przecież jesteś od dawna dorosłym i pierworodnym rodu. Przychodzimy właśnie, aby pomówić o tobie.

Ciężki oddech śpiącego stał się nierówny i chrapliwy. Otwarte usta zamknęły się, po twarzy przebiegł skurcz jakby bólu. Cieniutkie powieki wolno uniosły się, odkrywając jasne oczy. Stary człowiek patrzył początkowo, jakby nie pojmował tego, co widzi. Ale zaraz wyraz zrozumienia pojawił się na jego twarzy.

– Ach, to wy? Przyszliście? To dobrze, dobrze. Czy Józef jest także?

– Jestem, ojciec.

Stary człowiek gestem wskazał tamtym syna.

– Poznaliście go już? To Józef, mój najstarszy.

Pochylili głowy, jakby go teraz dopiero witali.

– Choć jest młodym człowiekiem, pragniemy okazać mu szacunek jako przyszlemu zwierzchnikowi rodu – rzekł jeden z kupców. W głosie jego nie było uniżoności. Może nawet odrobina lekceważenia. Ci ludzie wyglądali na bogatych. Na ich palcach połyskiwały pierścienie, cenne i piękne, zrobione staranniej niż ten, który zdobił dłoń Jakuba. Mieli także na szyjach złote łańcuchy, a na nich zawieszone kupieckie pieczęcie. Ten, który teraz mówił, nosił także złotą opaskę na włosach i kółko w uchu. – Oczywiście – ciągnął – sprawy rodu nie są dzisiaj tak ważne jak niegdyś. Rody rozeszły się po świecie...

– Jednakże o sprawach rodu nie zapomnieliśmy – wtrącił się drugi kupiec. – To, co się ostatnio stało...

Jakub podniósł wysoko brwi.

– Powiedz o tym jeszcze raz.

– Chyba o tym wiecie dobrze wszyscy. Myślę o zabójstwie synów Mariammy. – Kupiec, który mówił teraz, był mniej krzykliwie ubrany niż jego towarzysz. Twarz miał chudą, ściągłą, oczy ujęte w siateczkę zmarszczek. Jego włosy przeblyskiwały czerwienią. – Zrobił to zřęcznie, rozgłosił o ich winie. Skarżył się nieomal z płaczem, że knuli spiski przeciwko własnemu ojcu. Tak zdołał podburzyć ludność Jerycha, że gotowa była ukamienować wszystkich, którzy się okazali stronnikiem młodych książąt. Wtedy

sprowadził ich do Sebaste i kazał udusić.

– W ten sposób wytracił cały ród Hasmonejczyków – wtrącił pierwszy z przybyszów. – Królewski ród. Kto teraz może go pozbawić korony judejskiego króla? Mógł zrobić swoim następcą syna arabskiej nałożnicy.

Zapadła cisza, w której słychać było głośniejsze strzykanie cykad. W tej ciszy odezwał się dyszący głos Jakuba:

– To wszystko rzeczywiście dochodziło do nas. Ale co to ma wspólnego z naszym rodem?

Kupcy spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Doniesiono nam – rzekł ten o chudej twarzy – że Herod kazał swoim szpiegom przypatrzeć się dobrze członkom naszego rodu. Przekonaliśmy się obaj z Menahemem – wskazał na towarzysza – że jacyś podejrzeni ludzie kręcą się koło naszych domów.

– Tutaj nikt się nie kręcił – powiedział Jakub. W głosie starego patriarchy brzmiała duma. – Jesteśmy świętym rodem. Najwyższy opiekuje się nami. Gdyby ktoś próbował wystąpić przeciwko nam, cały Izrael stanąłby w naszej obronie.

Obaj kupcy uśmiechnęli się ironicznie.

– Jesteś zbyt tego pewny, Jakubie – rzucił Menahem. – Wydaje ci się, że wciąż żyjemy w czasach, gdy działy się cuda, a Najwyższy opiekował się na każdym kroku Izraelem. Ale to są stare dzieje, o których opowiada się tylko w synagogach. Nasz ród kiedyś miał znaczenie. Był rodem królewskim. Od tego czasu minęły wieki. Ród się rozproszył. Jednym się powiodło, inni zbiednieli... Wy, którzy zostaliście na miejscu, jesteście jak wyspa ze starymi wspomnieniami. Nieraz mówiłem Fiabie – wskazał na kupca z czerwonymi włosami – że dobrze jest pamiętać, iż w Betlejem żyją ciągle ludzie naszego rodu. Gdyby, która z naszych córek potrzebowała męża, moglibyśmy stamtąd sprowadzić uczciwego, młodego człowieka...

– Właśnie tak, jak bywało w naszej historii – dorzucił Fiaba.

– Właśnie tak – ciągnął Menahem. – Związki rodzinne to piękna rzecz. Ale odkąd on zwrócił uwagę na nasz ród, mogą być także sprawy niebezpieczne. Dlatego właśnie przyjechaliśmy...

– Mówcie, czego chcecie.

Obaj kupcy spojrzeli znowu po sobie. Fiaba miał spuszczone oczy i kłopotliwie

obracał pierścienie na palcu.

– Byłoby lepiej – powiedział – aby ród nie siedział tak, jak siedzi na kupie, ale żeby jego przedstawiciele, podobnie jak my, poszukali dla siebie szczęścia w świecie...

– Chciałbyś – w głosie Jakuba zadźwięczała zgroza – aby wszyscy opuścili ziemię Dawida?

– Zapomnijmy już raz o Dawidzie! – wybuchnął niecierpliwie Menahem. – Faryzeusze plotą bez ustanku o jakimś potomku Dawida. A szpiedzy Heroda tylko nastawiają uszu! Nie chcę stracić wszystkiego, co mam, i jeszcze życia, dlatego że przed stuleciami miałem króla w rodzie! I on – wskazał Fiabę – także nie chce.

Urwał i na nowo zapanowała cisza. Pierś Jakuba poruszała się szybkim oddechem, usta wśród białego zarostu dygotały.

– Mówiłeś rzeczy bezbożne – wyjąkał.

– Nie, nie – Fiaba usiłował załagodzić wybuch Menahema. – On nie myślał o niczym bezbożnym. Troszczy się o cały ród. Powiedziałem: byłoby dobrze, aby członkowie rodu rozproszyli się. Ale wszyscy, oczywiście, odejść nie mogą i nie potrzebują. Ci, którzy uprawiają ziemię i stali się prawdziwymi amhaarecami, nie rzucają się w oczy. Chodzi tylko o tych, którzy zyskali sobie pewne znaczenie...

Obaj spojrzeli znacząco na siedzącego z boku młodego człowieka, który cały czas dotąd milczał. Jakub rzekł:

– Widzę, że myślicie o Józefie. On jest naggarem.

– I właśnie ta jego praca czyni go znanym – powiedział Fiaba. – Ledwo przyjechaliśmy do Jerozolimy, już nam mówiono o nim. Opowiadano, że jest najlepszym naggarem w całej Judei. – Fiaba obrócił się do Józefa. – Czy to prawda, że przychodzą do ciebie ludzie z daleka? Że urzędnicy królewscy dawali ci zamówienia?

– Bywało tak – przyznał.

– Więc sam widzisz – Fiaba znowu mówił do Jakuba. – Szpiedzy na pewno o tym wiedzą. – Jeszcze raz obrócił się do Józefa: – A czy masz wielu faryzeuszy wśród swoich przyjaciół?

Józef potrząsnął głową.

– Nie znam żadnego faryzeusza. Chyba tylko takich, którzy przychodzili z zamówieniami do mego warsztatu.



– Wystarczy! – wtrącił Menahem. Faryzeusze poszaleli, a ich szaleństwa mogą przynieść nieszczęście całemu narodowi. Knują spiski, głoszą jakieś przepowiednie, sprzeciwiają się rozkazom Heroda. Już raz ich krwawo ukarał. A oni znowu. W gruncie rzeczy to mądry król...

– Przeklęty potomek Izmaela! – wydyszał Jakub.

Menahem niecierpliwie machnął ręką.

– To także stare historie! Zapomniane historie! Herod pilnuje pokoju i znakomicie umie się układać z Rzymianami. Na tym wszyscy wychodzimy dobrze. Niechby sobie był królem i on, i jego synowie, byleby tylko można bezpiecznie handlować...

– Przecież morduje... – bełkotał Jakub. – Sam mówiłeś.

– A kto dziś nie morduje? Hasmonejczycy mordowali tak samo. Wszystko załatwia się nożem lub trucizną. Znam wielu ludzi, którzy żyją jedynie z preparowania trucizny. I wierz mi, dobrze żyją!

– Rozpustnik! – zżymał się Jakub. – Opowiadają ohydne rzeczy o tym, co się dzieje na jego dworze. Słyszałem, że każe porywać dziewczęta, a nawet chłopców...

– Ty, Jakubie, żyjesz tutaj, jakbyś żył za czasów praojca Abrahama – powiedział Fiaba. Pogładził brodę. – Tak jak u Heroda dzieje się na całym świecie. Tak samo jest w Rzymie u cezara. Taki jest świat. Nie zmienimy go. Nie można tkwić uparcie przy starych obyczajach i wciąż tylko oburzać się. Oczywiście we wszystkim potrzebny rozsądek. Wiedza i mądrość przychodzą z Rzymu. Nie możemy być głupszy, niż ci, którzy rządzą światem... Ale nie o tym mówiliśmy, prawda? Sprawa idzie o to, że Herod zwrócił uwagę na nasz ród. Nie stałoby się to na pewno, gdyby nie gadanie faryzeuszy. To oni robią go takim, jakim jest! Skoro jednak tak się stało, uważam, że dla bezpieczeństwa całego rodu – położył nacisk na ostatnich słowach – ci, którzy zwracają na siebie uwagę, nie powinni siedzieć tutaj w Betlejem... Sądzymy, że Józef powinien stąd wyjechać. Niech jedzie z nami do Antiochii. To piękne, duże, bogate miasto. Znajdziemy mu pracę, ożenimy go. Dlaczego on się dotąd nie ożenił? Mężczyzna w jego wieku powinien być już ojcem.

Jakub nie odpowiedział, tylko mocno zacisnął usta i pokręcił głową. Fiaba przeniósł wzrok na Józefa. Młody człowiek zrobił szybki ruch dłońmi, który nic nie tłumaczył. Nie było mu łatwo wyjaśnić tę sprawę. Wiele razy proponowano mu

małżeństwo. Ojciec napierał, żądał, aby się wreszcie zdecydował. Cała rodzina była poruszona. Najstarszy syn, przyszła głowa rodu... Na co czekasz? – pytano. – Na jaką królewnę? Czy brak jest pięknych dziewcząt w Judei? Mógłbyś nawet wybierać między córkami kapłańskimi. – Lecz mimo tych namów on ciągle czekał.

– Dotknęliście bolącego miejsca – rzekł Jakub. W jego dygocącym głosie były żal i uraza. – Dochodzi dwudziestu czterech lat. Ostatni czas, aby się zdecydował!

– Zdecyduje się, gdy pojedzie z nami – mówił Fiaba. – Zobaczysz świat, rozejrzy się. Znajdziemy ci na pewno żonę – mrugnął porozumiewawczo na Józefa. – I piękną, i bogatą...

Józef milczał. Znowu zapanowała długa cisza.

– Mów, co myślisz o tym, co tu powiedzieli Menahem i Fiaba? – zaskrzypiał nad synem głos Jakuba.

Znowu zrobił nieokreślony ruch dłonią. Wcale nie miał ochoty do opuszczania rodzinnej wsi. Panowała tutaj cisza, a on tak kochał ciszę! W ciszy czas postępował niepostrzeżenie. Były chwile buntu i zniecierpliwienia, ale potem spokój wracał znowu. Ciężkim brzemieniem leżała na sercu świadomość urazy, jaką do niego czuł ojciec. I nad tym jednak przemagało przekonanie, że to Najwyższy żąda tego czekania. Co będzie, jeśli zostanie zmuszony do odejścia i wtedy właśnie spełni się to, na co od lat czekał?

– Nie wydaje mi się słuszne jechać z nimi – powiedział. – Nie wierzę w strachy, o których mówią. Świat tamten wcale mnie nie pociąga...

– Zupełnie zgłupiałeś na tym waszym betlejemskim podwórku! – syknął Menahem.

– Nie złość się, Menahemie – Fiaba jak zawsze starał się pokryć układnością niecierpliwe wybuchy swego towarzysza. – Mówi tak, bo nie wie, jak świat wygląda. Pewno myślisz – zwrócił się do Józefa – żeśmy zapomnieli o wierze, o czystości, o Prawie? To prawda, że nie jesteśmy jak ludzie tutejsi. Żyjemy wśród goimów, nie możemy się od nich zanadto różnić. Po co odpychać ludzi? Ale u siebie w domu zachowujemy przepisy. Mówię ci: jedź z nami.

– Ja ci to samo mówię: jedź – podjął Menahem pojednawczo – co cię tu trzyma? Dobry naggar jak ty wszędzie da sobie radę i zyska uznanie.

– Więcej nawet u nas zarobisz. Lepiej cię docenią i lepiej zapłacą. U nas masz na

co wydać pieniądze.

- Nie pragnę bogactw – powiedział Józef.
- Bogactwo mówi o opiece Najwyższego – nie przestawał przekonywać Fiaba.
- Jednak Najwyższy wszystko zabrał Hiobowi...
- Nie będę się z tobą spierał, nie znam tak dobrze ksiąg. Ale przecież mówi się nieraz w synagodze, że grzesznikom Najwyższy nie pomaga. Czyżbyś sądził inaczej?
- Najwyższy żąda, abyśmy pomagali biednym.

– Biedni, jeśli nie są grzesznikami, są głupcami i nierobami! – wtrącił się jeszcze raz Menahem. – To z takich głupców i nierobów faryzeusze zrobili sobie stronników. Plotą im o mesjaszu, że przyjdzie i da każdemu bogactwo. Za nic – bez pracy! A takim gadaniem pchają ludzi do buntów. Jeśli ty też tak będziesz mówić, Herod wyciągnie po ciebie rękę. A wtedy ucierpi cały naród.

– Tak, cały ród może wtedy wyginąć – w spokojnym dotąd głosie Fiaby zbudziła się gwałtowność. – Dlatego powinieneś wyjechać! – Zwrócił się do starego patriarchy: – Jakubie, musisz mu kazać wyjechać!

Jakub dostojnym ruchem gładził swoją białą brodę. Teraz, gdy nawet opanowany Fiaba zaczął okazywać podniecenie, zwierzchnik rodu zdawać by się mogło odzyskał spokój.

– Słyszałeś wszystko? – zapytał syna. Józef skinął głową. Wciąż gładząc brodę Jakub podjął: – Nie podobało mi się to, co mówili. Nie, nie podobało mi się. Ale trochę jest w ich słowach słuszności. Ja niedługo umrę. Jesteś moim najstarszym synem. W przyszłości głową rodu. Gdyby rzeczywiście Herod zwrócił uwagę na nasz ród i przysłał tu swoich żołnierzy – nie chcę, by znalazł ciebie. Z tym się zgadzam, że musisz wyjechać. Żądam tego. Herod stary, niedługo umrze. Wtedy wrócisz...

Sprzeciw wobec otrzymanego rozkazu walczył w Józefie z szacunkiem dla ojca. Nigdy dotąd nie sprzeciwił się wręcz jego rozkazowi. Gdy ojciec nalegał, aby się żenił, on prosił jedynie, aby mógł odłożyć swą decyzję. „Zezwól, ojcze – mówił – abym znalazł tę, na którą czekam...” Ale teraz nie mógł grać na zwłokę. Musiał ulec lub wystąpić z otwartym sprzeciwem. Patrzył z czcią na zmaląłą, zapadniętą twarz ojca. Pamiętał, jak kiedyś wyglądał – władczo i wspaniale. I znał jego miłość do siebie. Pojmował, że Jakub, wysyłając go w świat, w chwili, gdy sam gotował się na śmierć, dokonywał wielkiej

ofiary. Ojcowie chcą umierać wśród dzieci, przekazywać im ostatnie swoje słowa. A jednak, myślał, być ojcem to stanąć wobec największej ofiary: oddać tego, który jest najdroższy, wyrzec się jego obecności w chwili śmierci, nie móc położyć mu rąk na głowie i przekazać schedy... Ale czy wobec takiej ofiary można się sprzeciwiać? Nisko schylił głowę. Powiedział:

– Jeżeli każesz, ojcze, pojadę.

– Chcę tego... Ale nie znaczy to, abym chciał, żebyś jechał z nimi. Zanim podejmiesz decyzję, dokąd powinienes jechać, pragnę, abyś zasięgnął dobrej rady. Jest człowiek, który ci tę radę może dać...

– Wskaż mi go, ojcze.

– Ród nasz spowinowacił się niegdyś z rodem kapłańskim. Ostatni przedstawiciel tamtego rodu mieszka tam, za górami... – sucha ręka wskazała kierunek. – To człowiek stary, niewiele młodszy ode mnie. Nazywa się Zachariasz syn Arama. Uchodził zawsze za mądrego i pobożnego. Myślę, że takim pozostał. Jedź do niego, jedź zaraz jutro. Odwiedź go, poproś o radę...

– Stanie się, jak powiedziałeś.

Jakub wyciągnął obie ręce przed siebie i położył je na ramionach syna. Trwali tak przez chwilę twarzą w twarz, a wargi obu poruszały się bezgłośnie modlitwą.

## 2

W głębi horyzontu przed nimi wznosiły się góry. Łby szczytów wynurzały się jeden spoza drugiego, pościerane, skruszałe przez czas. To był ten sam grzebień skalny, biegnący od Betsur, który miał od lat przed oczami. Stąd jednak wydawał się inny. Był bardziej wyrazisty, miejscami podcięty pionowymi uskokami, miejscami obsypujący się w piramidy piargu. Minęło południe i rozplaszczona żarem przestrzeń dźwigała się w górę wydłużającymi się cieniami. Blask słońca nadał skałom gorącą, pomarańczową barwę, inną niż sinobury kolor, jakim ta sama godzina malowała grzebień po tamtej stronie.

Nagie, obsypane głazami zbocze w miarę schodzenia w dół obrastało w zieleń.

Nad wąwozami sterczały czarne włócznie cyprysów, pieniała się rozchwiej palmowych liści; niżej wśród kęp traw bieleły nakrapiane osty. Każde zbocze było niby schody, poznaczone ścianami niskich murków, ułożonych z płaskich kamieni. Nad murkami rozkładała swe liście winorośl, między liśćmi widać było czarne grona. Jeszcze niżej na samym dnie doliny lgnęły się szpalery rozrosłych, szarych oliwek.

Wszędzie od uprawnych spłachci ziemi dochodziły głosy pracujących. W czystym powietrzu górskim, którego ciszę dopełniał bełkot potoku, te głosy niosły się daleko i wydawały się dziwnie bliskie.

Dwaj mężczyźni siedzieli na płaskim dachu domu. Nad ich głowami spleciona z trzciny i gałęzi osłona rzucała cień nakrapiany drgającymi plamami blasku. O tej porze tam, za grzbietem, leżał jeszcze na wszystkim południowy żar. Tutaj dawał się już odczuć pierwszy orzeźwiający podmuch od morza.

– Jeśli chcesz usłyszeć moją radę, Józefie synu Jakuba – mówił stary kapłan – to ci ją powiem. Twój ojciec słusznie zdecydował, że powinieneś opuścić rodzinną wioskę. Niebezpieczeństwo, o którym nam mówiono, może rzeczywiście istnieje. Mówią, że Herod stał się szaleńcem. Wszędzie dostrzega wrogów. Gotów jest mordować wszystkich, na których wskażą jego szpiegdy. Te wieści się powtarzają – i tak na pewno jest. Ale słuszną jest także rzeczą, że nie pojechałeś z tamtymi do Syrii. Nie znam waszych krewniaków i być może są ludźmi, którzy nawet żyjąc wśród goimów, zachowali wiarę i nieskalane obyczaje. Może. Bywają tacy. Ale wiem, że, niestety, ogromną większość naszych braci, żyjących w tamtych stronach, dotknęła zaraza. Bo świat nasz, Józefie, dotknięty jest zarazą...

Józef, który siedział nieruchomo, chłonąc słowa Zachariasza, poruszył się.

– Nie wiem, o czym mówisz. Żyję w ciszy. Nie wiem, co się dzieje na szerokim świecie. Jerozolimę odwiedzam tylko w święta. Dalej nigdzie nie chodzę...

– Ja jednak bywam w mieście często. Nasz ród tworzy ósmą klasę kapłańską, zgodnie z podziałem Ezdrasza. Co pół roku przypada na nas służba w świątyni. Ale nie tylko wtedy odwiedzam Jerozolimę. Chodzę tam co miesiąc w różnych sprawach, a gdy jestem w mieście, słucham nowin i wieści ze świata. Spotykam ludzi nieraz z dalekich stron...

Odchrząknął, położył swe dłonie o złuszczonej skórze na glinianej balustradzie

dachu. Patrząc w dal podjął:

– Dostaliśmy się pod władzę Rzymu. Nasi własni królowie odwołali się do rzymskiej pomocy. Ale choćby Rzymian nie wzywali, oni i tak byliby do nas przyszli. To lud niesyty władzy nad drugimi. Mądry, twardy i bezwzględny. Cesarze rzymscy dali nam pokój. Ich żołnierze pilnują granic i bezpieczeństwa na drogach. Ich poborcy ściągają z nas podatki. Ale Rzym to nie tylko surowa opieka. To także źródło trucizny, strasznej trucizny... Wszystko zło, jakie Rzym znalazł u podbitych przez siebie ludów, spłynęło w jego serce, sfermentowało, stało się jego własnym złem. Rzym ma swoich bogów.

Gotów jest także przyjmować do swego panteonu każdego innego boga.

Wszystko, co jest kłamstwem, uwielbieniem samego siebie, poszukiwaniem wygody, przyjemności i rozkoszy, spływa do Rzymu i znowu z Rzymu rozchodzi się na świat. To jest zaraza, o której mówię. Zanim Rzym posunie dalej swoje zdobycze, wpierw jak wąż poraża jadem ofiarę...

Znowu na chwilę zamilkł i tylko przez szpary zmrużonych powiek patrzył na nagie szczyty, wznoszące się nad zielonymi zboczami.

– Opieka rzymska i pokój rzymski – mówił dalej – dają bezpieczeństwo. A przecież trują... Tam gdzie nasi żyją wśród obcych, zło dotyka ich łatwo. Ale ono grozi także nam wszystkim, tutaj. Wielu kapłanów powiada: skoro panuje pokój i możemy składać ofiary Najwyższemu – wszystko jest dobrze. Herod nie wtrąca się do naszego życia, granice królestwa sięgnęły granic królestwa Dawida. Faryzeusze spiskują i buntują się. Głoszą ludziom, że dla zachowania czystości trzeba podjąć walkę. Zapowiadają, że niedługo dadzą sygnał. Przypomnieli stare proroctwo o mesjaszu. Ale choć to wszystko mówią, utrzymują bliskie stosunki z dworem. Niektórzy wkupili się nawet w łaski Heroda. Trudno powiedzieć, do czego dążą naprawdę. Lud nie wie, kogo należy słuchać. Izrael stał się stadem, które zgubiło swego pasterza...

Kapłan umilkł, usłyszawszy na schodach stąpanie. Kobieta, która zjawiała się na tarasie, była już stara, ale na jej twarzy, zwiędłej, pociętej zmarszczkami, zachowały się ślady niezwykłego piękna, jakim musiała kiedyś zachwycać. Ciemne, wielkie oczy patrzyły nad obwisłymi workami powiek. Twarz wydawała się surowa, prawie męska. W obu dłoniach niosła ostrożnie duży dzban. Za nią szła służąca z tacą, na której była

miska z podpłomykami jęczmiennymi, owoce, sałata z ziół polnych i owczy ser. Postawiła to wszystko na stole. Potem kobieta skłoniła się. Powiedziała:

– Minał czas pracy i zbliżyła się pora wieczorna. Czy mój mąż i jego młody gość zechcą spożyć skromny posiłek, który pozwoliłam sobie przynieść?

Stała z pochyloną głową i złożonymi na piersiach dłońmi. W tym geście wydawała się bardziej sługą niż żoną. Stary kapłan obrócił głowę i spojrzał na kobietę. Ich oczy spotkały się i zaraz obie twarze uległy całkowitej przemianie. Zniknął zarówno surowy wyraz, jaki nosiła twarz kobiety, jak niepokój i żałość, jakimi zdawała się być napiętnowana twarz mężczyzny. W oczach obojga pojawił się gorący błysk, na wargi spłynął uśmiech. Przestali być w tej chwili starymi ludźmi, którzy już wszystko zostawili za sobą.

– Niech będzie, jak powiedziałaś – rzekł Zachariasz. – Rzeczywiście minął czas pracy. – Zwrócił się do Józefa: – Czy zechcesz, gościu, odmówić modlitwę?

Józef uniósł dłonie i zasłonił się nimi.

– Nie, Zachariaszu. Ty odmów. Jesteś kapłanem. Posiadasz wielką godność przed Panem.

Stary mężczyzna drgnął. Na rozjaśnioną przed chwilą twarz padł na nowo cień. Wargi zacisnęły się, po policzkach przemknął skurcz. Można było sądzić, że człowieka dotknął jakiś ból. Ale zaraz się przemógł. Tylko na twarz powrócił wyraz melancholii, jaki Józef zauważył, gdy wszedł do domu kapłana. Zachariasz sięgnął po płaszcz, głosem, który lekko dygotał, zaczął odmawiać modlitwę kończącą czas pracy – minę:

– Bądź błogosławiony, Panie, Królu świata i wszelkiego stworzenia, za to, żeś nam pozwolił przeżyć ten dzień ciężkiego trudu i ustrzegł nas od grzechów...

– Amen – rzekł Józef, gdy Zachariasz wypowiedział ostatnie słowa.

Odrzucili naciągnięte na głowy płaszcze i usiedli za stołem. Byli znowu sami, kobiety odeszły. Powiew stał się mocniejszy. Rozszeleściły się gałązki, tworzące dach nad tarasem. Zamiast pokrzykiwań pracujących ludzi zadzwoniła piosenka śpiewana przez wracających z winnic.

Jedli w milczeniu. Dopiero, gdy skończyli i napili się rozcieńczonego wodą wina, Józef powiedział:

– Dziękuję ci, Zachariaszu, za wszystkie twoje rady. Ojciec miał słuszość,

wysyłając mnie do ciebie. Najwyższy obdarzył cię wielką znajomością życia. Ale nie powiedziałeś mi jeszcze jednego. Skoro sądzisz, że powinienem opuścić rodzinną wieś, i skoro zgadzasz się ze mną, iż nie należy mi iść za kuzynami do Antiochii, powiedz, dokąd, zdaniem twoim, powinienem odejść? Co ci w tej sprawie mówi Najwyższy?

Zachariasz nie podniósł opuszczonej głowy. Dłoń o skórze cienkiej, chropawej i połyskującej niby łuska węża przesuwiał tam i z powrotem po brzegu stołu.

– Zbyt wiele oczekujesz ode mnie, Józefie synu Jakuba – powiedział po chwili ciężkiego milczenia. – Mówiłem ci to tylko, co mi dyktowało doświadczenie starego człowieka, który niejedno w życiu widział i słyszał.

Nie szukaj jednak w moich słowach woli Najwyższego...

I znowu skurcz przewinął się po ściągniętych policzkach kapłana. Józef podniósł na Zachariasza pytający wzrok.

– Nie pojmuję twoich słów. Jako kapłan stoisz blisko Najwyższego.

Służysz Mu. Łatwiej ci poznać Jego wolę.

Zachariasz potrząsnął głową.

– A jednak błogosławieństwo Najwyższego nie spoczęło na mnie...

– O czym mówisz?

– Nie mam syna...

Józef spuścił wzrok.

– Wiem, Zachariaszu, o twoim nieszczęściu. Jednak Najwyższy...

Kapłan nie dał mu skończyć.

– Chcesz powiedzieć, że Najwyższy może czynić, co chce? Na pewno.

Gdy jednak zesłał taką hańbę na swego kapłana, widać, że uznał go za niegodnego!

Słowa zadźwięczały już nie bólem, ale rozpaczą. Józef zacisnął dłoń na utrzymanym w palcach chwaście płaszcza. Gwałtowność wypowiedzi nasunęła mu myśl, że Zachariasz nie miał się z kim podzielić swoim przekonaniem i że może po raz pierwszy wyraził je głośno. Odruchowo w pierwszej chwili zrobił gest, jakby chciał powstrzymać dalsze wyznania. Ale zaraz przemógł lęk. Jeśli chciał tamtemu pomóc – musiał go wysłuchać. Przyjąć na siebie część ciężaru, który zdawał się zgniatać tamtego człowieka.



– On nie odrzuca tych, którzy chcą Mu służyć... – zaczął.

– A jednak mnie odrzucił, Józefie. – Zachariasz powiedział to z bolesnym naciskiem. – Nie tylko tamto dotknęło mnie...

Urwał, przez moment pasował się ze sobą. Nie było mu widać łatwo wypowiedzieć do końca swój ból. Ale pierwsze wyznanie było jak zerwana tama. Ściszył głos, mówił teraz szeptem:

– Tego nikt może nie zauważył... Ale ja to widzę... Tyle lat pełnię służbę kapłańską... Tyle lat! I nigdy, nigdy w ciągu tych lat nie padł na mnie los, abym złożył ofiarę kadzenia! Tę najgodniejszą!

Wyrzucił te słowa z siebie – i umilkł. Zrobiła się cisza, jakby zapadło jakieś wieko. Powiew wieczorny, który stawał się z każdą chwilą mocniejszy, ciągle szeleścił gałązkami osłony. Potok w dole zdawał się mocniej szumieć.

– Moje życie kończy się – podjął na nowo. – To już ostatni rok służenia. Potem nie będę już wzywany. Najwyższy dał znak, że nie jest zadowolony ze mnie...

– Ale przecież pamiętasz Hioba – powiedział Józef. Gorączkowo szukał czegoś, co by mogło dźwignąć tamtego z dna rozpacz. – Jego przyjaciele sądzili, że Najwyższy zesłał na niego karę. On jednak czuł się niewinny.

– Czy jednak jest ktoś, kto by mógł się czuć naprawdę niewinny? – słowa Zachariasza padły z tragiczną powolnością. – Ja w każdym razie znalazłem swoją winę...

O mało nie zapytał: „Co takiego uczyniłeś?” Powstrzymał się jednak. Czuł, że jeśli Zachariasz zaczął mówić o sobie – winien powiedzieć tyle, ile sam zechce. Nie mógł uchylić się od wysłuchania jego wyznań – nie mógł go do niczego przynaglać.

– Cięży na mnie wina... – Zachariasz mówił ciągle wolno, na pozór całkowicie spokojnie. – Myślałem długo i znalazłem ją w sobie... – Na chwilę zatrzymał się. – Zawiniłem miłością do żony! – wyrzucił wreszcie z siebie.

– Miłością? – powtórzył zaskoczony. – Jak można zawinić kochaniem?

– Miłość musi mieć swoją miarę...

– Ale przecież twoja miłość nie oderwała cię od służby.

– Nie oderwała. A jednak nie dała o sobie zapomnieć...

– Czy trzeba zapominać?

– Trzeba! – rzucił twardo. – Czymże jest miłość ludzka? Pocięgą, którą trzeba

umieć od siebie odsunąć. – Oparł głowę na rękę. Był zmęczony tym, co wydarł z siebie. To było tak, jakby wyrwał z ciała tkwiącą w nim od dawna zadrę. Wypowiedział ból, z którym się zmagał noc w noc w samotnej walce. – Widzisz, Józefie – starał się mówić z wielkim spokojem, ale ten spokój był tak bardzo narzucony, że aż głos drżał. – Kocham ją. Jest dla mnie najdroższym, najbliższym przyjacielem... Doktorzy – przełknął mocno ślinę – doktorzy mówią: trzeba codziennie dziękować Najwyższemu, że nie uczynił nas ani goimem, ani kobietą... Nie potrafiłbym się tak modlić! Nigdy... Jesteśmy oboje już starzy. Nie wiem, co będzie, gdy na jedno z nas przyjdzie śmierć. Bo gdy przychodzą dni służby i muszę odejść – nie przestaję myśleć o niej i tęsknić!

Wypowiedział ostatnie słowa cicho i umilkł. Zapadło milczenie. Józef myślał: dlaczego on to mówi do mnie, którego widzi po raz pierwszy? Prawda – nieraz ludzie całkiem obcy zwierzali mu się ze swoich ukrytych trosk.

Przychodzili zamówić pług lub sochę – i nagle siadali i opowiadali o swoich zmartwieniach. Prosił o radę. Jego, który żył w ciszy i tak mało znał życie!

Ale tamci to byli ludzie prości. Dla nich znany ze swej zręczności naggar był autorytetem. Ale Zachariasz był kapłanem, człowiekiem doświadczonym...

Z wysiłkiem, jakby starał się podźwignąć wielki ciężar, zaczął:

– Nie przystoi mi o tym mówić, Zachariaszu... – rozłożył bezradnie ręce.

– Nie znam świata, nie znam życia. I ja słyszałem rabiego, który głosił, że Najwyższy czyniąc Ewę z żeбра Adama okazał kobiecie lekceważenie, gdyż żebro jest mało szlachetną częścią ludzkiego ciała. Mówi się: kobieta została stworzona dla mężczyzny, aby mu było lżej i przyjemniej... A jednak wiemy, jak bardzo kochali swoje żony sami praojcowie. Jakimi bohaterkami były Debora i Judyta. Kobieta nie może być tylko dla mężczyzny.

W miłości do żony musi się kryć coś świętego... Nie pojmuję tego dobrze i nie umiem wyrazić, ale jestem pewien, że przez tę miłość Najwyższy chciał ukazać coś wielkiego i tajemniczego...

Znowu rozłożył ręce i spojrzał przepaszająco na kapłana.

– Wybacz – szepnął – nie potrafię lepiej wyjaśnić moich myśli...

Zachariasz milczał, ale jego wzrok był utkwiony w twarzy Józefa.

– Jesteś młody – zaczął – a jednak powiedziałeś rzeczy niezwykle. Mów dalej.

Więc sądzisz, że Najwyższy wyznaczył także wielkie zadanie kobiecie?

– Wierzę w to! – Józef wybuchnął gorąco. – Jestem pewien, że On ją kiedyś wywyższy i postawi blisko siebie. Nie umiałbym kochać kobiety tylko dlatego, że jest dla mnie...

– I tak właśnie kochasz swą żonę?

Spuścił oczy nagle zawstydzony, że nie potwierdza życiem swoich słów.

– Nie mam jeszcze żony...

– Nie masz? A jednak jesteś w latach, w których mężczyzna powinien był już wybrać sobie towarzyszkę.

– Czekam... – szepnął.

Kapłan pokiwał głową.

– To znaczy, nie znalazłeś dotąd tej, której mógłbyś ofiarować swoje uczucia? Rozumiem. Na wiele czekasz i dużo chcesz dać... Czekaj dalej. Nie śpiesz się z wyborem. Znajdziesz dziewczynę godną twojej miłości i twoich nadziei. Obyś nie musiał zapłacić za swój wybór równie ciężko, jak ja zapłaciłem! – dorzucił.

Józef nic nie odpowiedział. Trudno mu było znaleźć odpowiedź na ból, który wciąż wydobywał się u tamtego na wierzch, niby kielek z ukrytego głęboko w ziemi korzenia. Nie mógł pogodzić się z wyjaśnieniem, do jakiego stary kapłan doszedł. A jednocześnie cóż mógł powiedzieć na klęski, jakie na Zachariasza spadły?

Coraz ostrzejsza czerwień ogarniała grzbiet górski, za którym leżało Betlejem. Wiatr urósł w wichurę, targał gałęzmi i liśćmi. W dole, niewidoczne pod parasolem drzew, ciągnęły do domów wracające z pastwisk stada. Słysząc było dzwonki, beczenie i głosy ludzkie.

– Chcesz jutro wracać? – zapytał kapłan.

– Tak, Zachariaszu.

– I co uczynisz?

– Tak, jak mi doradziłeś. Odejdę. Ale nie z tamtymi do Antiochii.

– Myślę, że w Antiochii nie znalazłbyś kobiety, której chcesz dać swą miłość. Tam żyje się zbyt hałaśliwie.

– Dziękuję ci, Zachariaszu, za wszystkie twoje rady. Zastanowię się jeszcze, dokąd pojedę.

– Niech cię Najwyższy prowadzi.

Odmówili jeszcze wspólnie arbit – modlitwę nowego dnia, który już nadchodził, bo jak świat zrodził się w ciemności, tak nowy dzień rodzi się o zmierzchu. A potem rozstali się. Posłanie dla Józefa służąca przygotowała na tarasie. Zanim się położył, zeszedł jeszcze na dół, aby się przekonać, czy czego nie braknie osłu, na którym przyjechał. Ale znalazł zwierzę dobrze obsłużone: osioł kiwał się sennie nad kopią siana pełnego świeżo ściętych krzaków ostu.

Ruszył z powrotem w stronę domu, gdy nagle ktoś zawołał na niego z ciemności:

– Józefie synu Jakuba, zatrzymaj się na chwilę.

Stanął. Nie widział postaci kobiety, ale od razu się domyślił, kto na niego zawołał.

– Słucham cię, Elżbieto.

– Wybacz, że ja, kobieta, zwracam się do ciebie. Ale jestem stara. I słyszałam twoją rozmowę z moim mężem. Chciałam ci podziękować...

– Za co chcesz mi dziękować?

– Za to, że rozproszyłeś czarne myśli, jakie obsiadły jego umysł.

– Przecież wcale ich nie rozproszyłem.

– Owszem. Poszedł na spoczynek pocieszony. I za to chcę ci podziękować, co powiedziałaś o kobiecie i miłości...

– Tak myślę i czuję.

– Skąd ci przyszły takie myśli? Nawet prorocy mówią wiele złych słów o kobiecie...

– A jednak wydaje się, jakby i oni coś przeczuwali... Ty, Elżbieto, mówią, znasz księgi?

– Znam. Ale mowy proroków są pełne tajemnic.

– To prawda. Każdy jednak miał matkę. Ja swojej prawie nie pamiętam. A jednak myślę o niej z czcią i miłością. Nie mógłbym myśleć źle... Ten, o którym mówią prorocy, będzie musiał mieć matkę godną siebie...

– Mówisz o mesjaszu?

– Tak.

– Mówi się o nim teraz wiele. Znam starą kobietę w mieście, która ufa, że musi

go zobaczyć, nim umrze. Czy sądzisz, że on naprawdę zjawi się w naszych czasach? Tyle pokoleń czekało, a potem pomarło niczego nie doczekawszy.

Nie zbliżyła się, wciąż mówiła do niego z odległości kilku kroków. Nawet jej sylwetki nie mógł dostrzec w mroku.

– Nie wiem, Elżbieto – powiedział. – To twój mąż powinien wiedzieć, czy naprawdę zbliżył się czas nadejścia mesjasza. Gdyby przeczucia owej kobiety były prawdziwe, już musiałyby żyć ta, która będzie jego matką...

– Niech błogosławione będzie łono tej, której syn odejmie pogardę od kobiet – zawołała. – Bo przecież on to uczyni!

– Jestem tego pewny.

– Niech błogosławieństwo spocznie na twojej głowie, Józefie, za te słowa. Słuchaj... – Nagle zbliżyła się. Dostrzegł w ciemnościach jej postać owiniętą w białą płaszcz. – Słuchaj. Słyszałam, jak mówiłeś, że nie masz żony i czekasz na kobietę, której będziesz mógł ofiarować miłość. Chcę ci powiedzieć: znam dziewczynę, która zasługuje na miłość jak twoja...

– O kim mówisz?

– O mojej siostrzenicy. Rodzice pomarli, zostało ich dwie. Mój mąż zezwolił, aby wychowywały się w naszym domu. Żyły u nas przez lata. Starsza jest zameężna, ma dzieci. Młodsza dopiero wychodzi z lat dziecinnych...

– I jest tu u was?

– Nie. Zamieszkała w domu siostry. Pomaga jej przy dzieciach i przy gospodarstwie. Mieszkają w Galilei w Nazarecie... Skoro, jak mówiłeś, chcesz gdzieś odjechać – pojedź do Nazaretu. To miasto, w którym dobry rzemieślnik jak ty znajdzie łatwo pracę. Odnajdź ją, przyjrzyj się. Och, jaka bym była szczęśliwa, gdybyś to ty wziął ją za żonę!

– Powiedziałaś, że godna jest miłości?

– Jeżeli istnieje dziewczyna, dla której warto poświęcić wszystko – to ona jest właśnie taką.

– Powiedziałaś wiele. Chciałbym mieć żonę, którą mógłbym kochać, jak twój mąż kocha ciebie. Skoro ją wychowałaś, musisz ją dobrze znać...

Biała postać w mroku postąpiła jeszcze parę kroków bliżej.

– Nie wiem, czy mogę powiedzieć, że ją znam – powiedziała prędko. – To moja siostrzenica, a jednak nigdy nie pojmem, jak taka dziewczyna mogła się zjawić między nami... Musisz ją zobaczyć sam. Nigdy nie słyszałam mężczyzny, który by tak jak ty mówił o miłości. Skoro umiesz kochać, może ją zrozumiesz... Jedź, zobacz sam! Nie żałuj trudu, Józefie.

Wytoczył się na niebo księżyc, a jego blask zaczął się przesypywać między szarpanymi przez wiatr gałęzmi. Mająca wśród ciemności postać kobiety zdawała się teraz zjawą.

– Tak, Elżbieto – powiedział. – Udam się do Nazaretu...

### 3

Król wyciągnął rękę po puchar z winem. Podniósł go do warg, ale nagle jakaś myśl kazała mu odsunąć od ust rękę z pucharem. Jego czarne oczy błysnęły, wzrok omiótł twarze stojących pod ścianą służących. Gestem przywołał jednego z nich. Patrząc czujnie w jego twarz odlał nieco wina z pucharu do stojącego na stole naczynia. Rzucił rozkaz:

– Pij!

Ani na chwilę nie odrywał oczu od twarzy tamtego. Służący cały drżał. Ale ponaglony okrzykiem umoczył usta w winie. Król kazał mu wypić wszystko. Dłuższą chwilę przyglądał się człowiekowi. Wreszcie machnięciem dłoni kazał mu odejść. Teraz dopiero przyłożył puchar do ust. Pił długo, powoli, łyk za łykiem. Dopił do dna. Odstawił puchar. Wsparł głowę na rękę. Rzucił jęklonie:

– Mówię ci: nikt mnie nie kocha! Siedząca obok kobieta zaprzeczyła.

– Ależ mylisz się, Herodzie. Wielu ludzi... Przerwał jej niecierpliwym ruchem ręki.

– Nikt, nikt! – zapewnił. – Nikt! Dlatego musiałem kazać ich zabić. Moich własnych synów...

– Byli źli – powiedziała kobieta tonem usprawiedliwiającym. – Musiałeś to zrobić. Spiskowali, wynosili się. Toni, i ich żony. Żona Aleksandra chciała być pierwszą

na dworze. Moja Berenika znosiła wiele od Arystobula. Obrażał ją wciąż, mówiąc, że pochodzi z podłego rodu. Wykrzykiwał, że ty, Herodzie, kazałeś mu się ożenić z moją córką, gdy jego brat ma za żonę królownę...

– Szczenięta – rzucił przez zęby. Przesunął dłonią po gardle, jakby czuł tam dławiący ucisk.

– Więc widzisz...

– Ale to byli synowie Mariammy! – wyrzucił z głębi gardła, jakby wypływał zgęstniałą flegmę.

– Ona... – zaczęła.

– Milcz! – krzyknął. Głos mu się załamał. Pochylił się ku Salome. Prędko, charkotliwie ciskał słowami: – To ty naopowiadałaś, że mnie zdradza! Z twoim mężem! To ty! Przez ciebie skazałem ją na śmierć! Przez ciebie! To ty! ty! ty!

Uderzył pięścią w stół, aż zadzwoniły bransolety, których miał kilka na przegubie ręki. Twarz Heroda zmieniła swój wyraz: przedtem była smutna, prawie tragiczna, teraz stała się dzika, skrzywiona wściekłością. Gniew rozdymał nozdrza. Gruba żyła wystąpiła mu na czole. Mimo pomalowanych na czarno włosów i brody na twarzy króla widać było znaki wieku i trawiącej go choroby. Policzki miał zapadnięte, z ust buchało niemiłą wonią. Szyja przypominała oskubaną z pierza szyję ptaka. Jabłko Adama biegło po niej z góry na dół. Ale ani wiek, ani choroba nie zgasiły żywotności, jaka rozpierała ciało Heroda. Namiętne przywiązanie do życia walczyło w nim z każdą słabością.

Kobieta cofnęła się przestraszona wybuchem.

– Zawsze broniłam tylko ciebie i twoich praw – powiedziała nadając głosowi ton urazy. – Chciałam jedynie twego dobra, Herodzie. Jesteśmy rodziną kochającą się. Feroras...

– Nie wierzę Ferorasowi! – przerwał jej.

– To twój brat, Herodzie. Zawsze go kochałeś.

– On mnie nie kocha!

– To nie on, to ta jego Roksana. Ona go buntuje.

– Ona czy nie ona – nie wierzę mu! Roksana... – zgrzytnął zębami. Wyciągnął przed siebie rękę z wysuniętym palcem. – Tobie także nie wierzę! Dla zdobycia nowego kochanka gotowaś mnie otruć!

– Mam męża, którego mi sam wybrałeś...

– Masz także innych mężczyzn. Doniesiono mi, że się zabawiasz z Antypatrem!

– To kłamstwo! Jest moim siostrzeńcem!

– A cóż to szkodzi? Gniew Heroda przełamał się nieoczekiwanie w śmiech. Chichotał ukazując swe krótkie szerniałe zęby. – Tobie to szkodzi? Jesteś ciągle młoda. Nasz ród zachowuje długo młodość. Feroras wziął sobie Roksanę...

– Zrobił niedobrze – spieszenie podjęła temat. Była zadowolona, że Herod przestał mówić o niej, a zajął się sprawami młodszego brata. – Zupełnie oszalał dla niej. Podniósł niewolnicę do godności żony królewskiej! Odepchnął twoją córkę. Roksana podburza go przeciwko tobie. Razem z matką i siostrą obrażają moje córki. Mówią kłamstwa o mnie. Ale Feroras jest niewinny. To one oplatały go. Matka Roksany jest czarownicą. Zna sekretne zamówienia, zna czary. Umie warzyć trucizny...

– Nie chciał jej porzucić. – Herod miał twarz ponurą. Utkwił wzrok w barwnej powierzchni inkrustowanego stolika. – Żądałem tego. Prosiłem go. Prosiłem! Nie kocha mnie!

Wczepił palce we włosy i targnął. Pochyliła się ku niemu.

– On jednak jest ci oddany. To tylko one...

– Nie kocha mnie – powtórzył. – Nikt mnie nie kocha... – Powrócił do tego stwierdzenia niby żebrak do swego jęklivego wezwania. – Musiałem ich kazać zabić. Napisałem do cezara, że płacę, ale muszę tak uczynić. On jednak mnie rozumie. Boargasowi kazałem wziąć na tortury ludzi z ich otoczenia. Wszyscy wyznali, że przygotowany był spisek. Chcieli mnie zamordować. Nawet hegemon Tyron, choć od tylu lat mi służył, także spiskował. Wszyscy spiskowali. Wydałem ich tłumowi i ludzie zatłukli ich kijami...

– Bo ciebie lud kocha – powiedziała.

Dźwignął głowę, którą trzymał zwieszoną, utkwili w Salome dziki wzrok.

– Co ty gadasz? To nieprawda! – krzyczał. – Nie kochają mnie! Nikt mnie nie kocha! A ja tyle dla nich zrobiłem...

– Wiedzą o tym...

– Wiedzą? – zgrzytnął zębami z gniewną ironią. – Oczywiście, że wiedzą! Nie są ślepi! Mają królestwo, jakiego nie mieli nawet za czasów swego bajkowego Dawida!



Zasiedliłem Żydami Trachonitis. Buduję im świątynię, którą podziwiają Grecy i Rzymianie! Kto tyle dla nich zrobił? Wiedzą o tym na pewno! A mimo to nienawidzą mnie!

– To tylko niektórzy... – usiłowała go uspokoić.

– Oni słuchają właśnie tych niektórych!

– Dziś słuchają, jutro ich porzucą. Żydzi są tacy: dziś kogoś czczą, jutro rozedrą go na strzepy. Pamiętasz, jak ukarałeś faryzeuszy? Kto się za nimi ujął?

Uciszył ją nowym uderzeniem pięścią w stół.

– Dosyć! Gdaczysz i gdaczysz! Ja ci mówię: nikt mnie nie kocha. Bracia mnie nie kochają, choć porobiłem ich królami! Żydzi mnie nie kochają, choć stałem się dla nich Żydem. Nawet świniny nie biorę w usta! Stosuję się do ich zwariowanych przepisów! Mincierzom nie pozwoliłem wyrzeźbić mojej głowy na pieniądzach! Buduję dla nich świątynię! Ich królewna była moją żoną! Ja naprawdę jestem królem żydowskim. Prawdziwym królem, takim, jakiego nie mieli!

– Jesteś nim. Teraz masz za żonę córkę arcykapłana.

– Nie szanują go, bo ja go zrobiłem arcykapłanem! Och, chciałbym ich zmusić, żeby mnie kochali! Ciągłe mnie o coś oskarżają. O śmierć Mariammy, o śmierć jej synów... Oskarżają, choć nie kochali Hasmoneuszy. Zwalczali ich, spiskowali. Błagali Rzymian o przyjęcie i bronienie przed ich własnymi królami! To ja ich zjednoczyłem i zbudowałem królestwo żydowskie! Wszystko mnie zawdzięczają! Dlaczego nie chcą mnie kochać!?

– To naród podły i niewdzięczny...

– Są podli. Jednak chcę, aby mnie kochali! Zapomniałem faryzeuszom ich dawne bunty i okazałem im łaskę. A oni teraz gardłują, aby ludzie nie składali przysięgi na wierność cesarzowi. Głupcy! Sami kiedyś przywołali Rzymian! Powinienem ich znowu zacząć krzyżować. A ja im tylko kazałem zapłacić karę...

– Byłoby lepiej, abyś nie był dla nich taki pobłażliwy. Mam informacje, że prowadzą rozmowy z Roksaną...

Nic nie powiedział, tylko sięgnął po leżący na stole nóż i zaczął nim uderzać wściekle w inkrustowany blat. Ciężka fałda pojawiła się między jego brwiami. Patrząc w przestrzeń zdawał się nad czymś z wytężeniem rozmyślać. Nagle rzucił pytanie:

– Komu zostawię tron, gdy oni nie żyją?  
– Masz innych synów: Antypatra, Archelausa, Antypasa, Filipa... Podrzucił gniewnie ramionami.

– Ty naturalnie chciałabyś, abym zrobił królem Antypatra?  
W oczach Heroda skrzyła się podejrzliwość. Odpowiedziała siląc się na godność:  
– Chcę tego, kogo ty będziesz chciał, Herodzie.  
– Żydzi żadnego nie uznają.  
– Gdy im nakazesz, będą musieli posłuchać. Jesteś królem.  
– Zobaczysz, co będzie. Będą się buntowali, będą spiskowali. Wyślą swoich do Rzymu, przekupią otoczenie cezara... Będą znowu prosić, aby Rzymianie sami objęli rządy w królestwie. Ja ich znam!

– Dlatego nie okazuj im tak dużo łaski. – Ściszyła głos: – Czy wiesz, że Roksana daje pieniądze faryzeuszom, aby mieli z czego zapłacić kontrybucję, którą na nich nałożyłeś?

– Wiesz o tym na pewno?  
– Moi szpiegowie przynoszą tylko pewne wiadomości. Ona dała im pieniądze, a oni jej przyrzekli, że będą się modlili, aby Feroras został królem po twojej śmierci...

Herod nie powiedział nic, tylko jego zęby wydały zgrzyt, jakby piła otarła się o tkwiący w drzewie gwóźdź. Ciemna twarz króla przybrała barwę popiołu. Czas jakiś siedział bez słowa. W końcu rzucił:

– Jeszcze nie umarłem! Feroras dostał Pereę i ma dosyć. Sam przekonałem Rzymian, że powinien ją dostać. Nie ma syna, więc po jego śmierci kraj musi wrócić do mnie. Skoro jednak Roksana spiskuje, każe Ferorasowi opuścić Judeę. Niech wraca do siebie. Masz rację – to ona szczuje go przeciwko mnie...

Nagle – z właściwą sobie zdolnością do przerzucania się od jednej sprawy do drugiej – zapytał:

– Gdzie są dzieci Aleksandra i Arystobula?  
– Tu w pałacu. Sądziłam, że w każdej chwili możesz chcieć zdecydować o ich losie...

Od razu zmienił ton: przeszedł od gniewu do czułości.

– Jesteś mądra i wierna, Salome. Ty jedna. Posłuchaj... Uniósł palec i powiedział

patrzając na nią złośliwie uśmiechnięty: – Dzieci oddam pod opiekę Ferorasowi. On będzie musiał czuwać nad ich życiem...

Mrugnął porozumiewawczo i oboje wybuchnęli śmiechem.

– To wspaniały pomysł – przyznała. – Podziwiam cię!

Przez chwilę chichotali. Ale zaraz śmiech ucichł. Zapadła cisza. Herod na nowo zaczął uderzać trzymanym w rękę nożem w blat stołu.

– Chcę, żeby mnie Żydzi kochali... – wrócił do swych żalów. – Muszą mnie kochać. Nikt dla nich tyle nie zrobił, ile ja zrobiłem. Gdyby nie ja, Rzymianie położyliby na królestwie swoją rękę!

– Myślisz – zapytała – że Rzymianom potrzebne jest królestwo żydowskie?

– Rzymianie są niesyci władzy – zaśmiał się sucho. – Poza tym nie wiadomo, kiedy znowu może się zacząć wojna z Partami. Są jednak mądrzy. Ufają mi. A ja jestem przyjacielem cesarza. Polecilem wszystkim złożyć przysięgę cesarzowi...

– Przeciwno temu właśnie krzyczą faryzeusze...

– Głupcy, głupcy! Najpierw błagali Rzymian: przyjdźcie nas ratować, a potem buntują się przeciwko tym samym Rzymianom. Co za głupcy ci faryzeusze! Nie wiedzą, że Rzymianie wymyślili coś, co by jeszcze więcej ich oburzyło...

– O czym mówisz?

– Mówił mi Saturnin, że cesarz pragnie, aby w królestwie dokonany został spis, jakiego dokonuje się w całym imperium. Rzym chce wiedzieć, ilu ma ludzi i ilu mają ludzi jego sojusznicy. Ale ja znam Żydów. Nie lubią, gdy ich się liczy. Uważają, że liczenie nie podoba się ich Jahwe, że ściągnęłoby na nich karę boską. Wy tłumaczyłem Saturninowi, że nie będę robił spisu. Wszyscy będą musieli złożyć przysięgę wierności cesarzowi w swych rodzinnych miastach. Zanim złożą, będą musieli się wpisać do ksiąg rodowych. A ja potem każę zabrać księgi! Rzymianie będą mieli to, co chcą...

– Mądrze to wymyśliłeś.

– Nikt mnie nie prześcignie w zręczności! – nadał się. – Pamiętasz? Kleopatra umiała wszystkich rozgrywać, mnie jednak z Rzymem nie potrafiła skłócić. To ja widziałem jej śmierć – a nie ona moją! I gaje jerychońskie wróciły do mnie!

Ale ten wybuch zadowolenia z siebie zgasł. Król spuścił głowę i uderzając nożem w stół powtarzał:

– Tyle dla nich zrobiłem. A oni mnie nie kochają. Nikt mnie nie kocha.  
Nikt...

#### 4

Droga prowadziła między nagimi skałami mającymi barwę świeżej krwi. Przecinała liczne wąwozy, na których dnie, dzięki cieniowi i potokom, rosła bujna zieloność. Gałęzie drzew tworzyły jakby zielony parasol skrywający wszystko. Za to na drodze nie było ani plamki cienia. Dopiero za Jerychem wchodziło się pod szeleszczący dach drzew palmowych. Nozdrza podróżnych uderzała aromatyczna woń. To pachniały otaczające miasto gaje balsamowe.

Droga prowadziła w dół. Z każdym krokiem robiło się goręcej. W wąwozie, w który się teraz zanurzali, nie czuło się żadnego przewiewu. Zaraz za miastem skończyły się kamienne murki, za którymi ciągnęły się uprawne pola. Ich miejsce zajęła ściana zbitej, splątanej roślinności. Z gąszczu wybuchały białą lub czerwienią wielkie kwiaty rozsiewające duszną woń. Na drogę wysuwały się włochate, narosłe długimi kolcami łodygi, niby macki żywych istot usiłujących pochwycić za płaszczy idących. Gdyby szlak był mniej uczęszczany, bujna zieleń pochłonęłaby w krótkim czasie ścieżkę. Ale wyciągające się łodygi były przycinane nieustannie przez podróżnych, którzy wędrowali tędy. Zwłaszcza szli tą drogą pielgrzymi zdążający do Jerozolimy z Galilei i z zajordańskich prowincji, przekładając dłuższą i uciążliwszą drogę nad prosty szlak biegnący przez Samarię. Tędy także ciągnęli kupcy z Damaszku, Palmiry i Babilonii.

Droga była nie tylko ciężka. Zdarzały się na niej niebezpieczeństwa. W prawdziwej puszczy, jaką porosłe były brzegi Jordanu, kryły się dzikie zwierzęta: rysie i lamparty. Nie brakło tu jadowitych węży i skorpionów. A po drugiej stronie rzeki, pod skałami gór perejskich zjawiali się rozbójnicy. Dla bezpieczeństwa ludzie wyruszający z Jerycha za Jordan łączyli się w większe gromady.

Grupka, do której przyłączył się Józef, składała się z pięciu kupców z towarzyszącym im niewolnikiem, Murzynem. Kupcy jechali na osłach i prowadzili inne osły objuczone towarami. Niewolnik miał obrządzać zwierzęta. Oprócz kupców szła

także rodzina chłopska, składająca się z ojca, matki i ośmioletniego synka. Rodzina miała osła, na którym jechał mężczyzna. Kobieta i chłopiec szli piechotą. W ostatniej chwili, gdy miano wyruszać, do grupy dołączyło jeszcze dwóch młodych ludzi. Jeden z nich strojem i zachowaniem okazywał, że jest faryzeuszem i rabbim. Trzymał oczy spuszczone, jakby unikając spoglądania na towarzyszących mu ludzi. Skrupulatnie we właściwych porach odmawiał przepisane modlitwy. Robił to w taki sposób, aby wszyscy widzieli, że się modli. Jego płaszcz z rytualnymi chwastami włókł się za nim w pyłe. Nie zwracał się do nikogo z grupy.

Rozmawiał jedynie ze swym towarzyszem. Ten był mężczyzną niewysokim. Trzymał się krzywo, gdyż jego prawy bark był wyższy nieco od lewego. Oczy miał jasne, wciśnięte głęboko. Twarz zdradzała dumę i twardy upór. Ubrany był także w długi płaszcz. Pod nim miał krótką kuttone. W fałdach płaszcza można było dostrzec zawieszony na boku krótki miecz. Choć nie nosił żadnych oznak przynależności do sekty faryzeuszy, rabbi okazywał mu wyraźny szacunek.

Karawanę otwierali kupcy. Jechali sznurem, jeden za drugim. Byli do siebie podobni, musieli być braćmi. Przewodził im mężczyzna tęgi, o wielkiej uhennowanej brodzie. On to wyznaczał postoje i on jadąc na przedzie dyktował szybkość marszu. Czarny niewolnik szedł obok jego osła. Nie wolno mu było odstępować ani na krok od swego pana. Gdy zatrzymywano się, Murzyn musiał rozjuczać osły, poić je i karmić.

Za kupcami ciągnęła rodzina chłopska. Mężczyzna kiwał się sennie na osle. Kobieta wydawała się o wiele młodsza od męża. Szła za osłem i prowadziła za rękę syna. Bez przerwy coś do niego mówiła lub podśpiewywała. Gdy śpiewała, poruszała się rytmicznie, a wtedy dzwoniły wielkie metalowe koła, zawieszone przy jej uszach. Gdy ona wydawała się wesoła – syn nieustannie grymasił. Co pewien czas skarżył się na zmęczenie. Wtedy brała go na ręce i niosła cierpliwie, choć na pewno był dla niej dużym ciężarem.

Idąc za nimi Józef miał ich ciągle przed oczami. Słyszał rozkapryszony głos chłopca, który wciąż domagał się czegoś nowego od matki. Także siedzący na osle mężczyzna pokrzykiwał surowo na żonę. Gdy zatrzymywano się, zsiadał z osła i natychmiast rozkładał się na rozścielonej derce, pozostawiając kobiecie wszystkie zajęcia. To jej obowiązkiem było rozjuczyć osła, przynieść zawieszoną na szyi

zwierzęcia wielką, słomianą torbę, w której wieźli żywność, i podać mężowi posiłek. Potem zaraz musiała się zająć synem. Skończywszy z obsłużeniem męża i syna zajmowała się wierzchowcem. Dopiero wtedy mogła sama odpocząć. Mąż nie ruszył się ze swego posłania nawet wtedy, gdy spomiędzy krzewów wysunęła się rogata żmija i sunęła w stronę chłopca. Krzyknął na kobietę, która drzemała, siedząc z głową opartą na kolanach, i wskazał jej gada. Zerwała się, chwyciła kij i zmusiła żmiję do ucieczki.

Józef miał osła, ale na nim nie jechał. Obładował go swoimi narzędziami ciesielskimi i uważał, że jest to ciężar wystarczający dla małego białobrzuchego osiołka o jasnej sierści. Lubił swego milczącego towarzysza, dbał o niego. Osioł odpowiadał na te starania przywiązaniem. Gdy Józef dawał mu jedzenie, on chwycił go za rękaw swymi miękkimi wargami.

Szli obok siebie: od czasu do czasu człowiek kładł dłoń na szyi zwierzęcia lub klepał je z serdecznością po zadzie.

Na końcu karawany postępowali faryzeusz i jego towarzysz. Rozmawiali ze sobą i czasami strzępki ich rozmowy dochodziły do uszu Józefa. Mówili o jakiejś kobiecie, która okazała życzliwość faryzejskim chaberim, i o mężczyźnie dotkniętym wielkim nieszczęściem, któremu za okazaną pomoc trzeba obiecać „uzdrawiające błogosławieństwo”. Gdy faryzeusz mówił o tym błogosławieństwie, jego towarzysz wybuchnął śmiechem.

- Po tym, co mu zrobili, żadne błogosławieństwo już mu nie pomoże! – zadrwił.
- Nie śmieć się, Judo – powiedział rabbi. – Najwyższy, gdyby zechciał, może wszystko...
- Nie będzie robił cudów dla brudnego goima!
- Ich pomoc jest nam potrzebna...

Józef nie pojmował, o czym tamci mówią. Nie starał się zresztą ani słuchać, ani rozumieć. Był w nim zawsze głęboki szacunek dla tajemnic drugiego człowieka i niechęć do wszystkiego, co służy jedynie ciekawości, a rozprasza spokojną myśl, która winna szukać nieustannie Najwyższego.

W południe, gdy upał w wąwozie stał się nie do zniesienia, gromadka podróżnych dotarła do brzegu rzeki. Jordan płynął dnem głębokiego parowu. Prąd rzeki był szybki, woda mętna. Nad powierzchnią sterczały kamienie i przegniłe pnie drzew. Szybki prąd

sprawił, że każdą taką przeszkodę znaczyła srebrna smuga.

Nielatwo było dotrzeć do rzeki, gdyż brzeg był wysoki i gęsto zarośnięty. Ale ich droga idąc wzdłuż koryta doprowadziła w końcu do brodu. Chaszcze były tu wycięte, brzeg rozdeptany. W rzece tkwiło kilka drągów znaczących bród.

Zanim przeszli rzekę, zatrzymali się nad brzegiem na dłuższy odpoczynek. Kupcy ułożyli się na trawie, polecając niewolnikowi, aby zajął się napojeniem osłów. Chłop krzyknął na żonę, aby uczyniła to samo. Rozjuczyła osła, zaprowadziła go do rzeki. Gdy napił się, wróciła i zaraz musiała się zająć przygotowaniem jedzenia dla męża i syna. Obaj wołali, że są głodni. Kobieta była spocona i zdyszana od pośpiechu.

Obserwował tę scenę z daleka. Zachowanie mężczyzny budziło jego sprzeciw, mimo że tyle razy widział rzeczy podobne. Chłopiec, choć na pewno przywiązany do matki, odruchowo naśladował postępowanie ojca. Teraz bawił się w piasku.

Gdy kobieta prowadziła osła do rzeki, biegnąc szybko, nieomal dotknęła krajem swej kuttoney siedzącego faryzeusza. Józef widział, jak rabbi cofnął się gwałtownie, aby uniknąć tego dotknięcia, i skrzywił się z obrzydzeniem. Coś powiedział do towarzysza. Wydawało się, że dzieli się z nim swą pogardą dla kobiety. A przecież Józef słyszał, jak mówił z uznaniem o innej, która zrobiła tyle dla faryzeuszy. Doznał przykrego uczucia: wprawdzie nie znał faryzeuszy, ale wiedział o nich, że są ludźmi zachowującymi z całą skrupulatnością przepisy Zakonu. Nie zwykł nikogo o nic złego podejrzewać. Wiedział, że bracia nazywają go za plecami naiwnym. Wolę być naiwny, myślał, niż pomyśleć o kimś niesłusznie... A jednak ten człowiek wydał mu się naprawdę fałszywy.

– Daj mi pić! – chłopiec zawołał nagle w stronę matki.

– Zaraz ci przyniosę, tylko skończę – odpowiedziała zajęta przygotowywaniem posiłku.

– Ale ja chcę pić!

– Chodź ze mną, ja ci dam wody – powiedział Józef do chłopca.

Kobieta na chwilę odwróciła głowę od swej roboty i szeroko otwartymi oczami spojrzała na Józefa. Może jej nigdy żaden mężczyzna nie pomógł? Wziął dziecko za rękę i zszedł z nim w parów rzeki.

Jordan toczył swe wody na podłożu z kamienia. Przelewały się one przez głazy i kręciły gniewnie w przybrzeżnych zakolach. Po powierzchni rzeki skakały połyski

słoneczne, niby kołyszące się na wodzie złote monety. Józef ukląkł i zanurzył w wodę przyniesiony kubek. Po napełnieniu podał go dziecku.

- Jak się nazywasz? – spytał, gdy chłopiec wypił i otarł usta dłonią.
- Dysmas – powiedział mały. – Dysmas syn Merabota – uzupełnił swe imię imieniem ojca. Tak go widać nauczono.
- Chcesz jeszcze?
- Nie, już dosyć.
- Napełnię jeszcze kubek i zaniesiesz go matce. Ona na pewno spragniona. Chłopiec założył ręce za siebie.
- E, nie... Ona nie chce...
- Mylisz się, Dysmasie. Twoja matka ciężko pracuje.
- Kobiety muszą pracować – mały wygłosił to jak maksymę.
- Wszyscy ludzie muszą pracować. I wszyscy powinni sobie pomagać. Weź kubek.
- Nie... Woda się rozleje...
- W takim razie ja ją zaniosę. Ale twojej matce byłoby przyjemniej, gdyby wodę otrzymała od ciebie.

Chłopiec patrzył na Józefa oczami nie rozumiejącymi. Nigdy pewno niczego takiego nie usłyszał. Kiedyś może, myślał, będzie żałował... Niosąc kubek prowadził chłopca z powrotem ku obozowisku. Wszyscy mężczyźni leżeli w cieniu. Tylko kobieta trudziła się. Podał jej wodę.

- To dla ciebie – powiedział. – Dysmas napił się, ile chciał. Patrzyła na Józefa pełna zdumienia. Potem zgięła się w niskim ukłonie.
- Dzięki ci, panie – rzekła – że chciałeś pomóc nędznej jak ja...
- Nie mów tak – potrząsnął głową. – Wszyscy jesteśmy dziećmi Najwyższego.

Wrócił na miejsce, gdzie poprzednio siedział. Sądził, że w tej porze rozleniwiającego skwaru jego oddalenie się wraz z chłopcem nie zostanie spostrzeżone. A jednak, choć mężczyźni leżeli rozciągnięci wygodnie, ich głowy zwrócone były w jego stronę. Chłop wsparł się nawet na łokciu. Na jego twarzy malował się gniew. Warknął na kobietę, która spuściła nisko głowę; przywołał do siebie chłopca. Gestem kazał mu być przy sobie. Od strony faryzeusza i jego towarzysza doszło Józefa prychnięcie śmiechu.



Mężczyzna, którego rabbi nazwał Juda, rzucił dość głośno, aby Józef mógł usłyszeć:

– Myślał, że ją sobie tanio kupi...

– Kobieta, która uśmiecha się do nieznanego mężczyzny i przyjmuje coś z jego ręki, spragniona jest nierzędu. – Faryzeusz wygłosił swą sentencję leżąc, ale również głośno. – Lepiej włożyć rękę w ogień niż podać coś obcej kobiecie – cytował opinie jakiegoś nauczyciela. – Mąż, który pozwala swojej żonie na rozmowy z obcymi mężczyznami, jest jak właścicielka publicznego domu...

Starał się nie słyszeć tych słów. Nie tyle nawet on sam był nimi dotknięty. Bolało go, że ta kobieta musi ich słuchać. Już w Betlejem zdarzało mu się słyszeć pogardliwe słowa o kobietach. Ale nigdy nie pamiętał, aby zabrzmiały aż tak okrutnie. Może, stało przed nim, ludzie nie chcieli przy nim tak mówić? Wiedzieli, że jest inny niż wszyscy...

Na szczęście tamci dali spokój gadaniu. Ułożyli się jeszcze wygodniej i zasnęli. Kobieta przestała się kręcić: usiadła w pewnym oddaleniu od męża coś jadła. Osły uderzeniami ogonów opędzały się od much. Płynąca woda wydawała cichy szmer. Józef sięgnął do swej sakwy i wyjął z niej kawałek placka. Zanim wziął się do jedzenia, odmówił berakę.

Odpoczywali tak dobrą godzinę. Potem kupiec o granatowoczarnej brodzie dźwignął się na nogi i krzyknął, że trzeba ruszać. Południe minęło, upał ciągle trwał, ale słońce nie paliło już tak dotkliwie jak poprzednio. Leniwie podnosili się z ziemi, zwijali swoje bagaże. Czarny niewolnik objuczał osły kupców. Także kobieta nakładała sakwy na osła. Pracowała z nisko spuszczoną głową. Józef czuł, że boi się spojrzeć w jego stronę.

Wreszcie wszyscy byli gotowi. Ruszono w stronę brodu. Małe kopytka wierzchowców stukały na kamieniach. Kolejno zwierzęta wchodziły w wodę. Prąd był jeszcze silniejszy, niż na to wyglądał, osły szły wolno, ostrożnie stawiając nogi i pochrapując. Mimo żaru, jaki sypał się z nieba, woda była chłodna. Ludzie szli obok osłów popędzając je okrzykami. Każdy z idących przez wodę miał w ręku kij, który pomagał mu utrzymywać równowagę przy stąpieniu po ruchomych, zaścielających dno rzeki kamieniach. Ludzie czerpali dłońmi wodę i pili. Także osły zatrzymywały się co chwila, aby się napić.

Podczas przechodzenia przez wodę kobieta niosła na rękach chłopca. Józef

widział, jak chwiała się na nogach. Nie śmiał jednak jej pomóc. Zresztą mąż kazał jej iść przodem. Szedł za nią wsparty na ośle.

Przeprawa była krótka, za chwilę znaleźli się na drugim brzegu. Droga wchodziła znowu w ścianę gęstej zieleni. Ale szli niedługo między płataniną kolczastych gałęzi, liści i kwiatów. Kilkadziesiąt kroków od rzeki bujny kłęb roślinności był ucięty jak nożem. Jeszcze na krótkiej przestrzeni rosły kępy suchej trawy. Dalej zaczynało się zbocze, pokryte kamieniami, nagie, rozpalone niby olbrzymi piec. Ciągnęło się daleko, aż dopiero na horyzoncie zamykał je mur górski o urwistych ścianach koloru ochry.

Ich droga prowadziła teraz między kamienistym zboczem a ścianą zieleni, od której kładła się na ścieżkę kosmata pręga cienia. Ten cień stawał się coraz dłuższy, coraz bardziej czuli na sobie jego miłosierny chłód.

Minęła ich idąca w przeciwnym kierunku karawana. Ludzie prowadzili osły i wielbłądy. Przy mijaniu zatrzymali się, by wymienić słowa powitania.

– Pokój z wami.

– I z wami także.

– Niech was prowadzi Najwyższy.

– Niech strzeże waszych kroków.

– Czy droga spokojna?

– Anioł Najwyższego strzegł nas i żadne niebezpieczeństwo nas nie spotkało.

A jak postępuje budowa świątyni?

– Jest coraz piękniejsza...

Rozjechali się w dwie strony. Cień przekroczył ścieżkę i rozlewał się coraz szerzej. Kamienną pustynię ogarniała purpura wieczoru. W dali płonęły góry, lizane blaskiem zachodzącego słońca. Nadleciał wiatr i uderzył idących orzeźwiającym powiewem. Od porosłych zielenią brzegów rzeki zapachniało aromatem kwiatów. Wiatr szumiał w zielonej gęstwinie. Tam w parowie wraz z nadchodzącym wieczorem budziło się życie zwierzęce. Straże świstaków wydawały na widok przechodzących ludzi ostrzegające gwizdnięcia. Trzepotały się i świergotały ptaki.

Zbliżał się czas zatrzymania na nocleg. Miejsce, które czarnobrody kupiec wybrał na postój, musiało zwyczajnie służyć wędrującym wtedy karawanom. Sterczały tu skały, tworząc jakby wygięty grzebień. W przytulnym zakolu widać było czarne koła – ślady

wypalonych ognisk. Leżało nawet trochę nie spalonego chrustu i wyschniętego nawozu.

Zabrali się do rozłożenia obozowiska. Osły trzeba było napoić z worków, które napełnili podczas przeprawy przez Jordan. Rzeka była wprawdzie niedaleko, ale oddzielał ich od niej tak bardzo gęsty i kolczasty wał zieleni, że aby się do wody dostać, trzeba by wyrąbywać do niej ścieżkę.

Chłop tym razem dzielił zajęcia z żoną. Wysłał ją i syna po chrust, a sam zajął się oporządzeniem osła. Robił to jednak bez zapалу. Józef miał wrażenie, że cały czas zdejmując sakwy i pojąc wierzchowca rzuca w jego stronę podejrzliwe spojrzenia.

Rozpalono duże ognisko, wokół którego wszyscy się skupili, gdyż po upalnym dniu nadchodziła zimna noc. Czarnobrody kupiec zapowiedział, że należy przygotować tyle drzewa, aby ogień mógł się tlić do rana. Józef wyruszył także w poszukiwaniu opału. Poszedł w inną stronę, niż oddaliła się kobieta. Pod ciągnącą się długim wałem w kierunku gór skałą znalazł kilka pni tak wysuszonych na słońcu, że przypominały kość. Z pomocą piły i siekiery pociął pniaki na kawałki i przyniósłszy drzewo do obozu ułożył je w mały stosik.

Ani faryzeusz, ani jego towarzysz nie uważali za słuszne zrobić coś dla wspólnej sprawy: żaden nie przyniósł nawet kawałka drzewa. Jednak czarnobrody, kupiec nie upomniął ich.

Zmierzch zapadł nagle, jakby cień wiszący nad ghorem Jordanu uniósł się i przesłonił całe niebo. W gęstwinie słychać było coraz więcej szmerów i szelestów. Odezwały się także głosy: jakieś kwilenie, porykiwania, wycie. Podróżni układali się do snu pod skalną ścianą osłonięci od strony rzeki blaskiem ogniska. Każdy owinał się w swój płaszcz. Od pustyni wiało coraz ostrzejszym chłodem, ale od ogniska było miłe ciepło. Czarnobrody kupiec jeszcze raz przypomniał, że należy przez całą noc dorzucać do ogniska drzewo.

Zanim się położył, faryzeusz stanął pod skałą i długo kiwając się, z głową okrytą talissem, odmawiał swoje modlitwy. Razem z nim kiwał się na skale jego wyolbrzymiony cień, przypominający wielkiego czarnego ptaka, kującego dziobem.

Józef przygotował dla siebie posłanie na samym skraju. Nim zawinął się w swój płaszcz, odszedł na pustynię, aby samotnie wśród ciemności pomodlić się. Szeptał: „Szema Israel, Adonaj elohenu, Adonaj ehad...” Nad nim rozpinał się ogrom nieba, a na

nie wysypywało się coraz więcej gwiazd. To tam, wśród tych gwiazd mieszkał Ten, który kazał Józefowi czekać... kazał? Było to przekonanie głębokie, choć nie poparte żadnym znakiem. Nieomal tak samo mocne jak wiara w istnienie Najwyższego. Bo czy świat bez Niego miałby jakikolwiek sens? Do Najwyższego Józef w ciągu dnia wiele razy przemawiał swymi berakami. Mówił Mu o każdej swojej sprawie, dzielił się z Nim każdą troską i nieustannie, nieustannie wyrażał Mu swoją miłość. To mało, myślał nieraz, korzyć się przed Nim jako przed Panem. Czyż komuś jak On mogłoby wystarczyć jedynie posłuszeństwo istoty stworzonej i tak beznadziejnie słabej? Do posłuszeństwa mógłby mnie przymusić, ale miłość mogę Mu dać tylko sam... Najwyższy nie odpowiadał, chociaż Józef czuł Jego bliskość, jak czujemy osobę ukrytą w ciemnościach. Czasami jednak słowa Pisma układały się w taki kształt, że brzmiały jak odpowiedzi. A czasami jak wezwania. I gdy on wciąż mówił o swych uczuciach, wiele razy słuchając w synagodze czytanych paraszy, odnajdywał w nich powtarzającą się łagodną zachętę do czekania.

Na co miał czekać – nie wiedział. Czuł jedynie, że to jest coś, co ma nadejść i odmienić jego życie. Nie zawsze godził się z tym wezwaniem. Zrywały się w nim nie tyle bunty, co wątpliwości. A jeżeli się łudzę? – przychodziło mu do głowy. Jeżeli to wcale nie jest Jego wezwanie? Czyż nie uczyli mądrzy doktorzy Zakonu, że mężczyzna w jego wieku winien znaleźć sobie żonę i założyć dom? Czy to także nie był głos Najwyższego? Może słuszną pretensję miał do niego ojciec?

Ale gdy się zaczynał modlić, wątpliwości odchodziły. Przeciwnie – rosła pewność, że On pragnie tego czekania. Pragnie – i tak jakby o to czekanie prosi... Świadomość tego sprawiała, że czuł się inny niż otaczający go ludzie. Z tego zdawał sobie doskonale sprawę. Niespokojne uczucia narastały w nim tęsknotą i marzeniami piękna. I już prawie przestał oczekiwać, że coś się ziści zwyczajnie, po ludzku...

Tymczasem jak grom przyszło żądanie ojca, który domagał się jego wyjazdu. On, który przez lata uchylał się od posłuszeństwa rozkazom Jakuba – tym razem uległ mu. Po raz pierwszy wydało mu się, że Najwyższy przestał wzywać do czekania. Czyżby czas nadszedł? Wcale tego nie był pewien. Czekanie mogło pójść za nim w świat – wezwanie mogło się odezwać znowu. Właściwie bliższy był poczucia, że niczego w galilejskim mieście, do którego podąża, nie znajdzie. Bo wydawało mu się, że jego marzenia poszły

tak daleko, sięgnęły w taką otchłań piękna, że niczego odpowiadającego temu pięknu nie zdoła odnaleźć na ziemi.

„Królu świata – modlił się – wierzę, że było Twoją wolą, abym czekał na to, co ześlesz, teraz wierzę, że to Ty kazałeś mi opuścić rodzinny dom. Jeśli ta, którą mam zobaczyć, ma stać się rzeczywiście moją żoną – niech tak będzie. Stanie się wtedy żrenicą mego oka i matką moich synów. Przyłączę ją do swego boku, aby była moim ciałem i kością. Ale uczynię to tylko wtedy, gdy poznam, że taka jest Twoja wola. Bo jedynie Twoją wolę pragnę czynić... Stwórco nieba i ziemi, jestem tylko człowiekiem i mogę się mylić. Nie pozwól mi wybierać dla siebie, a nie dla Ciebie...”

Na niebie obracały się naszyjniki gwiazd, niby klejnoty wyłożone na ladzie sprzedawcy, który zręcznym potrząsaniem kusi patrzących do kupowania. Szmery, które dochodziły z gęstwiny, nie mogły zakłócić ciszy, jaka ogarnęła pustynię. Nawet, gdy gdzieś wśród skał zawył szakal, cisza połknęła jego wycie, jak woda połyka rzucony w nią kamień.

Wrócił na swoje miejsce. Zanim położył się, dorzucił drew do ognia. Robiło się coraz zimniej. Od kamienistej pustyni, tak niedawno jeszcze buchającej żarem, teraz niosło lodowatym chłodem. Starannie zawinął się w płaszcz. Nie mógł jednak długo zasnąć. Gdy wreszcie przyszedł sen, zjawił się razem z dziwnymi zwidziskami. W marzeniach Józef widział drabinę – jak ta ze snu praojca Jakuba – a po tej drabinie w dół i w górę wędrowały tajemnicze istoty, wielookie i skrzydlate. Jedna z tych istot zatrzymała się w swym locie i dotknęła biodra Józefa. Skurcz bólu przebiegł ciało. Józef obudził się, usiadł. Ale to był tylko sen. Wokoło panował spokój. Ludzie spali, niebo obracało się wciąż tym samym ruchem, niby taca z klejnotami w rękach kupca. Pustynia oddychała ciszą, porosły zielenią ghor mamrotem, szmerami i szelestami. Znowu odezwał się w dali szakal i natychmiast ucichł, jakby jakaś ręka zamknęła mu pysk.

Świt spłynął równie nagle, jak poprzednio zapadł zmrok. Obudziła go świadomość, że coś się stało. Otworzył oczy i od razu zobaczył nieznanego człowieka,

który potrząśnięciem włóczni kazał mu leżeć bez ruchu.

Dwóch ludzi stało obok wypalonego ogniska i patrzyło na śpiących podróżnych. Nie miał wątpliwości, kim są ci ludzie: mieli spalone słońcem twarze, skudłone brody, kaftany uszyte ze skór zwierzęcych. Byli uzbrojeni. Niższy trzymał gotową do uderzenia włócznię. Wyższy, który wydawał się także zwierzchnikiem, uzbrojony był w miecz. Ten pierwszy przypadł kocim skokiem do Józefa. Syknął:

– Nie rusz się i milcz! Jeśli chcesz żyć...

Józef pozostał nieruchomy. Po chwili przekonał się, że także jego towarzysze nie śpią. Wszyscy jednak leżeli bez ruchu, gdyż człowiek z włócznią czuwał i natychmiast kierował swą broń ku temu, kto się tylko poruszył.

– Spokojnie! – powiedział wyższy rozbójnik. – Kto spróbuje wstać, zginie. Chcę tylko pieniędzy. Jeśli oddacie bez oporu, daruję wam życie.

– No, wy pierwsi – wskazał ręką kupców.

Jeden z kupców coś zabelkotał, ale ten z włócznią przyskoczył do niego i przyłożył mu ostrze do gardła.

– Prędko – rozkazał wyższy.

Coś warknął do towarzysza. Tamten nie wypuszczając włóczni z prawej ręki lewą sięgnął po leżący na ziemi kosz. Podchodził kolejno do leżących podróżnych i od każdego żądał jego sakiewki. Otrzymawszy wrzucał ją do kosza. Przez ten czas wyższy rozbójnik czuwał, aby nikt się nie poruszył. Nie spuszczał leżących z oka. Groźnie powtarzał:

– Leżeć spokojnie! Jeden ruch, a zarąbię!

Kupcy stękając oddali swe pieniądze. Teraz człowiek z włócznią podszedł do faryzeusza.

– Jestem rabbim... Głoszę nauki Najwyższego. On cię skarże, jeśli mnie ograbisz... – opierał się leżący.

Człowiek z włócznią rzucił szybkie spojrzenie na towarzysza. Ale tamten krzyknął:

– Bierz od niego. Opowiada o Najwyższym, a myśli tylko o sobie! Bierz, jak nie da, wsadź mu włócznię w gardło!

– Zobaczysz, będziesz ukarany... – powiedział faryzeusz wtykając sakiewkę

w rękę bandyty.

Jego towarzysz poruszył się. Rozbójnik przyskoczył do niego i postawił mu nogę na piersi. Zobaczył, że pod głową leżącego ukryty jest miecz. Szybkim ruchem chwycił go i odrzucił za siebie.

– Twoje szczęście, żeś nie próbował uderzyć! Dawaj pieniądze! Juda oddał sakiewkę bez słowa.

– Teraz ty! – zawołał bandyta, opierając grot włóczni o pierś chłopca.

– Zlituj się – zaczął biadolić amhaarec. – Litości... Jestem biednym człowiekiem. Nic nie mam...

– Dawaj, co masz!

– Zaczekaj – rzekł nagle ten wysoki. – Tam koło niego jest chłopiec. Mówi, że nie ma pieniędzy? To niech da chłopca.

– Litości! – wrzasnęła kobieta zrywając się. – Litości! To mój syn! Panie, to mój syn!

– Po łbie ją – ryknął starszy.

Niższy kopnął kobietę w brzuch, aż upadła. Gdy próbowała się znowu zerwać – kopnął ją znowu. Przydusił jej gardło nogą. Ale nie mógł wziąć chłopca mając obie ręce zajęte. Postawił kosz na ziemi, złapał chłopca za włosy. Ten krzycząc przycisnął się do ojca. Aby go oderwać, rozbójnik zdjął nogę z piersi kobiety. Wtedy ona chwyciła go za płaszcz. Odwrócił się i zamierzył, aby zadać jej cios włócznią. W tej chwili Józef zerwał się i schwycił włócznię.

– Zabij go – krzyknął wyższy bandyta.

Niższy wydał wściekły okrzyk. Usiłował wyszarpnąć włócznię z rąk Józefa. Józef nie znał się na walce, ale praca od wczesnych lat uczyniła go silnym. Znano jego siłę i nieraz w Betlejem, gdy trzeba było dźwignąć coś ciężkiego, posyłano po niego. Zawsze przychodził gotów usłużyć drugim. Odruchowo obrócił włócznię nagłym młynkiem. Nie tylko wyrwał ją rozbójnikowi, ale przewrócił go na ziemię. Drugi bandyta już nadbiegł z mieczem w ręku. Spostrzegłszy jednak z jaką łatwością Józef rozbroił jego towarzysza, zatrzymał się.

– Zabiję cię! – zawołał próbując przestraszyć krzykiem.

Teraz jednak już wszyscy zerwali się na nogi i chwycili za kije. Towarzyszący

faryzeuszowi młody człowiek podniósł swój miecz. Bandyta zrozumiał, że nie oprze się przewadze, i rzucił się do ucieczki. Za nim popędził niższy. Nawet nie próbował sięgnąć po swój łup.

Józef odrzucił włócznię i pochylił się nad leżącą kobietą. Była pokrwawiona. Łkając tuliła do siebie również płaczącego chłopca.

– Nic ci nie zrobił? – zapytał.

– Nie zabrał Dysmasa – zaniósła się jednocześnie szlochem i śmiechem. – Ocaliłeś go, panie!

Chwyciła Józefa za rękę, chciała ją pocałować, ale on wyrwał jej dłoń i cofnął się. Powiedział tylko do chłopca:

– Opatrz ją. Czy masz oliwę?

– Mam, panie, mam – zapewnił tamten spiesźnie. Był teraz pełen pokory i lęklivego szacunku. – Zrobię, co każesz, panie.

Kupcy zabierali swoje sakiewki. Coś przez chwilę ze sobą porozumiewawczo szeptali. Potem czarnobrody zbliżył się do Józefa.

– Chcemy ci podziękować za obronę – rzekł. – Przyjmij te kilka syklów jako znak naszej wdzięczności...

Potrząsnął głową.

– Nie trzeba mi waszych pieniędzy.

– Ale to są piękne, srebrne sykle – powiedział kupiec przesypując monety z dłoni do dłoni. – Patrz. Możesz za nie niejedno kupić. Dla siebie i dla swoich. A my chcemy ci podziękować. Gdyby nie twoja odwaga...

– Ocalił was Najwyższy – uciął krótko. – Jeśli chcecie Jemu podziękować, dajcie pieniądze ubogim.

Oddalił się i zabrał do pojenia osła. Miał go właśnie objuczyć, zatrzymał się jednak widząc, że inni tego nie robią. Uczestnicy karawany zamiast wyruszyć wciąż krzykliwie rozmawiali ze sobą o tym, co się stało. Nawet faryzeusz i jego towarzysze – jakby zapomniawszy o swej postawie oddzielonych i jedynie czystych – włączyli się do ogólnej rozmowy. Nic ich nie mogło w tym gadaniu powstrzymać. Wszyscy mówili jednocześnie, przekrzykiwali się i gestykulowali. Trwało to zda się bez końca. Kiedy wreszcie zdecydowali się przerwać rozmowę i wyruszyć – słońce było już wysoko na



niebie i upał stał się dokuczliwy.

Ich droga prowadziła dalej wzdłuż koryta Jordanu – „rzeki, która płynie w dół” – skrajem pustyni. Ciągłe się wznosiła. Ściana zarośli nie rzucała już na nią swego cienia – przeciwnie, to pustynia dyszała na nich swoim żarem. Zresztą wąwóz zapadł w głąb. Idąc mieli go u swych stóp: szmaragdowy pas splątanej gęstwiny karłowatych cierni i tamaryszków, tworzący jakby długi dywan, na którym meandry rzeki haftowały swój wzór. Po drugiej stronie ghoru piętrzyły się podobne jak te, po ich stronie – płowoczerwone góry.

Na skalnych tarasach tu i tam można było dostrzec jakieś osady ludzkie. Ale gdyby chcieli do nich dotrzeć, musieliby opuścić szlak i wędrować w górę. Nie opuszczali więc drogi i mimo skwaru starali się iść szybko, aby przed nocą dotrzeć do brodu na potoku Jabbok.

Jednakże, gdy przyszła pora największego upału, musieli się zatrzymać na odpoczynek.

Jedyną osłoną była dla nich stercząca skała, u której stóp niby opadła szata leżał wąski pas cienia. Ludzie wtulili się w ten cień, rzucili się na suchą ziemię ciężko dysząc.

Józef siedział oparty o skałę z podkurczonymi nogami. Dla osła nie starczyło miejsca w cieniu, więc tylko ukrył w nim głowę. Choć wyruszywszy tak późno szli niedługo, Józef czuł się bardzo zmęczony. Z podziwem obserwował kobietę, która, choć potłuczona i pokaleczona, nie przestawała się opiekować synem. Wachlowała go, Zwilżała mu usta sokiem dzikiej cytryny. Chłopiec musiał się bardzo wystraszyć, bo był ciągle blady i osłabiony. Pot mu spływał po policzkach. Tym razem Józef dostrzegł, że i ojciec okazuje swą troskę synowi.

Przestrzeń, którą miał przed sobą, zdawała się drgać od żaru. Myśli płynęły leniwie, w głowie huczało jak od obracających się żaren.

– My także chcemy ci podziękować – usłyszał nagle. Zaskoczony obrócił głowę. Faryzeusz i jego towarzysze zbliżyli się do Józefa i usiedli obok niego w cieniu. W ich spojrzeniu nie dostrzegł pogardliwego uśmiechu.

– Nic takiego nie zrobiłem – powiedział.

– Myśleliśmy, że jesteś zwykłym amhaarecem – rzekł faryzeusz. – Rozmawiałeś z tą kobietą, choć powinieneś być pamiętać, że one wszystkie są nieczyste. Dostrzegłem

jednak, że odmawiasz modlitwy...

– Okazałeś także odwagę i siłę – dorzucił Juda. – Kim jesteś?

– Nazywam się Józef syn Jakuba. Pochodzę z Betlejem.

– Czyżby to znaczyło, że należysz do królewskiego rodu? – w głosie rabbiego zadźwięczało niedowierzanie.

– Jest tak, jak powiedziałeś, rabbi.

Na chwilę zapadło milczenie. Obaj patrzyli na Józefa jakby z jeszcze większą niż poprzednio uwagą. Znowu odezwał się faryzeusz:

– Nazywam się Saduk. Pokornie skłonił głowę.

– Cieszę się, rabbi, że cię poznałem.

– Tak, teraz widać, że naprawdę nie jesteś amhaarecem – w głosie Saduka było coraz więcej łaskawości. – Pamiętaj: strzeż się amhaareckich kobiet, a zachowasz czystość.

– Mężczyzna jak ty – wtrącił Juda – nie musi się oglądać na amhaaretki...

– Powiedz – pytał Saduk – kto jest głową waszego rodu?

– Mój ojciec. Jakub syn Matana.

– A ty może jesteś jego najstarszym synem?

– Rzeczywiście.

Spojrzeli po sobie.

– Cóż... – Zauważył Saduk. – Ród Dawida stary i zasłużony. Herod nigdy się wami nie interesował?

– Nic o tym nie wiem. Jesteśmy skromnymi ludźmi. Ja mam warsztat naggara, moi bracia uprawiają ziemię...

– Oczywiście, oczywiście... Czas chwały waszego rodu upłynął.

– Słyszałeś – zapytał nagle Juda – że Herod chce dokonać policzenia Izraela?

– Nie. Jak mówiłem, żyjemy z dala od spraw świata...

– Ja ci mówię, że on chce to zrobić. Ogłosi, że żąda złożenia przysięgi wierności. Ale naprawdę idzie mu o coś innego. Chce policzyć naród. To wielkie przestępstwo!

– Wielki grzech – rzekł faryzeusz. – Na pewno czytałeś, jak surowo Najwyższy ukarał króla Dawida, gdy ośmielił się dokonać spisu?

– Czytałem. Licząc swoich poddanych szukał w tym własnej chwały...

– Samo liczenie jest grzechem! – przerwał mu Saduk.

– Na taki spis nie możemy się zgodzić – mówił Juda. – Ten nieczysty idumejczyk chce policzyć ludzi po to, aby móc ich potem okraść. Nie dość że wyciska z narodu ostatni grosz, by za to budować goimom miasta ozdobione grzesznymi posągami! Zbliża się czas...

Urwał, ale patrzył uważnie na Józefa. Wyglądało na to, jakby czegoś oczekiwał. Józef powiedział:

– Należy się modlić, aby Najwyższy oddalił grzeszną myśl od serca króla...

– A może – rzekł Juda tajemniczo – trzeba będzie podjąć walkę... Wszak wiesz o zapowiedzianym mesjaszu?

– Naturalnie. Izrael czeka na mesjasza od wieków... U nas w rodzie przypomina się każdemu, że mesjasz będzie synem Dawida...

– Będzie jego synem z ducha, niekoniecznie z krwi – powiedział z naciskiem Saduk. – Będzie takim wodzem, jakim był Dawid. Poprowadzi lud do zwycięskiej walki. Ci, którzy dziś upokarzają Izraela, zostaną sami upokorzeni i starci. Gdy mesjasz przyjdzie, będzie jak lew pożerający wrogów...

– A słyszałeś – znowu zapytał Juda – że mesjasz już się narodził?

Józef potrząsnął głową.

– Tego nie słyszałem. Ale ludzie o mesjaszu opowiadają teraz wiele. Mówiono mi o starej kobiecie, która zapewnia, iż Najwyższy dał jej obietnicę, że nie umrze, póki go nie zobaczy...

– I zobaczy go, upewniam cię – rzekł Juda.

– Co wtedy uczynisz? – zapytał Saduk.

– Oczywiście pójdę za nim – powiedział. – Czy jednak – pytanie swe skierował w stronę faryzeusza – on naprawdę ma być tym, który podejmie walkę? Który będzie przewodził wojskom? Zabijał?

– Naturalnie – zapewnił. – Będzie jak drugi Juda Machabeusz. Poleje się krew, a doliny wypełnią się trupami wrogów! Ludzie jak ty powinni stanąć przy nim!

Józef nie powiedział nic. Nie lubił się spierać, odrzucać twardo cudzych poglądów. O nadejściu mesjasza tyle się ostatnio mówiło. Sam nieraz słyszał, jak te rojenia przybierały kształt gorączki. Ludzie rzucali pracę, by deliberować: skąd

przyjdzie? jaki będzie? I tak jak ci dwaj wszyscy byli pewni, że nadchodzący mesjasz będzie wodzem, który poprowadzi naród do zwycięskiej walki.

Nie śmiał wątpić w prawdziwość tych nadziei, które żywili wszyscy. A jednak nie porywał go ten powszechny entuzjizm. Czy naprawdę mesjasz ma przyjść, by rozpalić wojnę? Czy to, co ma przynieść, inaczej nie da się zrealizować, jak tylko przez krew i zabijanie? Może jestem głupi, myślał. Ale zbyt kochał ciszę, w której wolno, niby drzewo, dojrzewa myśl.

Nie doczekawszy się jego odpowiedzi faryzeusz zapytał:

– Dokąd idziesz, Józefie?

– Do Nazaretu.

– Do Nazaretu? – skrzywił się. – Czego tam chcesz szukać? To miasto nieczystych, złodziei i nieuczciwych kupców.

– Może nie wszyscy są takimi, jak mówisz...

– Jedna smolna plama brudzi wszystkie owce. W parszywym stadzie każda owca dostanie parchów. – Wygłaszał swoje sentencje, jakby je czytał z księgi. – Radzę ci szczerze: strzeż się tego miasta. Nic z Nazaretu nie przyjdzie dobrego. Jeśli musisz tam coś załatwić, spraw się szybko i zaraz uciekaj. Nie oglądaj się nawet!

Owinął się w swój płaszcz, jakby lękał się, że i na jego odzież padnie plama nieczystości galilejskiego miasta. Ale jego towarzysz patrzył dalej uważnie na Józefa.

– Jesteś jednak odważny i silny. Widziałem, jak wyrwałeś tamtemu włócznię. Przydałbyś się mesjaszowi, gdy zbierać będzie wojowników. Mam nadzieję, że wtedy ciebie nie zabraknie. Słuchaj: gdy ten minim zarządzi spis i rozpocznie się walka, idź do Gamali. Pytaj o Judę Galilejczyka, a znajdziesz mnie... Przyjmę cię wtedy życzliwie...

Zatrzymał się na skraju zbocza. Miasto leżało przed nim w zagłębieniu między dwoma szeroko otwartymi ramionami wzgórz. Droga do Seforis przechodziła między niżej stojącymi domami, a potem wila się wśród zielonych pól. Z boku ciągnął się długi łagodny grzbiet górski, kończący się skałą sterczącą niby grot nad szarym, połyskującym

roztoczem morza.

A więc to tu...? – myślał. Towarzysze, z którymi odbył drogę, odstawali jeden po drugim. Kupcy zostali w Pelli. Z Sadukiem i Judą rozstał się w Scytopolis. Przed rozstaniem faryzeusz jeszcze raz przypomniał Józefowi, że winien się strzec Nazaretu. „Pamiętaj – mówił – w tym mieście łatwo popaść w nieczystość...” Juda poklepał Józefa po ramieniu. „Nie zapomnij o tym, co ci powiedziałem – rzekł. – Chwila jest bliska, już nadchodzi. Mesjasz się narodził i lada dzień wezwie Izraela. Wielkiej chwały zaznają ci, którzy się do niego przyłączą. Mówiłem ci, jak masz mnie odnaleźć. Zresztą wtedy wiele rzeczy zrozumiesz... No, bądź zdrów!”

Najdłużej wędrował z rodziną chłopca. Tamci szli do Besara. Mężczyzna opowiedział Józefowi, że idzie tam, gdyż odziedziczył kawałek ziemi po dalekim krewnym. Dotychczas byli ludźmi bardzo ubogimi. Musieli pracować na cudzym. Mężczyzna codziennie szedł na targ i czekał, aż zostanie wynajęty do pracy. Teraz będą mogli pracować na swoim. Kawałek ziemi był nieduży, ale nie będą zależni od drugih.

„Może narodzi mi się więcej synów – snuł swe marzenia chłop rozgadawszy się. – Mamy tylko tego jednego, a on niezbyt silny. Kobieta jest zdrowa i nieleniwa. Ale ja choruję. Najwyższy zesłał na mnie słabość...” Józef pomyślał, że niesłusznie może oceniał postępowanie chłopca wobec żony i dziecka. Mały Dysmas szedł teraz obok niego. Ośmielił się i ciągle o coś pytał Józefa. Kobieta postępowała z tyłu i milczała, ale gdy Józef obejrzał się, napotykał zawsze wlepiony w siebie jej gorący wzrok.

Gdy rozstawali się, dziecko wyciągnęło do Józefa ramiona. Był zaskoczony tą serdecznością. Objął chłopca i uściśnął. Tak łatwo zawsze zdobywał miłość dzieci – może dlatego, że sprawy dzieci wydawały mu się równie ważne jak sprawy dorosłych. Chłop skłonił się przed nim nisko. Od czasu napadu okazywał Józefowi szacunek graniczący z czcią. Kobieta i teraz nic nie powiedziała. Zrobiła gest, jakby chciała Józefa pocałować w rękę. On cofnął się – a ona nie śmiała do niego podejść.

Patrzył za nimi, jak idą drogą w dół. Tym razem ojciec posadził syna na osła, a sam szedł obok zwierzęcia. Matka szła z drugiej strony. Józef patrząc za nimi zapomniawszy o wszystkim, co go drażniło w zachowaniu każdego z nich. W tej chwili oddalająca się trójka budziła w nim serdeczne uczucia.

Stał długo na wzniesieniu, zapatrzony na miasteczko mające taką złą opinię

u ludzi. Domy wznosiły się na zboczu jedne nad drugimi. Na dole znajdowały się najdostatniejsze, z tarasami na dachach, ocienione gałęzmi palm, figowców, sykomorów. Wyżej domy były coraz mniejsze. Na samej górze, pod skalnym urwiskiem, były tylko grotami, do których domurowano przednią ścianę. Tam niewątpliwie mieszkali najbiedniejsi. Z boku urwiska widać było ścieżkę biegnącą w zakosy i wprowadzającą na szczyt wzgórza, panującego nad miastem. Zbocza wzgórza były zielone, tworzyły łąkę, na której ci mieszkający pod urwiskiem mogli paść swoje stada.

Nawykły do widoku ciasno stłoczonych, nagich skał judejskich rozkoszował się tutaj zielonością sfałowanych pól.

Napatrzywszy się ruszył w dół. Droga wchodziła między domy miasta, wyprowadzała na mały placik otoczony powbijanymi w ziemię kołkami, służącymi do uwiązywania osłów i wielbłądów. Ocieniony dachem z liści kilku rozłożystych palm stanowił niewątpliwie miejsce, gdzie zatrzymywał się na postój przechodzące przez miasto karawany. W głębi stała gospoda: gliniany mur, tworzący duży krąg. Od wewnątrz pod murem znajdowały się osłonięte trzcinowym dachem podsienia, w środku było miejsce dla wierzchowców. Duża brama była w tej chwili szeroko otwarta i widać było, że w gospodzie nie ma nikogo.

Pośrodku placu, osłonięta kamiennym łukiem, znajdowała się studnia. Schodziło się do niej po kamiennych schodach. Obok łuku stało duże koryto do pojenia zwierząt. Stał przy nim zapomniany osioł. Gryzły go muchy, więc opędzał się od nich, smagając po bokach ogonem niby batem. W korycie nie było wody. Józef przywiązał swego kłapoucha tak, aby zwierzę znajdowało się w plamie cienia, rzucanego przez szarą oliwkę o pniu narosłym grubymi węzłami kory. Aby napić się samemu i przynieść wody dla osła, ruszył w dół schodami. Studnia była bardzo głęboka. Gdy pochylił się nad cembrowiną, zobaczył gdzieś daleko, daleko niby w małym okienku swoją głowę. Ciężkie wiadro z wydrążonego pnia, uwiązane na długim sznurze, stało obok. Zrobione było ordynarnie, po prostaku. Gdy wziął je w ręce, przyszło mu od razu do głowy, że potrafiłby zrobić lepsze: lżejsze i poręczniejsze.

Miał już spuścić wiadro, gdy usłyszał jakiś głos. Ktoś zbliżał się do studni śpiewając. Głos był głosem dziewczyny, może nawet dziewczynki. To, co śpiewała, brzmiało radośnie.

Na schodach zaszurały kroki. Obrócił głowę. Dziewczyna lekko biegła po schodach. Jej sylwetka widoczna na tle rozbłyszczonego słońcem nieba wydawała się prawie chłopięca. Stopy miała bose, kuttone podwiniętą. Na głowie trzymała dzban. Podtrzymywała go jedną ręką. Mimo szybkich kroków dzban stał jak przyrośnięty.

Na widok mężczyzny stojącego przy cembrowinie przestała od razu śpiewać i zatrzymała się w połowie schodów. Ale na jej twarzy nie dostrzegł lęku, może tylko trochę zdziwienia. Pewno знаła wszystkich w mieście i zaskoczył ją widok nieznanego.

Jej twarz była twarzą wyrastającej z dziecka dziewczyny. Nie zaskakiwała wielką urodą. Wydawała się bardzo zwykła. Skórę na czole i policzkach miała ciemną, jak ludzie nawykli do pracy pod palącym słońcem. Oczy ciemne, przepaściste jak studnia, nad którą się przed chwilą pochylał. Włosy ciemnoblonde, odrzucone do tyłu związane były w węzełek, przewiązane kawałkiem krajki. Przy uszach miała czerwone wisiorki.

Ale choć ta twarz przy pierwszym spojrzeniu nie zwracała na siebie uwagi, gdy się na nią patrzyło przez chwilę, zaczynała przykuwać wzrok. Na zewnątrz był dziewczęcy urok. On jednak wydawał się blaskiem, który równocześnie lśnił po wierzchu i tak jakby dobywał się z głębi. Wzrok patrzącego odruchowo starał się iść ku źródłu tego blasku. Odkrywał pod warstwą dzieciństwa coś jakby dojrzałość, jakby jakąś pełnię ukrytego życia.

Teraz już wolno zeszła po schodach. Pytająco patrzyła na Józefa, który wciąż trzymał wiadro w rękach. Wiedział, że kobiety w Galilei bywają śmielsze niż w Judei; ona jednak widać uważała, że nie wypada jej odezwać się pierwszej do nieznanego mężczyzny. A na Józefa przyszło nagle niezrozumiałe onieśmienie. Po tym, co – wydało mu się – spostrzegł na jej twarzy, spuścił wzrok. Nie miał odwagi patrzeć dalej na dziewczynę. Spojrzenie jego przywarło do jej bosych stóp. Długą chwilę stali tak milcząco naprzeciwko siebie. Józef wreszcie przemógł onieśmienie. Podniósł głowę. Uświadomił sobie, że dziewczyna ubrana jest w skromną, lnianą kuttone, wielokrotnie praną. Dłonie, którymi trzymała dzban, były małe, ale silne, nawykłe do wysiłku. Dzbany zostawił na jej włosach kilka grudek ziemi. Przecież to jest zwyczajna dziewczyna – powiedział do siebie w duchu. Małe jej usta zdawały się drgać powstrzymywanymi uśmiechami. A jednak nie próbował spojrzeć jej w oczy.

Powiedział nadając głosowi żartobliwy ton, aby się dopasować do wesołości, jaką dostrzegł u niej:

– Cóż za niewygodne wiadro macie tutaj? Czy nie ma u was naggara, który by potrafił zrobić lepsze?

Zaśmiała się swobodnie, bez skrupowania. Musiało być w niej wiele radości, która pragnęła wydobyć się na zewnątrz.

– Tak, ten naggar powinien był rąbać drzewo, a nie robić wiadra. Ale i on odszedł z miasta i nie mamy teraz nikogo. Ręce bolą od takiego ciężaru. Niełatwo zaczerpnąć wody.

– Nabiorę ci, jeśli chcesz.

– Będę ci wdzięczna.

Powoli opuszczał wiadro. Uczucie onieśmienia niezupełnie ustąpiło. Ta dziewczyna, którą czuł za sobą, jest przecież kimś zupełnie zwykłym – upewniał siebie. Bez wahania przyjął jego pomoc. W pamięci Józefa pojawiły się słowa Saduka o kobiecie uśmiechającej się do obcego mężczyzny. Zapaliło się wspomnienie tyle razy słyszanego złej opinii o tutejszym mieście. Ale wszystkie ostrzeżenia natychmiast zgasły jak płomyk, któremu zabrakło powietrza. Od dziewczyny biło taką czystością, że każda myśl o złu zamierała, nim zdążyła się uformować.

Wiadro uderzyło o powierzchnię wody. Przechyliło się i wydawszy dźwięk podobny do mocnego cmoknięcia, zatoneło. Kiedy zaczął ciągnąć za sznur, uświadomił sobie, że skarga dziewczyny na ciężar wiadra nie była tylko przymówką o pomoc. Trzeba było naprawdę napiąć wszystkie siły, aby wyciągnąć napelniony wodą pień.

– Jakże dałabyś sobie radę, gdyby mnie tu nie było? – zapytał stawiając wiadro na cembrowinie.

– Gdy trzeba, wyciągnę – powiedziała wesoło. – Nie jestem taka słaba. Tylko ręce potem bolą.

Woda była bardzo zimna. Lał ją srebrną strugą do nadstawionego przez dziewczynę dzbana.

– Pożycz mi na chwilę swego naczynia – poprosił – Mam na górze osła, którego trzeba napoić. Potem jeszcze raz zejść i naciągnę wody dla ciebie.

– Zrobimy inaczej – powiedziała. – Ja pójdę napoić osła, a ty tymczasem



zaczerpnij wody.

Dźwignęła dzbanek i postawiła go sobie na głowie. Trzymała go teraz dwiema rękami. Ale wchodziła na schody lekko. Stał z wiadrem w ręku i patrzył za nią. Dostrzegł na jej nodze, nieco nad piętą, czerwony ślad. Musiała się skaleczyć kolcem jakiejś rośliny. Tak, mówił sobie, skaleczyć się może każda...

Na nowo opuszczył wiadro w głąb studni. Jednak ile prostoty jest w tej dziewczynie! – myślał. Przecież spotykał niejedną i z niejedną rozmawiał w Betlejem. Przychodziły do jego warsztatu niby to z jakimiś sprawami, ale on czuł, że zostały wysłane przez swoich rodziców, którzy spodziewali się, że uroda i wdzięk ich córek przełamia dziwactwo najstarszego syna Jakuba. Ledwie wszczął z nimi rozmowę, traciły całą swą prostotę. Chichotały i zasłaniały sobie twarze, ale spoza palców nie przestawały rzucać spojrzeń. Coś szeptały między sobą. Dobrze wiedziały, po co przyszły i czego chcą. Ich dziecinne gesty były tylko grą. Ta dziewczyna pozostała naprawdę dzieckiem. A jednocześnie wciąż jeszcze czuł wstrząs, jakiego doznał, gdy wydało mu się, że w jej wzroku zobaczył blask odkrywający niepojętą dojrzałość.

Posłyszał za sobą:

– Napoiłam oba osły, bo nie wiedziałam, który twój. Ale twój na pewno ten jaśniutki, prawda? Wydawał się bardzo spragniony.

– Tak, ten jasny to mój. Dziękuję ci.

– A ja ci dziękuję za wodę. Czy przyjeżdżasz z daleka?

– Z Judei.

– Wiem, to długa droga. Szłam nią kiedyś. Dzięki tobie nie będą mnie dzisiaj bolały dłonie od sznura – powiedziała stawiając sobie znowu dzban na głowie.

– Jeśli zostanę w Nazarecie, zrobię lepsze wiadro. Wyszli oboje spod kamiennego łuku.

– Jesteś naggarem? I chcesz zamieszkać tutaj?

– Jestem rzeczywiście naggarem. Słuchaj, czy znasz dom Kleofasa syna Gerima? Mimo ciężaru, jaki dźwigała, obróciła ku niemu żywo głowę. – Znam.

– I możesz mi powiedzieć, jak do niego iść?

– Dom Kleofasa jest wysoko, pod skałą – pokazała ręką. – Jeśli chcesz tam iść, idź ze mną. Idę w tamtą stronę.

Od studni po zboczu prowadziły w górę ścieżki wydeptane niewątpliwie przez kobiety, które przychodziły po wodę. Dziewczyna wstąpiła na jedną z nich. Józef tymczasem odwiązał osła i wziął go za trzszłę. Gdy go obracał, zobaczył, że ostre rzepy, które uciepione były boków osła, a z których miał go zamiar oczyścić, zniknęły.

Dogonił dziewczynę, która wciąż tym samym lekkim krokiem szła w górę.

– To ty oczyściłaś osła? – zapytał.

– Nie gniewaj się. To taki miły osiołek. Musiały mu dokuczać.

– Wcale się nie gniewam. Chciałem ci podziękować. Wyręczyłaś mnie.

Nic nie odpowiedziała. Stąpała nadal elastycznym krokiem, utrzymując równowagę lekkim ruchem całego ciała. Wzniesli się już ponad bogate domy w dole. Z góry widać było na ocienionych tarasach leżących leniwie ludzi. Ścieżka stała się bardziej stroma. Jej zakola były coraz dłuższe. W pewnej chwili dziewczyna źle stąpnęła. Dzban zachybotał się na jej głowie. Ale uttrzymała go i nie uroniła ani kropelki wody.

– Ciężka droga – powiedział. – Pozwól, że wezmę dzban od ciebie.

Zaśmiała się po swojemu srebrzystym śmiechem, w którym nie było ani pustoty, ani złośliwości, a jedynie wielka, ledwo dająca się utrzymać w piersiach radość.

– Dziękuję ci – powiedziała. – Jesteś dobry. Ale noszenie wody to nie męska robota. Nawet byś pewno nie wiedział, jak nieść, przyznaj się.

Jej wesołość obudziła jego śmiech.

– Masz rację. Nigdy nie nosiłem w ten sposób.

– Więc widzisz. A my już jesteśmy na miejscu.

Ścieżka wyprowadziła na kamienne usypisko. Stopy grzęzły po kostki w żwirze. Znajdowali się teraz nad samym urwiskiem. Ze skalnej ściany sterczały przybudówki, którymi uzupełnione zostały groty. Wejścia do domów zawieszane były płachtami lub matami uplecionymi z trzciny.

Dziewczyna zatrzymała się przed jednym z nich. Przybudówka ulepiona z gliny była nędzna jak wszystkie tutaj. Przy kryjącej wejście zasłonie spał na słońcu skręcony w ślimaka buri kociak. Obudził się, podniósł głowę i na widok dziewczyny miauknął przyjaźnie. Trochę dalej w kupie piasku bawiło się dwóch chłopców.

– Tu mieszka Kleofas – rzekła zatrzymując się.

Poczuł żal, że się rozstają. Mógłby tak iść z nią bez końca.

– A ty – zapytał – czy mieszkasz niedaleko stąd? Czy cię będę mógł jeszcze kiedyś zobaczyć?

Popatrzyła na niego z taką miną, jakby rozbawiło ją jego pytanie. Znowu jej usta zdawały się drżeć hamowanym śmiechem. Ostrożnie uniosła dzban i postawiła go na ziemi.

– Przecież ja tu mieszkam – powiedziała.

## 7

Dwóch mężczyzn siedziało pod murem na ławie ocienionej pnącą się rośliną.

– Więc dasz mi ją za żonę? – pytał Józef.

Kleofas był mężczyzną nieco starszym od Józefa. Jego gęste włosy spaliło słońce i nadało im barwę popiołu. Twarz miał ogorzałą, pociętą drobnymi zmarszczkami. Cały jego wygląd mówił o tym, że mężczyzna zwykł pracować na roli pod otwartym niebem. Dłonie, które oparł na rozstawionych kolanach, były duże, o zrogowaciałych brzegach.

Nie odpowiedział od razu. Zdawał się namyślać. Dopiero po długiej chwili zaczął wolno skłaniać się całym ciałem do przodu.

– Od wczoraj zastanawiam się nad twoją prośbą. Rozważam ją i rozważam. Nawet naradzałem się z żoną. Widzę, że ją kochasz. Od razu to dostrześliśmy. Ale chcę, abyś wiedział, jak jest. Ona nie ma rodziców. Opiekę nad nią sprawowali kapłan Zachariasz i jego żona. Kiedy u nas urodzili się Szymon i Jakub, a ona wyszła już z lat dziecinnych, prosiliśmy, by przeniosła się do naszego domu. Tak się stało. Od tej chwili to ja stałem się jej opiekunem...

– Mówiła mi o tym Elżbieta.

– Żona Zachariasza była dla niej jak matka. I nie przestała nią być. Troszczy się o nią nawet z daleka. Obiecałem, że nigdy bez jej zgody nie postanowię o Miriam. Skoro więc ona sama cię przysłała... Nie chciałbym przecież decydować pośpiesznie. Nie miej żalu, Józefie, ale nie znam ciebie...

– Nie mogłeś mnie poznać.

– Podobasz mi się. Jesteś pracowity, pobożny. Nie mówisz zbyt wiele, gdyby

chodziło o moją własną córkę, już bym się zdecydował...

– Pojmuję twoją troskliwość...

– Naradzałem się z żoną do późna w noc. I gotowi jesteśmy przyjąć twoją prośbę... Tak, ale... Nie wiem, jak się będziesz na to zapatrywał. W Judei zgodnie ze starym obyczajem o małżeństwie decydują rodzice lub opiekunowie dzieci, a młodym nie wolno nawet zobaczyć się przed układem. My tutaj musieliśmy odejść od starego obyczaju... Pewno gorszysz się? Ale dziewczęta u nas spotykają mężczyzn, jak Miriam spotkała ciebie. I same mówią rodzicom, kogo chcą za męża... Bardzo cię to oburza?

– Wcale!

– Naprawdę?

– Ależ tak. Kocham Miriam. Chciałbym, aby była dla mnie nie tylko żoną, ale i przyjacielem. Chcę wiedzieć, czy ona także zgadza się na mnie z własnej woli...

Kleofas podniósł głowę i przez chwilę w milczeniu patrzył na Józefa, jakby zaskoczony jego słowami. Potem uśmiechnął się.

– Cieszę się, że tak myślisz. W Judei ludzie pilnują tylu przepisów...

Zgubić się w tym można. Ale my tu mieszkamy wśród goimów. Wiem, mówi się o nas, Galilejczykach, że jesteśmy bezbożni...

– Czy uważasz, że pytanie dziewczyny o zgodę jest bezbożnością?

Kleofas podrapał się w głowę.

– Czy ja wiem? Czy ja mogę wiedzieć? Jestem tylko rolnikiem. Doktorzy w synagodze mówią, że każde przełamanie starego przepisu jest ciężkim grzechem... Co ty o tym sądzisz?

– Myślę, że jeśli jesteśmy przekonani, iż łamiąc przepis sprzeciwiamy się woli Najwyższego – grzeszymy...

– Ty jednak nie jesteś przekonany?

– Nie. Dlaczego Najwyższy miałby inaczej traktować mężczyznę, a inaczej kobietę? Czy nie mówił do Sary, do Debory, do Judyty? Zresztą, powiem ci szczerze... Kocham Miriam tak, że nie zostałbym jej mężem, gdybym nie wiedział, że ona sama tego chce! Nie potrafiłbym inaczej!

Kleofas patrzył na Józefa i mrugał powiekami.

– Więc i ty także? – powiedział. – Bo widzisz... Ja także nie potrafiłbym

zadecydować o jej małżeństwie bez jej zgody! – Znowu podrapał się w głowę. – Ale przepis... Boję się, co powiedzą ludzie synagogi... Doprawdy, nie wiem...

– Uważasz każdy przepis za prawo Najwyższego?

– Nie... Ty masz rację. Dlaczego Najwyższy miałby patrzeć na kobietę inaczej... Wiem, jaka jest Elżbieta, wiem, jaka jest moja żona... Ale się boję. A ty nie boisz się?

– Nie boję się. Gdy się kocha...

Kleofas śmiał się znowu, tym razem nieco swobodniej.

– Z wielkiej miłości rodzi się często nieposłuszeństwo. Ale jedno mnie uspokaja. Przecież to Elżbieta i Zachariasz przysłali ciebie. Powiedzieli ci, abyś się przyjrzał Miriam, prawda? Skoro oni tak uważali, to na pewno nie mieliby nic przeciwko temu, aby ona sama powiedziała, co myśli o twojej prośbie... Jesteś śmiały... Ale i ona jest taka sama.

Jeszcze przez chwilę drapał się fraszobliwie po policzku. Nie cały niepokój go opuścił. Całe życie żył w lęku, że przekroczy któryś z niezliczonych przepisów, jakie ogłaszali doktorzy w synagodze.

– I ona jest śmiała... – powtórzył. – Patrzę na nią od dwóch lat, a jednak jej nie znam... Niby siostra mojej żony, a przecież jaka inna! Nie sądz, że myślę źle o żonie. Niewiele takich. Oddana, gospodarna, pracowita, posłuszna... A jak opiekuje się dziećmi! Jak im pomaga we wszystkim. Ale Miriam...

Przeczesał włosy swą wielką dłonią.

– Jest inna. Nie wiem doprawdy, jak ci to wyrazić... Żyje wśród nas. Je, pije, śpi, pracuje, odpoczywa – jak każdy. Uczynna dla wszystkich. Gotowa wziąć na siebie każdy trud, żeby tylko uwolnić od trudu drugiego. Nie żałuje rąk. Tak radosna. Ciągłe by śpiewała. Modli się dużo. Chciałbym umieć się tak modlić.

Urwał. Chwilę milczał. Widać było, że mu trudno znaleźć słowa dla wyrażenia tego, co chciał powiedzieć. Podjął znowu:

– Opiekuję się nią. Ale czy ona naprawdę potrzebuje czyjejś opieki? Ledwo przestała być dzieckiem, a już w niej tyle dojrzałości. Powiedziałem, że jest śmiała jak ty. Bo jest śmiała. Ona także, jeśli kocha, nie potrafi się lękać... Ufa ludziom. Gdy ktoś jej zaufa, nie zawiedzie się na pewno... Nie będzie odmierzała tego, co chce dać, na wadze kupieckiej. Widzisz, to dlatego muszę ją spytać, czy chce być twoją żoną. Jeśli to grzech,

niech spadnie na mnie...!

Józef położył dłoń na ramieniu Kleofasa.

– To nie może być grzech. Zaufaj.

– Będę ufał. Chcę być taki jak wy. Słuchaj. Idź od razu z nią porozmawiać. Teraz.

Ona jest z owcami na łące na zboczu. Idź.

Józef wstał, skłonił się przed swym przyszłym szwagrem.

– Dziękuję ci, Kleofasie. Idę.

## 8

Nad urwiskiem góra tworzyła łagodny skłon. Wśród przetkanej polnymi latami trawy sterczały tu i tam szare głazy. Pasące się owce i kozy wydawały się z odległości także odłamami skalnymi.

Stado było w ciągłym ruchu; zatrzymywało się na chwilę i zaraz ruszało dalej nerwowymi kroczkami.

Gdy wszedł ponad urwisko, zobaczył już z daleka sylwetkę pasterki, idącej za stadem. Dziewczyna miała na sobie chustkę, która okrywała jej głowę, ramiona i plecy. Szła dostosowując krok do ruchów stada. Musiała być zamyślona, gdyż nie usłyszała jego kroków. Zatrzymała się i szybko obróciła głowę, gdy zawołał:

– Miriam.

Nie dostrzegł w jej spojrzeniu lęku. Jak zawsze pełne było spokoju i dziwnego dobywającego się gdzieś z wnętrza blasku. Ten blask był w tej chwili mocny jak płomień, ale gdy patrzyła na niego, zdawał się przygasać. Twarz Miriam przypominała twarz człowieka, który stał długo na słońcu, a potem wrócił w cień. Wyciągnęła przed siebie ręce i zrobiła lekki gest, jakby go chciała zatrzymać z dala od siebie.

– Czy Kleofas wie, że tu jesteś? – zapytała.

– Wie. Sam mi powiedział, abym tu przyszedł.

Skłoniła głowę wyrażając tym gestem uległość wobec woli swego opiekuna. Uśmiechnęła się.

– Wydaje mi się, że chcesz mi coś powiedzieć, prawda? Będę cię słuchała –

rzekła – ale muszę uważać na stado. Mogłaby która z owiec zagubić się wśród cierni.

– Będziemy szli za stadem i idąc powiem ci, z czym przychodzę.

Bez słowa ruszyła za owcami. Szedł obok niej. Ale nie od razu zaczął mówić. Przygotowane słowa rozpadły się i zagubiły. Widok dziewczyny sprawił, że powróciło onieśmielenie, jakiego doznał wtedy, gdy ją spotkał po raz pierwszy przy studni. Od tamtego czasu nigdy nie rozmawiał samotnie z Miriam. Uczucie, jakie w nim wybuchło z siłą ognia polanego oliwą, kazało mu natychmiast przyjąć postawę człowieka starającego się o żonę. Jeśli widywał Miriam, to tylko w domu Kleofasa, jeśli mówił do niej, to tylko przy innych. W domu Kleofasa bywał codziennym gościem. Zatrzymywano go na posiłki. Wtedy widział, jak Miriam pomaga siostrze, przynosi potrawy, usługuje przy stole, zbiera naczynia, a potem myje. Śledził ją baczным spojrzeniem i z bijącym sercem, ale tak, aby ani ona, ani nikt inny jego spojrzeń nie dostrzegł. Miłość płonęła w nim i ciągle rosła, gdy dostrzegał, jaka zawsze jest uśmiechnięta, jaka prędką do pracy i gotowa do każdej usługi. Nie wzywana sięgała po każdą domową robotę, która powinna była być zrobiona. I taka była zręczna we wszystkim, co robiła! Chłopcy przepadali za nią: ledwo ją spostrzegli, już biegli do niej. Zajmowała się nimi, coś im opowiadała; rozbrajała, gdy się ze sobą czubili; uciszała, gdy krzyczeli. Kiedy patrzył na nią, umacniało się w nim przekonanie, że jest to rzeczywiście ta dziewczyna, na którą czekał. Ona, tylko ona mogła zostać jego żoną, przyjacielem, towarzyszem. Czuł, że nigdy nie przestanie jej kochać i podziwiać.

W sąsiedztwie domu Kleofasa znalazł się domek, którego właściciel opuścił miasto. Józef odkupił domek, założył w nim warsztat i zajął się pracą. Od pierwszej chwili, gdy nad drzwiami zawiesił wiór drewniany – znak swego zawodu – posypały się zamówienia. Codziennie ktoś nowy zgłaszał się do warsztatu Józefa. W szybkim czasie zdobył sobie uznanie. Zwracając się do Kleofasa o rękę Miriam, mógł nie tylko odwoływać się do polecenia Elżbiety, ale również wykazać się swoją pracą.

Gdy szedł teraz obok dziewczyny – na próżno szukając słów, którymi przedstawiłby swoją sprawę – lepiej niż przedtem pojmował wahania Kleofasa. Tamten musiał także doznawać nieustannego onieśmielenia wobec siostry żony. Ta zwykła, uśmiechnięta dziewczyna, taka na pozór prosta i prawie dziecinna, miała w sobie coś, co kazało odnosić się do niej z szacunkiem, nieomal z nieśmiałością. Od pierwszej chwili

widział w jej oczach sympatię i życzliwość. Czy jednak była to miłość? Uczucie Józefa było równie wielkie jak zachłanne. Jeśli czuł, że musi wbrew zwyczajowi zapytać Miriam o zgodę – to wynikało to z pragnienia, aby jej miłość nie była mniej żarliwa niż jego.

To prawda – miał świadomość, że dziewczyna nosi w sobie świat własny, jemu nie znany, w który zanurza się chwilami, zapominając o wszystkim, co ją otacza. Zapominając – lecz nie zrywając. Wracała do ludzi uśmiechnięta, życzliwa, nie okazując zniecierpliwienia, i tylko blask, który gorzał na jej twarzy, spływał w głąb jej istoty niby woda wracająca z powrotem do źródła. Nie przypominała dziewcząt, które żyły tylko gotowością na małżeństwo. To jednak nie pozbawiało jego uczuć siły. Uważał Miriam za kogoś wyższego od siebie. Nie czuł się tym poniżony. Ofiarowywał miłość i tylko miłości pragnął.

Przewędrowali duży kawał łąki ciągle milcząc. Nie przyśpieszała słowem jego stów. Nie czuł niecierpliwości ani podniecenia w jej spokojnym stąpieniu i równym oddechu.

– Posłuchaj, Miriam – zdobył się wreszcie na decyzję. – Poprosiłem Kleofasa, aby mi dał ciebie za żonę...!

Urwał przejęty słowami, które powiedział. Miriam milczała. Podjął:

– Pokochałem cię od pierwszej chwili, gdy zobaczyłem cię przy studni.

Stałaś się dla mnie jak Rebeka, którą, gdy tylko sługa Abrahama zobaczył, natychmiast wybrał dla Izaaka...

Znowu zamilkł. Szli dalej w milczeniu. Lekki wiatr gładził trawę pełną czerwonych anemonów; wydawała się dywanem, po którym lekko stąpały jej bose stopy.

– Tak zwykle bywa – jeszcze raz zaczął – że mężczyzna prosi opiekuna dziewczyny o jej rękę i jego zgoda decyduje o wszystkim. Taki jest stary obyczaj. Ale ja chciałem – i Kleofas tego chce – abyś ty sama, z własnej woli, powiedziała, czy chcesz zostać moją żoną. Zanadto cię kocham, abym mógł przymuszać cię do czegoś, co ci może nie jest przyjemne...

Stado zatrzymało się przy kępie soczystej trawy i oni także stanęli. Owce jadły spiesznie, głośno chrupiąc. Przytupywały kopytkami i uderzały się ogonkami po bokach. W trawie odzywały się cykady o wielkich głowach. Dziewczyna stała milcząca, ze



schyloną głową, jakby czekała na usłyszenie czegoś jeszcze.

– Kleofas – zapewnił powtórnie – wysłał mnie, abym zapytał ciebie... Nie uczyniłem tego bez jego woli... Powiedz, czy chcesz zostać moją żoną. Bo jeżeli jest ktoś... ktoś... – zająknął się. – Kocham cię i pragnę twego szczęścia, twego przede wszystkim...

– Jesteś dobry, Józefie – powiedziała wreszcie cicho. Głos jej nie drżał, mówiła spokojnie. – Cieszę się, że mnie kochasz. Bo ja także pokochałam ciebie. Od razu poczułam, że ty, tylko ty potrafisz zrozumieć...

– Co zrozumieć? – zapytał.

Wolno podniosła głowę, którą przedtem miała schyloną. Zobaczył jej oczy szeroko otwarte, przepaściste, pełne blasku. Płomień, który ukrywał się w niej, zapłonął nagle na jej twarzy. Wyczytał prośbę, której nie wypowiedziały usta.

– Zrozumiesz – szepnęła uśmiechnięta radośnie – ponieważ umiesz kochać. Wiedziałam, że przyjdiesz. Musiałeś przyjść, by zostać moim mężem...

## 9

Coraz bardziej wrastał w miasto, w którym zamieszkał. Przebudował domek, który stał się jego własnością, rozbił ścianę zamykającą grotę i wymurował nową, bardziej wysuniętą, stwarzając w ten sposób więcej przestrzeni. W ścianie zrobił także otwory okienne. Tutaj umieścił warsztat. W głębi za zasłoną znajdowało się właściwe mieszkanie. Pracował po swojemu: starannie i dokładnie, bez pośpiechu.

Ale jeszcze wcześniej, zanim przebudował mieszkanie, sporządził wiadro do czerpania wody ze studni. Włożył w tę robotę całą swoją umiejętność. Starał się, aby wiadro było i większe, i lżejsze od tamtego, którym kobiety czerpały wodę. Nie żałował pracy. Zawsze w swą robotę wkładał serce, tym razem jednak praca nad wiadrem stała się prawdziwą pieśnią miłości.

Gdy wiadro było skończone, udał się przed świtem do studni i zamienił dawny ciężki czerpak na nowy o pięknie wypalonych bokach. O tym, co zrobił, nie powiedział nikomu. Wrócił do domu i zajął się swoją pracą. Ale serce stukało w nim niespokojnie.

W dalszym ciągu nie widywał Miriam inaczej niż w domu Kleofasa. Wymieniali pozdrowienia, ale ze sobą nie rozmawiali. Teraz, gdy byli narzeczonymi – i o tym wiedzieli ludzie w Nazarecie – Józef dbał o to, aby żadne podejrzenie o nieobyčajną swobodę nie padło na Miriam. Tu w „ziemi pogan” młodzi postępowali inaczej. Greckie, syryjskie czy chananejskie dziewczęta nie czekały na oficjalny związek. Biegły ze swymi chłopcami na ukwiecone łąki i zostawały ich kochankami. Ich radosne okrzyki i wesołe śmiechy budziły czasami niepokój w sercu Józefa. Ale uciszał ten niepokój. Poczucie, że mógł wyrzeczeniem zapłacić za tak wielką miłość, rozpalało entuzjazm silniejszy niż wołania ciała. Nieraz zdarzało mu się myśleć o Zachariaszu i Elżbiecie – i o tym, co mu wtedy opowiadał stary kapłan. Zachariasz kochał żonę, ale uważał to za winę i dlatego pragnął znaku, który by go usprawiedliwił. Jego miłość do Miriam przyszła po latach czekania. Ani przez chwilę nie wątpił, że to sam Najwyższy przyprowadził go tutaj do Nazaretu jak Tobiasza do Sary. Dziewczyna była Jego darem. Taki dar wymagał ofiary, podobnej, lecz większej niż ofiara Tobiasza. Dzięki niej, myślał, może otworzy się przed nim tajemniczy świat serca dziewczyny i nic już dzielić ich nie będzie?

Miriam nie powiedziała mu, co pomyślała o nowym wiadrze. Ale następnego dnia po jego zawieszeniu, gdy Józef wrócił po dłuższej nieobecności do domu, znalazł swego osła nakarmionego, napojonego i tak starannie wyczesanego, że jego jasnosiwa sierść przypominała cenną tkaninę, przywożoną przez kupców z dalekiego kraju na Wschodzie. Od razu domyślił się, kto to uczynił i dlaczego. Nie potrzebowali ze sobą rozmawiać – ich myśli spotykały się ze sobą nieustannie. Gdy on zostawiał najpiękniejsze, zrobione przez siebie przedmioty na progu domu Kleofasa, sam znajdował zatknięte w drzwiach bukiety kwiatów. Jego osiołek był zawsze starannie napojony i oporządkowany. Czasami wydawało mu się, że odkrywa siady małych stóp na kamiennej ścieżce koło domu. Ale Miriam nie dała się nigdy przyłapać. Umiała przychodzić nieuchwytna, jakby była duchem.

Zmiana wiadra nie przeszła nie zauważona wśród kobiet miasta. I od razu wszystkie wiedziały, kto to zrobił. Rozgłosiły o wydarzeniu ojcom i mężom. Dwa dni później przed zajęciem murarską robotą Józefem stanęło dwóch miejscowych bogaczy: znany wszystkim farbiarz Joel i nie mniej ceniony ze względu na wyrabiane przez siebie ozdobne sandały Gerim. Obaj przyszli, aby obejrzeć wyrabiane przez Józefa przedmioty.

Gładząc starannie wygładzone drzewo cmokali z uznaniem. Zaraz też jeden zamówił dla siebie stół i drugi dwa stołki.

Zamówienia sypały się za zamówieniami. Najwięcej przychodziło do Józefa rolników, którzy potrzebowali soch, pługów, łopat i wideł. Prosimi o pośpiech ze względu na pracę w polu. Józef raz po raz przerywał budowę, aby zająć się pilnymi zamówieniami. Te, które otrzymywał od bogatych kupców, mogły czekać. Pierwszeństwo dla niego miały narzędzia pracy. Zarabiał na nich niewiele, ale to, co zarabiał, wystarczało mu najzupełniej. Resztę odkładał na mohar, który zobowiązał się zapłacić Kleofasowi za Miriam. Dawał także potrzebującym. Szybko rozeszło się o tym wśród miejskiej biedoty i gdy tylko odeszli ludzie przynoszący zamówienia, spoza drzew i murków wysuwali się nieśmiało niewidomi, kulawi, opuchli, nawet trędowaci. Żaden nie odchodził bez wsparcia.

Dni biegły za dniami. Minęło już pół roku od chwili, gdy Józef przybył do Nazaretu. Dom został wreszcie wykończony. Zamówienia ciągle nadchodziły. Józef, choć robił dużo, zawsze przykładął się do pracy i nie oddał niczego bez starannej obróbki. Zwykle naznaczał dość długi termin, ale prawie zawsze robota była gotowa wcześniej.

Podobnie jak to bywało w Betlejem, do jego warsztatu zaczęły ściągać dzieci. Zdawały się na odległość czuć jego sympatię. Szybko się nauczył je poznawać. Znał ich imiona. Oczywiście pierwszymi byli synowie Kleofasa. Przychodzili chłopcy, przychodziły dziewczynki. Rozmawiał z nimi i słuchał ich opowiadań. Starszym chłopcom pokazywał, jak władać piłą, heblem czy młotem.

Za dziećmi przychodzili dorośli. Ściągała ich nie tylko ciekawość zobaczenia zręcznego naggara. Zjawiali się z prośbami o radę. Nie miał pojęcia, co sprawiało, że on, człowiek młody, nierozmowny, nowy przybysz w mieście, stał się doradcą tylu starszych od siebie i na pewno doświadczeńszych.

Pewnego dnia zjawił się w warsztacie Józefa Kleofas.

Choć niewiele się różnili wiekiem, Józef traktował zawsze opiekuna Miriam z szacunkiem odpowiadającym jego pozycji.

Zobaczywszy Kleofasa od razu przerwał pracę, wytarł dłonie i zaprosił przybyłego, aby usiadł na szerokiej ławie, którą zrobił dla odwiedzających go ludzi.

Zaproponował wodę z miodem, ale Kleofas potrząsnął odmawiająco głową. Wydawał się czymś przejęty i widać było, że sprawa, z którą przyszedł, zajmuje wszystkie jego myśli. Ale jej wypowiedzenie nie przychodziło łatwo. Kleofas tarł swoje wielkie dłonie i kręcił piętą w ziemi. Posapywał, ale nie zaczynał.

Czekając na to, co powie przyszły szwagier, Józef rzekł:

– Dobrze, że przyszedłeś. Zebrałem trochę pieniędzy i chciałbym ci je dać. Nie sądziłem, że tak szybko będę mógł dopełnić mego zobowiązania.

Kleofas niecierpliwie machnął ręką.

– Ja nie z tym... A co do moharu, to wiesz, nie chciałem go brać od ciebie. To ty upierasz się, aby go złożyć. Nie wątpię, że go prędko zbierzesz. Niewielu jest takich pracowników jak ty. Miriam nigdy niczego nie zabraknie. Gdybyś był twardszy w układach o cenę...

Józef uśmiechnął się.

– Biorę tyle, ile się należy.

– Bierzesz za materiał. Nie cenisz swojej pracy.

– Biorę i za pracę. Ale nie chcę za dużo. Sprawia mi ona radość. Och, ty może nawet nie wiesz, Kleofasie, jaką rozkoszą jest praca przy drewnie. Każdym zacięciem przypomina człowiekowi bliskość Najwyższego...

Kleofas popatrzył na niego uważnie.

– Jesteś znakomitym rzemieślnikiem – rzekł – ale myślę, że nadałbyś się jeszcze bardziej na pieśniarza. Jedni najpierw pracują, potem śpiewają, potem modlą się. A dla ciebie praca jest i śpiewem, i modlitwą...

– Bo ona jest modlitwą...

Kleofas pokiwał głową.

– Znaleźliście się z Miriam jak w korcu maku. Ona jest taka sama. Cokolwiek czyni – jednocześnie śpiewa i modli się... Ale właśnie o niej...

Chrząknął i zaczął po swojemu wyłamywać dłonie. Zmienił ton:

– Bo widzisz, przyszedłem do ciebie, aby o niej porozmawiać...

– Słucham cię, Kleofasie.

Znowu chrząknął i sapał, nim rozpoczął.

– Nie wiem, czy doszło do ciebie, że wczoraj z karawaną z Jerozolimy przybył

pewien człowiek... Przewoził już nieraz wieści od Elżbiety do mojej zony i do Miriam. I brał nowiny od nas... No i przywiózł rzecz niezwykłą... Słyszałeś już może?

– Nie.

– Rzecz naprawdę trudna do uwierzenia. Wyobraź sobie... – Wsparł dłonie na udach i pochylił się do przodu, jakby niezwykłość sprawy, z którą przyszedł, leżała mu na karku przyginającym do ziemi brzemieniem.

– Wyobraź sobie... Elżbieta, żona Zachariasza spodziewa się dziecka! – wykrzyknął tę nowinę, jakby cisnął kamieniem. – Czy możesz w to uwierzyć? Taka stara kobieta...

Józef położył dłoń na twarzy i przeciągnął ją wolno po policzku.

– To prawda – przyznał. – Jest bardzo starą kobietą.

– Byłem zawsze pewien, że jej czas dawno minął. A i Zachariasz... Przecież on jest już taki stary, że podobno był ostatni raz wzywany do służby w świątyni.

– Rzeczywiście. Gdy byłem u niego, szykował się, aby po raz ostatni iść służyć.

– Niezwykłe rzeczy zdarzają się na tym świecie. Po prostu nie mogę w to uwierzyć, choć tamten zaklinał się, że to prawda. Jak się to mogło stać? Elżbieta, mówił tamten, ukrywa swój stan przed ludźmi – czemu się nie dziwię – i przysłała tę wiadomość naszym kobietom pod pieczęcią tajemnicy. Nieprawdopodobna historia! Podobno są kobiety, którym się tylko zdaje, że noszą dziecko w łonie, a gdy przychodzi ich czas, nic się nie rodzi. Na pewno tak jest z Elżbietą. Nie może na pewno urodzić. Ale Miriam... – zaczął, spojrzał na Józefa i urwał.

– Co chciałeś powiedzieć?

– Chyba ją już znasz. Dla niej wszystko jest możliwe. Gdy tylko usłyszała o nowinie przysłała do mnie i błagała, abym jej pozwolił iść do Elżbiety. Mówiła, że musi jej koniecznie pomóc w czasie ciąży i przy urodzeniu...

– Jak to? Chciałaby iść do Judei?

– No, tak – właśnie... Szmat drogi. I teraz, gdy wszystko spalone od słońca. Drogi puste... Samotna dziewczyna...

– Nie zgodziłeś się oczywiście?

Kleofas spojrzał na Józefa i zaraz spuścił wzrok. Kłopotliwie nawijał na palec róg kuttony.

– Jak już będzie twoją, będziesz mógł jej zabraniać robienia głupstw. Ale ja... Szczerze mówiąc nie potrafię jej niczego zakazać. Zawsze myślę... Mówiłem ci już – wybuchnął – że to niby zwyczajna dziewczyna, a przecież inna! Nie umiem z nią postępować. Nawet moja żona nie zawsze ją rozumie. Nigdy o nic nie prosi. Żadnej prośbie nie odmówi. Każdą robotę wykona. Ale gdy przyszła prosić...

– Co postanowiłeś?

– Ona sama postanowiła. Zanim zdążyłem jej zacząć tłumaczyć, że to nie ma sensu, ona już mi powiedziała, że rano odjeżdża karawana do Jerycha i że rozmawiała z tymi ludźmi, a oni obiecali ją zabrać.

Zerwał się na nogi. Zawołał:

– Jak to? Więc pozwoliłeś jej iść!?

– Nie krzycz. Siądź. – Kleofas pociągnął Józefa za kuttonę i zmusił, by znowu usiadł na ławie. – Już się stało... Łatwo ci mówić: pozwoliłeś, pozwoliłeś... – Westchnął. – Porozmawiajmy spokojnie. Nie mogę uwierzyć w tę ciążę. Ty też pewno nie wierzysz. Ale ona jest pewna, że tak jest... A skoro wierzy, to wie, że Elżbieta, spodziewając się dziecka, musi mieć kogoś koło siebie. Pomyśl: stara, samotna kobieta. Miriam traktuje ją jak matkę.

– Więc trzeba było inaczej! Puściłeś ją z obcymi ludźmi!

– Nie całkiem obcymi. Znam tych kupców. Odprowadziłem ją... Obiecali, że się nią zaopiekują...

– Więc odprowadziłeś ją? Mnie nawet nie powiedziałaś!?

Kleofas szybko spojrzał na Józefa, westchnął i znowu spuścił głowę. Zapadła cisza. Józef zagryzł wargę i patrzył przed siebie. W dali, wśród płowych skał, wila się ciemną, krętą linią droga, którą przed pół rokiem przybył do Nazaretu. Teraz, myślał, gdzieś tą drogą idzie ona. Samotna dziewczyna w gromadzie obcych mężczyzn. W sercu Józefa obudził się gniew i żal do Kleofasa. Powinien był przyjść, powiadomić go o tej wyprawie. Byłby poszedł z Miriam. Wspólna ich podróż nie byłaby rzeczą właściwą, to prawda. Czy jednak nie byłoby lepiej narazić się opinii ludzkiej niż narażać dziewczynę na niebezpieczeństwa? A teraz miną całe tygodnie, może nawet miesiące, a on nie będzie wiedział, co się z nią dzieje!

– Masz do mnie urazę? – zapytał Kleofas.

– Mam.

– Chciałem przyjść i powiedzieć. Chciałem nawet ci powiedzieć, abys z nią szedł.

Wierz mi, jestem po twojej stronie...

– Dlaczego więc tak nie zrobiłeś?

Jeszcze raz westchnął.

– Ech, Józefie... Chciałbym, abys już przejął nad nią opiekę... to ona sama sprzeciwiła się temu, bym cię powiadomił...

– Ona?

Patrzył zdumiony na Kleofasa.

– Ona. Powiedziała: Powiadom Józefa, że gdy dojdę, przyślę mu wiadomość. Niech się nie niepokoi... I pozdrów go. Serdecznie. Ale ja nie chcę, aby szedł ze mną...

– Tak ci powiedziała...?

Zaczął i urwał ogarnięty falą nagłego żalu. Więc to ona sama? Wiedziała, że będzie się niepokoił, a jednak odeszła. I nie chciała, aby jej towarzyszył. Nawet jej nie pożegnał... Ta myśl piekła boleśnie. Przecież zgodził się na wszystko, czego pragnęła. Niczego nie żądał, niczego się nie domagał. Chciał się tylko nią opiekować, tylko strzec przed niebezpieczeństwem...

Gdy przyjęła jego oświadczyzny, tak prosto i tak serdecznie, był pewien, że go kocha. Miała swój układ z Najwyższym – ale on zapewnił, że będzie jej postanowienie szanował. Był przekonany, że dzięki tej ofierze tajemniczy blask, jaki palił się w Miriam, przestanie być dla niego tajemnicą. Jej ukryty świat stanie się także jego światem... Zniknie poczucie onieśmienia pojawiające się za każdym razem, gdy z nią rozmawiał. Będą wiedzieć wszystko o sobie i myśleć wspólnie. Tylko tak wyobrażał sobie miłość. A tymczasem ona odeszła, zawołana sprawami, które uważała, że są tylko jej sprawami! Jakby chciała mu pokazać, że nie wszystkim się z nim podzieli. Że są zakątki jej serca, do których on nie ma i nie będzie miał dostępu!

W sercu Józefa pojawiło się zniechęcenie. Po raz pierwszy odezwała się wątpliwość, czy wymarzona zda się towarzyszka, jaką dla siebie znalazł, jest naprawdę tą, na którą czekał. Może wszystko było nieporozumieniem: rady Zachariasza, zachęty Elżbiety, urok Miriam... Może ojciec miał rację wymawiającemu jego czekanie? Czy latami tkane marzenia nie przysłoniły mu prawdziwego obrazu spotkanej dziewczyny?

Nawet ludzie z jej kręgu utracili od razu swój sympatyczny wygląd. Spojrzał z boku na twarz Kleofasa. Koścista twarz wynurzająca się z gęstwiny płowego zarostu wydała mu się nagle tępą i odrażającą. Jak łatwo, myślał, dał się porwać nastrojom! Nawet ten człowiek wydał mu się rozsądny i serdeczny!

A jednak wbrew goryczy, jak zalewała jego serce, stanęło przed nim pytanie: czy wyrzekłby się tej dziewczyny? Nie. Ciągłe miał świadomość, że takiej drugiej nie potrafiłby znaleźć nigdy. Od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył, na schodach pod łukiem studni, wiedział, że ją kocha – dla wszystkiego i pomimo wszystko – kocha, jak tylko człowiek może kochać drugiego człowieka. Cokolwiek by zrobiła, nie mógł od tej miłości odejść. Był złapany w pułapkę.

Mocno zacisnął usta i milczał. Obok posapywał Kleofas. Milczenie przeciągało się. Wreszcie Kleofas powiedział:

– Więc widzisz... Tak jest. Nie chciałem ci tego powiedzieć. Nie rozumiem jej. Nie powinna była tak postąpić. Ja jestem z tobą. Ale taka ona jest... – rozłożył bezradnie ręce. – I jeśli ją kochasz, powinienes się z tym pogodzić...

Ścisnął czoło palcami. Ona też powiedziała, myślał, że będę ją rozumiał, ponieważ kocham... Kocham – ale nie pojmuję...

– Wiem – odpowiedział.

Ale w tym stwierdzeniu nie było przekonania. Po prostu chciał już zakończyć rozmowę. Przed pół rokiem wydawało mu się, że dotarł do spokojnego portu, w którym będzie mógł zostać na całe życie. Ale teraz czuł, że sprawa wygląda inaczej. Jego łódź nie dobiła do brzegu, ale właśnie oderwała się od przystani i pożeglowała gdzieś w dal ku nieznanemu przystankowi.

Podróż była ciężka w suchym pyłe spalonej na popiół drogi. Zieleń zszarzała i rozkruszyła się, szerniałe poskręcane liście podobne do borych kokonów unosił najłżejszy powiew. Zboża były już żęte, nad ścierniskami unosiły się nisko, na szeroko rozpiętych skrzydłach, drapieżne ptaki, szukające łupu wśród sterczących kopie



skoszonego jęczmienia. Zrywający się od czasu do czasu gorący wiatr podnosił tumany kurzu i sypał nim w oczy idących.

Ciągnący karawaną kupcy jechali szybko na swych wielbłędach. Ludzie, którzy przyłączyli się do karawany, musieli dobrze zbierać nogi, aby nie pozostać w tyle. Nikt nie miał ochoty znaleźć się sam na pustej drodze. Zamykający karawanę, jadący na ośle służący kupców nawoływał: „Prędeż! Prędeż! Idźcie szybciej! Jak będziecie się tak wlekli, zostawimy was!”

W gromadce ludzi, którzy przyłączyli się do karawany, był garncarz, który udawał się do Jerozolimy, aby pomagać bratu w wylepianiu naczyń dla sprzedawania ich podczas świąt, ciągnących się przez cały prawie miesiąc tiszri. Szło dwóch młodych murarzy, których skusiły królewskie wezwania do pracy przy budowie świątyni. Miriam była jedyną kobietą w karawanie. Nikt się nią nie interesował. Trzej mężczyźni kroczyli zaraz za wielbłędami, zatopieni w nieustannej rozmowie. Była zadowolona, że nie zwracają na nią uwagi. Tylko służący, jadący na ośle, odzywał się czasami do niej. Odpowiadała mu grzecznie, nie zachęcała jednak do rozmowy. Wolą iść w ciszy wciąż przemyśliwując nad wydarzeniami ostatnich dni.

Gdy wieczorami zatrzymywano się na postój, usługiwała towarzyszom podróży. Uważała to za rzecz zupełnie naturalną i oni przyjmowali jej starania bez zdziwienia i bez wdzięczności. Kobiety istniały przecież po to, by usługiwać mężczyznom. Nie wydawało im się to dziwne, że oni, rozciągnąwszy się na ziemi, wiedli dalej swoją rozmowę, gdy ona kręciła się, szykowała im pożywienie lub z dzbankiem szła po wodę do pobliskiego źródła.

Potem przychodziła noc. Wszyscy układali się do snu wokół ogniska. Miriam zawijała się w płaszcz i kładła się także na ziemi. Nad nią rozpięte półkolistie niebo mrugało gwiazdami. Sen nie od razu przychodził. Leżała z jedną ręką pod głową, z drugą pytająco dotykającą ciała. Czy to możliwe, żeby to, co się stało – stało się naprawdę? Jak mogło się stać? Nic nie potwierdzało dotąd tej niezwyklej sprawy. Nic – poza tym wezwaniem.

Obok chrapali ludzie zmęczeni drogą. Sapały i pojękiwały przez sen Wielbłądy. Trzasnęło coś czasami w żarze dopalającego się ogniska. Nie słyszała tych odgłosów. Jej myśli miały tak głęboki nurt, że pochłaniał wszystko, co się wkoło niej działo.

Nie pamiętała już, kiedy dokładnie odezwało się w niej to drugie życie, pulsujące w niej pod tym, którym żyła między ludźmi. Musiała być wtedy małym dzieckiem. Matka już nie żyła – umarła tak wcześnie – a ona znajdowała się pod opieką ciotki Elżbiety, gdy pewnego słonecznego popołudnia, kiedy wszystko wokół zamarło w bezruchu, ktoś odezwał się do niej... Była sama. Jeszcze przed chwilą na ukwieconej łące nie było nikogo. Niespodziewanie zobaczyła tego, który mówił. Stał nieco oddalony, podobny do wielkiego białego kwiatu wybijającego nad inne. Powiedział: „Witaj, Miriam...”

Nie powiedział wtedy nic więcej. Ale w jego głosie i w głębokim skłonieniu było coś, czego ona nie doświadczyła nigdy dotąd: jakby wielki, niezrozumiały szacunek. Była tym zaskoczona i zawstydzona. Pamiętała, kim jest. Ubogą sierotą, którą zaopiekowali się krewni. Rysy matki szybko zacierały się w dziecinnej pamięci. Trwalej pozostały nauki, które Anna – choć zapracowana – przekazywała siedzącemu u nóg dziecku. Potem te same nauki zaczęła mówić Elżbieta. Już trudno było czasami oddzielić we wspomnieniach, gdzie kończyły się słowa matki, a gdzie zaczynały słowa ciotki.

Świat, w którym żyjesz – mówiły kobiety – zanurzony jest w cierpieniu, jak kamień w wodzie. Gdziekolwiek pójdziesz, dokąd się obrócisz, spotkasz lęki, bóle, niepokoje. Będziesz widziała choroby, głód i nienawiść. Zobaczysz, jak cierpią ludzie. I sama poznasz, czym jest cierpienie. Nikt od niego nie ucieknie. Ale cierpienia drugich będą cię bolały bardziej niż twoje własne.

Lecz patrz uważnie i staraj się dostrzegać także to, co się nie narzuca oczom. Jeśli Najwyższy pozwala, aby wszyscy cierpieli – to nie dlatego, że chce tego cierpienia. Świat odszedł od Niego jak zły syn, który odchodzi od ojca. Ale On nie wyrzekł się go. Nie porzucił, jak zepsutą robotę. Chce go ocalić i przyrzekł to ocalenie. Mógłby przełamać złą wolę człowieka. On jednak pragnie, aby sam człowiek zrozumiał swój błąd. Aby przypomnieli sobie o miłości Ojca. Sami tego nie potrafimy. I w tym chce nam pomóc. Przyśle kogoś – kogo obiecał, przyjdzie od Niego ktoś, kto nas nauczy...

Pamiętaj o tym, Miriam. Każda kobieta izraelska może być tą wybraną, która urodzi obiecanego. Dziś czy jutro, czy za setki lat ta chwila przyjdzie. Bo On zawsze dotrzymuje swych obietnic. Dlatego każda kobieta musi być gotowa, by podjąć ten błogosławiony trud. Każda kobieta musi pamiętać, że to, co na nią przyjdzie, nie będzie

tylko jej szczęściem i dumą, ale i ocaleniem świata, wyzwoleniem go od cierpień...

Siedząc u stóp matki – a może to była już ciotka? – pytała:

– I nie można niczego uczynić, aby to, co się ma niechybnie stać, stało się spieszniej?

– Najwyższy – słyszała nad sobą – zna swój czas. Człowiek Jego czasu nie przyspieszy.

– Ale może trzeba Go prosić? – pytała dalej. – Może trzeba coś czynić, aby Go skłonić do szybszego działania? Już widziałam tylu cierpiących... Tak mi ich żal. Chciałabym każdemu pomóc. Przecież trzeba Mu powiedzieć...

– On wszystko widzi i wie.

– Ale jeśli kocha, to da się wzruszyć. Trzeba Mu tylko mówić, trzeba Go prosić, trzeba...

– Miriam! Musisz pamiętać, kim On jest. Nawet Jego imienia nie wolno wypowiedzieć. Jego drogi nie są naszymi drogami, Jego myśli unoszą się wysoko nad naszymi. Co On postanowił, jest dobre i niezmiennie.

– A może On chce, aby Go proszono? Może On czeka?

– Nie mów tak. Jesteś tylko dziewczyną – teraz to na pewno brzmiał surowszy z dwóch głos Elżbiety. – Byli niegdyś mężczyźni, którzy mówili do Niego i błagali Go. Nam, kobietom, przystoi tylko czekać.

– I nie możemy Mu nic ofiarować, aby uprosić Jego łaskę?

– A cóż ty chciałabyś Mu dać, dziewczyno? Co masz, czego byś nie dostała?

– A gdyby Mu dać to, co jest największym przywilejem...?

– O czym mówisz?

Nie wyjaśniła tego nigdy słowami. Ale w niej samej rosło z roku na rok przekonanie, że jest przecież coś, co nawet uboga dziewczyna, jak ona, może ofiarować swemu Stwórcy.

I znowu kiedyś – w takie samo słoneczne południe – wyrósł przed nią na łące biały, wspaniały kwiat. Znowu skłonił się i znowu powiedział:

– Witaj, Miriam. Wszystkie łaski Najwyższego spłynęły na ciebie...

Odruchowo przycisnęła palce do uszu.

– Nie mów tak – szepnęła. – Nie mogę tego słuchać. Nie chcę... Jestem tylko

zwykłą dziewczyną...

Nic nie odpowiedział. Nic więcej nie rzekł. Zniknął pozostawiając ją z tajemnicą niezrozumiałych słów.

Zobaczyła go po raz trzeci tutaj na zboczu nad Nazaretem.

Było południe i ona szła za swymi owcami. Tym razem wystrzelił przed nią nie kwiatem, ale złocistym słupem ognia. Cofnęła się zalekniona. Ale poznała jego głos. Powiedział:

– Witaj, Miriam. Najwyższy jest z tobą...

Osunęła się na kolana. Przycisnęła drżące wargi do głazu, który wychylał z trawy swój szorstki grzbiet.

– Czy to może być... – szepnęła

– Tak jest – głos z ognia rozbrzmiewał stanowczo, jakby był głosem hazzana, który wygłasza wyrok sądu. Słup stał ciągle nad nią, płonął, choć się nie spalał. Usłyszała:

– Nie bój się. Zostałaś wysłuchana. To ty poczniesz Syna...

Słowa spadały na jej pochyloną głowę lśniąca kaskadą. Ścierały ją w proch i obdarzały na nowo życiem. A przecież zaledwie przebrzmiały, uniosła głowę. Była dalej tą samą zuchwałą dziewczyną, która nie lękała się pytać, czy można prosić Najwyższego.

– Ale przecież ja... ja wyrzekłam się... oddałam Mu... Więc jak... jak się to może stać?

Głos nad nią nabrał jeszcze większego niż przedtem majestatu. A jednocześnie zdawał się dyszeć podziwem dla tego, co sam mówił.

– On sam pochylił się nad tobą. Sam uczyni wszystko. Bo wszystko jest w Jego mocy. Jaka ty jesteś szczęśliwa, Miriam! On chce dać ci znak. Twoja ciotka urodzi syna, choć minął jej czas. Abyś ty wiedziała... Miriam, czy ty to pojmujesz? On cię pyta, czy się zgadzasz. Pyta...

Wzruszenie ścisnęło jej gardło, łzy napęłniły powieki. Znowu schyliła głowę, wcisnęła czoło w ostry mech porastający kamień. Słup ognia wciąż stał nad nią, ale zdawał się chylić w kornym ukłonie. Otoczyła ją cisza tak głęboka, jakby świat cały wokoło niej powstrzymał oddech. Z ustami przy kamieniu wyszeptała:

– Jestem tylko służebnicą. Co Pan postanowił, niech mi się stanie.

Nie padł grom, tylko coś niby pałacy wiatr przemknęło nad nią i owiało ją swym tchnieniem. Słup ognia przygiął się jeszcze niżej, a potem zmałał, zbladł, znikł. Od razu zerwała się struna ciszy. Świat wokół Miriam wrócił do życia, przemówił tysiącem dźwięków. Słyszała szum powiewu, świergotanie ptaków, tupot kopytek owczych. Wolno podnosiła głowę. Nikogo już przy niej nie było. Trawa nie zgorzała w miejscu, gdzie stał płomienny słup. Niebo nie spadło strącone podziwem dla słów, które usłyszała. Słońce świeciło znów jak przedtem. Stado wokół niej pobekiwało. Wiatr przynosił z dołu od miasta głos bawiących się dzieci i nawoływania nosicieli wody.

Przesunęła dłonią po czole. Niedowierzająco dotknęła swego ciała. Nic nie mówiło o tym, co się stało, i tylko były w niej oszałamiające radość i zachwyt. I tylko jedna jedyna myśl odezwała się nutą niepokoju: myśl o Józefie...

Tak bardzo go kochała, tak pragnęła, aby został nagrodzony za swe oddanie i dobroć. Bała się, że mógłby się poczuć skrzywdzony. Lękała się, że mógłby nie znaleźć udziału w jej szczęściu.

Ale natychmiast odegnała ten niepokój. Czują: jeśli Najwyższy uczynił rzecz wykraczającą poza prawa stworzonego przez samego siebie świata tylko dlatego, by uszanować jej dar – potrafi okazać łaskę człowiekowi, który jej zaufał i który był jej drogi. Nie skrzywdzi go i nie poniży. Pozwoli uczestniczyć w jej szczęściu.

I zaledwie minęły trzy dni, gdy przybył człowiek z wieścią o tym, że Elżbieta oczekuje dziecka...

Dzień budził się. Ona wstawała pierwsza. Znowu gotowa była pomagać ludziom, którzy razem z nią szli. Oni wołali: „Hej, dziewczyno, zrób to! Zrób tamto! Przynieś wody! Rozpal ogień!” Uśmiechała się i spełniała ich polecenia. Obsłużeni wracali do swej rozmowy. Wybuchali grubym śmiechem, klepali się po ramionach. W końcu zbierali w węzeł swoje rzeczy i ruszali w drogę. Szła za nimi jak poprzednio niezauważona, niosąc w połach swego płaszcza oszałamiającą tajemnicę.

W Jerychu porzuciła swoich towarzyszy.

Droga z Jerycha do Jerozolimy była wprawdzie krótsza niż szlak zajordański, ale nie uchodziła za zbyt bezpieczną. Prowadziła pustkowieм wśród skał, przecinała głębokie cieniste wąwozy, w których, zdążało się, ukrywali się rozbójnicy. Był powód, by trzymać się dalej karawany kupców, który szli aż do samej Jerozolimy i do której dołączyła w Jerychu cała gromada ludzi.

Przyszedszy do miasta spędzili noc w zajeździe. Rano gotowali się do odjazdu. Jeszcze zakładano juki na wielbłądy, gdy Miriam spostrzegła starego człowieka, wspartego na kiju, który rozmawiał z przywódcą karawany. Starzec zdawał się o coś prosić, ale kupiec śmiał się pogardliwie kategorycznym ruchem ręki dawał znak odmowy. Odwrócił się od starego jeden ze służących pomógł mu wspiąć się na grzbiet wielbłąda. Zwierzę Mignęło się na nogi. Kupiec siedząc na siodle rzucił jeszcze z góry jakieś owo, którego nie usłyszała, ale które musiało dotknąć starego człowieka boleśnie, jakby było uderzeniem bicia. Cofnął się zakrywając twarz połą płaszcz. Jego plecy drżały. Była pewna, że płacze.

Nigdy nie potrafiła znieść krzywdy kogoś słabego. Podeszła do starego. Stał ciągle z twarzą zasłoniętą, zgarbiony. Doznała dziwnego uczucia, że człowiek dźwiga na swych barkach jakiś bolesny ciężar i że jeśli odezwie się do niego, będzie musiała wziąć na siebie część tego brzemienia. A jednak zapytała:

– Czy ci czego potrzeba, ojciec?

Odkrył twarz i utkwiał w niej spojrzenie jasnych oczu na poły przykrytych cieniutkimi powiekami.

– Chciałem iść z waszą karawaną – rzekł, a głos mu lekko drżał. – Prosiłem tego człowieka... Wracam do świętego miasta. Droga pusta i daleka. Jestem sam...

– A on nie chciał ci pozwolić przyłączyć się do nas?

– Nie. Jeszcze wyśmiał mnie. Powiedział, że starzy jak ja powinni siedzieć w domu i nie plątać się po drogach.

– Jak mógł tak powiedzieć? – zawołała.

– Jest młody i silny. Nie wie, co to starość. Wydaje mu się pewno, że nigdy ona na niego nie przyjdzie... A ja muszę iść.

– Pójdę, poproszę go.

– Na pewno ci odmówi.

– Jednak spróbuję.

Zbliżyła się do kupca, który już siedział na wielbłądzie.

– Ten człowiek – powiedziała wskazując starca – prosi, abyś mu pozwolił iść z karawaną.

Wzruszył ramionami.

– Już mu powiedziałem: nie biorę ze sobą starych trupów! Wezmę go, a on zaraz za bramą ustanie. I co z nim zrobić? Zostawię na drodze na łup szakali? Przestań się nim interesować i chodź. Już ruszamy.

– Nie mogę go zostawić.

– Chcesz z nim zostać?

– Zostanę.

– Oszalałaś! Chodź. Obiecałem Kleofasowi, że cię doprowadzę cało do Jerozolimy.

– Doprowadziłeś mnie aż dotąd. Bardzo ci jestem wdzięczna...

– Robisz głupstwo. Jesteś samotną dziewczyną. Do Jerozolimy masz jeszcze cały dzień drogi.

– Pozwól mi postąpić, jak uważam za słuszne.

Burknął coś gniewnie. Jeszcze chwilę zdawał się namyślać. Potem cmoknął na wielbłąda i wyjechał na czoło gotowej do drogi karawany. Dał znak ręką. Wielbłądy ruszyły. Potem poszła gromada pieszych. Jeszcze chwila, a zniknęli za bramą.

Wolnym krokiem ruszyła w stronę, gdzie stał stary człowiek. Zdusiła w sercu smutek, który obudził odjazd tamtych. Oni już dziś będą w Jerozolimie, myślała. Gdybym poszła z nimi, już jutro rano mogłabym zobaczyć Elżbietę... Była w niej taka niecierpliwość. A jednak wola zaopiekowania się starym człowiekiem okazała się mocniejsza.

– Jesteś znowu? – zapytał spostrzegłszy ją. – Myślałem, że należysz do nich i poszłaś z nimi.

- Mówiłeś, że jesteś sam...
- Jestem sam i sam pójdę.
- Więc pójdę z tobą.
- Nie, nie – sprzeciwił się. – Jesteś dobrą dziewczyną. Ale nie możesz iść ze mną. Jestem słaby i stary. Będę włókł się wolno.
- Będziemy szli wolno, będziemy często odpoczywali.
- Nie – opierał się. – Mnie nikt nie napadnie, bo nic by z tego nie miał. Ale gdyby ciebie napadli, nie zdołałbym ciebie obronić.
- Najwyższy ustrzeże nas od złej przygody.
- Jesteś odważna i pobożna. Nie mogę jednak korzystać z twojej dobroci. Znajdź inną karawanę, dołącz do niej.
- Pójdę z tobą, ojcze.
- Jesteś uparta.
- Proszę cię...

Nic już więcej nie powiedział, tylko zwrócił się w stronę bramy. Szła obok niego. Opuścili miasto, wyszli na drogę. Czas jakiś szli między kolumnadą włochatych pni palmowych. Potem gaje skończyły się i znaleźli się wśród czerwonych, nagich skał, pod palącymi promieniami słońca.

Krok starego człowieka stał się jeszcze bardziej powolny. Słyszała jego ciężki, sapiący oddech. Droga wiła się wśród skał: znikwała za zakrętem, by potem, gdy wędrowcy do zakrętu dotarli, odkryć nową pętlę. Za każdym razem, kiedy zbliżali się do zakrętu, mężczyzna przyspieszał nieco kroku. Można by sądzić, że spodziewał się, iż zbliżają się do celu. Ale skoro minął zakręt – słabł. Musiała go podtrzymywać.

Koło południa był tak bardzo wyczerpany, że musieli się zatrzymać.

Rozesłała dla niego płaszcz w cieniu skały, pomogła usiąść. Miała wodę skórzanej gurdzie. Podała ją staremu. Pił długo drobnymi łykami. Potem zapytał:

- Kim jesteś?
- Uśmiechnęła się.
- Zwyczajną dziewczyną, jakich wiele.
- Idziesz do świętego miasta?
- Idę dalej jeszcze. Do wsi w górach, gdzie mieszkają moi kuzyni.



– A gdzie są twoi rodzice?  
– Nie żyją. Mieszkam z siostrą w Nazarecie.  
– Wychowano cię dobrze. Nie jesteś taka, jakich wiele. Młodzi podobni tobie nie troszczą się o starych. Zajęci są tylko sobą. Dla starych bywają twardzi.  
– Może nie zawsze rodzice potrafią zrozumieć swoje dzieci.

Potrząsnął stanowczo głową.

– Póki rodzice są silni, dzieci korzystają z ich starań. Ale kiedy przychodzi słabość, odwracają się od nich!

Przez chwilę gładziła w zamyśleniu brzeg płaszcza. Czy masz, ojczy, dzieci? – zapytała.

– Mam – rzucił krótko i mocno zacisnął wargi. Patrzył przed siebie w skalny żleb pełen kamieni przypominających kształtem bochenki chleba.

– I na pewno je bardzo kochasz – powiedziała. – Na pewno nie chciałbyś, aby je dotknęło nieszczęście.

– To prawda – przyznał.

– Modlisz się za nie...

– Modlę.

– Jesteś prawdziwym ojcem, nie potrafisz zachować urazy. Jesteś gotów zawsze przebaczyć.

– Dzieci – powiedział gorzko – nie potrzebują przebaczenia, gdyż nie widzą w sobie winy. Może to właśnie jest moim grzechem, że nie potrafię być surowy...?

– A jednak Najwyższy nie chce być surowy. Zawsze gotów jest przebaczać i nie lubi karać... Nie pragnie, aby się Go bano...

Poczuła na swej twarzy jego uważne spojrzenie. Jasne oczy spoglądały na nią długo spod krzaczastych brwi. Odruchowo pod naciskiem jego wzroku spuściła głowę.

– Skąd ci takie myśli przychodzą do głowy? – zapytał. – Tego na pewno nikt cię nie nauczył. Kapłani i doktorzy mówią inaczej.

– To prawda – przyznała. – A jednak... czy nie dlatego dał rodzicom taką miłość do dzieci, aby pokazać, jak sam kocha?

Milczał chwilę.

– Śmiało to powiedziałaś – rzekł wreszcie. – Jakbyś nie była dziewczyną... Moje

córki tak myśleć nie potrafią – westchnął.

– Może – powiedziała cicho – nie potrafią tego powiedzieć?

– Bronisz ich – w zamyśleniu kiwał głową. – Chociaż sama jesteś inna – Dzieci – znowu westchnął. – Gdy są małe, troszczymy się o nie. Chcemy przekazać im, co uważamy za najważniejsze. Ale one lekceważą nasz dar... Ściągają na siebie karę...

– A ty, ojciec, chciałbyś je ustrzec od niej?

Znowu pokiwał głową.

– Jest tak, jak powiedziałaś.

Czas jakiś milczał. Potem rysując coś kijem na różowym pyłe pokrywającym drogę podjął:

– Modliłem się, aby Najwyższy zabrał mi życie... Bałem się, że może przyjść chwila, iż poskarżę się... Nie chcę być dla nich oskarżycielem. Ale On mi odpowiedział...

Znowu zamilkł. Czuli, że sprawa, o której chce powiedzieć, jest dla niego czymś niezmiernie ważnym, czymś, co dla swej wagi niełatwo może być wypowiedziane.

– Ten człowiek, który nie chciał mnie wziąć, nie miał racji. Jestem stary, ale nie umarłbym mu w drodze. On powiedział, że mam żyć i będę żył, aż zobaczę...

Nie wyjaśnił, kto to powiedział i co miał zobaczyć, ale jej się wydało, że odgadła. Milczała. Czy mogła mu powiedzieć, że naprawdę bliska jest chwila spełnienia? Jej także trudno było mówić o łasce, jaka ją spotkała. Nigdy zresztą nie umiała mówić o sobie.

– Wtedy – zakończył – będę mógł spokojnie umrzeć.

Nie podjęli dalszej rozmowy. Czas było ruszyć dalej. Szli wolno krok za krokiem. Upał stał się aż gęsty. Stary człowiek postępował coraz wolniej. Wspierał się ciężko na jej ramieniu. Droga za każdym występnem zdawała się wydłużać. Była zupełnie pusta. Nikt ich nie mijał.

Jeszcze raz odpoczęli. Podczas odpoczynku nie rozmawiali. Starzec zdawał się drzemać, Miriam czuła jakby ucisk nad czołem. Była bardzo zmęczona. Myśli plątały się, krew huczała w skroniach. Kiedy trzeba było na nowo podjąć marsz, sama ledwo się podniosła.

Aż wreszcie wieczór spłynął na czerwone skały. Zapłonęły purpurą, jakby zalały się krwią, a potem zaraz poczęły szarzeć. Cienie kładły się na drogę niby rozpościerane pod nogami płaszcze. Powiał wiatr. Teraz było łatwiej iść. Ale zbyt byli wyczerpani oboje.

Zrozumiała, że tego dnia nie dojdą już do Jerozolimy. Znowu wrócił żal, że upłynie jeszcze dzień, a może i więcej, nim zobaczy Elżbietę. Razem z tym żalem ogarnął ją nagły niepokój. Wyobraźnia zaczęła jej podsuwać niepokojące obrazy tego, co może ich spotkać, gdy pozostaną na noc samotni na pustym odludziu. Zwykle potrafiła zapanować nad wyobraźnią. Ale widać zmęczenie sprawiło, że tym razem nie mogła jej przemóc. To były nie tylko obrazy. Także jakiś głos zdawał się szeptać: Skoro zostałam wybrana, powinnaś była czuwać nad sobą... Zlekceważyłaś to. Zabawiasz się w opiekunkę starego człowieka, którego porzuciły własne dzieci. A może one miały rację? Znasz tylko to, co on mówił. Zlekceważyłaś niezwykle dar. Lekkoomyślnie naraziłaś się. On może cofnąć swoją łaskę. Nie musi nawet nic uczynić. Po prostu nie stanie się to, co wierzysz, że się stało...

Nie próbowała wdawać się w dyskusję z głosem. Usiłowała go po prostu zagłuszyć. Mówiła sobie: temu człowiekowi trzeba było pomóc. Nawet nie pamiętała swego ojca. Całe życie tęskniła do tego nieznanego człowieka, który nosił ją na rękach. Czuła słabość do starych ludzi – jej ojciec, wiedziała, był starym człowiekiem, żywiącym ojcowskie tęsknoty. Takie jak ten, którym się zaopiekowała. Bolała ją ich samotność. Zdawała sobie sprawę, że nie można żadnego z nich pozostawić w rozpacz. To niemożliwe, aby Najwyższy gniewał się na nią dlatego, że zajęła się tym starcem. Nie byłby Tym, kim jest!

Powiedziała to w duchu z zuchwałym przekonaniem. Wokół nich zapadł zmierzch, jakby opadła ciemna kotara. Ale właśnie mrok, jaki ich otaczał, pozwolił Miriam dostrzec w dali połyskujące światelka. Tam na wzgórzu przed nimi była osada ludzka.

– Jeszcze tylko trochę, ojciec – powiedziała. – Patrz, tam widać światła.

Tam są ludzie. Jeszcze tylko trochę, a znajdziemy pomoc i schronienie.

Stary człowiek był całkiem wyczerpany. Włókł się jeszcze, ale potykał się za każdym krokiem. Początkowo prowadziła go, potem musiała go prawie wlec. I ona gonila już ostatkiem sił. Co parę kroków musiała się zatrzymać. Oboje dyszeli.

– Zostaw mnie... – mówił.

– Nie, nie...

– Zostaw...

– Nie. Powiedziałeś, że ci obiecał. Skoro masz żyć, musisz dojść.

Była już noc, gdy dowlekli się do pierwszych domów. Niektóre były zamknięte, a ludzie w nich spali. Ale przed jednym palił się ogień, a przed ogniem siedziała zebrana rodzina. Wszyscy zerwali się na widok śmiertelnie wyczerpanego starca, niesionego prawie przez młodą dziewczynę. Mężczyźni chwycili starego pod ręce i posadzili pod ścianą. On jednak osuwał się bezwładnie. Wtedy wzięli go na ręce i wnieśli do domu.

Miriam usiadła na ziemi. Teraz dopiero zdała sobie z tego sprawę, jak bardzo jest zmęczona. Całe ciało bolało ją. Pot mimo chłodnego powiewu spływał strużkami z czoła.

Jakaś kobieta podeszła do niej i ogarnęła ją ramieniem. To musiała być żona gospodarza. Miała smutną twarz.

– Jesteś zmęczona, dziewczyno. Czy z daleka go tak prowadzisz? – pytała.

– Z Jerycha...

– O Adonaj! Aż z Jerycha! Słyszeliście? – mówiła do ludzi, którzy siedzieli przy ogniu. – Prowadzi go aż z Jerycha. On ledwo żywy, ale i ona ledwo żywa! Biedaczka...! Musieliście iść taki szmat drogi?

– On chciał... Nie mógł iść sam...

– Czy to twój ojciec lub dziadek?

– Nie. Nie znam go. Spotkałam go w Jerychu...

– I prowadziłaś go całą drogę?! Nikt nie mógł z nim iść?

– Ja wiem, kto to jest – rzekł jeden z mężczyzn, który wnosił starego do domu, a teraz wrócił znowu do ogniska. – Nazywa się Symeon. Mieszka na Bezecie. Był kiedyś bogatym kupcem. Ale żona mu umarła, dzieci go opuściły, został sam. Bardzo pobożny człowiek. Robił wiele dobrego dla ludzi, wspomagał biednych...

– Skąd się wziął w Jerychu?

– Może poszedł odwiedzić córkę. Ona tam mieszka.  
– To ona powinna go była odprowadzić albo odwiedzić!  
– Chodź, dziewczyno – powiedziała kobieta. – Musisz wypocząć. Taka jesteś młoda, prawie dziecko. Przygotuję ci coś do zjedzenia, a potem musisz się położyć.

Miriam poszła za nią bez sprzeciwu w głąb domu. Teraz, gdy ruszyła się po chwili siedzenia przy ognisku, poczuła, że całe ciało ma zbolące, jakby było zbite. Każdy ruch sprawiał jej ból.

W ciemnym kącie izby, słabo oświetlonej płomykiem kaganka stojącego na stole, płakało dziecko.

– Czemu ono tak płacze? – zapytała. Głos kobiety w mroku odpowiedział jej:  
– Lepiej nie pytaj...

Usłyszała, jak matka pociąga płaczliwie nosem. Miriam zbliżyła się do posłania, na którym leżało dziecko, i pochyliła się nad nim. Kobieta powiedziała:

– Lepiej nie dotykaj go...

Zrozumiała od razu, dlaczego tamta to mówi. Na czerwonej twarzyczce dziecka widać było wyraźnie białe plamy. Poczuła, jak ją przebiegł dreszcz.

– Chodź – powiedziała kobieta. Krzątała się nie przestając wzdychać i pociągać nosem. Położyła na stole jęczmienny placek i postawiła kubek mleka. – Jedz – zrobiła zachęcający gest.

Miriam zbyt była zmęczona, aby jeść. Piła tylko chciwie. Kobieta siadła obok niej przy stole. Teraz w blasku kaganka Miriam widziała jej nabrzmiałe łzami oczy i wyraz bólu w dygoczących ustach.

– Sama nie wiem, skąd przyszła ta choroba – powiedziała nagle. – Co złego uczyniliśmy, że nas Najwyższy tak dotknął... – Przez chwilę słyszała tylko jej szybki oddech. – Był u nas kapłan. Widział go. Powiedział, że będę musiała go oddać. Że nie może zostać we wsi... A to mój pierworodny... – załkała. – Mój Łazarz...

Przez chwilę płakała. Miriam milczała. Ból kobiety stawał się jej bólem. Zrobiłaby wszystko, aby móc ją pocieszyć. Potem łkania ucichły. Kobieta zapytała:

– Nie będziesz jadła?  
– Nie mogę. Wypiłam mleko.  
– W takim razie chodź, połóż się.

Wskazała Miriam ką, gdzie rozesłała dla niej dery. Zmówiwszy krótką modlitwę Miriam wyciągnęła się na posłaniu. Ale choć śmiertelnie zmęczona, czuła, że spać nie będzie mogła. Dziecko chwilami cichło, a potem budziło się i znowu płakało. Jego matka nie spała – zdradzał to jej nierówny oddech. Czasami wstawiała, podchodziła do posłania dziecka. Potem kładła się znowu.

Zbolałe ciało rozprężyło się. Znowu wróciło do niej pytanie: więc stało się, co tamten powiedział, że się miało stać? Nie było w niej żadnego powątpiewania w samą możliwość cudownego wydarzenia. Nie było nawet wahania. Była pewna, że dla Niego nie ma rzeczy niemożliwych. Nawet poczucie niegodności przygasło. Nie przestała się uważać za zwyczajną dziewczynę. Uznała jedynie, że jeśli Najwyższy chciał ją wybrać – z całą jej zwyczajnością – zrobił to właśnie dlatego, aby okazać, jak bardzo kocha człowieka.

Teraz pojęła, że ten, który zjawił się u niej w postaci kwiatu i ognia, przygotowywał ją. Uczyl, jak nie odchodząc od pokory, wznosić się nad nią wdzięcznością i dziecinną radością wobec wspaniałości tego, co się miało spełnić. Tamta chwila nie wystrzeliła piorunem. Ona szła ku niej łagodnie prowadzona. I jeśli pytanie: czy się to stało, co się miało stać, wracało jeszcze do niej – to działo się tak dlatego, że pozostała jeszcze na drodze jej wrodzona trzeźwość. Miriam nie wątpiła w cud – wiedziała jednak, że istnieją złudzenia i omamienia. Ufała Bogu, ale nie ufała sobie.

Wysłannik zdawał się to pojmovać. W jego uniżonych słowach – tak bardzo uniżonych, jakby nie był przybyszem z wysoka – wydało jej się, że usłyszała zapowiedź znaku potwierdzającego. Gdy w parę dni później przyszła wiadomość od Elżbiety, doznała wstrząsu. To jest ten znak! – myślała. Bo dla czego innego mówiłby jej o mającym się narodzić synu Elżbiety? Nie musiał jej przekonywać o wszechmocy Najwyższego.

Dlatego chciała jak najprędzej dotrzeć do ciotki. Dlatego wyruszyła w drogę niepomna niebezpieczeństw i trudów. Dlatego – wołała iść sama...

Gdyby była poszła z tamtymi, już rano zobaczyłaby kobietę, która ją wychowała. Poznałaby, jak tamta przyjęła otrzymaną łaskę. Człowiek, który przywiózł wiadomość, mówił, że Elżbieta ukryła się w domu i nikogo nie widuje. Ciotka, myślała, nauczy ją, jak postępować, gdy cudowność ukryła się w zwyczajności. Wyjaśni, o czym mówić, a co

pozostawić w milczeniu. Jak zachować się, by nie zranić kochanego człowieka... Płonęła niecierpliwością, aby jak najprędzej zobaczyć się z Elżbietą.

Mimo to nie żałowała swego postępu. Symeonowi trzeba było pomóc. Nie tylko dlatego, że był skrzywdzonym ojcem. Najwyższy dał mu jako pociechę obietnicę, a ona była nosicielką tej obietnicy.

A więc On już jest... I stanie się jej dzieckiem! Będzie małą istotą wymagającą opieki. A jednocześnie kimś niezwykłym. Te dwie sprawy wydawały się nie do pogodzenia. Nie kłopotą się tym. Po prostu czekała na to, co się stanie. Nie chciała niczego się domagać, o nic prosić. Kto tyle dostał, co ona, myślała, winien wszystko zostawić Dającemu.

Chore dziecko w kącie izby zapłakało głośniejsze i boleśniej. Matka nie poruszyła się. Zmęczenie musiało ją w końcu uspić. Oddychała ciężko, ale równo.

Miriam usiadła na posłaniu. To przyszło do niej jak rozkaz. Wstała, cicho, na palcach zbliżyła się do płaczącego dziecka.

Jeszcze wydało jej się, że usłyszała tamten głos, który mówił na drodze. Szeptał: Nie podchodź! Nie dotykaj! Jesteś wybrana, musisz strzec siebie...! Tym razem zdusiła ten głos w sobie od razu. Wyciągnęła rękę, położyła ją na rozpalonym czole dziecka. Powiedziała w duchu: „Skoro jesteś, spraw, aby moja dłoń była na chwilę Twoją... Niech przyniesie trochę ulgi...”

Jej dotknięcie sprawiło, że mały przestał płakać. Jej palce łagodnie gładziły policzki chorego dziecka. Dotknięciem wyczuwała płatki zmartwiałej skóry, ścierała łzy. Nie pragnęła niczego więcej jak tylko, aby się Uspokoił i zasnął. I rzeczywiście szlochy były coraz rzadsze, aż wreszcie ucichły. Oddech stał się spokojny. Zasnęło. Matka nie obudziła się. Cicho wróciła na swoje posłanie.

Był wczesny świt, gdy wyszła przed dom. Przed nią ciągnęły się judejskie góry, niby rozfalowane i zastygłe morze, różowofioletkowe w porannym omgleniu. Głęboko wciągnęła w płuca chłodne i suche powietrze. Galilea i Nazaret były piękne, piękniejsze,

bardziej kolorowe – ale tu znajdowała się jej ojczyzna, skalista naga ziemia, na której wyrosła. Kochała te góry, choć jednocześnie budziły w niej one dziwny lęk.

Posłyszała za sobą kroki. To wyszła także żona gospodarza. Wyciągnęła ramiona i przeciągnęła się. Teraz Miriam mogła zobaczyć, że kobieta jest jeszcze całkiem młoda. Miała ciało nie zniszczone i tylko troska wyryła swe piętno na jej twarzy. Młodość kobiety musiała się buntować przeciwko nieszczęściu. Ale teraz w obliczu gór i poranka wszystko w niej zdawało rwać się do życia. Na twarzy zapalił się na chwilę wyraz radości. Ale natychmiast zgasł. Wrócił wyraz smutku i bolesnego oczekiwania.

– Łazarz mniej płakał tej nocy niż zwykle – powiedziała. – Więc pewno mogłaś odpocząć. Ja także spałam mocno. Dawno już tak nie spałam. Nie powinnam była tak spać...

– Powinnaś spać, aby nabrać sił.

Zrobiła niechętny ruch ręką, ciężko przełknęła ślinę. Serce szukało nadziei, ale pamięć już wydobywała ból, jak dzień wydobywa z mroku zanurzone w nim kształty.

– Po co mi te siły! Jutro ma przyjść kapłan. Przyprowadzi ludzi, którzy zabiorą mi dziecko... A tacy moglibyśmy być szczęśliwi! – wyrwało się kobiecie.

– Spróbuj jeszcze jednego lekarstwa. Wiem, że gdy okłada się zmartwiałą skórę płatkami cebuli, bywa, że przychodzi uzdrowienie...

– Tylu rzeczy próbowaliśmy! – westchnęła.

– Spróbuj jeszcze tego. I pomódl się do Najwyższego.

– Tyleśmy ofiar złożyli...

– Pomódl się jeszcze raz.

Stały naprzeciwko siebie wobec gór, z których słońce ścierało mgłę.

– Co zrobisz? – pytała kobieta. – Pójdiesz dalej sama, czy będziesz czekała na Symeona?

– Nie wiem, czy zdoła iść...

– Dziś ani jutro nie pójdzie. Śpi i jest bardzo wyczerpany. Nie czekaj na niego. Pewno masz swoje sprawy. Zaopiekujemy się nim, a potem mężczyźni odprowadzą go do miasta.

– Jeżeli tak, to chyba pójdę...

– Idź. Pewno spieszysz do kogoś bliskiego?



- Tak. Zgadłaś. Chciałbym zejść tam, dokąd idę, jak najszybciej...
- Możesz iść spokojnie. Spełniłaś dobry uczynek i Najwyższy cię wynagrodzi...

Lekko potrząsnęła głową. Miała ochotę powiedzieć: On dał mi tak wiele, nie można więcej... Ale tego nie potrafiłaby powiedzieć nikomu, a tym bardziej tej kobiecie, której ból czaił się za każdą chwilą zapomnienia.

- Jak się nazywa wasza wieś? – Jeszcze zapytała.
- Betania. Gdy kiedyś będziesz tędy szła nie zapomnij nas odwiedzić.
- Nie zapomnę. Niech pokój będzie z tobą.
- I z tobą, dziewczyno.

Wchodziła do miasta bramą u stóp narożnika świątyni. Urwista skała przechodziła w mur, tworzyła wysoką, pionową ścianę. Aż się kręciło w głowie, gdy się spoglądało w górę.

Zanim jeszcze przestąpiła bramę, schodziła w wąwóz Cedronu drogą prowadzącą po zboczu góry, porosłej drzewami oliwnymi. Kamienista ścieżka przewijała się między pniami grubymi, jakby opuchłymi. Przez cały czas, gdy szła w dół, miała przed sobą rozbłyszczone w słońcu fronton świątyni. Jej mury dźwigały się ponad ciągnący się nad przepaścią portyk. Tam w świątyni już się widać skończyły ranne obrzędy i teraz z rusztowań otaczających mury dochodziły, powtarzane echem, stukania młotów i siekier. Ciągłe jeszcze wykańczano budowlę. Herod, jak mówiono, lubował się w myśli, że stwarza rzecz niezwykłą. Był dumny z tej świątyni. Nie żałował na jej budowę pieniędzy. Z całego kraju zwoływał robotników i kazał im dobrze płacić. Pokryte złotymi i srebrnymi blachami bramy aż się jarzyły w słońcu. Jego blask zdawał się spływać po złotych kolcach, którymi zabezpieczono dach przed ptakami.

W pewnej chwili zatrzymała się na ścieżce. Dostrzegła coś, czego nie było dawniej, wtedy, gdy jeszcze nie przeniosła się do Nazaretu i często widywała świątynię. Na frontonie, nad brązową bramą Nikanora, tam gdzie poprzednio zwisała odlana ze złota kiść jagód winnych, rozpinał swe skrzydła złoty ptak. Słyszała już o tym od pielgrzymów, którzy wracali z Jerozolimy i opowiadali z oburzeniem o bluźnierstwie, jakie popełnił król, Polecając zawiesić na ścianie świątyni rzymskiego orła. Świątynia została tym orłem sprofanowana!

Popatrzyła na ptaka i odruchowo spuściła głowę. Wychowana w kapłańskim domu wiedziała, że Prawo zakazuje przedstawiania podobizny żywej istoty. Jeśli tego żądało Prawo, myślała, tego widocznie chciał Najwyższy.

Aby ktoś sprzeciwił się Jego woli – budziło to zgrozę. On nie chciał być zmieszany ze zwykłymi istotami stworzonymi. W takim razie kim będzie Ten, stanęło przed nią, który został cudownie poczęty? Czy urodzi się zwyczajnie jak człowiek? Czy będzie dzieckiem żyjącym wśród dzieci i wśród zwierząt – czy też Istotą tajemniczą oddaloną od wszystkiego, co żyje? Kim będzie? Skoro ma być moim synem – będzie chyba człowiekiem...?

Szybko ruszyła dalej. Biegła w dół, by uciec od tych myśli. Nie chciała ich. Pragnęła we wszystkim poddać się woli Najwyższego. Dnem wąwozu sącył się potok. Był prawie całkowicie wyschnięty. Przekroczyć go można było suchą nogą w każdym miejscu. Z dna wąwozu świątyni nie było widać.

Potem minęła bramę, przeszła obok stojącego na zboczu Ofelu pałacu, zanurzyła się w zapadlisko Tyropeonu. Idąc przez Górne Miasto miała nad sobą zębate mury pałacu Heroda, między którymi wznosiły się wieże, noszące imiona Fazaela, zabitego brata króla, i Mariammy – zamordowanej żony Heroda. Nie zatrzymała się ani na chwilę w murach miasta. Przeszła przez Jerozolimę i opuściła ją bramą obok Sadzawki Wężów.

Znowu miała przed sobą góry. Te, które teraz widziała, znała doskonale. Tyle razy w życiu na nie patrzyła. Z każdym krokiem szła szybciej. Weszła na skalny grzebień, którego grzbietem prowadziła droga do Hebronu. Ale potem zaraz skręciła w zielony parów.

Serce zaczęło jej bić i biło mocno. Nogi same przyśpieszały. Tutaj rozpoznawała każde drzewo. Dzień już zaczął skłaniać się ku zachodowi, ale pora była jeszcze dość wczesna i słońce zachowało swój żar. Długie smugi cienia kładły się pod nogi spieszącej. Już prawie biegła. Chwilami brakło jej tchu. Aż wreszcie wśród zieleni zamajaczył białą dom, który przez lata był jej domem.

Dopadła furtki. Pchnęła ją tak silnie, że aż uderzyła o przeciwległy mur. Biegła ścieżką wśród grządek. Nagle doszedł ją głos, który zawołał: „Miriam!” Poznała, kto ją woła. Pobiegła w tamtą stronę. Zobaczyła Elżbietę. Stara kobieta spieszyła także, choć jej przeszkadzało zniekształcone ciało. Ona także musiała niecierpliwie czekać na chwilę

spotkania.

Już były naprzeciwko siebie z szeroko wyciągniętymi ramionami, już Miriam miała się rzucić na szyję swej opiekunki. Lecz nagle stara kobieta zatrzymała się. Niezgrabnie pochyliła się, nieomal przykucnęła w pokornym ukłonie. Miriam zatrzymała się także, zaskoczona. Wydało jej się, że ciotka nie poznała jej, że ją wzięła za kogoś całkiem innego.

– Elżbieto – powiedziała – to przecież ja...

– Wielkie mnie szczęście spotyka, że matka mego Pana przyszła do mego domu – rzekła kobieta nisko schylona.

Jej ręce chciały objąć nogi Miriam. Ale ona podźwignęła Elżbietę, przycisnęła do piersi.

– Co ty mówisz...? – zapytała głosem drżącym od wzruszenia.

– Jesteś najszczęśliwszą z kobiet, bo uwierzyłaś...

Miała uczucie, że jej zabrakło tchu w piersiach. Tak – to było zapewnienie wyraźne i oszałamiające. Nie uległa złudzeniom. Nie wyśniła tego, co się stało. Przycisnęła dłonie do piersi, które rozpierała radość. On był – był prawdziwie! Spełniło się to, na co czekały wieki. I to jej, jej zostało dane to szczęście.

– Więc wszystko wiesz? – zapytała gorącym szeptem.

– Wiem – mówiła Elżbieta. – I jeśli wątpiałam, otrzymałam potwierdzenie. Bo gdy szłam, by ciebie powitać, dziecko poruszyło się we mnie... Pierwszy raz! Dało znak, że żyje, że jego życie nie jest złudzeniem... Och, teraz nie lękam się niczego! On się urodzi i będzie tym, kim kazano mu być! Mój Jan! Pójdzie przed Nim... O, Miriam! Stały się rzeczy wielkie i cudowne...

Słowa Elżbiety jeszcze bardziej rozpałały jej radość. Była ona niby ogień, który ogarnął suchy krzak i pochłania go wśród trzasku i sypiących się iskier. Tej radości nie mogła utrzymać w sobie. Nie zwykła była mówić wiele, ale teraz miała ochotę krzyczeć i oznajmiać swoje szczęście całemu światu. Zamknęła oczy, przycisnęła dłonie do piersi. Nie, niezdolna była zatrzymać dla siebie tego, co się pieniało w jej sercu. Musiała mówić, śpiewać:

– Bądź pochwalony, Panie mój i Zbawco! Jak mam Ci wyrazić moją radość z tego, że dostrzegłeś Twoją służebnicę pomimo jej małości? Sprawileś, że wszyscy

ludzie, wszystkie narody zawsze i wszędzie nazywać mnie będą błogosławioną przez Ciebie. Jaki jesteś dobry, Panie, jaki miłosierny. I zawsze byłeś taki, od wieków. Schodziłeś do pokornych, a upominałeś pysznych. Ubogich wspierałeś, a bogaczom ukazywałeś złudny blask bogactwa. Takim byłeś i takim, jesteś. I cokolwiek zapowiedziałeś – wszystko spełniasz...

Dzień gaśł, przypalając czerwienią szczyty drzew. Ale dla dwóch kobiet przytulonych do siebie wschodził dzień szczęścia spełniających się marzeń.

## 14

Była już połowa miesiąca kislew. Chłodny suchy wiatr spijał ostatnie wody po jesiennych deszczach.

Miriam nie wracała. Po przybyciu do ciotki przesłała do szwagra wiadomość, iż dotarła szczęśliwie i że musi pozostać przy oczekującej dziecka Elżbiecie. Nieprawdopodobna wiadomość została potwierdzona: żona Zachariasza rzeczywiście spodziewała się dziecka. Ale po tej wiadomości zapadła cisza. Mijały miesiące i ani Miriam nie wracała, ani też żadna wiadomość od niej nie nadchodziła.

Józef pracował wciąż dużo i ta praca skracала mu ciągnący się leniwie czas oczekiwania. Zamówienia przychodziły jedno za drugim. Rosła wokół niego sława zręcznego naggara, który wszystko potrafi zrobić.

Pewnego dnia zjawił się przed warsztatem Józefa człowiek ubrany w cenną szatę, z łańcuchem na szyi i w sandałach z purpurowej skóry. Przyjechał na ośle. Towarzyszyło mu dwóch służących. Jeden z nich trzymał nad jadącym zielony parasol. Józef poczuł się zaniepokojony, gdyż domyślił się w przybyłym królewskiego urzędnika. Ale gdy tamten zaczął mówić, obawy Józefa rozproszyły się od razu. Okazało się, że nawet do pałacu w Sebaste dotarła wieść o utalentowanym rzemieślniku. Urzędnik został wysłany dla przekonania się, czy naggar z Nazaretu potrafi wykonać niezwykle zamówienie: siedzisko do lektyki, w której noszono króla.

– To, co powiem – mówił urzędnik siedząc rozparty na ławce do stojącego przed nim Józefa – masz zachować tylko dla siebie. Pamiętaj – pogroził Józefowi palcem – nie

wolno ci tego nikomu powtarzać! Żle by było z tobą, gdybyś te rzeczy zaczął rozgłaszać. Mam jednak nadzieję, że jesteś mądry. Więc słuchaj: króla trapią choroby. Gdy chodzi, chwytają go bóle, trzeba go nosić. Ale żeby ból nie przyszedł, musi siedzieć wygodnie. Musisz wysilić całą swoją umiejętność. Jeśli zrobisz rzecz dobrze, zostaniesz sownie opłacony i będziesz miał sławę, że pracowałeś dla króla. Może nawet otrzymasz i inne zamówienia. Ale jeszcze raz ci przypominam: ani słowa o chorobie króla! Ani matce, ani żonie, ani dzieciom! Nikomu! Jeśli mi doniosą, że rozpowiadasz, o czym ci powiedziałem, przyjadę z żołnierzami, którzy się tobą zajmą. Pamiętaj! – jeszcze raz podniósł ostrzegawczo palec w górę.

Józef skinął głową. Tajemniczość urzędnika trochę go zdziwiła – o chorobie króla mówili przecież wszyscy w kraju.

Tamten rzucił mu złotą monetę jako zadatek i podsadzony przez służącego na osła odjechał. Józef wziął się zaraz do roboty. Zamówienie miało być wykonane bardzo szybko i urzędnik zapowiedział, że przybędzie po zrobioną pracę na czwarty dzień.

Zjawił się rzeczywiście czwartego dnia z groźną miną przekonany, że termin nie został dotrzymany. Ale praca gotowa czekała. Oglądając siedzisko nie potrafił ukryć swego zadowolenia. Zapytał, ile Józef chce za swą robotę, a gdy usłyszał cenę, na jego chudej, szczurzej twarzy ukazał się wyraz niedowierzania. Kazał sobie tę cenę jeszcze raz powtórzyć. Wtedy wybuchnął głośnym śmiechem. Wpadł od razu w doskonały humor. Poklepał Józefa po plecach. Przywołał służących. Jednemu kazał opakować starannie siedzisko i załadować na grzbiet przyprowadzonego jucznego osła, drugiemu polecił wydobyć z juk worek z winem.

– Siadaj – wskazał Józefowi miejsce obok siebie na ławie. – Widzę, że jesteś i zręczny, i mądry. Spodobałeś mi się. Wypiję z tobą za dobrze wykonane zamówienie. Takiego wina w życiu nie piłem. Prawdziwe wino z królewskiego stołu.

Służący nalał wino do kubków. Józef przyniósł dzbanek z wodą do wina, ale urzędnik odsunął dzbanek pogardliwym ruchem.

– Zwariowałeś? Wodę do takiego wina? Jesteś prostakiem. Ale mimo to podobasz mi się. Jak się nazywasz?

– Józef, syn Jakuba.

– Będę o tobie pamiętał, Józefie. Mówi się, że w Nazarecie mieszkają sami

złodzieje i oszukańcy. Ale ty, widzę, jesteś uczciwy. Zrobię ci przysługę i opowiem o tobie na dworze królewskim. Nie zabraknie ci zamówień. Wtedy nie zapomnij, komu to zawdzięczasz. Nazywam się Kostobar i jestem jednym ze służących wielkiego Boargasa, który strzeże bezpieczeństwa króla...

Józef o nic nie wypytywał swego gościa, ale Kostobar, którego dobry humor jeszcze wzrósł pod wpływem wina, rozgadał się i zaczął opowiadać o tym, co dzieje się na królewskim dworze.

– Najgorsze u nas, mój drogi, to babskie gdakanie – mówił. – Bab zatrzesienie, wszystkie gadają i klócą się ze sobą. Salome i jej córki drą koty z Roksana, jej matką i siostrą. A za nimi wszystkie dworki gotowe sobie powydrapywać oczy. Skłóciły króla z bratem. A on porywczy i skory do gniewu. Może dlatego, że ciągle napadają go bóle... Pamiętaj, nie gadaj o tym nikomu. Nieraz tak go boli, że krzyczy jak oszalały. Na kobiety coraz mniej patrzy. Myślę, że miałby jeszcze chętkę na żonę brata, ale ona mu się opiera... Chytra kobieta, ma swoje plany... Nie wygadaj tego, ale spotyka się z przywódcami faryzeuszy i gada z nimi. Przyobiecują jej różne rzeczy.

Oni podobno umieją robić cuda. Mój pan prosił Roksane, żeby postarała się u nich, by mógł mieć związki z kobietami. Pragnie mieć syna... Nie wiem, czy taki cud potrafią sprawić ci wasi faryzeusze, jak myślisz?

– Nie sądzę...

– Jednak obiecują. Ty nic nie wiesz, jesteś amhaarecem, chociaż umiesz robić ładne rzeczy. Tylko nie zacznij rozgadywać, pamiętaj! Król przestał pożądać kobiet. Woli chłopców...

– To wstrętne...!

Kostobar wybuchnął śmiechem.

– Widzisz, jakim ty jesteś prostakiem. Takie są obyczaje królewskie i chłopcy są w cenie. Król ma zwłaszcza jednego... ładny i niegłupi chłopak.

Jestem z nim dobrze, przynoszę mu różne dary. Teraz kupiłem dla niego menele... To kosztuje, ale to się oplaca. Zresztą, gdy jedną ręką dajesz w drugą coś nieraz spadnie...

Opowiadał rzeczy coraz obrzydliwsze. Józef starał się jego słów nie słuchać. O wstrętnych obyczajach panujących na królewskim dworze ludzie opowiadali dużo

i chętnie. Oburzali się, ale także lubowali się opowiadanymi historiami. Józef nie znosił słuchania o tych sprawach. Słuchanie brudziło wyobraźnię. Usłyszane rzeczy nawet wbrew woli pozostawały w pamięci. Odzywały się w chwilach słabości. A przecież takie chwile przychodziły i wiedział, że będą przychodziły. Godząc się na prośbę Miriam nie miał złudzeń, że nawet największa miłość nie zastąpi potrzeby czujności. Ofiara, jaką uczynił, nie dokonuje się raz jeden. Trzeba ją powtarzać ciągle.

Kostobar plótt i plótt. Nieustannie popijał wino i był już mocno pijany.

– Masz o tym wszystkim milczeć, rozumiesz? – powtarzał. – Mówię ci, bo cię polubiłem. Ale to tylko dla ciebie. Jakbyś rozgadał – koniec... Musiałbym powiedzieć swemu panu, a on... Rozumiesz? Jesteś amhaarecem... Ale ja cię lubię... Robisz ładne rzeczy. Nie wtykaj nosa w sprawy ludzi wysoko stojących... Mówię ci...

W końcu wszystko mu się poplątało. Służący wsadzili go na osia i trzymając go ostrożnie z obu stron powieźli w dół.

Znowu minęło kilka szabatów.

Pewnego dnia – był zajęty jakąś wymagającą wielkiej pilności robotą – usłyszał za sobą znajomy głos. Zdumiony odłożył ośnik, którym wyglądał drzewo, i odwrócił się. Zobaczył przed sobą Sebę – najmłodszego z braci.

Tamten miał twarz nieporządnie obrosniętą, włosy nie obcinane i brudne, opadające na czoło. Ubrany był w stary, podarty worek. Nie podchodził do Józefa, tylko z odległości składał mu niskie ukłony i wydawał płaczliwe okrzyki.

Od razu zrozumiał, co się stało.

– Nie żyje – łkał Seba – nie żyje. Zeszedł do Szeolu. Przychodzę ci o tym powiedzieć.

Zwyczaj nakazywał rzucić się na ziemię, rozedrzeć kuttone, posypać głowę popiołem. On jednak tylko schylił nisko głowę. Nie umiał lamentować jak wynajęte płaczki. Kochał bardzo ojca, ale już wtedy, gdy żegnał się z nim opuszczając Betlejem, był przekonany, że go więcej nie zobaczy. Dawno minęły czasy, gdy Jakub był pełen sił i energii. Wszystko wtedy w rodowej wsi obracało się zgodnie z jego wolą. Nie był despota, ale był człowiekiem silnym i wszyscy szukali u niego rady i pomocy. Potem wszystko się zmieniło. Przyszła słabość. Młodszy bracia nie pamiętali ojca takim, jakim pamiętał go Józef. Nurt życia rodzinnego oddalił się od łoża chorego patriarchy. Leżąc

całymi dniami samotnie Jakub stał się drażliwy i często gniewny. Tyle rzeczy go niecierpliwiło. Młodszy synowie nie przejmowali się tym. Przychodzili do ojca, rozprawiali dużo i głośno, opowiadali ze śmiechem różne rzeczy – nie zwracając uwagi na to, czy się one podobają ojcu – a potem odchodzili do swoich zajęć. Z Józefem było inaczej. Ojciec nic nie mówił. Panowało między nimi uparte, męczące milczenie. Józef był przekonany, że ojciec ma do niego żal za odwiekanie małżeństwa. Ale w tej sprawie powiedział już wszystko. O innych, gdy tylko zaczął mówić – urywał, widząc posępny wzrok Jakuba. Nie potrafił jak bracia bawić ojca opowiadaniem plotek.

Te chwile długiego milczenia sprawiły, że w Józefie narosło poczucie jakby winy wobec ojca. Powróciwszy od Zachariasza opowiedział, co mu mówił stary kapłan. O projekcie Elżbiety nie wspomniał. Nie chciał przedwcześnie wiązać się obietnicami. Pożegnali się w milczeniu, tylko na szyi Józefa zacisnęła się pętla suchych rąk starca. Gdy spoczywał przez chwilę na piersi Jakuba, ojciec szeptał: „Niech cię Najwyższy prowadzi i osłania. Niech cię przyprowadzi bezpiecznie z powrotem do ziemi ojców... Niech...”

Nie dosłyszał dalszych błogosławieństw. Odjechał w poczuciu, że nie potrafi odplacić ojcu za wszystko, co od niego otrzymał. Tu w Nazarecie często myślał o nim. Z odległości widział go lepiej. Poniewczasie żałował każdej chwili przesiedzianej przy posłaniu ojca, która przeszła w milczeniu i nie potrafiła ich do siebie zbliżyć. Ojciec czekał... Józef nieraz modlił się prosząc, aby Najwyższy zechciał wybaczyć jego nieumiejętności wypłacić za nią Jakubowi swoją łaską. Może, myślał, dlatego nie potrafimy pojąć Najwyższego, że nie umiemy zrozumieć naszych ojców...?

Objął brata i przez chwilę ściskali się serdecznie. Seba płakał – zawsze mu przychodziły łatwo i śmiech, i łzy. Miał już żonę i dziecko. Zajmował się rolą. Lubiał zabawę i wesołe rozmowy z przyjaciółmi. Był lubiany.

Wprowadził Sebę do domu, zajął się nim serdecznie. Po ogłoszeniu przyniesionej nowiny Seba mógł się ogolić, przyciąć i namaścić włosy, Pozbyć się żałobnego wola i przebrać w zwykłą odzież. Siedząc przy posiłku młodszy brat opowiedział Józefowi o śmierci ojca. Jakub zmarł spokojnie, wyziębiwszy się w pierwsze chłody. Przed śmiercią wiele mówił o Józefie.

Wypytywał się o niego. Ucieszył się, gdy mu powiedziano, że Józef znalazł



wreszcie dziewczynę, z którą pragnie się ożenić. Snuł marzenia o jego potomstwie i o powrocie najstarszego syna na rodzinną ziemię. Przypomniał synom, że dawna rola Dawida ma pozostać własnością Józefa, niezależnie od tego, kiedy do Betlejem powróci. „Wtedy niech na tej ziemi zbuduje dla siebie dom...” – powtarzał.

Józef słuchał opowiadania Seby ze wzruszeniem. Więc jednak lata milczenia nie zgasiły uczuć ojca. Czy mogły je wygasić? Ojciec, myślał, to ten, który nie przestaje czekać...

Kończąc swe opowiadanie Seba sięgnął w zanadrze i wydobył przedmiot owinięty starannie w cienką skórę. Rozwinął i wtedy Józef zobaczył pierścień. Gruby, nieforemny kawał złota kiedyś coś może przedstawiał, ale dziś zatracił wszelkie zrozumiałe kształty. Pamiętał ten pierścień na chudych palcach ojca. Według tradycji rodzinnej pochodził on od Dawida i zawsze był własnością najstarszego w rodzie.

– Ojciec kazał go oddać tobie – rzekł Seba. – Potem masz go oddać swemu pierworodnemu. Ojciec mówił: „Żałuję, że nie będę mógł przycisnąć do piersi głowy jego syna. Bo on będzie miał na pewno syna...”

Bez słowa sięgnął po pierścień. Otwór był mały, pierścień z trudem wchodził na palec. Zsunął go i trzymał w dłoni. Oddać potem pierworodnemu? – myślał. Nigdy tego pierworodnego nie będę miał!

Kochał Miriam tak bardzo, że kiedy mu powiedziała o swej niezwyklej decyzji, uznał ją bez wahania. W pierwszej chwili był to prosty odruch miłości. Dopiero teraz, gdy Miriam była daleko, zaczął zastanawiać się nad powodami, które kazały dziewczynie złożyć tak niezwykle ślub. To, co Zachariasz uważał za swą hańbę, ona zapragnęła wziąć na siebie dobrowolnie. Chciała swe wyrzeczenie potraktować jako dar. Była jak zawsze śmiała aż do zuchwalstwa. Tak bardzo zachwyciła go tą śmiałością! Tak bardzo pragnął, aby wszystko między nimi było wspólne!

Teraz patrząc na otrzymany pierścień, myślał, że decyzja, którą idąc za nią złożył, była nie tylko wyrzeczeniem się własnych radości. Miała być także zawodem uczynionym rodowi. Główna gałąź rodu uschnie. Pocieszała go wiadomość, że ród był dość rozkrzewiony i zawsze wśród jego przedstawicieli mógł się znaleźć ktoś, czym synem byłby mesjasz... A jednak jego postanowienie wydawać się mogło jakimś przecięciem pewiny łączącej przeszłość z dniem dzisiejszym. Może jednak lepiej, że

Jakub nie żyje? On, który nie potrafił zrozumieć Józefowego czekania, czy potrafiłby pojąć ofiarę Miriam i zgodę Józefa na udział w tej ofierze?

Potem rozmawiał z Sebą o tym, co się dzieje w Betlejem. Brat opowiadał kolejno o każdym członku rodziny, wymieniał świeżo urodzone dzieci.

– Gdy wybierałem się iść do ciebie – mówił – zebraliśmy się i uchwaliliśmy z braćmi, że chcemy, abyś do Betlejem nie wracał. Czasy są wciąż złe. Mówi się, że Herod planuje jakieś nowe zbrodnie.

– Lecz nie szukano mnie?

– Jacyś obcy ludzie kręcili się we wsi... Mogli to być szpiedzy królewscy. Tu w Galilei panuje cisza. Póki nic się nie zmieni, siedź tutaj. Siedź i nie ruszaj się stąd. Damy ci znać, gdy zapanuje spokój. Powodzi ci się chyba nieźle?

– Nie narzekam. Mam wiele pracy.

– Kiedy weźmiesz żonę do siebie?

– Miriam przebywa u swej ciotki. Gdy wróci i zwyczajowy rok upłynie, wprowadzę ją do swego domu.

– Wszyscy się cieszymy, że założyłeś dom. Za długo już było tego czekania. Mając dom łatwiej ci będzie tu wrosnąć. A zawsze ktoś od nas przyjdzie, aby cię odwiedzić.

– Z radością zobaczę każdego z was.

– O ziemię bądź spokojny, zachowamy ją dla ciebie.

Bez słowa skinął głową. Mały skrawek ziemi za wsią, na którym, jak mówiła stara tradycja, pasł owce Dawid, gdy Samuel przyszedł go namaścić, mógł czekać spokojnie na jego powrót. Póki żył ojciec, ciągnęło Józefa do Betlejem. Teraz cisza była tu – a on tak kochał ciszę. I tu rozkwitła jego miłość. Nie odczuwał pragnienia powrotu.

Seba odszedł i znowu mijały dni. Od Miriam nie było nadal żadnej wieści.

Przed nadchodzącym szabatem powiadomiono Józefa, że zwierzchnik synagogi powierzył mu odczytanie maftiru przypadającego na ten dzień. To był wielki zaszczyt,

gdyż wciąż jeszcze uważano go za nowego wśród mieszkańców miasta.

Przygotował się do wystąpienia z całą starannością. Wychodząc do synagogi już ubrany w taliss z wielką gorliwością odmówił berakę, którą należało odmówić przed udaniem się do domu modlitwy: „Jak piękne są twoje namioty, Jakubie, jak rozkoszne są miejsca twego zamieszkania, Zraelu...” Jeszcze zatrzymał się przed drzwiami synagogi, by pomodlić się: „Podnoszę rękę ku Twemu Przybytkowi, o Przedwieczny, błagam Cię, a Ty mnie wysłuchasz...”

Wzruszony czekał, aż hazzan zawoła go. Drgnął, gdy tamten otworzył świętą szafkę, Aron Hakkadesz, wyjął z niej rulon pism prorockich, zsunął z niego haftowany pokrowiec. Usłyszał wypowiedziane swoje imię. Wstał, wstąpił na tebutę. Hazzan podał mu zwój. Wszyscy obecni wstali.

Zanim zaczął czytać, spojrzał znad skracającego się pergaminu na twarze ludzi. Tuż przed sobą miał mężczyzn – bliżej bogatych kupców, dalej skromnych rolników. Znał już prawie wszystkich. W głębi sali widać było balkon. Na nim stały kobiety.

Nagle doznał wstrząsu. Wydało mu się, że wśród twarzy stłoczonych na balkonie kobiet zobaczył twarz tej, o której nieustannie myślał. Czy to możliwe...? Ale nie miał czasu przyjrzeć się dokładniej – trzeba było rozpocząć czytanie. Na próżno jednak chciał zacząć. Litery tańczyły mu przed oczami. Hazzan pośpieszył mu z pomocą. Podał drewnianą rączkę. Wodząc nią po kolumnach liter łatwiej mógł się skupić. Całym wysiłkiem woli zapanował nad niepokojem. Powiedział sobie w duchu: To niemożliwe, przywidziało mi się; gdyby wróciła, wiedziałbym o tym.

Tekst proroctwa Izajasza stał się wreszcie czytelny. Zaczął czytać:

„I znowu Najwyższy rzekł do Achaza:

Proś o znak, a otrzymasz go – z szeolu czy też z nieba.

Achaz jednak odpowiedział:

Nie chcę wyzywać Najwyższego!

Więc ja mówię do was, Domu Dawida:

I ludziom jesteście wrodzy, i odrzucacie wezwania Najwyższego!

Mimo to On wam da znak:

Dziewczyna brzemienna zrodzi syna

I nazwie go: Najwyższy jest z nami...  
Pasterską strawę jeść będzie,  
Aby się nauczył odrzucać zło i wybierać dobro.  
I jeszcze się to nie stanie, a już uwolniona będzie ziemia  
Od królów, których się dziś lękasz...”

Opuścił rulon i zaraz spojrzał niespokojnie ku balkonowi. Nie potrafił jednak zobaczyć tej, której obecność wydało mu się dostrzegł poprzednio. Na nowo skupił się. Jak żądał obyczaj, powinien był powiedzieć kilka słów o przeczytanym ustępie. Zduszonym głosem mówił to, co przygotował: że słowa proroka zapowiadają narodziny króla Ezechiasza, który wbrew własnemu ojcu rozpoczął odnowę moralną i powrót do prawdziwej wiary. Gdy skończył, oddał rulon hazzanowi i zszedł z tebuty.

Po ostatniej modlitwie i po błogosławieństwie ludzie zaczęli tłumnie wychodzić z synagogi. Józefa zatrzymał przewodniczący, aby mu pogratulować pięknie przeczytanego proroctwa i mądrej nauki. Nie mógł popatrzeć na wychodzących. Wracał do domu sam. Na wąskiej ścieżce minął gromadę wracających z domu modlitwy kobiet. Były to żony małych rzemieślników, którzy mieszkali w górnym mieście. Twarze były znajome, toteż gdy mijał kobiety, powiedział:

– Pokój z wami.

Odpowiedziały chórem:

– Pokój z tobą.

Ale jedna zawołała:

– Pewno już widziałeś swoją narzeczoną.

Wszystkie jednocześnie zachichotały, a ten chichot zabrzmiał dziwnie niemiło w uszach Józefa.

Dopiero następnego dnia wieczorem zjawił się u Józefa Kleofas. Zaledwie go Józef zobaczył, od razu wiedział, że przyszły szwagier zjawił się z jakąś niemiłą sprawą,

którą nie będzie mu łatwo wypowiedzieć. Wielki mężczyzna był chmurny, gniewny, a zarazem wydał się zakłopotany. Trzymał oczy wbite w ziemię i zacierał kłopotliwie swe wielkie dłonie. Gdy Józef zaproponował mu posiłek, potrząsnął odmownie głową. Widać było po nim, że nie potrafi ani jeść, ani pić, ani czymś się zająć, póki nie zwali z serca gniotącego je ciężaru.

Józef starał się zachować spokój, ale serce biło mu niespokojnie. On sam od wczoraj nie mógł znaleźć sobie miejsca. Miriam wróciła. Ale dlaczego nikt go o tym nie zawiadomił? Dopiero teraz przyszedł Kleofas posapujący, szarpiący brodę, chmurny. Józef był pewien, że sprawa, z jaką przyszedł, dotyczy Miriam i że jest to coś równie niemiłego jak chichot, który usłyszał poprzedniego dnia.

Już zapomniał o bólu, jaki sprawiło mu nagłe odejście Miriam. Czas zrobił swoje, miłość i tęsknota wzięły górę nad urazą. W końcu wytłumaczył sobie jej postępek: domyślała się, że zechce z nią iść, a sądziła, że nie może się na to zgodzić. Wezwanie Elżbiety było na pewno naglące, musiała się spieszyć. Potem była zajęta przy ciotce i nie miała możliwości iść do Jerozolimy, szukać tam karawany, która by zabrała wiadomość. Tamten człowiek mówił, że Elżbieta kryje się ze swą ciążą. To ukrywanie może także sprawiło kłopot Miriam. Wróci, myślał, i wyjaśni wszystko. Dokuczliwe niepokoje rozwieją się jak dym. Żeby ją tylko prędzej zobaczyć! Żeby prędzej zabrać ją do swego domu! Czekanie, które przez lato nie wydawało się aż tak bardzo dokuczliwe, teraz stało się nie do zniesienia. Nie był w stanie dłużej czekać!

Kleofas nawijał brodę na palec, a potem szarpnął ją niecierpliwie. Wciąż posapywał. Wreszcie powiedział:

– Może już wiesz... Elżbieta urodziła syna...

– Skąd mogłem wiedzieć?

W tym pytaniu był wyrzut. Ale Kleofas mówił dalej, jakby go nie wyczuł.

– Stało się jednak to, czego nikt nie mógł sobie wyobrazić. Ma syna.

Chłopcu dali na imię Jan. Dziwne. Nie ma u nich w rodzinie żadnego Jana...

Wyrzucił to z siebie – i znowu umilkł. To nie była na pewno sprawa, z którą przyszedł.

– Miriam wróciła... – wydusił z siebie w końcu.

Znowu urwał, Józef czekał w milczeniu coraz bardziej niespokojny. Modlił się

w duchu. Miał przeczucie, że za chwilę spadnie na niego coś niezmiernie bolesnego.

– Niedobrze się stało, żeś z nią wtedy nie poszedł... – rzekł Kleofas.

– Jak mogłem iść? Przecież odeszła, nawet nie zawiadamiając mnie o tym.

A zresztą wiesz, że...

Kleofas nie słuchał jego słów. Ciągnął swoje:

– Niedobrze, że nie wzięłeś jej do siebie...

Zagryzając wargi, które zaczęły mu drżeć, powiedział:

– Przecież sam mówiłeś, że powinien upłynąć zwyczajowy termin. Ułożyliśmy, że przenosiny odbędą się teraz...

– To prawda – przyznał Kleofas. – To prawda... Ale nie myślałem... Nie wiem... – zaczął się. Nagle wybuchnął: – Ona jest w ciąży!

– Miriam!? – krzyknął, a w tym okrzyku było oszołomienie.

To musiało być najtrudniejsze do powiedzenia dla Kleofasa. Teraz mówił płynnie, gwałtownie, z gniewem, który zdawał się rósć wraz ze słowami.

– Postąpiłeś źle! Ona jest jak dziecko. Była pod moją opieką. A ty...! Trzeba było powiedzieć! Można było skrócić czas narzeczeństwa! Gdybyś powiedział... Ale tak, jak zrobiłeś...! Jak to wygląda!? Nie spodziewałem się tego po tobie! Myślałem, że mogę ci zaufać! Co powiedzą wszyscy... Była pod naszym dachem! Zawiodłem się na tobie! Traktowałem cię jak brata!

– Ale ja... – zaczął i natychmiast ucichł. To, co było oszołomieniem, przemieniło się w strumień bólu, który bił z samego dna jego istoty. Mocno, do krwi zagryzł wargi. Nie chciał, aby same coś wypowiedziały. Cóż miał mówić? Nie mógł jej oskarżyć... Gdyby oskarżył... W Judei oznaczałoby to wyrok śmierci. Tu w Nazarecie, nie kamienowano niewiernych żon. Ale pogarda, jaka by spadła na dziewczynę, byłaby równie zabójcza jak grad kamieni. Odruchowo przycisnął dłoń do serca, które tłukło się gwałtownie. Opuścił głowę gestem winnego.

– Zawiodłem się na tobie! – ciągnął Kleofas. Gdy Józef krył się w milczeniu, on mówił coraz gniewniej.

– Wyrządziłeś nam wielką krzywdę. Musimy się wstydzić. Jak pokażemy się ludziom? Co powiedzą, gdy już wszyscy mogą zobaczyć, jak jest? Jej także uczyniłeś krzywdę. Myślałem, że jesteś człowiekiem godnym. Miałem do ciebie zaufanie. Nie

zakazywałem wam spotkania się ze sobą. Myślałem: jesteś pobożny, znasz przepisy. Mówiłeś rzeczy, które wydawały mi się zbyt śmiałe, ale myślałem... Myślałem, że skoro polecili cię Zachariasz i Elżbieta, mogę ci zaufać! Nie przyszło mi nawet do głowy, że mógłbyś tak postąpić!

Zerwał się z ławy. Stał przed Józefem, potrząsał swymi wielkimi dłońmi, ciskał mu słowa prosto w twarz.

– Gdybyś był powiedział...! Ale ty wolałeś to ukryć! Kobiety pierwsze dostrzegły. Zaczęły się wyśmiewać. Moja żona nie wie, gdzie schować oczy!

Wstydzi się! I ja się muszę wstydzić!

Chwycił Józefa za kuttonę na piersi.

– Dlaczego tak postąpiłeś? – wrzasnął. – Ty, ty...! – zdawał się szukać dostatecznie mocno obrażającego słowa.

Józef milczał. Stał ciągle z pochyloną głową, jak człowiek zawstydzony postępkami, który mu wyrzucają. Na twarzy czuł gorący oddech Kleofasa. Był przekonany, że tamten, za chwilę plunie mu w twarz lub go uderzy. Niechby plunął, myślał, niechby powiedział rzeczy najgorsze, byleby tamto nie było prawdą... Ale to przecież było prawdą! Dlatego kpiły tamte kobiety na ścieżce.

Kleofas dyszał mu jeszcze przez chwilę w twarz gniewem, a potem nagle puścił go, wykręcił się na pięcie i prędko bez słowa odszedł. Kiedy Józef podniósł głowę, zobaczył tylko plecy odchodzącego. Nie zawołał za nim. Nie miał mu nic do powiedzenia.

Wolnym krokiem wrócił do warsztatu. Wziął do ręki robotę, którą się zajmował, gdy Kleofas przyszedł do niego. Ale kawałek drewna wysunął mu się z palców. Zawsze w chwilach troski i zmartwienia znajdował pociechę w pracy. Wykonując coś przy warsztacie zapominał o bólu. Ale tym razem ból sięgnął zbyt głęboko. Nie pomogły także modlitwy – beraki, które układał i szeptał. Ze słowami modlitw mieszały się słowa, z jakimi Zwracał się w duchu do Miriam. Były równie gwałtowne, jak te dopiero co

usłyszane od Kleofasa. Wyrzuty zagłuszyły modlitwę.

Nagle zerwał się i wybiegł z domu. Stromą ścieżką wspiał się na łąkę na zboczu. Ślepo pędził przed siebie. Nie wiedział, dokąd biegnie i po co.

Zdyszał się. Nagle potknął się i upadł. Nie podniósł się. Został na ziemi wyciągnięty, z twarzą w kępie cząbrów. On, który nie potrafił płakać, poczuł skurecz gardła i zaniósł się łkaniem.

To, co się stało, zatrzymało w biegu jego życie, odebrało mu wszelki sens. Wszystko, co się dotychczas stało, wydawało się jednym okrutnym żartem. Po co czekał tyle lat, przezwyciężając wewnętrzne sprzeciwy? Po co zgodził się na ofiarę – taką niezwykłą? Nawet ludzie czcigodni i szanowani przez wszystkich, jak Zachariasz, nie myśleli o takim wyrzeczeniu! On postanowił uczynić więcej niż inni, więcej niż najlepsi! Dał się zaślepić miłości. Podsunęła mu to wyrzeczenie, jak Ewa jabłko... A on gotów był wytrwać. Poszedł za nią szczerze. Tymczasem jego ofiara została zdeptana! Więc wszystko w jego życiu było błędem? Dla zaślepienia sprawił ból ojcu, pozbawił się jego serdeczności! Wszystko dał jej. A ona? Jak mogła to uczynić? – pytał siebie z jękiem. Powiedziała mu wtedy, że tylko on zrozumie, bo kocha... Co miał zrozumieć? Jak mogła w taki sposób odpowiedzieć na jego miłość?

W zalanych łzami oczach pojawił się obraz dziewczyny. Nigdy nie potrafiłby w coś takiego uwierzyć. I nigdy, nigdy, uświadomił sobie, nie uwierzy... Wbrew oczywistości, wbrew śmiechom ludzkim – nie mógł tego przyjąć. Jak mogło się stać coś, co się stać nie mogło! Od pierwszego momentu spotkania miał pewność, że on sam mógłby popełnić rzecz najgorszą, ale ona nic takiego nie popełni nigdy. Cały świat mógł zawieść – ona by nie zawiodła! I ta pewność jeszcze w nim rosła, w miarę jak ją widywał i poznawał. To ona kazała mu patrzeć na dziewczynę jako na coś wyższego od siebie, godnego nie tylko najgorętszej miłości, ale także czci. Kochał ją i podziwiał za to, że jest taka niedosięglą żadnej zmaie, gdy w nim samym jest tyle słabości, z którymi wciąż musi walczyć.

I właśnie ona...? Nie, to niemożliwe. A jednak to przecież nie pogłoska, która może się okazać fałszywa. To jest fakt, który ludzie zobaczyli. Nie jeden człowiek... Czy mogę się upierać, iż rzeczywistość nie jest rzeczywistością?

Mimo to, wiedział, nie oskarży jej. Nigdy by nie zdołał jej oskarżyć. Nie



potrafiłby tak postąpić: ocalić siebie jej kosztem. Niech wszyscy myślą, że to on ponosi winę. Że zawiódł zaufanie jej opiekunów. Że skorzystał z jej miłości. Tu w Nazarecie zyskał sobie opinię znakomitego rzemieślnika. Więcej nawet – ludzie przychodzili do niego po radę. Uznali go mimo młodego wieku za mądrego i sprawiedliwego. Przychodzili skłóceni sąsiedzi, aby ich pogodził. Przychodzili synowie zmarłego ojca, aby pomógł im rozdzielić schedę. Zaproszono go, aby czytał w synagodze. Teraz się wszystko zmieni. Ludzie będą wiedzieli, że ulega słabościom i popełnia grzechy – Czy mógł być doradcą innych, gdy sam nadużył łatwowierności dziewczyny i naraził na taki wstyd jej opiekunów?

Jeśli jednak nie chce jej oskarżyć – ma tylko jedną drogę przed sobą: musi uciec z Nazaretu. Pójdzie do Antiochii czy byle gdzie. Jak najdalej – tak aby nawet słuch o nim zaginął. Zniknie z oczu ludzkich. – Wtedy wszyscy całą winę złożą na niego. Gdy ktoś ucieka, nie ma dla niego wytłumaczenia. Będą mówili: Co za człowiek! Skrzywdził dziewczynę i zerwał układ małżeński! Kiedy gniew i oburzenie obróćą się całe przeciwko niemu, ludzie będą mieli litość dla Miriam. Wybaczą jej, potraktują jako ofiarę niegodnego mężczyzny.

Tylko tak mogę postąpić, myślał. Mógłbym zrobić inaczej: wziąć ją do domu. To by zamknęło ludziom usta. Pokpiliby trochę, ale by przestali. Takie rzeczy zdarzają się. Ale czy mógłby to zrobić, gdy całe swoje życie związał z tym małżeństwem? Czy może przyjąć za żonę dziewczynę, która skłoniła go do złożenia tak wielkiej ofiary dla Najwyższego a potem sama ją cofnęła? Nie potrafiłby jej oskarżyć – to prawda. Ale czy potrafiłby na nią patrzeć? Nie! Nic innego mu nie pozostaje jak uciec, paląc mosty za sobą!

Mocniej wcisnął twarz między sprężyste łodygi. Kłuły mu policzki. Łzy przestały płynąć, tylko łkanie wciąż ścisnęło gardło. Obrócił się na plecy. Niebo nie uderzyło go w twarz blaskiem. Uchyliwszy powiek zobaczył, że jest szare. Na błękit nasunęły się ciemne kotary wieczoru. Ani się spostrzegł, że już nadchodziła noc. Od gór za jeziorem powiało chłodem.

Nie ruszył się jednak z miejsca. Ogarnęła go jakaś omdłałość. Powieki opadły, ucisk w gardle osłabł. Jeszcze raz po raz pierściami targnął szloch. Ale coraz rzadziej. Oddech stawał się równy. Ogarnął go sen – dziwny, gorączkowy, niespokojny, pełen

majaczeń.

Spał – a przecież nie utracił na chwilę poczucia, gdzie się znajduje. Ciągłe pamiętał, że leży na tej samej łące, na której Miriam zwykła była pasać swoje stado. Chwilami – we śnie – zdawało mu się, że dostrzega jej drobną postać idącą za owcami, dostosowującą swój krok do kroku zwierząt. A potem nagle miał uczucie, że znajduje się w synagodze, stoi na tebucie na próżno szuka drewnianą rączką właściwego wiersza na zwoju. Aż końcu znalazł szukane słowa. We śnie odczytał je znowu. Gdy je przeczytał w synagodze, wiedział co oznaczają. Znał nauki doktorów.

Umiał – wspierając się na nich – wyjaśnić myśl proroka. Ale teraz we śnie słowa zabrzmiały całkiem inaczej, choć to był ten sam werset: „On wam da znak: dziewczyna brzemienna urodzi syna...” Znał historię swego rodu. Niejeden raz słyszał wyjaśnienie proroctwa, teraz – we śnie – uderzyło go słowo: alma – dziewczyna... Prawie dziewczynka – ta, która nie została jeszcze żoną... Słowo „brzemienna” brzmiało jak przeciwstawienie. Doktorzy uczyli, że prorok mówi o Abii żonie Achaza. Achaz był królem złym i bezbożnym. Jednym z najgorszych królów rodu Dawida. Składał ofiary obcym bogom. W zamian za obietnicę pomocy sprzedał się królowi Asyrii. Oddał mu złoto świątyni i uznał jego bogów. Wyrzekł się Najwyższego. Przyczynił się do zniszczenia i zatury królestwa izraelskiego. Nie obchodziła go niewola braci.

To prawda – syn jego i Abii, Ezechiasz, okazał się innym człowiekiem. Starał się naprawić to, co zniszczył jego ojciec. Wyrzekł się obcych bogów, wrócił do Najwyższego. Odnowił Jego świątynię. Choć był słaby, nie ugiął się przed pogroźkami króla asyryjskiego. Nie załamał się w swym oporze, choć tamten groził zburzeniem Jerozolimy. Ezechiasz uratował wiarę w Judei, ocalił królestwo Dawidowe. Ale dlaczego prorok nazywał Abiję dziewczyną brzemienną? Nie była dziewczyną – była kobietą, żoną Achaza...

I znowu śnił, że jest na łące – na tej łące, na której znajdował się naprawdę. Nad nim była noc, a w sercu – żal, gorycz klęski, poczucie opuszczenia. Nie było nikogo, komu mógłby się zwierzyć ze swego bólu. Józef matki prawie nic pamiętał, porozumienie z ojcem zerwało się, gdy wszedł w wiek, w którym powinien był poszukać sobie żony. Mimo przyjaźni wielu ludzi był od lat zupełnie samotny. Musiał sam zdecydować, jak ma postąpić... I za siebie – i za nią.

Odejdę – tłumaczył sobie we śnie. Muszę odejść. Muszę wszystko wziąć na siebie. Będzie jej ciężko, zostanie sama z dzieckiem. Ale ludzie jej pomogą. Znajdzie sobie kogoś, a gdyby nawet nie znalazła, będzie miała dziecko. Dziecko dla kobiety jest całym światem. Ja, dokądkolwiek pójde, poniosę za sobą swój zawód. Na nic już nie będę czekał. Nie będę miał nigdy żony, nie będę miał syna... Życie stanie się tylko wspomnieniem... Ale tak trzeba. Muszę ją ocalić!

Kim była Abija? – senna myśl wróciła z powrotem do wspomnienia o matce Ezechiasza. Stare księgi nic o niej nie mówiły. Kogo przyciągnął do swego łóżka zdeprawowany pradziad? Może była córką jakiegoś obcego władcy? I to jej brzemienność miała być znakiem...? Nie jest rzeczą niezwykłą, gdy żona rodzi syna mężowi. Że bezbożnemu ojcu miała urodzić bogobojnego syna? Ale dlaczego alma.

Nagle spadła na niego myśl jak błyskawica. Tak gwałtowna, że aż się obudził. Wydało mu się, że słowa, które czytał w synagodze, a które wciąż powracały, są skierowane wprost do niego. Wyłącznie do niego. Scena, którą przedstawiał prorok, dotyczyła jego rodu. Zebrani w synagodze ludzie słuchali proroctwa jak kartki ze starych dziejów. Ale dla niego to nie mogła być po prostu historia jedna z wielu. Te słowa zwracały się do niego. – Mówiły do niego! Ten znak – był znakiem dla niego!

Nie mógł leżeć. Usiadł. Wokoło była głęboka noc. Z gwiazd, które tłoczyły się na niebie, sypał się srebrnozielony pył. Zrobiło się bardzo zimno. Potarł dłońmi zmarznięte ramiona, jak mógł otulił się kuttoną, bo płaszcz nie wziął ze sobą. Sen odleciał. Myśl pracowała gorączkowo.

Znak dla mnie...? Jaki znak? Co ma wspólnego historia prababki z tym, co na mnie spadło? Postanowiłem odejść. Nie znajduję innego wyjścia. Nie zobaczę więcej Miriam. Nie mógłbym jej widzieć. Gdybym na nią spojrzał, nie potrafiłbym uwierzyć w rzeczywistość. Trzeba być szalonym, aby nie uznać za prawdę tego, o czym mówią oczy i uszy. A mimo to... Więc muszę odejść! Muszę uciec! Ale przecież nie zrobiłem nic złego? Dlaczego mam uciekać jak tchórz, który się boi kary? Jeśli ucieknę, ta ucieczka sprawi, że będą mnie wszyscy uważali za niegodnego. Ale tylko tak mogę ją uratować. A ja nie mogę jej oskarżyć. Muszę wyrzec się i jej, i dobrego imienia...

– Nie bój się, weź ją do swego domu...

Posłyszał te słowa, jakby ktoś wypowiedział je głośno obok niego. Gwałtownie

rozejrzał się. Ale nic się wokoło nie zmieniło. Trwała dalej noc, srebrna i lodowata. Poświata gwiezdna była tak żywa, że widział wszystko wokoło siebie. Nie było nikogo. W pobliżu rósł tylko biały kwiat, buchający wonią. Nie zauważył go przedtem. Może zresztą kwiat był stulony i dopiero w ciemności rozchylił swoje płatki?

Zwinął się w kłębek szukając ciepła we własnym ciele. Zasnął znowu. We śnie kwiat wyrósł, stał się ogromny, pochylił się nad nim. Mówił:

– Przyjmij ją do domu jako żonę. To nie człowiek zabrał ci ją... To On sam pochylił się nad nią. Ten, który się narodzi, będzie Zbawcą oczekiwanym przez wszystkich. To o niej i o Nim mówił prorok. Przyjdzie, by nauczać o największej miłości. Nawet nie potrafiłbym ci powiedzieć, jak bardzo On was ukochał... On sam to wam powie, rodzie ludzki. On sam wam pokaże. Ale zanim to się stanie, musi sprawa pozostać ukryta. Tego On chce, by nie oślepić. Nie przymuszać. Pragnie was zdobyć, jak chłopak zdobywa ukochaną, przebrawszy się za żebraka i kładąc swe serce u jej nóg.

Ty to powinienes zrozumieć...

Leżał cały drżący. Nie wiedział już teraz, czy śpi, czy słyszy te słowa naprawdę.

Czy to możliwe..? – szepnął.

To wszystko prawda – wydawało mu się, że słyszy. – Jak mało Go znacie, choć tyle miłości zazналиście... Czy naprawdę nie wiecie dotąd, kim On jest?

Słuchaj, Józefie synu Dawida i Achaza, Ezechiasza i Jakuba. On ciebie pyta, czy chcesz ty, który dokonałeś wyrzeczenia razem z nią, pozostać przy niej jako cień Ojca...? Czy zgadzasz się?

Na nowo usiadł. Zapach kwiatu płynął ku niemu z mroku. Nad głową skrzyły się gwiazdy. Panowała cisza. Przesunął palcami po twarzy jakby chciał się upewnić, czy nie zmieniła swego kształtu.

– Czy potrafię? – szepnął. – Tak bardzo ją kocham...

– Weź ją do swego domu...

Ostatnie słowa rozwijały się w ciszy. Gdy dźwignął się na nogi, nie zobaczył już kwiatu.

Przycisnął dłonie do twarzy. Tyle razy w życiu modlił się: Wyjaw mi, Panie, swoją wolę, wskaż, co mam czynić. Będę czekał cierpliwie na twój rozkaz... Tyle lat czekał. Wydawało mu się, że wie, na co czeka. To, czego się spodziewał – przyszło. Ale

jednocześnie przerosło jego oczekiwania. Stał w obliczu czegoś tak ogromnego, iż wydawało mu się, że ten ogrom zmiażdży go. Ogarnął go lęk. Ale wśród tej trwogi jedno wiedział, że jest szczęściem, iż może wrócić do Miriam.

Mocno potrząsnął głową, jakby chciał tym ruchem odrzucić od siebie wszystkie ludzkie zale.

Gdzieś w dali nad szklącym się łąbem Hermonu odpęła pokrywa nocy. Jasny pas blasku zjawił się nad koronką szczytów.

Rozłożył ręce i modlił się: O Panie, nie odwracaj ode mnie swego oblicza. Bądź łaskawy i miłosierny dla mojej niedomyślności. Teraz wiem, na co kazałeś mi czekać. Kimże jestem, abym się śmiał buntować? Skoro żądasz, abym miał żonę, która nie będzie moją żoną, i dziecko, któremu mam być ojcem, choć ojcem nie jestem – niech się stanie zgodnie z Twoją wolą. Niech będzie, jak Ty chcesz. Wspieraj mnie, gdy słabnąć będą mój rozum i moja wola. Przyjmij moje postanowienie dziś, gdy obdarzyłeś mnie siłą...

W obliczu rozjaśniającego się dnia stał jak Jozue na progu Ziemi Obiecanej i jak tamten szeptał starą modlitwę:

– Przyjmuję brzemię Twego Królestwa, Panie nasz...

## 18

Był już dzień i słońce stało wysoko na niebie, kiedy zaczął schodzić.

U jego stóp obudziło się miasto. Beczały stada wychodzące na pastwiska, ryczały juczne osły, nawoływali nosiciele wody, rozbrzmiewały setki głosów ludzkich...

Teraz już wiedział, jak postąpi: Pójdzie do Kleofasa i pokornie będzie prosił, aby pozwolił na przenosiny Miriam. Gdy zamieszkają razem ucichną śmiechy i kpiny. Po pewnym czasie trzeba będzie wyjechać z Nazaretu. Udadzą się do Betlejem. Zamieszkają na rodzinnej ziemi. To dziecko, któremu ma być ojcem, trzeba, aby stało się członkiem rodu.

Ogarnięty tymi myślami szedł szybko. Dochodził już do domu, gdy zobaczył Kleofasa stojącego przed otwartymi drzwiami. Niepokój spłoszył zapal. Zatrzymał się niepewny, co usłyszy. Kleofas szedł ku niemu z twarzą zakłopotaną, ale rozjaśnioną.

– Przyszedłem z samego rana... – zaczął. – Widzę otwarte drzwi, a ciebie nie ma... Nie wiedziałem, co się stało... – Spuścił wzrok i kłopotliwie przesunął dłonią po owłosionym przedramieniu. – Nie spałem całą noc...

Stali naprzeciwko siebie obaj onieśmieleni, obaj nie wiedzący, co powiedzieć.

– Wybacz... – zaczął na nowo Kleofas. – Mówiłem wczoraj słowa przykre, złe... Nie powinienem był tak mówić... Jesteś moim przyjacielem, jesteś lepszy, mądrzejszy ode mnie... Podziwiam cię...

Zrobił szybki gest, aby go powstrzymać.

– Nie mów tak. Wcale nie jestem lepszy ani mądrzejszy. Miałeś prawo tak mówić...

– Nie – zaprzeczył Kleofas. – Nie! Uniosłem się. Ludzie gadali, ukłuły mnie ich drwiny... Wiesz, jak to jest... A przecież nic się nie stało. Przez układ ona stała się twoją żoną...

– Jednak pozostawała w twoim domu. Dlatego ludzie kpią, a ciebie to dotyka.

– Ludzie tutejsi lubią drwić przy łaďa okazji. Znajdują w tym przyjemność. Kpią, bo ich cieszy, że drudzy są tacy sami jak oni. Ale szybko zapominają. Już jutro nie będą pamięćali. Nie powinienem się być przejmować...

– Przejąłeś się jednak, a mnie było przykro. Nie wiedziałem, co mam zrobić, aby odzyskać twą życzliwość...

– Nic nie potrzebujesz robić! Już zapomniałem. Ciesz się raczej, bo będziesz miał syna. Bo moja żona mówi, że to na pewno będzie syn. Pierwszy syn – to błogosławieństwo Najwyższego.

– Więć się nie gniewasz?

– O świcie tu przybiegłem, aby cię przeprosić za moje słowa.

– Nie przepraszaj. Czy pozwolisz mi wziąć Miriam do mego domu? Urządźmy przenosiny jak najszybciej. Dziewczyna jest zmęczona. Musiała się napracować w domu Zachariasza, Elżbieta ciężko znośla swój stan. Ale urodziła lekko i szczęśliwie. To także coś niezwykłego...

Najwyższy sprawia rzeczy niezwykłe i nie zawsze otwiera nam na nie oczy. Dziękuję ci, Kleofasie, żeś chciał przyjść...

Musiałem przyjść. Całą noc myślałem, że na pewno poczułeś się dotknięty.

I może już nie będziesz chciał uważać mnie za przyjaciela. A ja, ja nie miałem nigdy przyjaciela jak ty...

– Twoja przyjaźń jest dla mnie radością.

– I dla mnie także.

Objęli się ramionami i uścisnęli serdecznie.

– A teraz – rzekł Kleofas – idź do niej. Jest ze stadem na łące. Ja jej nic nie powiedziałem, ale ona umie czytać z oczu i na pewno wiedziała, że jestem rozgniewany. Jej także mogły kobiety coś złośliwego powiedzieć. Jest jej na pewno ciężko...

– Idę. Chciałbym wziąć na siebie każdy ciężar, który mógłby ją dotknąć.

– Tak bardzo ją kochasz?

– Nad wszystko na ziemi...

– Będziecie szczęśliwi. Ja także kocham moją żonę. Ale tak, zwyczajnie...

Kleofas wrócił do siebie, a Józef – nakarmiwszy i napoiwszy osła – pobiegł z powrotem na łąkę. Ale nie tylko droga w górę kazała mu zwolnić kroku. Radość, jakiej doznawał na myśl, że nie musi myśleć o rozstaniu z Miriam, radość, którą wzmogła jeszcze rozmowa z Kleofasem – teraz ustąpiła miejsca poczuciu nowego onieśmienia, jakby jeszcze większego niż to, jakiego doznał przy pierwszym spotkaniu z Miriam. To tajemnicze życie dziewczyny, które już wydawało się bliskie temu, aby mogło się stać także jego życiem, znowu zamknęło się w swej tajemniczości. Będę ją miał przy sobie, myślał, a przecież pozostanie taka daleka... Kocham ją. Ale ona? Czy potrafi kochać kogoś, kto jest tylko cieniem?

Szedł coraz wolniej, a przecież zbliżał się. Już słyszał pobekiwanie stada i tupot małych nóżek. Znajdował się blisko miejsca, gdzie spędził noc. Tu, przy tej kępie leżał w nocy, tutaj rósł wielki, biały kwiat. Teraz miał wokoło siebie zwykłą łąkę na górskim zboczu. Zamykała ją krawędź skalna, której brzeg znaczyły sterczące skałki. Za krawędzią był nagły uskok. Z tego uskoku podobno niegdyś mieszkańcy miasta stracali niewierne żony i schwytanych bandytów. Także tutaj – za czasów wojen domowych – rozprawiano się z przeciwnikami. Poza krawędzią rozpinano się niebo i widać było w dali sinofioletowe góry.

Szła jak zawsze za stadem zatopiona w myślach. Powiedział: – Miriam – Choć

wypowiedział jej imię cicho, usłyszała go od razu. Obróciła się. Zobaczył jej twarz, taką samą, jak żyła zawsze w jego pamięci od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył, tylko lekko przykrytą woalem zmęczenia. Zatrzymała się i patrzyła na niego. Wydało mu się, że dostrzegł w jej oczach błysk niepokoju. Ale jeśli to był niepokój, to była także w tym spojrzeniu niezrównana z niczym czystość. Jakiegokolwiek miały przyjść kiedyś na niego słabości, czuł: w to jedno nie uwierzy nigdy – w jej winę.

Stała milcząc i czekała, aż się zbliży.

Cieszę się, że wróciłaś... – powiedział.

Nie byłam już potrzebna ciotce.

Niepokoilem się o ciebie... Tęskniłem...

Wiem. Ja także wiele myślałam o tobie, Józefie. Na chwilę zapadło milczenie. Potem zaraz Józef podjął:

– Rozmawiałem z Kleofasem i prosiłem go, aby pozwolił wziąć cię do mego domu. Do naszego domu... – poprawił się. – Skoro zgodziłaś się...

Chcę móc roztoczyć nad tobą opiekę... I chyba trzeba – przemógł nieśmiałość – aby ten, który ma się narodzić, narodził się u siebie...

Miał wrażenie, jakby na jej twarz padł nagle blask słońca. Zalśniły się oczy i rozchyliły usta w uśmiechu. Ten cień, który wydał mu się cieniem niepokoju, od razu zniknął. Radość ogarnęła jej postać jak ogień, który pochłoniął zmęczenie. Była znowu taka, jaką zobaczył przy studni: dziecinna, wesoła, promienna.

– Ufałam – szepnęła – i On spełnił moją prośbę... Jaki jest dobry, jaki łaskawy. Powiedział ci wszystko, a ty zrozumiałeś...

– Zrozumiałem – powiedział – ponieważ cię kocham.

Przechyliła głowę i patrzyła na niego uśmiechnięta jakby żartobliwie.

– I ja cię kocham, Józefie – rzekła. – Ale zrozumiałeś, ponieważ On nas kocha... I teraz już wszystko dobrze...

Odetchnęła głęboko, jakby wielki jakiś ciężar zsunął się jej z ramion. Zakryła twarz dłońmi. Nie wiedział, czy za zasłoną palców śmieje się, czy płacze ze szczęścia. Ale ona zaraz odsunęła dłonie. Pełnymi łez oczami patrzyła czule w twarz mężczyzny. Mówiła mu tylko spojrzeniem, ale to spojrzenie sprawiło, że opuściło go wszystko, co tamowało jego radość. Jej świat nie był nadal jego światem. Mimo to pojął: kochała go,



kochała naprawdę, jak tylko można kochać. Nie miał prawa żądać więcej. Cokolwiek miało go to kosztować – czuł, że otrzymał więcej niż ktokolwiek inny.

19

Była już późna noc i królewski pałac w Sebaste pogrążony był w ciszy, a w jednej z bocznych sal mała grupka ludzi uczutowała wystawnie. Trzej mężczyźni leżeli przy stole, zastawionym wykwintnymi potrawami. W dzbanach o długich szyjkach stało wino.

Służba przygotowała stół i została odesłana. W sali znajdowały się dwie kobiety, ale one nie należały do służby. Obie ubrane były bogato. Przysiadły na łóżach obok ucztujących. Dolewały im wina, przysuwały potrawy i przysłuchiwały się temu, co mówią mężczyźni. Początkowo milczały, potem młodsza z kobiet zaczęła wtrącać swoje uwagi. Jej słowa namiętne i gorące były jak oliwa rzucana na ogień. Jej smagłe piękne ciało przeświecało przez cienką kuttone. Białe zęby ukazywały się między pełnymi wargami. Gdy poruszała głową w żywej gestykulacji, dzwoniły złote zausznice i barwne paciorki spadające na twarz z włożonego na głowę diademu. Wzrok kobiety błyskał spomiędzy tych paciorków niby ślepią drapieżnika spoza krat więżącej go klatki. Mężczyźni coraz uważniej słuchali tego, co mówiła.

Druga kobieta, starsza wiekiem, nadal milczała. Miała twarz smutną, a spojrzenie pełne niepokoju. Doris, pierwsza żona Heroda, oddalona, odkąd król ożenił się z przedstawicielką hasmonejskiego rodu, powróciła na dwór królewski, gdy Herod nakazawszy pozabijać synów Mariammy ustanowił swoim następcą Antypatra, swego pierworodnego. Doris była prostą Beduinką i wiedziała, że uprzywilejowanej pozycji królewskiej żony nigdy już nie odzyska. Zresztą Herod miał inne żony i kilka nałożnic młodszych od Doris. Trzymała się więc syna i służyła mu. Teraz siedziała w nogach jego łóża. Na jej twarz spadały również sznurki paciorków skrywające oczy. Ale gdy je na chwilę odsuwała, widać było czający się w spojrzeniu lęk.

Teraz mówił Antypater. Żywo, z gestykulacją. Był gniewny i podniecony. Nozdrza rozdymały mu się jak chrapy konia, który na stadionie ma rozpocząć swój bieg. To, że został wyznaczony następcą, nie pogodziło go z ojcem. Pamiętał zbyt dobrze, że

przez lata był odsunięty od tronu. Nie ufał zmienności Heroda. Po władcach idumejskich odziedziczył gwałtowność oraz zamięłowanie do rozpusty – dwie skłonności, które nader łatwo przytłumiały rozwagę.

– Wiecie, że zajął się z niezwykłą czułością synami Aleksandra i Artystobula – mówił. – Co to oznacza? Łatwo się domyślić! Zabił ich ojców, a opiekuje się dziećmi. Napisano mi z Rzymu, abym się miał na baczości. – Podobno cesarz, gdy się dowiedział o śmierci synów Mariammy, powiedział, że u Heroda lepiej być świnią niż synem...!

– I miał rację – zaśmiał się Feroras. – Świniny nie bierze w usta, aby się przypodobać Żydom.

– Także na pewno, aby się im przypodobać, hoduje te szczenięta. I to ty – palec Antypatra kierował się w stronę stryja – zaopiekowałeś się nimi.

Głos Antypatra przeszedł w krzyk. Ale król Perei pozostał spokojny. – Gdy tamten miotał się, on cedził słowa powoli, głaszcząc przy tym swą wyhennowaną brodę. Choć wiele młodszy od Heroda, nie był już młody człowiekiem. Ukrywał wiek malując i trefiąc włosy. W nogach jego łoża siedziała jego żona, Roksana. To ona była tą kobietą, która wtrącała do rozmowy swe gorące słowa. Była kiedyś zwykłą niewolnicą, ale Feroras tak ją szaleńczo pokochał, że uczynił ją swą prawną żoną. Dla niej porzucił proponowane przez Heroda małżeństwo z Kipros, córką króla. Wywołało to wybuch wściekłości Heroda. Mimo żądania brata Feroras nie oddalił Roksany. Na dworze mówiło się, że stary król próbował zdobyć Roksanę, ale ona oparła się jego zalotom. Stosunki między braćmi zaczęły się psuć. Feroras popadał coraz więcej pod wpływ żony, jej matki i jej siostry. Te trzy kobiety utworzyły przy nim prawdziwą radę doradczą, bez której zgody nic nie mógł podjąć. Kłóciły się z Salome, jej córkami i córkami Heroda. Natomiast uznały za słuszne porozumieć się z Doris. Nie chodziło o nią. Chodziło o zbliżenie do siebie Ferorasa i Antypatra.

– Jest, jak powiedziałeś – rzekł Feroras!

– Hodujesz źmije! – wrzasnął Antypater.

– Spokojnie, spokojnie – uciszył go Feroras. – I lepiej nie krzycz tak głośno. Co innego chcę, a co innego muszę robić. To Herod dał mi ich w opiekę. Za tym kryje się podstęp. Herod nie chce narazić się Żydom mordowaniem wnuków Mariammy. Wolałby ich zabić wtedy, gdy są pod moją opieką. Ale ja ich będę dobrze strzegł.

– Jak dorosną i nabiorą sił, rozprawią się z nami!

– Tym szczeniętom nie tak prędko wyrosną zęby. Do tego czasu wiele powinno się zmienić i musi się zmienić!

– O czym mówisz?

Feroras poprawił się na swym łożu i z miłością spojrział na siedzącą obok jego nóg kobietę. Roksana odpowiedziała mu przymilnym uśmiechem, ale gdy tylko król odwrócił głowę, popatrzyła na Antypatra. Porozumiewawczy błysk oczu przeleciał między następcą Heroda a piękną Beduinką. Feroras nie mógł tego dostrzec, wymiana tych spojrzeń nie uszła jednak oczu Doris. Kobieta prędko schyliła głowę. Chciała, aby tamci nie wiedzieli, że ich konszachty zostały odkryte. Doris знаła Roksane i lękała się jej.

– Twój ojciec – mówił wolno Feroas gładząc brodę – postanowił, aby cała ludność królestwa złożyła przysięgę cesarowi... Zastanawia mnie cel tego zarządzenia.

– Boisz się, aby ci nie zabrał Perei?

– Troszczę się o rozmaite sprawy, które powinny nas obu obchodzić, dlatego ze sobą rozmawiamy. Herod starzeje się. Jeszcze udaje, że ma siły, Ja wiem jednak, że trawi go śmiertelna choroba. Wyznaczył ciebie swym następcą... Ale wiesz, jak krótka bywa jego łaska. Przejmujesz się losem wnuków Mariammy. Zostaw to mnie. Ty myśl, że masz braci, z których każdy marzy o władzy...

– Feroras – powiedziała Roksana – jest dla ciebie życzliwy, Antypatrze.

– Powiedziała prawdę – król uśmiechnął się. – Jestem dla ciebie życzliwy. Ja mam w ręku wnuków Mariammy, ty musisz pilnować braci.. Mnie się zdaje, że Herod swoim zarządzeniem narazi się znowu Żydom. Co ty o tym sądzisz, Boargasie?

Trzeci z uczujących mężczyzn odzywał się mało. Miał ciało białe i tłuste. Małe, przymrużone oczka ledwo były widoczne spoza grubych policzków. Utrefione włosy, ujęte złotą przepaską, spadały na okrągłe, podobne do kobiecych, ramiona. Gruby łańcuch, na którym była zawieszona cenna tabliczka, kołysał się na bezwłosej piersi.

– Masz rację królu – rzekł cienkim, piskliwym głosem. – To nie spodoba się Żydom. Już się wieść o nakazie rozeszła i wrogie nastroje wzrastają. Faryzeusze buntują ludność.

– Po co on to zarządził? – spytał Antypater.

– Ferorasa to także niepokoi – wtrąciła Roksana.  
– Od ciebie, Boargasie, czekamy wyjaśnienia – Feroras skierował swe słowa do eunucha.

Boargas przesunął tłustymi palcami po swej nagiej piersi.

– Król – powiedział – chce się rozprawić z faryzeuszami...

– Jak to pojmujesz? – pytał Feroras.

– Król – ciągnął powoli, jakby z namysłem Boargas – czyni wiele dla Żydów. Buduje dla nich świątynię... I ma wśród Żydów wielu szczerych przyjaciół...

– Wśród kapłanów, saduceuszy, bogatych kupców, dworaków... – wyliczyła Roksana.

– Królowa powiedziała prawdę – przyznał Boargas. – Ale faryzeusze nie są przyjaciółmi króla. Kiedyś buntowali się i zostali wtedy krwawo ukarani...

– Król jednak ostatnio – powiedział Antypater – rozmawia życzliwie także z faryzeuszami...

– Z niektórymi! – wtrąciła Roksana.

– Tak, z niektórymi – powiedział Boargas. – Innych nienawidzi po staremu. Jeśli będą się buntowali, drewno na tysiąc krzyżów jest w pogotowiu...

Mówiąc ostatnie słowa Boargas zaśmiał się, a jego chichot zabrzmiał jak skrzek.

Roksana wyciągnęła się obok męża, oparła łokcie na stole biesiadnym. Jej palce o paznokciach pomalowanych na czerwono, jakby były unurzane we krwi, kurczyły się podobne szponom.

– Chyba nie będziemy się martwili o faryzeuszy? – rzucił Antypater.

– Nie chodzi o to, aby się o nich martwić – powiedziała Roksana. – Musimy jednak pamiętać, że na tłumy amhaareców to oni mają wpływ. A w gruncie rzeczy to mądrzy ludzie. I wcale nie są wrogami ani twoimi, Antypatrze, ani Ferorasa...

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Antypater spoglądając zdziwiony na kobietę.

– Wiem – powiedziała przybierając minę tajemniczą. – Rozmawiałam z nimi.

– Słyszałem, że nie rozmawiają z kobietami. Wzruszyła ramionami.

– Z innymi może nie rozmawiają. Ze mną mówią.

– I co ci powiedzieli?

– Wiele rzeczy. O tym, że nienawidzą Heroda. I że czekają na mesjasza.

– Kto to jest mesjasz? – zapytali wszyscy trzej. Wybuchnęła śmiechem trochę urągliwym.

– Chcecie rządzić Żydami, a nie wiecie! – Wciągnęła się prawie cała na stół. – Ja wam powiem. W żydowskich księgach jest napisane, że urodzi się mesjasz. Ma to być wielki wódz, król żydowski, który poprowadzi Żydów do walki ze wszystkimi. Będzie zawsze zwyciężał i uczyni Żydów największym narodem na ziemi...

– Brednie – Antypater wzruszył ramionami. – Żydzi największym narodem świata? Wiemy, jak jest z przepowiedniami. Jedne się spełniają, inne nie. Ta nie spełni się na pewno...

– Ale oni wierzą w swego mesjasza – mówiła Roksana. – Podobno czekają już na niego od setek lat. Mówią, że bliskie jest jego nadejście. Niektórzy opowiadają, że on się już narodził...

Wypowiedziała te słowa ze znaczącym naciskiem.

– Co chcesz powiedzieć? – zapytał Antypater. – Myślisz może, że któryś z wnuków Mariammy mógłby być tym mesjaszem?

Tajemniczo uśmiechnięta potrząsnęła głową.

– Ty ciągle tylko o tych chłopcach. Żaden z doktorów faryzejskich nie twierdzi, że mesjasz narodzi się w rodzie Hasmonejczyków. Coś tam jest w przepowiedni o rodzie Dawida...

– Ród Dawida zeszedł na psy – zauważył Boargas. – Król się nimi interesował. Ale to zwyczajni amhaarece.

– Faryzeusze uważają, że te słowa o rodzie Dawida nic nie znaczą. Twierdzą, że mógłby to być człowiek z całkiem nieznanego rodu. A nawet całkiem obcy...

Znowu położyła nacisk na ostatnie słowo.

Obcy? – zawołali jednocześnie Antypater i Feroras.

– Obcy – powtórzyła triumfalnie. Ściszyła głos: – Władca, który by zapewnił wielkość Żydom, mógłby zostać uznany za mesjasza...

– Jeśli Herod się o tym dowie... – rzekł Feroras.

– Nawet gdyby się dowiedział, nic mu nie pomoże! – rzuciła. – Obraża żydowską religię. Zabrał złoto z grobu ich króla. Faryzeusze rzucili na niego przekleństwo. Ale któryś z was... Ty, Ferorasie, albo, ty, Antypatrze...

Nie dokończyła swych słów, tylko wskazała palcem zakończonym krwawą plamą na męża i bratanka. Zapadło milczenie. Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie i natychmiast spuścili wzrok. Cisza ciągnęła się. Przerwał ją Feroras.

– Któryś z nas dwóch... – zaczął.

– Tak oni mówili – podjęła szybko. – Oni nie będą bronili sprawy wnuków Mariammy...

– Ale który z nas? – rzucił twardo Antypater, jakby ciskał kamieniem.

– Feroras jest starszy... – rzekła Roksana.

Król Perei wyprostował się. Dostojnym gestem pogładził brodę. Nad jego głową wzrok Roksany odnalazł oczy Antypatra. Kobieta popatrzyła znacząco. Doris i tym razem to zauważyła, ale jak poprzednio natychmiast spuściła oczy.

– To prawda, Ferorasie, jesteś starszy... – Antypater mówił wolno. Ujarzmił swą gwałtowność, jakby wstrzymywał bieg czwórki koni, ciągnących rydwan.

– Nie pożałujesz swej zgody. – Na twarzy Ferorasa pojawił się wyraz zadowolenia. – Nie mam syna. Gdy mnie uznasz pierwszym teraz, będziesz pierwszym po mnie. Ale – zwrócił się do Roksany – czy oni naprawdę mnie poprą?

– Obiecali. Powiedzieli, że będą się modlili o błogosławieństwo dla ciebie.

Zapadło znowu milczenie. Obaj władcy popadli w zamyślenie. Boargas przysunął się bliżej Roksany; zapytał szeptem:

– Czy o mnie mówiłaś, królowo?

Skinęła potakująco głową.

– Obiecali uprosić błogosławieństwo także i dla ciebie. Zostanie cudownie przywrócona zdolność posiadania synów. Musisz jednak być z nami... – rzuciła tonem ostrzegawczym.

Antypater podniósł głowę.

– A co mamy uczynić, jeśli Herod zniszczy faryzeuszy? – zapytał.

– Wpierw on sam musi zginąć! – syknęła.

Lampy, do których nie dolewano oliwy, paliły się coraz ciemniej. Mężczyźni napili się jeszcze wina i ciężko dźwignęli się na nogi. Pierwszy opuścił salę Feroras wsparty na Roksanie. Potem oddalił się Antypater, a za nim jak cień, szła Doris. Ostatni wyszedł Boargas. Na jego grubej twarzy był wyraz zachwyty.

Lampy gasły jedna po drugiej. W miarę jak znikał ich blask, wlewała się do sali księżycowa poświata.

Dopiero, gdy ucichło ostatnie echo stąpań odchodzących, z tajnego ukrycia pod bocznym stolikiem wygramolił się mały mężczyzna. Przez chwilę robił koła ramionami, które musiały mu ścierpnąć w ciasnym ukryciu. Także masował uda i kilkakrotnie przysiadł. Potem zbliżył się do stołu. Szybko, łapczywie jadł, co mógł znaleźć na stojących półmiskach, nalał sobie kubek wina. Wychylił go, otarł usta wierzchem dłoni. Cicho, na palcach zbliżył się do drzwi. Uchylił je. Chwilę nasłuchiwał. Żaden dźwięk nie mącił ciszy uśpionego pałacu. Wtedy szybko pobiegł w stronę skrzydła, gdzie znajdowały się komnaty Salome.

## 20

Sponad swego warsztatu, na którym powstawała socha, Józef rzucał raz po raz spojrzenie na kręcącą się po izbie Miriam.

Miał ją wreszcie u siebie – i odczuwał z tego powodu wielką radość. Przejście oblubienicy do domu jej męża odbyło się skromnie, ale zgodnie z obyczajem. Wieczorem poprzedniego dnia Józef w towarzystwie dwóch młodych mężczyzn – wszyscy ubrani w świąteczne stroje – przybył do domu Kleofasa po Miriam. Wyprowadzono ją do niego z włosami opadającymi na ramiona, z zasłoną na twarzy, znad której widać tylko było jej wielkie, czarne oczy, szeroko rozwarte. Miała złote tabliczki zawieszane nad czołem i ubrana była w powłóczystą sztywną szatę, w której ledwie się mogła poruszać.

Wyruszono pochodem do domu Józefa. Idący nieśli kaganki i pochodnie, śpiewali pieśni weselne:

Prowadź mnie królu, w swe komnaty, cieszyć się będziemy i weselić z tobą, sławić twą miłość nad wino...

Nad nimi rozpięło się niebo, obrzucone cekinami gwiazd. Wzrok gubił się w mrocznej przestrzeni. Droga z domu do domu była bardzo krótka, więc powtórzono ją kilka razy, aby móc odśpiewać więcej pieśni. Później śpiewano, stojąc przed domem. Miriam wraz ze swymi družkami weszła do środka.

Ranek spłynął nad miasto, oni ciągle śpiewali i wiedli taneczny korowód. Zabawa dopiero się zaczynała i miała trwać cały dzień i całą następną noc. Przed domem ustawiono stoły dla bawiących się gości. Zastawa nie była wspaniała, jedzenia i picia podano niezbyt wiele. Miriam, która wiedziała o trudnościach Kleofasa, prosiła go, aby nie wykoshutowywał się na ucztę weselną. Zresztą krąg przyjaciół nie był duży.

Józef zgodnie z obyczajem, przyprowadziwszy żonę do domu, sam odszedł. Przez cały dzień przebywał na łące nad miastem. Rozmyślał i modlił się. Połączenie przynosiło tyle radości. Ale czuł także, że z tą radością wiązać się będzie pewien niepokój. Póki Miriam była z dala – tęsknił do niej. Tęsknota tworzyła miraż, którymi żył. Pomagały ofiarnemu czekaniu. Bliskość mogła obudzić ludzkie naturalne pragnienia. Zbyt dobrze znał siebie, aby się łudzić, że nie będzie mu potrzebna wielka siła i pomoc Najwyższego. On, który tego chciał – musiał go wspomóc.

Na próżno w kępach zieleni szukał białego kwiatu. Nie było tajemniczego przybysza, który go zapytał wtedy, czy zgadza się być cieniem prawdziwego Ojca. Odrastały wątpliwości, niby skoszona trawa. Czuł, że nie wystarczy raz jeden upewnić siebie. Zwykłe ludzkie pragnienie szczęścia będzie się wciąż odzywać i próbować podważyć naszą decyzję!

Walczył ze sobą i modlił się. Teraz dopiero – gdy był bliski jej utraty – zdał sobie w pełni sprawę, jak gorąco kocha Miriam. Od pierwszej chwili pokochał ją uczuciem, które było jak olśnienie. Ludzie budzą się z olśnienia. Ale dla niego biegły dni za dniami, a jego miłość była ciągle tak samo pełna czci i zachwytu.

Czy Dziecko, które się narodzi, myślał, wiążąc ich, jednocześnie oddali ich od siebie? Czy tajemniczy świat Miriam nie zamknie się przed nim nieodwołalnie? Podjął decyzję pogodzenia się z tym. Mimo tego postanowienia nadzieja kiełkowała. Dziecko miało się narodzić – a potem stać się kimś niezwykłym. Wybawcą ludu – jak zapowiadali Go prorocy. Zwycięzcą całego świata – jak mówili o Nim doktorzy... Jego wielkość przerastała miłość dwojga ludzi. Co zostanie na łące zdeptanej kopytami Jego bojowego rumaka? Może przyjdzie czas, że rodzice przestaną Mu być potrzebni i będą mogli zwrócić się ku sobie? Może zostaną z sobą w domu, gdy on odleci do swych wielkich spraw?

Ale czy ona potrafi kochać jednocześnie tego cudownie zesłanego Syna i jego,



który jest tylko cieniem? Miłość matki do syna wyrasta z miłości do ojca. Ale to nie będzie mój Syn! Będzie miał swego prawdziwego Ojca, który rozepnie nad Nim i nad Jego matką płaszcz swej potężnej opieki. Ja pozostanę na zawsze cieniem. Cienie znikają, gdy wschodzi słońce...

I znowu spłynęła mu w serce fala żalu. Ale jednocześnie z samego dna wymotała się myśl, sprzeciwiająca się uczuciu, które mu kazało zazdrościć Synowi uczuć Jego matki. To prawda – żądano od niego, aby był tylko cieniem. Ale Ten, który miał się narodzić, nie był i nie mógł być dla niego kimś obojętnym. To nie tylko pragnienie posłuszeństwa kazało mu zrezygnować z praw do najcudowniejszej kobiety. Nie tylko na nią kazano mu czekać. Cekał także na Tego, kto się miał narodzić jako jego Syn. Jedno marzenie kazało ustąpić drugiemu. Nie mógł walczyć o miłość. Nie wygrałby zresztą tej walki. Jej miłość dla niego nie może konkurować z jej miłością dla Syna. Trzeba się z tym pogodzić. Trzeba ustąpić. Tamta miłość jest większa. Gdyby nie była tak wielka – ona nie zostałaby wybrana. Tak samo jak zawierzył temu, co się stało, musi się z ufnością oddać w jej ręce. Nie kłopotać się tym, co zostanie dla niego. Pozostawić jej, by zdecydowała o ich życiu. Cieszyć się tym, co otrzyma. Wokoło dzieje się inaczej: mężowie wybierają, mężczyźni decydują, żony są obowiązane słuchać i służyć. W ich małżeństwie on będzie poddany, on będzie czekał na swój udział w miłości tamtych...

Kiedy nadszedł zmierzch, usłyszał nawoływania drużbów. Przyszli po niego, aby go zabrać na ostatni akt uroczystości. W trzech schodzili w dół. Nie mówili nic. Szli w ciszy, w której wydawało się Józefowi, że słyszy bicie swego serca.

Już z daleka widoczne były światła wielu kaganków, zapalonych przed domem. Kilka płonących świec oderwało się od skupiska i zbliżyło się ku nadchodzącym mężczyznom. To drużki szły na spotkanie oblubieńca. Za chwilę miał je obok siebie. Jedne kaganki płonęły długą igłą płomienia, inne pełgały słabo. Powiał wiatr, więc drużki otoczyły płomyki dłońmi. Palce dziewcząt przeświecone blaskiem ognia stały się podobne do muszli morskich. Drużki otoczyły Józefa i poprowadziły go ku zebranym gościom. Idąc śpiewały.

Uczestnicy wesela stali przed domem. W środku zobaczył Miriam, w tej samej sztywnej szacie weselnej. Gdy jedno drużki prowadziły Józefa, inne – również śpiewając

– wiodły ku niemu oblubienicę. Goście obrzucali idącą ku sobie parę garściami ziarna. Posypano także ognie kadzidłem, więc otoczyły idących kłęby wonnego dymu. Aż wreszcie młoda para spotkała się ze sobą. Józef wyciągnął ręce i powoli z namaszczeniem zdjął z twarzy Miriam zasłonę. W migającym blasku ognia patrzył na jej pobladłą, zmęczoną, pełną wzruszenia twarz. Mimo cieni pod oczami, nigdy nie wydała mu się równie piękna, bardziej upragniona, a równocześnie bardziej nieosiągalna. Gdyby nie wydawało mu się, że musi się stosować do obyczajów, ukląkłby przed dziewczyną. Czuł się jak pasterz z gór, któremu dano za żonę królową, a wraz z nią królestwo... Stanęło przed nim: Cóż mogę jej dać, gdy ona otrzymała wszystko? Osłonę wobec ludzi na kilka miesięcy? Gdy narodzi się Dziecko, wszystko się zmieni. Wspaniały Syn otoczy matkę potężną opieką. Cóż zostanie dla niego...? Ale natychmiast odrzucił te myśli. Nawet gdyby całe jego życie miało się zamknąć w tych kilku miesiącach służenia – jego miłość gotowa się była tym zadowolić. Patrząc jej w oczy mówił: jeśli ci jestem potrzebny na ten krótki czas – przyjmij mnie. W jej oczach było tyle serdeczności. Nie mówiły o żadnym terminie, tylko, że kochają. Za to jej spojrzenie chciał być szczodry aż do granic samounicestwienia...

A później popłynęły dni. Miał ją teraz stale przy sobie. Miriam z dziwną łatwością weszła w krąg swych obowiązków. Poczuł się nagle otoczony jej staraniami. Śpieszyła z każdą usługą, z ciągłą wolą pomagania mu we wszystkim. O żadnej domowej pracy nie musiał nawet wspominać. Wszystko było zrobione na czas. Miriam sprzątała dom i warsztat, prała bieliznę, reperowała odzież, gotowała, obrządzała osła. Nosila wodę ze źródła i nie pozwalała się wyręczać. „Nie, Józefie, nie – mówiła – tylko kobiety noszą wodę. Nie trzeba, abyśmy zwracali na siebie uwagę. A ja czuję się dobrze i nic mi nie szkodzi ten wysiłek.”

Ustał jej, jak ustępował we wszystkim, gdy tylko wyraziła swoje życzenie, i jedynie każda kropla wody nabrała dla niego niezwyklej ceny. Nie podejmował żadnej decyzji bez zapytania Miriam o jej zdanie. Przemagał w sobie każdy odruch męskiej dumy. Jego miłość płonęła wolą poświęcenia. Zagłuszał nią wszelkie obudzone pragnienia.

Chciał właśnie Miriam o czymś powiadomić i o coś zapytać. Spod oka śledził ją.

Widział jej spokojne ruchy i coraz wyraźniejsze ślady posuniętej już bardzo ciąży. Znosiła ją pogodnie bez jednej skargi. Jakże różna była od tych kobiet, które wciąż jęczały i narzekały.

– Miriam... – zaczął nieśmiało.

Oderwała się od swego zajęcia, podeszła do warsztatu.

– Chcesz czegoś, Józefie?

– Nie wiem czy słyszałaś... Dziś rano goniec czytał w mieście zarządzenie króla...

– Słyszałam trąbę, ale nie schodziłam. O czym mówił?

– Ogłosił rozkaz, aby wszyscy, w tym jeszcze miesiącu, udali się do miejsc urodzenia i tam wpisali się do ksiąg rodowych.

– Po co mają się wpisywać?

– Wpis ma oznaczać złożenie przysięgi na wierność cesarzowi rzymskiemu.

– Co o tym myślisz?

– Myślę, że nie należy się na to oburzać, jak niektórzy... Nasi władni królowie prosili niegdyś Rzym o opiekę. Rzymianie są poganami. Ale nam swoich bogów nie narzucają. Pozwalają nam żyć w naszej wierze i w naszych obyczajach. Dzięki nim ustały wojny...

– Jeśli chronią od wojny, dali wiele...

– Popierają króla Heroda, a on przez wdzięczność polecił złożyć tę przysięgę. Król Herod jest znienawidzony przez wszystkich u nas...

– Jakże go to musi boleć, gdy wie, że otacza go taka nienawiść! Człowiek, którego inni nienawidzą, staje się zły często tylko z powodu tej nienawiści.

– On jednak, kazał powiesić orła na ścianie świątyni. Wziął złoto z grobu króla Dawida. Kazał zabić królowną Mariamnę, a potem jej synów...

– Skoro uczynił tyle złych rzeczy, trzeba się za niego bardzo modlić...

Na chwilę zamilkł. Nieraz słyszał, jak mówiono, że trzeba się modlić, aby Najwyższy ukarał Heroda za jego zbrodnie. A jednak jej pragnienie, aby się modlić za złego króla, było mu bliższe. Ale on by tego nie powiedział pierwszy. Znowu doznał uczucia, iż to ona prowadzi go po jakiejś drodze – jednocześnie zuchwałej i porywającej..

– Więc sądzisz, że powinienem iść do Betlejem? – zapytał.

– Skoro tego wymaga rozkaz królewski...

– Lecz pamiętasz, jak ci wspomniałem, że był u mnie brat Seba i mówił, abym do Betlejem nie wracał. Oni wciąż się boją.

– Czy słusznie?

– Mnie się wydaje, że to są próżne strachy.

– Wypełniałeś ich wolę, póki nie było tego rozkazu. Jeśli nie pójdziesz do Betlejem, narazisz się na gniew urzędników królewskich. Tym bardziej zwrócisz na siebie uwagę.

– Myślałem tak samo. Ale przecież nie mogę zostawić ciebie bez opieki!

– Nie jestem bez opieki. Mam siostrę. Ale myślę, że byłoby słuszne, bym jechała razem z tobą...

– Ty? Ze mną? To niemożliwe! Taka długa droga. I pora zbyt wczesna a podróż. A co będzie, jeśli na drodze wybuchną jakieś niepokoje? Ludzie buntują się, sprzeciwiają, wykrzykują przeciwko Herodowi. Jeśli padnie hasło powstania?

– Od słów do czynów droga daleka. Jestem silna i nie boję się trudów drogi. Myślę, że skoro idziesz do swej rodzinnej wsi, powinienesz wziąć mnie i przedstawić swoim.

– Ale twój stan, Miriam!

Zwykle, gdy mówili o tej sprawie, wyrażali się tak, jakby wspominali o skarbie, znajdującym się w domu, o którym nie należy ze względu na jego wartość głośno rozpowiadać.

– Nie boję się – powtórzyła.

– A jeśli On urodzi się w czasie podróży?

– Może Mu trzeba – powiedziała – urodzić się na ziemi swoich ojców?

Zabrzmiało to jak pytanie, ale w jej głosie było tyle przekonania, że już nie opierał się, ale przyjął jej słowa za decyzję, której gotów był się poddać. Poczul wzruszenie, że z takim zaufaniem chciała oddać mające się narodzić Dziecko pod opiekę jego rodu.

– Skoro tak sądzisz – rzekł – wyruszmy. Trzeba będzie wyjechać jak najszybciej. Zaraz pojutrze. Przez dzień jutrzejszy będziesz mogła przygotować żywność na drogę, a ja wykończę roboty, które mi powierzono. Nie chciałbym zostawić ich nie ukończonych.

Zamknął drzwi, założył skobel i przetknął go kołkiem. Ruszył w dół prowadząc objuczonego osła. Towarzyszył mu Kleofas. Za nimi z tyłu szła Miriam z siostrą. Spoza pleców mężczyzn dolatywały głosy kobiet. Starsza dawała rady młodszej.

– Nie wiem, czy słusznie postępujesz idąc do Betlejem – mówił Kleofas.

– I jeszcze bierzesz Miriam ze sobą. Nie chciałbym cię ganić, ale wydaje mi się to lekkomyślnością...

Z ręką opartą na grzbiecie osła odpowiedział:

– Wiem, że jesteś nam przychylny. Przyznaję ci, że jadę z niepokojem. Ale naradzaliśmy się z Miriam. Ona także uważa, że właściwą rzeczą jest wypełnić rozkaz królewski. A poza tym jestem najstarszy w rodzie. Powinienem być zapisany w księdze. I mój Syn, gdyby się narodził syn, przecież powinien być dziedzicem schedy.

– Czy oni ci coś zostawili? – W głosie Kleofasa było powątpiewanie.

– Ojciec zostawił mi pole Dawida. To mały kawałek ziemi...

– Żeby cię jednak nie skrzywdzili. Wybacz, że to mówię, ale ludzie waszego rodu...

– Mówisz z serca. A żaden ród nie jest wolny od skaz...

– Nie zostaniesz jednak w Betlejem?

– Teraz nie. Skoro się lękają... Myślę jednak, że po pewnym czasie wyruszymy tam i osiedlimy na stałe.

– Czyń jak uważasz. Jesteś mądry i błogosławieństwo Najwyższego jest z tobą. Zobaczymy się więc niedługo?

– Tak sądzę.

– Dlaczego nie wzięłaś żadnej bielizny dla Niemowlęcia? – słyszał, jak żona Kleofasa pyta Miriam.

– Jedziemy do rodziny Józefa. Gdyby było trzeba, na pewno coś mi dadzą do spowicia. Nie chciałam zbyt obciążać osiołka. Józef zabrał trochę narzędzi. Biedne zwierzę będzie musiało także mnie dźwigać...

Kleofas i jego żona odprowadzili ich aż do drogi. Potem Miriam siadła na osła. Józef wziął w dłonie wodze. Jeszcze raz się odwrócili i unieśli ręce w górę na pożegnanie. Tamci odpowiedzieli im takim samym gestem.

Gdy postać szwagra zniknęła za zakrętem, Józef poczuł w sercu ukłucie niepokoju. Stała mu przed oczami jego ostatnia podróż: skwar i trud wędrówki, pustkowia, które trzeba było przebyć, przejście przez rzekę, napad bandytów... Pamięć tego wszystkiego nappełniała go trwogą w ciągu długich dni i jeszcze dłuższych nocy, gdy Miriam udała się do Elżbiety. Teraz to wszystko miał przed sobą – i nie szedł sam. Wczesnowiosenne noce były lodowate. Przewalały się w ciągu dnia gwałtowne ulewy, tym gwałtowniejsze, że niesione na skrzydłach porywistego wiatru, zwanego qadim, wiejącego o tej porze. Miriam nie skarżyła się na nic, a jednak wszystko przemawiało za tym, że czas rozwiązania jest już bliski. Nie mogli iść spiesźnie. Należało unikać nocowania pod gołym niebem. Wiedział, że będzie musiał zbaczać z drogi, by szukać schronienia w pobliskich osadach. Gdyby niespodziewanie przyszła w nocy jej godzina, Miriam powinna była mieć obok siebie jakąś kobietę.

Mniej obawiał się bandytów. Rozkaz królewski sprawił, że drogi pełne były ludzi. Gdy wyszli na trakt, który – omijając Samarię – prowadził do Judei, znaleźli się w ogromnym tłumie wędrujących. Wielu Judejczyków przesiedlało się do Galilei i do dalszych krain. Teraz wracali do swych rodzinnych stron. Ruszyły w drogę całe masy ludzkie. Szły gromady za tornadami. Idący narzekali na Heroda, przeklinali go. Ale natychmiast robiła się cisza, gdy mijano się z patrolami żołnierzy królewskich. Aby nie dopuścić do buntów, Herod kazał strzec dróg. Żołnierze jechali na koniach.

Byli to wielcy jasnowłosi mężczyźni, najemnicy germańscy, traccy lub greccy, którzy po odsłużeniu w wojsku rzymskim, zaciągnęli się na służbę króla żydowskiego. Gdy oni byli blisko, wszyscy spuszczały głowy i szli w milczeniu. Ledwo zniknęli – przekleństwa i złorzeczenia wybuchały z nową siłą. Wykrzykiwano: „Śmierć Herodowi! Śmierć Idumejczykom! Śmierć nieczystym!” Podniecano się tymi okrzykami. Zresztą mieszkańcy Galilei znani byli ze swego zacietrzewienia. Przebywając wśród pogan musieli się kryć ze swymi uczuciami. Ale tu, na drodze, gdzie szli sami Żydzi, tajone uczucia wybuchały z całą siłą.

Ten ogromny, rozkrzyczany, rosnący z etapu na etap tłum napelniał pod wieczór napotkaną na drodze wieś czy osadę. Wszystkie wolne kąty były natychmiast zajęte. Już na pierwszym noclegu, w małej wsi koło Scytopolis, Józef przekonał się, wśród jakich trudności upływać będzie dalsza droga. Gdy przybyli Go wsi, wszystkie domy pełne już były koczujących. Wędrujący zachowywali się bezwzględnie. Nie było mowy, aby któryś zgodził się ustąpić bodaj części zajętego przez siebie kąta. Ci, którzy przyszli pierwsi, odpędzali tych, którzy zjawili się później. Wybuchały klątwy i wymysły. Siła i pieniądze decydowały o wszystkim. Widok kobiety nikogo nie skłaniał do względności. Mężczyźni pili i po pijanemu rzucali w stronę Miriam plugawe słowa.

A tymczasem rozpadał się deszcz. Lodowate strugi lały z nieba, wiatr wył, ziemia zamieniła się w grząskie bagno. Po długich staraniach udało się Józefowi namówić jednego z gospodarzy, aby go przyjął razem z Miriam do przepełnionej po brzegi szopy. Za to schronienie gospodarz kazał sobie zapłacić wcale niemałą kwotę. „Muszę od was wziąć – tłumaczył płaczliwie – bo kto mi zapłaci za wszystkie szkody, które ponoszę? Zobacz tylko, co oni wyrabiają. Depczą, tratują, niszczą wszystko. Biorą sami, co chcą. Wyciągnęli mi wino z piwnicy i całe wypili. Dobrali się do składziku z żywnością. A spróbuj im powiedzieć, żeby zapłacili. Śmieją się i mówią: niech Herod płaci! Jak im nie dasz – jeszcze cię zabiją... To muszę wziąć od was, choć widzę, że jesteś porządnym człowiekiem...”

Józef przerażonym okiem patrzył na to, co się koło niego działo. Czy to byli ci sami galilejscy chłopci i rzemieślnicy, z którymi miał tyle razy do czynienia? Wydawali mu się zawsze grzeczni, dobroduszni i pobożni. Teraz to byli zupełnie inni ludzie. Gospodarz miał rację: brali bez pytania żywność i wino, a przy okazji niszczyli wszystko wokół. Gdy nie mieli drewna do rozpalenia ogniska, wyłamali płot. Od mieszkańców wsi domagali się usług. Wołali na gospodarza, aby im przysłał swoje córki, bo się chcą z nim zabawić. Rozbrzmiewały najobrzydliwsze słowa. Ledwo zatrzymał Miriam gdyż chciała opuścić szopę, aby tego nie słyszeć. Gdy ją wreszcie przekonał, że nie mogą spędzić nocy na deszczu, zawinęła się z głową w płaszcz i leżała bez słowa. Przytuliła się do niego i czuł, jak jej ciało drży.

Etapy musiały być krótkie – droga wydłużała się. Drugiego dnia zeszli w parów

Jordanu. Zimno ustąpiło parnej duchocie. Po padających ostatnio deszczach rzeka wezbrała. Pędziła z szumem, mętna i groźna. Górny bród koło Pelli przekraczało się zwykle bez trudu. Tym razem miała to być cała przeprawa. Nad brzegiem zebrał się tłum.

I Józef był pełen obaw, że osioł niosący na swym grzbiecie Miriam może upaść, zwalony z nóg przez pędzącą wodę. Na wszelki wypadek zdjął z niego cały ładunek. Trzymając go krótko za uzdę usiłował wprowadzić w wodę. Ale zwierzę przerażone szumem wody i wrzaskami ludzi zaparło się i nie chciało ruszyć z miejsca. Podniósł kij, aby je uderzyć. Miriam powstrzymała go. Poklepała osła po szyi, przemówiła cicho do niego i zwierzę, choć całe drżące, zgodziło się wejść do rzeki.

Trzymając się sznura, który został przerzucony z jednego brzegu na drugi, przytrzymując ramieniem Miriam i ostrożnie próbując każdego kroku, wolniutko szedł przez rzekę. Pod nogami miał śliskie kamienie, wprawione w ruch przez szybki nurt. Woda była bardzo zimna. Ludzie przed nim i za nim przewracali się, miotali się, chlapiąc w wodzie, wśród klątw. Drżał, aby Miriam nie upadła. Jej dłoń ufnie oparta o jego ramię zaciskała się odruchowo za każdym potknięciem się wierzchowca. Ale nawet jednym słowem nie okazała niepokoju. Mimo znoszonych trudów pozostała taka, jaka była zawsze: spokojna i pogodna. I szczęśliwie przebyli Jordan. Ale Miriam była zmoczona i trzeba było, aby osuszyła odzież, zanim ruszą w dalszą drogę. Józef rozniecił ognisko.

– Jak się czujesz? – wypytywał niespokojnie.

– Doskonale – upewniła go. – Mamy już za sobą pierwszą przeprawę.

– Drzę na myśl, jaki będzie dolny bród. Tam jest zawsze trudniej. A woda w ciągu dwóch dni nie opadnie.

– Po co się martwisz przed czasem – mówiła. – Nie niepokój się przewidywaniami. Przecież Najwyższy czuwa.

Skinął głową, ale nie powiedział ani słowa. Przez mózg przebiegło mu: On czuwa, nie chce mi jednak oszczędzić żadnego trudu...! Jakby odgadując jego myśli powiedziała:

– Nic się nie stanie, co by było sprzeczne z Jego wolą. On czuwa i pomaga. Wszystkim... Ale pozostawia trud, aby ludzie mogli Mu zaufać. – Chodzi mi jednak o to – rzekł – abyś ty się nie przemęczyła. Poczuł na ręku dotknięcie jej dłoni. – On wie także o moim zmęczeniu...



– Może nie chciał, abyśmy szli w tę drogę?

Uśmiechnęła się.

– Ludzie są tylko ludźmi, mogą się mylić. Myślę nieraz, że On lubi naprawiać ludzkie omyłki...

Nie powiedziała nic więcej. Na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiej utajonej radości. Odkąd miał ją przy sobie, dostrzegał częściej to jakieś zapatrzenie się w coś, co było w niej, a co musiało być dla niej największym szczęściem.

Odpoczywali niedługo. W ich sąsiedztwie zebrała się gromada mężczyzn. Także rozpalili ogień. Krzyczeli, hałasowali, pili. Znowu dolatywały z tamtej strony obrzydliwe wyrazy. Musiały w końcu dotrzeć do Miriam. Wyraz radości na jej twarzy zgasł. Skrzywił ją ból, jakby została uderzona.

– Pójdę, uspokoję ich! – wybuchnął na ten widok.

– Nie, nie – sprzeciwiła się. – Nie usłuchają cię albo przez złość będą mówili rzeczy jeszcze gorsze. Gdyby wiedzieli... Lepiej ruszajmy w dalszą drogę.

– Nie wypoczęłaś, nie wyschłaś...

– Już prawie wyschłam. Reszta wyschnie w drodze. Odjechali już dobry kawałek drogi, gdy zapytała:

– Czy znasz berakę, jaką odmawia się za ludzi, grzeszących słowami?

– Chyba takiej nie ma.

– Więc ją ułożmy, za takich ludzi trzeba się bardzo modlić.

Nie po raz pierwszy wzywała go do układania nowej modlitwy. Prosiła: „Wymyśl słowa, abyśmy się pomodlili za Sarę, która zgubiła wczoraj pieniądze i rozpacza... Za małego Nakona, który złamał nogę i jest smutny... Za tego poganina, który uderzył Joasa... Za tę kobietę, poganę, której córka tak ciężko choruje...” Te modlitwy nie budziły sprzeciwu Józefa. Ale choć sam z natury pełen był życzliwości dla ludzi, nie zawsze modlitwa za nich przychodziła mu od razu do głowy, gdy czegoś przykrego od nich doznał. Musiał wpierw ochłonać. Dla Miriam pierwszą odpowiedzią na zło, które ją od drugich spotykało, było pragnienie modlitwy za tych, co zło sprawili. Gdy na to patrzył, umacniało się w nim przekonanie, że został mężem dziewczyny obdarzonej niezwykle pobożnością. Zdarzało się, że odzywał się w nim jakby jakiś głos, który mówił: „To nie dla mnie! Jestem prostym człowiekiem! Chcę zwyczajnej ludzkiej

miłości!” Ale natychmiast gasił ten sprzeciw. Wiedział, że jeśli Miriam jest inna niż spotykane dziewczyny, to przecież jego miłość do niej jest także inna niż miłość mężczyzny do najpiękniejszej nawet kobiety.

## 22

Teraz wędrowali po dzikich drogach Perei.

Liczba wędrujących nie przestawała wzrastać. Wrogie okrzyki i przekleństwa rozlegały się ciągle. Tutaj żołnierzy nie spotykało się wcale: król Feroras żałował pieniędzy na utrzymywanie cudzoziemskich najemników.

Fala ludzka ciągnęła przez kraj podobna szarańczy. Osad tu było mało i nie leżały na szlaku. Aby do nich dotrzeć, trzeba było zbaczać z drogi. Ale i tutaj znajdowano wsie puste. Ludność przerażona zachowaniem wędrowców uciekła w góry zabierając ze sobą swój dobytek. Pozostały opuszczone chaty. Wędrowcy zajmowali je, rozpalali ogień i grzejąc się przy nim spędzali noc. Tu wysoko nad ghorem Jodanu noce znowu były lodowate. Jedzenia brakło. Komu nie starczyło zabranych zapasów, musiał głodować.

Miriam i Józef spędzili następną noc w takiej opuszczonej wiosce. Ledwo udało im się wcisnąć do wypełnionej ludźmi chaty. Żywności nie mieli. Wzięli wprawdzie z domu na drogę dość duże zapasy, ale Miriam obdarzała plackami jęczmiennymi napotkanych, którzy nie mieli nic do jedzenia. Kiedy Józef próbował się temu sprzeciwić, mówiła: „Nie troszczmy się o jutro, gdy ludzie obok nas są głodni. Ptak, gdy znajdzie trochę rozsypanego ziarna, zaraz zwołuje towarzyszy, nie myśli tylko o sobie. Tak go widać nauczył Najwyższy...”

W torbie został ostatni suchy placek. Józef przyniósł go Miriam, ale ona potrząsnęła głową.

– Nie jestem głodna. A tam w kącie siedzi kobieta z chłopcem. Patrz, dziecko wygląda na głodne...

– Ale przecież i ty... Uśmiechnęła się.

– Moje Dziecko nie płacze. A tamten, widziałam, płakał... Chłopiec w kącie izby rzeczywiście płakał z głodu. Żarłocznie rzucił się na podany mu placek. Józef wrócił do

Miriam. Siedzieli przytuleni do siebie, wsparci plecami o glinianą ścianę. Już było całkiem ciemno, a jeszcze zaglądali przez drzwi do wnętrza nowi przybysze szukający schronienia.

W chacie obok wybuchła hałaśliwa kłótnia między tymi, którzy teraz dopiero dotarli do wsi, a tymi, którzy wcześniej zajęli miejsca. Krzyki brzmiały dziko, wyglądało na to, że za chwilę rozpocznie się bijatyka. Ale jakoś widać zdołano się pogodzić i z wolna podniesione głosy zaczęły milknąć.

W środku ich izby było palenisko. Rozpalono na nim ogień. Ludzie siedzący wokoło mówili:

Zęby tego Heroda szamael ściągnął na samo dno otchłani!

– Żeby nigdy nie wyrzał z gehenny!

– I on, i cała jego rodzina!

– Nieczysty goim!

– Żeby mu syn pierworodny umarł na jego oczach!

– Żeby go stoczyły robaki!

Na dworze rozpadał się deszcz. Bębnił w powalę skleconą z gałęzi i polepioną gliną. Tu i tam glina rozmiękła, zaczęło przeciekać. Woda spadała strużkami, które uderzały w ubite klepisko. Mimo ognia robiło się coraz zimniej. Z ust obecnych szła para. Józef otulił Miriam płaszczami – jej i swoim. Przyjmowała bez sprzeciwu jego starania, musiało jej być naprawdę zimno. Twarz jej stała się szara, usta zsiniały. Józef był zaniepokojony jej wyglądem. Przyniósł jej trochę gorącej wody ze stojącego na ogniu garnka. Wypiła kilka łyków, a potem objawszy dłońmi kubek grzała sobie na nim palce. Nie musiało jej być łatwo zdobyć się na uśmiech, a jednak uśmiechnęła się. Powiedziała:

– Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Przyszła noc, ludzie przestali rozprawiać. Zrobiło się jeszcze zimniej, deszcz za oknem zamienił się w śnieg. Siedzący wokoło paleniska kiwali się sennie, ale naprawdę nikt nie spał. Ludzie drżąc pojękiwali i coś mamrotali. Nie było czym palić, więc ogień zaledwie się żarzył. Józef ogarnął Miriam ramieniem. Przytulił ją do siebie, a ona położyła mu głowę na kolanach.

Gdzieś w środku nocy zapytał ją szeptem:

– Śpisz?

– Nie.

– Zimno ci?

– Nie...

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Bądź spokojny.

W tę żalosną noc spędzoną w górskiej wsi postawił po raz pierwszy pytanie:

– Kim będzie Ten, który się narodzi?

Nie podniosła głowy z jego kolan. Szepnęła tylko:

– Mesjaszem.

– A kim będzie mesjasz? Człowiekiem jak my?

Na poły zwracał się z tym pytaniem do niej, a na poły do samego siebie.

Czas jakiś milczała. Dopiero po chwili odpowiedziała cicho:

– Będzie moim Synem...

Czekał, czy nie powie coś więcej. Ale ona nie dodała nic do swych słów. Z jej spokojnego oddechu wywnioskował, że zasnęła. Zebrał siły, by wytrwać nieruchomo w tej samej pozycji i nie obudzić jej nagłym poruszeniem.

W pulsującym żarze ognia widział jej twarz. Choć naznaczona zmęczeniem, jakże pełna była uroku. Biły z niej spokój, niewinność, dobroć, oddanie. Gdy tak patrzył, jego serce nappełniło gorące uczucie. Tak bardzo ja kochał. Ale razem z tą falą miłości pojawił się w nim skurcz żalu... Miała urodzić mesjasza... Aby Go zesłać, Najwyższy zabrał mu ją... Nie po raz pierwszy ta myśl pojawiła się w nim. Nadchodziła nagle jak nadlatująca strzała. Odpędzał ją. Ale ona wracała. I teraz korzystając z bezsennych godzin przychodziła znowu. Wświdrowywała się niby wąż w otwór ciasnej jamy. Mówiła: Mogliście być najszczęśliwszą parą ludzi... Żadne z was nie oczekuje od życia rzeczy wspaniałych. Kochając – nie potrzebowalibyście niczego. Swą miłością służylibyście Najwyższemu, głosili Jego wielkość... On jednak wołał wejść między was...

Ta noc uczyniła go słabym. A tymczasem żal nadpływał za żalem, jak fala morska za falą, które uderzają w brzeg. Można było pomyśleć, że wiatr, który smagał deszczem i mokrym śniegiem ściany domku, każdym swym uderzeniem trąca w jego ranę. Chwilami wydawało mu się, że w zawodzeniach wiatru słyszy jakby chichot. Jakby słowa: „Dotknij tylko jego kości i jego ciała...!”

Próbował walczyć. Ale wiatr wydarł z niego najbardziej ukryte myśli, zatajone uczucia, otworzył nie zabliznione do końca zadry. Odsłonił na uderzenia niby dom, któremu burza obaliła ścianę. Niewidzialny przeciwnik zasypywał go słowami, a potem chichotał triumfalnie. Rzucał mu w twarz: „I po co czekałeś? Co z twego czekania? Po co potrzebne były wyrzeczenia?”

Zagryzając wargi starał się modlić. Ale tylko zdobyć się mógł na powtarzanie: „Panie, chcę tego, czego Ty chcesz... Niech się spełni Twoja wola... Chcę, chcę...”

Nagle doznał uczucia, jakby zawisła nad nim jakaś ręka, która usiłowała go zmiażdżyć. Przebiegł go dreszcz. Był człowiekiem zbyt młodym, aby myśleć o śmierci. Ale w tej chwili wydało mu się, jakby to ona pochyliła się nad nim...

Miriam poruszyła się na jego kolanach. Uniosła głowę, otworzyła oczy, spojrzała na niego. Po jej bladych wargach przemknął uśmiech. Powiedziała cicho, jakby wciąż prowadziła rozmowę z Józefem:

– Moim Synem...

Na nowo zamknęła oczy, oparła czoło o kolana Józefa. Oddech jej stał się znowu oddechem człowieka śpiącego. Choć cały ścierpięty, siedział dalej nieruchomo.

Po chwili uświadomił sobie, że wiatr przestał szarpać wiązania domu. Ucichł jakby przydeptany. Już nie słyszał jego chichotu. Także deszcz przestał padać. W izbie panowała cisza, w której słyszać tylko było oddechy śpiących. Godziny płynęły znowu wolno. Ale żale już nie szarpały serca.

## 23

Dopiero na piąty dzień dotarli po raz drugi na brzeg Jordanu. Z zimnych, wyświstanych wiatrem gór zeszli na nowo w duszny i parny wawóz. Jego dnem pędziła z szumem wezbrana rzeka.

Przy dolnym brodzie koło Betabara zebrał się ogromny tłum. Ludzie obozowali nad brzegiem deliberując, co robić. Przejście rzeki było bardzo trudne. Głęboka woda sięgała ramion. Płynęła tak gwałtownie, że mimo przerzuconych z brzegu na brzeg sznurów ci, którzy weszli w wodę, nie mogli się utrzymać na nogach. Niektórym udało

się przedostać na drugi brzeg. Inni zawrócili. Ale kilku puściło się sznura i tych rzeka porwała, poniosła w dół, potopiała.

Józef zostawiwszy Miriam na boku wszedł w rozgadana cizbę, aby posłuchać, co ludzie mówią. Opinie były różne. Jedni radzili czekać, twierdząc, że za dwa dni najdalej woda opadnie. Inni radzili próbować za wszelką cenę przeprawy. Ale byli i tacy, którzy mówili, że należy iść dalej brzegiem rzeki aż do jej ujścia i tam na brzegu Morza Asfaltowego przeprawić się łodzią. Przedłużało to bardzo drogę, ale pozwalało uniknąć przeprawy przez wezbrany Jordan. Józef po namyśle postanowił skorzystać z tej rady.

Ruszyli w dół drogą towarzyszącą staczającej się ku morzu rzece. Droga była wąska, kamienista, nie dość rozdeptana – w zwykłym czasie nikt tędy nie chodził. Kolczaste krzewy wyciągały swe łodygi i chwyciły nimi za ubrania idących. Osioł kluty przez ciernie szedł wolno, pochrapując, prowadzony przy pysku przez Józefa. W końcu wydobyli się z gęstwiny. Przed nimi otworzył się widok na wielką, prawie czarną tarczę wody. Jordan wpadając do morza tworzył wokoło swego ujścia rudoburą plamę. Między bujną roślinnością, jaka pokrywała brzegi rzeki, a morzem ciągnęła się naga, kamienista plaża. Tam, gdzie sięgała woda, nie było ani jednej kępy zieloności. Walały się tylko wysuszone przez słońce i wygładzone przez morze pnie drzew i gałęzie, przypominające wyglądem stare kości. Tu i tam połyskiwały małe jeziora. Wokoło nich szklistą bielą osadziła się sól. Od wody zanosilo ostrą, niemiłą wonią.

Przy brzegu stało wiele łodzi rybackich. Przyplły tutaj, gdyż ich właściciele dowiedzieli się o wędrujących tłumach, pragnących się przeprawić. Stali przy swych łodziach i głośno targowali się o cenę przewozu. Józef zostawił Miriam i zbliżył się do rybaków. Większość łodzi przewoziła ludzi jedynie poza ujście Jordanu. Ale było kilku rybaków, którzy szykowali się do dłuższej przeprawy. Mieli zawieźć ludzi aż na zachodni brzeg, pod ciemne, groźnie sterczące skały.

Uświadomił sobie, że dla nich taka przeprawa mogła być korzystna, gdyż bardzo skracala drogę. Wprawdzie przepłynawszy musieli się wdrzeć na wysoki brzeg, ale wtedy wychodzili wprost na Betlejem, bez potrzeby przechodzenia przez Jerycho i Jerozolimę. Także, myślał, jazda łodzią mniej zmęczy Miriam. Podróż trwała dłużej, niż przypuszczali, i Miriam wydawała się bardzo wyczerpana trudami. Wciąż upewniała Józefa, że czuje się dobrze, jej wygląd jednak przeczył słowom.

Przewoźnik płynący w tamtą stronę gotów był ich wziąć, nie chciał jednak zgodzić się na zabranie osła. I Miriam, i Józef protestowali gorąco. Miriam była przywiązana do zwierzęcia, Józef żywił także sympatię dla kłapoucha; zdawał sobie przy tym sprawę, że bez wierzchowca trudno byłoby Miriam dotrzeć do Betlejem. W końcu rybak za dodatkową opłatą zgodził się wziąć osła. Spętano mu nogi i położono go na tyle łodzi.

Łódź odbiła od brzegu tak obciążona, że woda sięgała prawie burty. Rybak ostrzegł jadących, aby się nie kręcili, gdyż rozhuśtana łódź może nabrać wody. Wszyscy więc siedzieli nieruchomo. Posuwali się tak wolno, że można było sądzić, iż stoją w miejscu. Czasami jednak nadlatywał wiatr, wydymał żagle i wtedy zaczynali płynąć prędzej. Na powierzchni morza nie było fal, łódź zdawała się ślizgać po powierzchni. Przechodziły nad nimi krótkie ulewki. Spoza gór wznoszących się niby groźny mur na wschodnim brzegu wytaczała się chmura. Zawisła nad nimi, ogarniała ich mgłą, w której znikало wszystko wokoło. Potem spadały z nieba strugi wody. Z pluskiem uderzały w powierzchnię morza. Przez pewien czas płynęli otuleni niby mokrą płachtą. Dygotali. Na dnie łodzi pojawiała się woda i rybak nakazywał, aby ją wylewali czerpakami. W końcu wiatr rozdzierał mgłę. Deszcz ustawał, przecierało się. Znowu mogli zobaczyć brzeg, ku któremu powoli się zbliżali. Ale słońce już nie świeciło.

Mieli wokoło siebie duszną parnotę, która ciężko ugniatała piersi.

Choć płynęli powoli, jednak zbliżali się do brzegu. Coraz lepiej widzieli wysoki, skalisty brzeg i białą plażę u jego stóp. Od skał przybrzeżnych oddzielał się długi, skalisty cypel o płaskim grzbiecie, niby olbrzymi stół. Gdy już byli blisko, dostrzegli na grzbiecie cypla kręcących się, białe odzianych ludzi.

Kiedy na koniec dopłynęli, był już zmierzch. Wsiadali i rozprostowywali ciała zdrętwiałe od wielogodzinnego pozostawania bez ruchu. Miriam wysiadając z łodzi, oparła się ciężko na ramieniu Józefa. Patrzył z troską na jej twarz zsiniałą i na bezkrwiste wargi. Przeszedłszy kilka kroków siadł na piasku ze spuszczoną głową. Józef poszedł rozwiązać osła i wyprowadził go na brzeg. Potem wrócił do Miriam. Patrzył na nią zaniepokojony. Podniosła głowę, powiedziała siląc się na uśmiech:

– Nie bój się...

Ale on nie czuł się uspokojony. Patrzył niespokojnie na skalną ścianę nad nimi.

Wcinał się w nią głęboki żleb, pełen piargu. Widać było, jak dnem żlebu zakosami wznosi się wąska ścieżka. To była ich droga. Na szczycie – niewidoczna z dołu – wznosiła się forteca Hyrkania.

Było już za późno, aby wyruszać o zmierzchu w dzikie góry. Inni, którzy przyплыnęli łodzią, także mieli zamiar przenocować na brzegu. Zaczęto rozpalać ogniska. Drewna nie brakło, ale było wilgotne. Ogień nie chciał się palić, po ziemi pełzał warkocz dymu. Od morza ciągnął drażniący zapach siarki. To tam, na drugim końcu Asfaltowego Morza rozdarła się przed wiekami zapora skalna i podziemny ogień strawił dwa grzeszne miasta. A potem wszystko zalała woda. Ciemna, jakby lekko wydęta tafla była niby pokrywa tajemniczego grobowca.

Myślał o tym, chodząc po plaży, bielejącej płatami wykrystalizowanej soli, i zbierając drewno na opał. Także gałęzie pokryte były solnym szklivem.

Ogień ledwo się żarzył. Żywności nie mieli. Nad Jordanem udało się Józefowi kupić garstkę daktyli, ale nie pozostał już z nich ani jeden.

– Czy jesteś bardzo głodna? – zapytał. Głos mu się załamał. Przedtem obszedł inne ogniska i błagał o sprzedanie jakiegoś pożywienia. Spotykał się wszędzie z odmową.

– Nie przejmuj się – powiedziała. W jej głosie był spokój. – Jutro przecież dotrzemy do Betlejem, a tam niczego nam nie zabraknie.

Westchnął.

– Na pewno. Ale przedtem trzeba będzie wspiąć się na te skały. Czeka cię duży wysiłek. O, Miriam! – wybuchnął nagłym żalem. – Nie jestem dla ciebie dobrym opiekunem. Powinienem był wszystko przewidzieć, powinienem był więcej wziąć zapasów na drogę... To przeze mnie znosisz tyle niewygód!

Wyciągnęła rękę i położyła mu na ustach koniec palca.

– Cicho – powiedziała – cicho. Rozżaliłeś się. Jesteś zmęczony. Ale nie wolno ci robić sobie żadnych wyrzutów. Przecież zrozumiałeś...

– Nie! – zaprzeczył. Poczucie bezsilności dławiło go. – Nic bym sam nie zrozumiał. A choć On mi powiedział – zostało tyle sprzeciwów...! Nie pojmuję! On taki potężny, wszechmocny... A zostawia ciebie...

Pieszczotliwie przesunęła dłonią po jego dłoni.

– Biedaczek... – powiedziała. – Wierz mi – zapewniła – ja także nie zawsze



pojmuję...

– Ty? Ty, taka zawsze spokojna...?

– Jesteśmy takimi samymi ludźmi oboje. Zwyczajnymi.

– Nie, to tylko ja.

– Oboje. Ale ja się wcale tym nie przejmuję. Nawet cieszę się... On, kiedy nas wybierał, wiedział, jacy jesteśmy...

– Nie mów tak, Miriam. Patrzę i widzę, jaka jesteś.

– Patrzysz oczami miłości. Jesteśmy tacy sami. Tylko mnie łatwiej. Kobieta, gdy ma urodzić, o wszystkim zapomina, bo pamięta o dziecku...

Znowu jej dziewczęca dłoń wyciągnęła się ku niemu i dotknęła jego policzka. To było tak, jakby ktoś oliwą przemył ranę. Niepokój, troska i żal przygasły.

– Zdołasz zasnąć? – zapytał jeszcze.

– Będę próbowała.

Ale kiedy chciała się ułożyć, w mroku obok nich zamajaczyły dwie postacie ludzkie. Józef poderwał się zaniepokojony. To nie byli ci, którzy przypłynęli z nimi łodzią. O parę kroków od nich stali dwaj nieznani mężczyźni, ubrani w białe lniane kuttony. Jeden z nich trzymał zawieszony na ręku duży kosz.

– Czego chcecie? – zapytał.

Ten, który był bez kosza, zrobił gest, jakby chciał nim zatrzymać Józefa.

– Nie zbliżaj się – powiedział. – Powiedz: skąd się znaleźliście tu na wybrzeżu? Wy i tamci... – wskazał ludzi siedzących przy ogniskach.

– Przypłynęliśmy i idziemy dalej, każdy do swego miasta. Chyba przecież wiecie o rozkazie króla, który kazał wszystkim iść zapisać się w księgach swego rodu.

– Nie słuchamy niczych rozkazów – mężczyzna rzekł dumnie i surowo. – Jesteśmy prawdziwymi synami Sadoka, nie jak tamci – zrobił gest dłonią – którzy wchodzą w układy z goimami. Ale Najwyższy kazał nam pełnić dzieła miłosierdzia. Pomyśleliśmy, że jesteście może głodni...

– To prawda. Nie mamy żywności. Tylu ludzi wędruje teraz po drogach...

– Więc dlatego przynieśliśmy wam – człowiek skinął na swego towarzysza. Zacerpnął z trzymanego przez tamtego kosza bobu i nasypał Józefowi w połą płaszcz. Potem dorzucił garstkę oliwek. Ale zrobił to tak, aby nie dotknąć ani płaszcza, ani ręki

Józefa.

– Dziękuję wam – powiedział. – Poratowaliście nas w chwili prawdziwej potrzeby. Niech wam Najwyższy odpłaci za tę pomoc.

Odruchowo wyciągnął rękę. Tamci obaj cofnęli się.

– Nie dotykaj nas – rzekł mężczyzna. – Żyjemy w odłączeniu, w prawdzie i sprawiedliwości. Pokój wam.

Odeszli ku innym ogniskom.

– To esseńczycy – Józef powiedział do Miriam, która przyglądała się otrzymanej żywności trochę jakby rozbawionym spojrzeniem. – Wiedziałem, że gdzieś tu mieszkają nad morzem, ale nigdy ich dotąd nie spotkałem. Mieszkają z dala od ludzi, nie jedzą mięsa, nie żyją z kobietami, nie mają dzieci. Są przeciwni kapłanom. Tamci też ich nienawidzą. Kiedyś za czasów królów hasmonejskich zabili przywódcę esseńczyków...

– Są miłosierni... – rzekła. – Nigdy nie wiadomo, kogo użyje Najwyższy, aby pomóc... Za tych ludzi musimy się pomodlić.

Odmówili krótką berakę, a potem Miriam ułożyła się do snu. Podłożył jej pod głowę sakwy i owinał starannie płaszczem. Za chwilę usłyszał jej spokojny oddech.

Sam nie miał zamiaru spać. Chciał podtrzymać ogień. Zresztą senność mu nie dokuczała. Było coś w atmosferze tego grobowca grzechu, że rodziły się myśli i płoszyły sen. Myśli pełne niepokoju i jakby pragnienie ucieczki... Jakiej ucieczki? Nie wiedział. Ale to pragnienie wracało nieustannie.

Chmury zwisały ciągle nisko niby dach zbitego ulewą namiotu. Deszcz nie padał, ale żadna gwiazda nie była widoczna na niebie. Świat wydawał się mały i zmoknięty. Od morza dochodziła ciągle dokuczliwa woń.

Ledwie wydobyli się nad duszną kotlinę Morza Asfaltowego, uderzył w nich zimny wiatr, niosący krople deszczu, przemieszanego ze śniegiem. Prowadząc osła, starał się równocześnie osłaniać Miriam przed uderzeniami wichury. Niepokój o nią wzrósł, gdy rano przyznała mu się, że sądzi, iż jej czas już nadchodzi. Była słaba. Pociła się, to

znowu dygotała z zimna.

Wyruszyli o świcie. Wolno posuwali się ścieżką prowadzącą w górę zakosami. Dnem żlebu spływał potok, więc przynajmniej mieli wodę. Miriam szła z wysiłkiem. Od pierwszej chwili wydawała się wyczerpana. Objął ją wpół i prowadził ostrożnie. Za nimi włókł się osioł. Na nim także znać było trudy wędrówki. Potykał się na kamieniach.

Gdy wstąpili na pierwsze wzniesienie, przekonał Miriam, że powinna sięść na wierzchowca. Osioł szedł teraz jeszcze wolniej i jeszcze bardziej się potykał. Miriam siedziała na jego grzbiecie blada, z twarzą ściągniętą. Jej palce wplecione były w grzywę zwierzęcia.

Droga wiodła czasami skrajem urwiska tuż nad przepaścią. W takich chwilach Józef prowadził osła pełen lęku. Jego potknięcie groziło upadkiem. Gdy sobie to uświadomił – drżał cały. Miriam zawsze umiała wyczuć jego niepokoję. Zwykle odzywała się wtedy słowami pociechy lub umacniała go pieszczotliwym dotknięciem. Teraz jednak milczała.

Było w nim jedno pragnienie – dojechać jak najszybciej. Gdy już dojadą, był pewien, że wszystko będzie dobrze. Wbrew jego pragnieniu szli coraz wolniej. Pogoda z każdą chwilą stawała się dokuczliwsza. Przychodziły momenty, że ogarniała ich mokra mgła; w której ledwo mogli się poruszać, nic nie dostrzegając wokoło siebie. Ukryty we mgle wiatr to wył jak pustynny szakał, to znowu zanosił się skowytem przypominającym historyczny śmiech torturowanego.

Byli sami. Ludzie, którzy przypłynęli razem z nimi, poszli inną drogą lub pozostali na wybrzeżu, czekając na lepszą pogodę. Te góry nie cieszyły się dobrą sławą. Nie spotykało się tu wprawdzie bandytów, którzy woleli trzymać się z dala od żołnierzy, kwaterujących w twierdzy. Podróżnicy, którzy tędy wędrowali, opowiadali przerażające historie o krążących tutaj szedim... Słyszano głosy, znajdowano ślady niby to kurzych pazurów. Niewidzialne dłonie chwyciły idących za płaszcze i rzucały w nich kamienie. Znajdowano ludzi zepchniętych nie wiadomo przez kogo do przepaści...

Józef miał uczucie, że w tej mgle, w wichurze, w zacinającym deszczu kryją się jakieś żywe istoty ogarnięte niezrozumiałą wściekłością. Wiatr to rozdzierał mgłę i skręcał ją, niby wyżymaną płachtę, to znowu ją nawiewał, ciskał im w twarz. Ciągłe słychać było gwizdy, wycia, łkania, chichoty. Nagle gdzieś obok nich osypały się

z łoskotem całe złożył piargu. Kamienie wytaczały się na ścieżkę tuż pod ich nogi. W ostatniej chwili ledwo zdolali zatrzymać się przed dziurą, jaką deszcz wyrwał na ich drodze. Innym razem zamajaczył przed nimi kształt seiry – kozła: zwierzę wypadło z mgły i natychmiast na nowo w niej zniknęło...

Już nawet Józef ledwo szedł. Bolały go oczy od ostrego skalnego pyłu, niesionego wraz z kroplami deszczu przez wicher. Mimo to wciąż osłaniał Miriam i czuwał nad krokiem osła. Godziny mijały. Stawali i znowu ruszali. Nie było sensu zatrzymywać się na dłuższy postój. Nie zdołałby rozpaść ognia. Jedzenia nie mieli. Miriam wciąż milczała. Józef lękał się ją pytać, jak się czuje.

Już zaczęło w nim narastać przekonanie, że ta droga będzie trwała bez końca i nigdy do celu nie dojdą, gdy wreszcie ze skalnej ścieżki zeszli na wydeptaną drogę. Jeszcze musieli okrążyć wykrot, którego dnem przetaczał się potok. Potem droga stawiała się z każdą chwilą równiejsza. Kiedy na chwilę stanęli, poprzez deszcz i mgłę wydało się Józefowi, że dostrzega przed sobą jakiś ciemny kształt, niby wielką postać ludzką. W pierwszej chwili poczuł niepokój. Ale zaraz upewnił się, że ciemna sylwetka jest po prostu drzewem. Jego kształt był znajomy. Wykrzyknął radośnie:

– Miriam! Już jesteśmy! Już dochodzimy!

Nie odpowiedziała mu nic. Miała twarz skurczoną i tylko w jej oczach odczytał wyraz ulgi. Po chwili dopiero doszedł go jej cichy szept:

– Bądź spokojny... Wszystko będzie dobrze...

– Tak, teraz będzie dobrze – zapewnił ją. – Jeszcze chwila, a dojdziemy do domu ojca.

Teraz droga schodziła nieco w dół. Doskonale wiedział, gdzie są. Jeszcze zakręt – i w siodle między dwiema sterczącymi skałami zobaczyli wieś. Mógł już rozróżnić poszczególne domy. Każdy znał, o każdym wiedział, do kogo należy. Zmęczenie od razu odeszło. Zapomniał nawet o stopach poobcieranych przez ostre kamienie.

Nagle powiedziała:

– Zatrzymajmy się, proszę.

Natychmiast stanął i patrzył na nią wystraszony.

– Źle się poczułaś? Czy może już...?

– Nie, nie. Muszę tylko zsiąść.

- Dlaczego?
- Patrz, nasz osiołek okulał...
- Mniejsza o niego. Musi cię donieść!
- Nie, Józefie. On zanadto zmęczony...

Nie próbował się sprzeciwiać. Pomógł jej zsiąść z osła, objął ją wpół i prowadził ostrożnie. Osioł włókł się kuszykając za nimi.

Droga, którą szli, wyprowadziła ich na szeroki trakt, który kierował się w jedną stronę do Jerozolimy, w drugą do Hebronu. Traktem szli ludzie omotani płaszczami. Ich widok ucieszył go. Do pierwszego mijanego mężczyzny zwrócił się słowami powitania. Ale tamten ledwo coś burknął spoza chusty, którą miał okreconą głowę.

Mokrzy, dygocący, ledwo trzymający się na nogach stanęli wreszcie przed bramą rodzinnej zagrody. Brama była zamknięta. Józef zawołał. Musiał powtórzyć swe wołanie kilka razy, zanim wreszcie usłyszał za bramą jakiś ruch. Ale i teraz nikt im nie otworzył. Głos służącego zapytał spoza zamkniętej furtki, kim są. Gdy Józef odpowiedział, tamten odszedł. Słyszeli jego oddalające się kroki. Ogarnęło go zniecierpliwienie. Uderzył pięścią w bramę i cisnął porywczym słowem. Ale natychmiast umilkł. Bliskość Miriam zawsze gasiła jego porywczość. To pewno jakiś nowy służący, myślał. Nie wie, kim jest Józef. Ale on zawoła innych. Rzeczywiście usłyszał znowu stąpanie. Furtka uchyliła się. W szparze zobaczył głowę Seby.

- To ja, Józef – powiedział. – Otwórz prędko. Służący nie poznał mnie chyba...

Seba milczał. Nie otworzył furtki, nie zaprosił ich do środka.

- Bracie – w głosie Józefa było zdumienie. – Wprowadź nas prędko.

Jesteśmy bardzo zmęczeni. Droga była ciężka. Oto moja żona, potrzebuje schronienia i pomocy...

Seba uniósł ręce nad głowę. Zawołał:

- Po coś przyszedł? Miałeś nie przychodzić!
- Przecież wiesz o rozkazie królewskim.
- Ale myśmy ci mówili, abyś nie przychodził.
- Cokolwiek mówiliście... Wytlumaczę ci. Tymczasem wprowadź nas do domu.

Moja żona potrzebuje pomocy...

– Nie mogę was wziąć do domu.  
– Dlaczego?  
– Boimy się. Nie tylko ja. Wszyscy.  
– Sam przecież mówiłeś, że nikt mnie nie szukał!  
– Nie wiadomo. A teraz przyszło tylu ludzi. Na pewno kręcą się szpiedzy. Nie możesz być u nas. Idź sobie!

– Zapiszę się i pójdę. Teraz musimy odpocząć.  
– Poszukaj sobie schronienia w okolicy.  
– Nie mamy sił iść szukać. Widzisz, jacy jesteśmy zmęczeni.  
– Tutaj nikt cię nie przyjmie...  
– Co powiedziałeś?  
– Nikt. Tak uradziliśmy. Wszyscy. Na wypadek gdybyś przyszedł, uprzedziłem cię...

– Ale przecież to moja rodzinna wieś! Jesteście moimi braćmi!  
– Jesteśmy braćmi, ale nie chcemy za ciebie ginąć. Swoją część dostałeś. Przywiozłem ci cenny pierścień...

Przetarł oczy. Wydawało mu się, że śni. Nie mógł uwierzyć, że widzi zamkniętą bramę i broniącego wejścia Sebę.

– Bracie – powiedział, starając się zapanować nad głosem, który zaczął mu dygotać złością – postąpiliście niegodnie. Tak nie czynią bracia. Gdyby ojciec żył... Ale ja niczego od was nie chcę poza gościna, jakiej obyczaj każe udzielić każdemu strudzonemu wędrowcowi. Przeszliśmy długą drogę. Moja żona musi jak najszybciej znaleźć się pod dachem. Zbliża się jej godzina...

Seba zatrzepotał rękami jak ptak, który nie chce się dać odpędzić od zdobyczy.

– Jeszcze i to? Tym bardziej musicie iść stąd! To Dziecko... Nie powinno się urodzić tutaj! Idźcie!

Cofnął się i gwałtownie zatrzaskał furtkę. Józef w nagłym porywie rzucił się, zaczął uderzać ramieniem ze wszystkich sił w zamknięte drzwi.

– Otwieraj! – krzyczał. – Otwieraj! Musisz otworzyć!

Ale Seba nie otworzył, a furtka okazała się dość mocna, aby powstrzymać Józefa. Próżno w nią uderzał. Zadyszał się tylko.

– Otwórz – powtarzał. – Otwórz! Musisz nam dać pomoc! Musisz!

Spoza furtki nie odezwał się żaden głos. Józef czuł, że Seba nie odszedł, ale stoi przyczajony po drugiej stronie. Rozpacz przerodziła się w gniew. Znowu przycisnął furtkę całym ciałem. Skrzypiała, ale nie ustępowała.

– Ty, podły...! – cisnął. – Ty...! Poczuł jej dłoń na swoim ramieniu.

– Zostaw...

– Jak mogę zostawić? Przecież musisz znaleźć schronienie!

– Może kto inny nas przyjmie... Nie możesz się gniewać na brata. Cofnął się.

Wczepił palce we włosy. Jęknął:

– O Miriam... Co ja zrobiłem? Dokąd ciebie zaprowadziłem?!

– Chodźmy stąd...

– Nigdzie nie możesz już iść!

– Pójdę. Są inne domy.

– Słyszałaś? Powiedział, że nigdzie nas nie przyjmą!

– Jest na pewno zajazd...

Zawrócili. Szli, wlokąc za sobą nogi. Józef podtrzymywał Miriam. Osioł, o którym zapomnieli, szedł za nimi z opuszczonym nisko łbem.

– Podli... – Józef przeżuwał swój gniew. – Zmówili się... Mówi, że się boją... Ale zaczynam sądzić...

– Niczego nie przypuszczaj – przerwała mu. – Bądź wyrozumiały.

– Nie mogę! Odegnali nas! O mnie nie chodzi...

– Może tak było trzeba...

– Co ty mówisz?

– Może On tego chciał...?

Zajazd wyrósł przed nimi. Stał tuż przy drodze. Miał kształt wielkiego kręgu. W pośrodku było miejsce dla wielbłądów i osłów. Wokół biegły podsienia, częściowo przesłonięte zasłonami z plecionych mat.

Weszli w bramę i zatrzymali się. Zajazd pełen był ludzi i wierzchowców. Nad natłoczonymi podsieniami unosiły się kłęby dymu z palenisk i rozbrzmiewał gwar głosów. Zobaczyli gospodarza, który biegł w ich stronę i już z daleka dawał rękami znaki, aby nie wchodzili.

- Nie ma miejsca! – wołał. – Ani krzty miejsca!
- Może jednak coś znajdziesz – prosił Józef. – Zapłacę. Gospodarz jeszcze mocniej zamachał rękami.
- Co mi mówisz o zapłacie? Każdy musi płacić. Ale miejsca nie ma. Widzisz chyba sam.
- Słuchaj – Józef ujął gospodarza za rękaw. Ściszył głos. – Zrozum. Ja muszę mieć jakiś kąt... Zapłacę, co chcesz. Moja żona...
- Widzę, nie jestem ślepy! – Mężczyzna wyszarpnął rękaw z dłoni Józefa. – Nic na to nie poradzę. Gdzie was pomieszczyć? Czy widzisz jakieś wolne miejsce? Zwaliło się ludzi jak nigdy. Sam z rodziną musiałem się wynieść z mojej izby i oddać ją gościom!
- Ależ zrozum... Zlituj się!
- Rozumiem cię, człowieku, i żał mi ciebie. Ale nie proś, bo ci nic nie poradzę. Już wieczór, a jeszcze jacyś jadą...

W bramę zajazdu wjeżdżała karawana złożona z kilku wielbłądów. Na pierwszym z wierzchowców jechał człowiek w strojnym bogatym płaszczu. Gospodarz porzucił Józefa i podbiegł do tamtych. Już z daleka kłaniał się nisko.

- Dla nich znajdzie miejsce – powiedział Józef na rozmowę tamtych. – Nie wytrzymam...! Pójdę, powiem mu...!
- To nic nie pomoże. Nas nie weźmie.
- Co zrobimy?
- Idźmy stąd.
- Dokąd?
- Przed siebie. Najwyższy nie zostawi nas bez pomocy.

Zawrócili ku wyjściu. Józef czuł się tak bardzo załamany, że poddał się biernie jej kierownictwu. Osioł stał przez chwilę niezdecydowany. Jego właściciele odchodzili, a on czuł tutaj inne zwierzęta, pachniało sianem i od podsieni wiało ciepłem. Jednak przywiązanie przemogło. Z podkurczonym ogonem ruszył za Miriam i Józefem.

I dokąd tak będziemy iść? – snuło się po głowie Józefa. Wędrowali ulicą wioski. Znał każdy mijany dom. Ten należał do brata, ten do stryja, ten do syna siostry... Nie zatrzymał się przed żadnymi drzwiami, nie zapukał, wciąż pamiętał o słowach Seby: uradziliśmy wspólnie... Sądził, że przyjdzie, spodziewali się go – i zamknęli przed nim



drzwi. Odegnam go jak przybłędę!

Miał uczucie, że spoza zamkniętych furtek śledzą go jakieś oczy. Tamci musieli obserwować go skrycie.

Zza węgła domu wyszedł chudy psiak. Uniósł w górę jedno ucho i chwilę uważnie patrzył na idących. Przyczaił się. Potem zerwał się, szczechnął i gwałtownie machając ogonem, dopadł nóg Józefa. Aż piszczał z radości. Może poznał Józefa – a może po prostu był spragniony ludzkich uczuć. Gdy Józef prawie odruchowo pochylił się i przesunął dłonią po skudłonej sierści psa, ten wpadł w jeszcze większy zapał: podskakiwał i obiegał ich szaleńczo wokół.

Szli dalej. Robiło się coraz ciemniej. Wiatr porozganiał chmury i na odkrywającym się niebie zapalały się pierwsze gwiazdy. Z każdą chwilą stawało się zimniej.

Doszli do końca wioskowej ulicy. Żadna furtka nie otworzyła się i oni do żadnej nie zapukali. Minęli ostatni dom. Potem zaczynały się już pola i łąki. Gdzieś tutaj było pole Dawidowe, które ojciec zostawił mu w spadku.

Nagle przypomniał sobie... Tam, na jego polu, stał dawniej mały, ubogi dom. Ludzie, którzy go zbudowali i w nim mieszkali, nie należeli do rodu. Nie byli nawet Żydami. Ten Uza przybył do ich wsi z daleka, z żoną i z dzieckiem. Był nędzny, ubogi, obcej wiary. Pogardzano nim. Nikt go nie chciał przyjąć. Jeden Jakub zlitował się nad nim. Pozwolił, aby człowiek wybudował sobie dom na starej rodowej ziemi, dał mu do uprawy spłacheć gruntu. Za to Uza pracował u niego w gospodarstwie. Także Józef brał go często do swego warsztatu, aby mógł nieco zarobić, gdyż rodzina Uzy zrobiła się bardzo liczna. Stosunek innych mieszkańców wsi do Uzy pozostał pogardliwy. Nawet dzieci stroniły od jego dzieci.

– Chodźmy jeszcze kawałek – powiedział do Miriam. – Tu spróbujemy...

Domek stał tam, gdzie był dawniej: ciemna, mała budka z chrustu obłożona gliną i błotem. Brama do zagrody była otwarta. Rzekł:

– Zaczekaj chwilę...

Miriam została. Musiała być bardzo wyczerpana, gdyż wsparła się o pał, na którym zawieszona była furtka. Pies i osioł pozostały przy niej. Zwierzęta obwąchiwały się wzajemnie.

Szybkim krokiem przeszedł podwórko, zakołatał do drzwi. Nikt mu nie odpowiedział. Zastukał ponownie, niecierpliwie. Teraz posłyszał stąpanie bosych stóp.

– Kto tam? – zapytał głos kobiecy.

– To ja, Józef syn Jakuba.

– Pokój Tobie, Józefie – kobieta wynurzyła się spoza zasłony. – Jestem Ata, żona Uzy. Czy pamiętasz mnie?

– Pamiętam cię, Ato. Czy jest twój mąż?

– Musiało cię długo nie być we wsi, skoro nie wiesz, że Uza nie żyje.

– Tak, długo mnie nie było i nic nie wiem o jego śmierci. Ale słuchaj, Ato. Przybyłem dziś do Betlejem. Z żoną... Szliśmy długo, jesteście bardzo zmęczeni. I moja żona spodziewa się lada chwila rozwiązania. Nigdzie nas nie przyjęto...

– Wiem – powiedziała. – Doszło do mnie, że cię nie chcą...

– Nie mamy żadnego schronienia...

– Ten dom jest twoim domem...

– Przyjmiesz nas?

– Jakżeby mogło być inaczej? Okazywałeś nam zawsze współczucie i dobroć. Wszystko, co mamy, zawdzięczamy tobie. Wszystko tutaj jest twoim... Ale dom jest mały i brudny. Nawet, patrz, wali się ściana. Nie ma mężczyzny, aby ją podźwignął. Czy chcesz do takiej nędzy wprowadzić żonę?

– Lepsza nędza niż spędzenie nocy na dworze.

– To prawda. Odejdę z całą rodziną i zostawię ci cały dom. Ale może znajdzie się lepsza rada. Na pewno pamiętasz, że tu zaraz za domem jest skała, a w tej skale grota. Duża i sucha. Uza chciał w tej grocie urządzić mieszkanie, ty jednak wyjechałeś, a on nie chciał nic na twojej ziemi robić bez twojej zgody. Trzymamy w grocie naszego wołu. Chcesz, pójdę z wami, zaniosę ogień. Mój Aziz nanosi drzewa. Gdy się rozpali ognisko, w grocie będzie ciepło. Wyżej w skale jest źródło. Zagrzejemy wody, przyniosę jedzenia. Usłużę wam we wszystkim. I jeżeli zezwolisz, pomogę twojej żonie. Rodziłam sama wiele razy...

– Ależ proszę cię o to, Ato.

– O nic nie prosz. Jesteś tu panem. A ja się cieszę, że mogę ci okazać wdzięczność. Gdzie jest twoja żona?

– Została przy furtce.

Ata wybiegła. Za chwilę usłyszał, jak dwie kobiety rozmawiają ze sobą. Odetchnął lżej. Prędko odmówił dziękczynną berakę. On pomógł – w ostatnim momencie... Gdy już wydawało mu się, że znaleźli się na progu rozpacz. I to takie dziwne: grotą znajdowała się na jego gruncie, a kobieta, która z takim zapalem spieszyła mu z pomocą, była żoną jedyne go obcego w ich wiosce...!

Chmury były już całkiem rozgonione i kryły się za horyzontem. Niebo wydawało się bardzo wysokie. Coraz więcej świeciło na nim gwiazd. Część z nich, zdawało się, upadła na ziemię: musiały to być ogniska pasterzy, którzy na łąkach w dole strzegli stad.

Kobieta pobiegła do domu i zaraz wróciła z kagankiem. Słaby płomyczek trzepotał się między jej pokurczonymi palcami niby schwytany ptak. Za kobietą wybiegł jej syn, dziesięcioletni może chłopiec, z naręczem drow na ramieniu.

– Chodźcie, proszę was, chodźcie – zapraszała. – We wszystkim wam usłużyć. Cokolwiek jest w moim domu, będzie wasze...

Posłyszał, jak Miriam powiedziała:

– Dobra jesteś, siostró...

– Nie nazywaj mnie tak. Nie mogę być twoją siostrą.

– Jesteś nią...

Kroczyły obok siebie przez pole ku skałom, które widać było coraz lepiej w rosnącej poświacie. Józef szedł z tyłu, pies nie odstępował od jego nóg. Osioł włókł się jak przedtem na końcu.

## 25

Wyszedł przed grotę. Zatrzymał się, rozejrzał wokoło. Noc wciąż trwała, niebo było odkryte i pełne gwiazd. Od tego mrowia błyszczących punkcików spadała na ziemię ulewa blasku. Przestrzeń była zasnutą niby srebrzystą mgłą. Wzgórza w dali były jak wymalowane srebrem. Nad skałami i falistymi łąkami leżała głucha cisza. Józefowi wydawało się, że nie jest to zwykła cisza nocna, gdy wszyscy śpią. Miał uczucie, że właśnie nikt nie śpi, ale wszystko, ziemia, ludzie, a nawet zwierzęta, czuwa w dziwnym

napięciu. Jego oczekiwanie zdawał się podzielać cały świat.

Pies wyszedł za Józefem z groty. Stał oparty o jego nogę, czujnie napięty, z uszami nastroszonymi, ze sztywnym ogonem. Patrzył gdzieś w przestrzeń. Czasami oglądał się na Józefa i jakby porozumiewawczo wydawał krótkie skomlenie. Choć było zimno, nie pozostał przy ogniu. Kręcił się, nie mógł znaleźć sobie miejsca.

Wychodząc z groty Józef zauważył, że także inne zwierzęta nie śpią. Wół dyszał nad żłobem, ale miał oczy otwarte. Również osioł, choć tak bardzo strudzony drogą, trzymał głowę podniesioną.

Z groty nie dochodziły żadne głosy. Miriam nie krzyknęła ani razu, nie usłyszał z jej ust najcichszego nawet jęku. Gdy rozpalili z Atą ognisko i grzali wodę, leżała na podściółce ze słomy nakrywwszy dłońmi oczy. Potem poprosiła:

– Wyjdź, Józefie, proszę. To, co się ma stać, stanie się za chwilę. Ata zostanie ze mną. A potem zawołam ciebie.

Wyszedł bez słowa. Opuściwszy grotę odetchnął głęboko. W grocie pełno było dymu. Ognisko nie od razu dało się rozpaścić, drewno i słoma były wilgotne. Dym nie opuszczał groty, pełzał po kamiennym sklepieniu. Gryzł w oczy. Ale za to zrobiło się ciepło. Natomiast na dworze był ostry chłód, kąsający.

Chwile biegły. Z groty nie dochodziły żadne głosy. Panowała głucha cisza. To prawda – wiedział, że narodziny mogą trwać długo. A jednak nie potrafił ani na moment oderwać swych myśli od tego, co się działo w grocie. Zdawał sobie sprawę, że dokonuje się rzecz niezwykła, niepojęta. Póki będę żył, myślał, będę powracał pamięcią do tej chwili. Będę o niej opowiadał... Może właśnie Jemu?

Czy jednak Ten, który miał się za chwilę narodzić, będzie chciał kiedyś słuchać naiwnego opowiadania o nocy swego przyjścia na świat? Kim będzie? Istotą, której danym będzie znać wszystko, co się stało przed Jego narodzinami, czy też zwykłym człowiekiem, który z wolna rośnie, dojrzewa, odkrywa swoje otoczenie? Najwyższy mógł Go na pewno zesłać inaczej: od razu w mocy i w potędze. Dlaczego chciał, aby to, co ma być wspaniałością, zaczęło się w nędzy i w opuszczeniu? A może to tylko chwila – chwila próby? Może ta noc zmieni się nagle w płomienisty dzień, w którego blasku wszyscy poznają chwałę Odwiecznego?

Umysł miał niezwykle jasny, myśl pracowała sprawnie. Co się stanie z nimi,

myślał, gdy już będzie jawne dla całego świata, kto się narodził? Nie pragnął wywyższenia. Była w nim cicha nadzieja, że przyjdzie chwila, iż będzie mógł wrócić razem z Miriam do zwyczajności. Niepokoiło go, że to Dziecko ma stać się Mieczem Najwyższego. Że ma zostać Pogromicielem wszystkich narodów. Od wieków czekano na mesjasza. Od wieków modlono się o jego przyjście. I on czekał i modlił się. Żył marzeniem, aby cały świat uznał Zapowiedzianego. A jednak tak bardzo chciałby, aby ten Zapowiedziany nie przyszedł w połodze krwawych zwycięstw, choć tych zwycięstw tylu pragnęło...

We wspomnieniach Józefa nie było wojen. W kraju od lat panował pokój. Niezwykle długi pokój! Zapewnili go Rzymianie, a także Herod – wierny wykonawca woli Rzymian – czuwał nad nim. Jeśli zabijał – to w swoim otoczeniu. A jednak w pamięci ludzkiej nie zatarły się wspomnienia walk, oblężeń, rzezi, całych lasów krzyżów, do których byli przybijani oskarżeni o bunt. Głosy ludzkie drżały, gdy wspominali tamte dzieje. Tak „owili starzy. Młodszy myśleli inaczej. Także faryzeusze narzekali na ten pokój. Twierdzili, że skrywa wiele zbrodni.

Czy ten pokój zostanie zburzony przez to Dziecko? Najwyższy woli Walkę i krwawe triumfy? Czy chce dobra tylko dla nich – dla wybranego udu? A przecież ta obca kobieta jedna pośpieszyła im z pomocą, gdy swoi pomocy odmówili. I tak się działo nieraz, o czym świadczyły święte księgi dziejów.

Nie kłopotabym się tym, myślał, gdyby w tej chwili rodził się mój prawdziwy syn. Wiedziałbym, że będzie taki, jakim go uczynię. Że potrafię przekazać mu swoje uczucia. Ale to nie jest mój syn... To jest Ktoś, kogo zsyła Najwyższy. Przychodzi, by wykonać Jego wolę.. Józef sam niczego innego nie pragnął. Cekał, by usłyszeć wezwanie Najwyższego. Gdy ono padło, poszedł za nim, choć kazano mu wyrzec się dziewczyny, którą znalazł, i swego marzenia o synu. Nie rozumiem, myślał, ale skoro On tego żąda...

Oparł się całym ciałem o skałę, zamknął oczy. Wokoło wciąż panowała ta sama cisza, jakby pełna zdyszanych oddechów. Pies szczeknął. Otworzył na nowo oczy. Gwałtownie zamruął. To było tak, jakby poraził go blask słońca. Ale słońca nie było. Noc nie przestała być nocą. Stała się tylko jeszcze jaśniejsza niż przedtem. Blask, który poprzednio sypał się z gwiazd, teraz zdawał się rozchodzić ze wszystkich stron jakby

wypromieniowany przez ziemię, góry, krzewy. Wszystko naokoło zdawało się płonąć. Poczuł, jak go otacza woń kwiatów. Nie było ich przedtem. Teraz dostrzegł całe łany kwiecia. Wszędzie, gdzie spojrzał, otwierały się wielkie, białe kielichy...

Spoza pleców usłyszał głos Aty:

– O, Józefie, ciesz się! Ciesz się bardzo. To chłopiec. Masz syna. Urodził się szczęśliwie. Jest taki piękny. Twoja żona wzywa cię...

Czy wydało mu się, że w słowie „żona” zadźwięczał jakiś niezwykle szacunek? Wbiegł do groty. Ognisko nadal dymiło, dym gryzł dalej oczy. Poprzez dym, jak przez mgłę, zobaczył Miriam pochyloną nad żłobem. To tam, pod zwieszane łby zwierząt złożyła Urodzonego. Pochylił się. Na słomie leżało Dziecko – zwyczajne dziecko ludzkie. Miało zaciśnięte powieki, jakby wysilało się, aby nie patrzeć, i małą buzię rozchyłoną, niby czegoś szukającą. Nie różniło się od nowo narodzonych dzieci, które widywał. Małeńkie, sine dłonie, zaciśnięte w pięstki, nie wyciągały się po miecz. Było małe i słabe. Potrzebowało opieki. Wół i osioł spoglądały na Dziecko z góry, z wyrazem jakby dobrotliwego współczucia na pyskach. Pies wspiął się i polizał uniesioną rączkę.

– Popatrz na Niego, Józefie – szeptała Miriam. – Jaki śliczny.

– Najślicniejszy – przyznał.

– Będzie się nazywał Jezus... Pozwolisz, prawda?

– Będzie się nazywał, jak ty tego chcesz.

– Nasz Jezus – szeptała – nasz Syn...

Wsunął dłonie pod Dziecko i uniósł je. Było leciutkie, zdawało się, że n waży więcej niż spowijające Je szmatki. Stary obyczaj żądał, aby ojciec podniósł syna i położył go na swych kolanach. Uśmiechnięty wzrok Miriam opowiadał jej wolę. Dokonał tradycyjnego gestu. I gdy patrzył na leżące na jego kolanach Niemowlę, doznał dziwnych uczuć. Jeszcze przed chwilą prawie buntował się przeciwko Nowo Narodzonemu. Teraz czuł wstyd wobec tamtych myśli. To nie narodził się olbrzym gotów do walki. Dłońmi czuł delikatne, kruche ciało. Rączki Dziecka poruszały się niemowlęcym błędzącym ruchem. Nagle otworzyło zaciśnięte ślepki. Zobaczył ciemną tęczę i błękitne białka. Spoglądał pytająco w te oczy, ale Dziecko, jak zwykle niemowlę, patrzyło gdzieś w przestrzeń. Poruszało ciągle buzią.

Znowu wstał, położył Je z powrotem do żłobu. Miriam otuliła Je rąbkiem urwanej

kuttony. Nic nie mieli do ubrania Dziecka, tak bardzo ufali, że wszystko otrzymają od żon jego braci!

Nieśmiało, pełen nowej czułości dotknął głowy Miriam pochylonej nad żłobem.

– Teraz – powiedział – musisz odpocząć, przespać się. On chce spać. Ata będzie czuwała. A ja nie odejdę. Bądź spokojna, nie zamknę oczu. Będę czuwał.

Obróciła ku niemu twarz, potarła wierzchem dłoni jego policzek.

– Ja wiem, że będziesz czuwał – szepnęła.

– Więc śpij.

– Będę spała. – Już składała głowę na słomie, gdy jeszcze zapytała: – Czy będziesz Go kochał?

– Czy mógłbym Go nie kochać?

– Masz słuszność: nie mógłbyś. Ani ty, ani nikt... Ale ty – dotknęła palcem piersi Józefa – masz być ojcem. To nasz Jezus...

Jeszcze raz uśmiechnęła się, a potem zamknęła oczy. Już za chwilę spała, Józef usiadł przy żłobie. Z głową wspartą na ręku patrzył na śpiące Dziecko. Dym ciągle gryzł w oczy. Pies ułożył się koło jego nóg. W ciszy słychać było oddech ludzi i zwierząt. Czasami zatrzeszczało ognisko.

## 26

A jednak zmęczenie sprawiło, że zadrzemał. Nie trwało to na pewno długo. Obudziły go nagle jakieś grube głosy. Natychmiast otworzył oczy. Jacyś ludzie stali u wejścia do groty i coś mówili. W ciszy nocnej ich głosy zdawały się brzmieć dziwnie groźnie. Mówiła także Ata. Zdawała się o coś prosić. Potem usłyszał, jak mówi do niego:

Józefie, wstań! Chodź tutaj! Nie wiem, czego chcą.

Zerwał się na nogi. Aż się zatoczył, tak bardzo głęboki był ten krótki sen. Pierwsze jego spojrzenie pobiegło do Miriam. Jej głosy nie obudziły. Spała, a na jej ustach pozostał radosny uśmiech, z jakim przed zaśnięciem spoglądała na Józefa.

Wybiegł przed grotę.

Roziskrzona tajemnicza noc trwała dalej. Niebo aż gorzało od gwiazd, których

wysypało się tak wiele, iż wyglądało, że tworzą niby szeroką rzekę blasku, toczącą się od horyzontu po horyzont i spadającą srebrną kaskadą na ścianę gór. Ale i ziemia zdawała się odbijać ten blask, jakby była wielkim jeziorem, w którym przegląda się niebo.

Gromada ludzka stała o kilka kroków przed grotą. Ata rozkrzyżowała ramiona, jakby ich chciała zatrzymać przed wtargnięciem do środka. Coś mówiła – to prosząco, to znowu z rozpaczą w głosie. Józef stanął obok niej. Obróciła się ku niemu, powiedziała:

– Słuchaj, Józefie, oni chcą koniecznie wejść. Mówią, że chcą zobaczyć.

Tłumaczę, proszę... Nie wiem, o co im chodzi...

Wzrok nawykł do poświaty i teraz widział ich całkiem wyraźnie. To byli pasterze, którym mieszkańcy Betlejem powierzali swoje stada. Wyglądali dziko. Mieli twarze obrosnięte, pałki w dłoniach, noże lub siekiery zatknięte za pas. Ubrani byli w skóry zwierzęce. Spomiędzy kudłów wyglądały ich żylaste i wielkie, mocne dłonie. Ich wygląd budził niepokój. Józef poczuł dreszcz obawy, lecz tym bardziej stanowczym ruchem wysunął się przed Atę. Zapytał:

– Czego chcecie?

Nie odpowiedzieli. Może zaskoczyło ich pojawienie się Józefa? Coś zagadali do siebie, jakby się naradzali. Nie rozumiał, co mówią. Mieli swój własny język, prosty, pełen obcych słów. Na pewno w swym życiu nie przestrzegali czystości ani przepisów Prawa. Żyli w ciągłej wędrówce, wodząc ze sobą swoje kobiety i dzieci. Prawie przez okrągły rok znajdowali się na pastwiskach. W Betlejem zjawiali się dwa, trzy razy do roku: przyprowadzali stada, aby je okazać właścicielom, oddawali sztuki tuczne, przeznaczone na rzeź. W tym czasie właściciele stad rozliczali się z nimi. Ale nikt ich nie zapraszał do swego domu. Bano się ich. Gdy wchodzili do wsi, wszystkie drzwi zamykały się przed nimi. Stadami opiekowali się dobrze, ale wszyscy byli przekonani, że oprócz pasterstwa zajmują się grabieżą. Poza tym wielu było mieszańcami. Praca uczyniła ich twardymi, nawykłymi do walki z dzikimi zwierzętami, które napadały na stada.

– Czego chcecie? – powtórzył. Niepokój go nie opuścił, ale równocześnie czuł, że gotów jest bronić swoich, choćby mu przyszło walczyć z całą gromadą przybyłych.

Tamci ciągle coś mówili między sobą. Wyglądało na to, jakby się o coś spierali. Nagle zaczęli na kogoś wołać i wypychać go do przodu. Człowiek, który stanął przed



Józefem, był już niemłody. Miał włosy skudłone, mocno nad czołem wytarte. Ciemna, ogorzała od słońca i wichrów twarz była cała pocięta zmarszczkami. Przez rozwarty kożuch widać było porośłą włosami pierś. Jego pałka nabijana była krzemieniami, a za pasem miał toporek. Gdy przechodził między towarzyszami, ci rozstępowali się z szacunkiem przed nim: musiał być ich przywódcą.

– Powiedz – zaczął mężczyzna – czy tu w grocie urodziło się Dziecko? Józefa zaskoczyło to pytanie.

– Czemu o to pytasz?

– Chcę wiedzieć. I oni – wskazał gromadę – chcą wiedzieć. Po to przyszlismy.

– Aby dowiedzieć się o narodzeniu Dziecka?

– Tak.

– Rzeczywiście mojej żonie urodziło się Dziecko...

– I położyliście Je do żłobu?

– Nie pojmuję, dlaczego o to pytasz. Jest tak, jak powiedziałaś. Przybyliśmy dzisiaj z daleka. Nie znalazło się dla nas miejsce w zajeździe. Nikt nas nie chciał przyjąć...

– I dlatego narodziło się tutaj?

– Tak.

– I położyliście Je do żłobu?

Człowiek powtórzył swoje pytanie takim tonem, jakby chodziło mu o stwierdzenie czegoś niezmiernie ważnego.

– Przecież nie mieliśmy kołyski...

Stary mężczyzna obrócił się ku swoim. Coś do nich mówił długo językiem gardłowym, niezrozumiałym dla Józefa. Gdy skończył, podniósł się gwar głosów. Nie potrafił odgadnąć, co te okrzyki oznaczają: gniew, zdziwienie czy podziw. Było coś niezwykłego w tym dopytywaniu się tamtych o rzeczy takie zwyczajne.

Tamten zwrócił się znowu do Józefa:

– Kiedy narodziło się to twoje Dziecko? Czy wtedy, gdy rozpałił się ten wielki blask i kiedy odezwały się głosy?

– Noc jest pełna blasków... A nie wiem, o jakich mówisz głosach. Ja żadnych nie słyszałem.

– Nie słyszałeś? – teraz w głosie mężczyzny zabrzmiało zdziwienie.  
– Nie... Co to za głosy? Co mówiły? Człowiek zdawał się namyślać.  
– Tak, były głosy... – rzekł wreszcie. – Słyszeliśmy je wszyscy. To nie mógł być sen. Sen śni się tylko jednemu. Nie ma nigdy dwóch takich samych snów...

– I co mówiły te głosy? – gdy pytał, poczuł dreszcz, który przebiegł mu po ramionach i spłynął po krzyżu.

Stary zdawał się wahać. Obejrzał się na swoich, tarł dłonią po swej kudłatej piersi. W końcu mruknął:

– Mówiły rzeczy dziwne... Żebyśmy szli szukać Dziecka, które urodziło się w nocy, w grocie na polu Dawida, i zostało położone do bydlęcego żłobu...

– A po co te głosy kazały wam szukać Dziecka?

– Kazały szukać i zobaczyć – rzucił wymijająco. Nagle zapytał: – Jakie jest to twoje Dziecko?

– Takie jak inne dzieci.

Potrząsnął głową, jakby czegoś nie mógł zrozumieć.

– Tak mówisz... Ale głosy kazały iść, szukać, znaleźć, złożyć pokłon...

Nie wiem dlaczego... Każdy z nas wziął ze sobą, na co go stać... Żeby ofiarować... A ty mówisz: zwyczajne dziecko? Dzieci rodzą się każdej nocy. Dlaczego o tym Dziecku mówiły głosy? Musimy Je zobaczyć. Musimy się przekonać.

Powiedział to i postąpił ku Józefowi. Za nim ruszył cały tłum. Ale Józef jeszcze raz zastawił im sobą drogę.

– Zatrzymajcie się! Stójcie! – zawołał.

– Dlaczego nas zatrzymujesz? – zapytał stary.

– Czy to prawda, co mówiłeś o głosach?

To, co mówił mężczyzna, brzmiało pięknie – a jednak mogło kryć niebezpieczeństwo. Tłum pastuchów, od których biło wonią skór, krwi i zwierzęcego tłuszczu, nie budził zaufania. Czy ich rzeczywiście przyprowadziły jakieś niebiańskie głosy? – myślał. Jeśli to były naprawdę głosy z nieba, dlaczego nie odezwały się do kapłanów? Dlaczego nie mówiły do jego braci? To oni powinni byli zrozumieć i przyjść pierwsi. Co pojmą z tego, co zobaczą, ci dzicy ludzie? Dziecko owinięte w kawałki porwanej kuttony.. Oni czekają na coś niezwykłego... A może to jakiś podstęp? Może

bracia coś uknuli? Może chcą porwać Małego?

– Sądzisz – powiedział stary, jakby odgadywał myśli Józefa – że tajemnicze głosy nie mogły mówić do nas? Słyszeliśmy je naprawdę. I od razu postanowiliśmy iść. Nie zatrzymuj nas...

– Dobrze – rzekł – zobaczcie Go. Nie będę wam tego bronił. Ale chcę was uprzedzić: nie zobaczycie nic niezwykłego. Nie wiem, co wam głosy powiedziały. Ale moja żona i ja jesteśmy ludźmi ubogimi...

– Gdy ten, co do nas mówił, powiedział, że Dziecko będzie leżało w żłobie, wiedzieliśmy, że będzie potrzebowało naszej pomocy... Dlatego każdy coś przyniósł...

– Więc czego się po Nim spodziewacie?

Mężczyzna przesunął dłonią po swych kudłach.

– On powiedział – rzekł – że to Dziecko przynosi pokój...

– Pokój?! – zawołał, odruchowo cofnął się o krok. – Tak wam powiedział?

– Tak powiedział. Czy cię to dziwi? – spod strzępiastych brwi patrzył teraz uważnie na Józefa.

– Dziwi mnie, że wy szukacie pokoju – był pełen wewnętrznej rozterki. – Wyglądacie na takich, którzy kochają walkę.

Stary pastuch wzruszył ramionami.

– Co ty wiesz o nas, człowieku? – powiedział. – Musimy walczyć. Ale każdy chciałby zostawić dziecku inne życie. Puść nas.

Józef opuścił uniesione przed siebie ręce.

– Wejdźcie – rzekł. – Tylko proszę, nie hałasujcie, nie krzyczcie...

Dziecko jest małe, a Jego matka zmęczona.

Wchodzili jeden za drugim ostrożnie, na palcach, w dziwnym uniżeniu. Gdzieś zniknął ich groźny, bojowy wygląd. Miriam już nie spała, patrzyła na wchodzących do groty pasterzy, a na jej twarzy nie dostrzegł przerażenia. Dziecko nie zapłakało. Pies nie zaszczekał. Wraz z wchodzącymi do niej ludźmi wlewał się do ciemnej groty tajemniczy blask, w którym skapana była noc.

Wiosna przyszła nagle i zieloność buchnęła od razu jak pożar. Zbocza pokryły się świeżą trawą, wśród której rozkwiwały białe, czerwone i żółte kwiaty. Były to zwykłe kwiaty wiosenne. Tamte, wspaniałe, które w noc narodzin zaścielały całą łąkę, gdzieś się ukryły.

Mijały dni i przyszedł czas wyznaczony przez Prawo, w którym należało ofiarować Najwyższemu pierworodnego syna, a jednocześnie wykupić go. Dokonana niegdyś ofiara Abrahama przemieniła się w rytuał. Józef jednak nie wiedział, jak ma się wobec tego rytuału zachować.

Przepis był wyraźny. Ale czy należy, czy wolno mu – pytał sam siebie – wykupywać Dziecko, którego był tylko pozornym ojcem? Abraham ofiarował swego syna i ten syn został mu zwrócony. Jakim prawem on, cień, ma czynić gest symbolizujący krwawą ofiarę? A przecież jeśli uchyli się od wykonania przepisu, narazi siebie i całą rodzinę na zarzut bezbożności!

Podobnie rzecz się miała ze sprawą oczyszczenia Miriam. Z czego miała się oczyszczać, skoro poczęcie było dziełem mocy Najwyższego? A jednak jeśli tego nie dokona, może być oskarżona o nieczystość. Skoro zażądano od niego, aby stał się cieniem Ojca, to znaczy, że Najwyższy nie chce wyjawienia przed czasem, kim jest Nowo Narodzony. Lecz jak w takim razie postępować? Był przekonany: wszystko jest ukryte aż do chwili urodzin. Ale Dziecko było na świecie – a wątpliwości pozostały. I jak długo jeszcze trzeba będzie kryć niezwykłość zwyczajnością? W chwilach olśnienia wszystko wydawało się takie proste. Ale chwile olśnienia mijały, a życie stawiało swoje żądania...

Była jeszcze jedna trudność. Wykup pierworodnego stanowił dużą sumę pieniędzy. A Józef nie miał nic. Trudy i kłopoty podróży pochłonęły niewielką sumę, z jaką opuścił Nazaret. Brakło im teraz wszystkiego i gdyby nie dary pastuchów, po prostu nie mieliby co jeść. Tamci nanieśli wiele różnego dobra. Także i potem zjawili się z darami. To oni pomogli Józefowi obmurować wejście do groty i zamienić ją w dom mieszkalny. Miriam z Atą wyprzątnęły wnętrze, stara kołyska dzieci Aty zastąpiła żłób. Miriam prała z zapalem szmatki, w których leżał jej Syn. Ale pieniędzy brakło.

Od braci i kuzynów nikt się nie zjawił w grocie. Nie udzielono im żadnej pomocy. A przecież tamci musieli wiedzieć, że Dziecko się narodziło i że Józef jest nadal w Betlejem. Z daleka, z dachów swych domów mogli zobaczyć ludzi kręcących się koło groty. Na pewno śledzili go. Ata spotykała na targu ludzi, którzy ją wypytывali. Nie wątpił, że wiedzieli o nich wszystko.

W pierwszej wolnej chwili Józef udał się do synagogi i zgłosił się do hazzana. To on prowadził księgę rodu. Hazzan, który dobrze znał Józefa, wpisał do księgi Józefa i Jezusa, a za zapłatę przyjął ser i kilka jajek. Potem wywiązała się rozmowa.

– Na pewno wiesz, Józefie – pytał hazzan – że ten nieczysty goim ustanowił, iż wpis do księgi jest jednocześnie przysięgą wierności dla niego i dla cesarza rzymskiego?

– Wiem o tym, Bananiaszu. Tak rozczytali ludzie królewscy.

– Skoro wiesz – to wystarczy. Zapis zrobiłem i niech ten podły pies – oby Najwyższy skrócił jego dni! – myśli, co mu się podoba. Niech sobie wyobraża, że każdy złożył przysięgę! Nie jestem faryzeuszem i nie mam zamiaru postępować jak oni. Oni nie przychodzą się zapisać, a gdy ludzie królewscy wzywają, oświadczają z wielkim krzykiem, że przysięgi dla cesarza nie złożą. A tym, co się zapisują, mówią, że ciężko zgrzeszyli. Ja tak nie mówię. Niech grzech spada na Heroda, niech będzie kamieniem, co mu przygniecie gardło w szeolu! Ale on ma wszędzie swoich szpiegów. Faryzeusze mogą się stawiać... Nie wiem, kto ich osłania, ale ktoś ich musi osłaniać. My nie mamy za sobą Poliona, z którym Herod często rozmawia. Ani esseńczyka Manahema, który obiecał temu nieczystemu, że będzie panował wiele lat. Nas może zawsze osiągnąć. Dlatego dobrze, że się zapisałeś... Jego ludzie mogą śledzić, jak postąpi najstarszy z Dawidowego rodu... Ale już nie mówmy o tym. Powiedz lepiej, co masz zamiar zrobić: zostaniesz w Betlejem czy wrócisz do Galilei? Twoi bracia, po prawdzie, nieuczciwie postąpili z tobą...

– Lękają się Heroda...

– Nie broń ich! Jeśli nawet śledzą was jego szpiegowie, doniosą, że złożyłeś przysięgę, jak on tego żąda. Moim zdaniem nic ci nie grozi. Mógłbyś teraz śmiało zostać.

– Zostałbym chętnie...

– Ja ci radzę: zostań. Musisz przecież dopełnić poświęcenia Dziecka i zbliżyć się termin oczyszczenia twojej żony.

- Pamiętam o tym. Ale aby zostać, musiałbym mieć z czego żyć.
- Taki rzemieślnik jak ty? Nie powiesz, że nie potrafiłbyś zarobić. Gdy mieszkałeś tutaj, pamiętam, nie mogłeś się opędzić od zamówień.
- Nie mam zbyt wiele narzędzi. Wziąłem ze sobą tylko najpotrzebniejsze. A poza tym musiałbym rozgłosić, że wykonuję roboty. Mogłoby się to nie podobać braciom...
- Twoi bracia będą musieli zmienić postępowanie. A jeżeli chcesz, ja sam rozgłoszę, że przyjmujesz zamówienia. Nie ma w okolicy żadnego naggara, ludzie z zamówieniami muszą chodzić aż do Jerozolimy.
- Myślę, że mi radzisz słusznie, Bananiaszu. Dziękuję ci za dobrą radę i za chęć pomocy. Dobrze – rozgłoś...

Wróciwszy do siebie Józef starannie przejrzał swój worek z narzędziami. Tymi, które miał, mógł zrobić niejedno. W domu ojca znajdował się jego dawny warsztat, ale czuł, że nie zdobędzie się na to, aby pójść prosić Sebę o oddanie mu tamtych narzędzi. Zbyt mocno tkwiła w nim pamięć zamkniętych przed nim drzwi i wspomnienie słów, że bracia ułożyli się, aby go nie przyjąć... Pod wpływem Miriam zwalczał w sobie niechęć do nich. A jednak pójść, prosić – to było zbyt dużo...

Zaczął czekać na ludzi z zamówieniami. Ale dni mijały – i nikt się nie zjawił. Bananiasz rozgłaszał o Józefie, mimo to ci, którzy potrzebowali sochy, pługa, wideł lub stołu, szli po to do naggarów w Jerozolimie. Józef pojął, że ktoś powstrzymuje ich od przyjscia do niego. To mogli zrobić tylko bracia.

– Nad czym tak rozmyślasz? – zapytała go, gdy wracając do domu z Dzieckiem na rękę, zobaczyła, jak siedzi na progu z głową smętnie zwieszoną i opartą na rękę. Dotknęła pieczotliwie dłonią jego włosów.

– Martwisz się czymś?

Westchnął ciężko.

– Jest czym się trapić, Miriam – powiedział. Posunął się, zrobił jej miejsce obok siebie. – Nie pomogły słowa Bananiasza. Nikt nie przychodzi do mnie z zamówieniem. Nie mam pracy, nie mogę na was zarobić...

– Nie martw się – mówiła dalej tym samym ciepłym tonem. – Nie zginęliśmy i nie zginieemy. Ci poczciwi pasterze znowu przynieśli dziś rano mleka i sera...

– Żyjemy z ich łaski.

– Żyjemy z łaski Najwyższego. Zawsze człowiek żyje z Jego łaski. I tak jest dobrze, bo wtedy pamiętamy o Jego dobroci.

– To prawda, co mówisz. On jednak każe i pozwala, aby człowiek z danych mu umiejętności wykarmił tych, którymi się opiekuje. Gdyby tak nie było, po co kazałby mi opiekować się wami? To jest moje zadanie. A tymczasem moje ręce próżnują...

– Gdy On zamyka przed człowiekiem zwykłą drogę, może chce mu coś pokazać...?

– I to, co teraz powiedziałaś, jest prawdą. Ale ja nie wiem, czego On po mnie oczekuje. Jestem zbyt głupi...

– Nie mów tak i nie myśl tak. Nie jesteś głupi, Józefie, tylko czasami jesteś niecierpliwy... Wierz mi, On nam nie pozwoli zginąć.

– Nie chodzi tylko o pożywienie...

– A o cóż jeszcze?

– Należy wykupić Jezusa. I ty powinnaś złożyć ofiarę oczyszczenia. Sądziłem, że nie będziemy tego robili...

– Myślę, że powinniśmy postąpić jak wszyscy.

– Tak i ja myślę. Zresztą gdybyśmy postąpili inaczej, zwróciłoby to uwagę ludzi. Już Bananiasz mówił, abym pamiętał...

Wzrok Józefa spoczął na Dziecku. Miało stulone oczy. Spało uśpione powietrzem pełnym ciepłych woni. Jego skóra traciła swój białoróżowy niemowlęcy kolor, nabierała złotej barwy. Ten, którego nazywał swoim Synem, spał obojętny sprawom, które przyczyniały tyle zmartwień Jego ojcu.

– Nie należy postępować inaczej niż wszyscy – powtórzyła. – On przyszedł od Najwyższego i należy do Najwyższego.

Przeniosła wzrok od Dziecka w przestrzeń, mówiła zamyślona:

– Ale jest także naszym Synem... Nie ma ceny, której nie należałoby zapłacić za dar, że możemy Go mieć... Każdy dzień posiadania Go jest szczęściem!

– A twoje oczyszczenie, Miriam?

– Nigdy nie będę dość czysta, aby Go mieć. Prawda, Synku? – pochyliła się uśmiechnięta nad Dzieckiem. – To Ty, tylko Ty...

Dziecko obudziło się. Najpierw drgnęło, jakby powrót z krainy snu był jakimś

wstrząsem. Twarzyczka skurczyła się i skrzywiła. Wargi zaczęły poruszać się szybko, jakby czegoś szukały, fala zmarszczek pobiegła ku włosom, które spadały na czoło miękkimi kosmykami. Potem dopiero otworzyły się oczy. Były wielkie, ciemne, zda się pełne myśli.

Łapał się nieraz na uczuciu, że gdy mówił o Nim – Dziecko słuchało go i pojmowało każde słowo. Ale mimo, że rozumiało – pozostawało niemowlęciem.

– Czy ten, który Go zapowiedział – zapytał – nic nie powiedział, jak mamy postępować?

Poruszyła ramionami, jakby jego pytanie dotyczyło czegoś bez znaczenia.

– Czemu miał mówić?

– Powinien był cię uprzedzić. Tak trudno jest znaleźć właściwą drogę...

Podrzucała lekko Dzieckiem, a Ono zaczęło się śmiać z tej zabawy.

– Patrz, jak się śmieje! – zawołała radośnie. – Och, Józefie – powiedziała z czułością widząc wciąż jego zafrasowaną minę – ty się kłopotujesz...

A przecież mamy Jego! Czy to nie ważniejsze niż wszystko inne?

Uśmiechnął się do jej słów, ale troska zaraz wróciła.

– Jednak skoro mam Go wykupić, muszę mieć pięć syklów. To duży pieniądz. Skąd ja wezmę?

– Znajdzie się... – powiedziała lekko.

– Ale jak?

– Nie wiem – zrobiła gest dłonią, ale dalej się uśmiechała. – Najwyższy nie zapomni o nas. Proszę cię, potrzymaj Go przez chwilę. Muszę pójść, przygotować posiłek.

Dziecko coś gaworzyło. Czasami zatrzepotało rączkami, z których sztywno sterczały małe, prawie przezroczyste paluszki. Wziął Je od matki, a ona, jeszcze raz uśmiechnąwszy się do Jezusa, odeszła do groty. Dotykał małego ciała z dziwnym uczuciem. Gdyby to był jego syn, szukałby na tym ciele znaków przynależności do swego ciała. Ale to był tylko Syn Miriam. W każdym najdrobniejszym szczególe rysów był do niej podobny. W żadnym innym dziecku nie dostrzegał tak wielkiego podobieństwa do matki. Na to można było przysiąc, że żaden inny ludzki kształt nie zostawił swego odcisku na tej glinie. To odkrycie rodziło dziwne uczucia. Sprawiało, że



Dziecko wydawało się jednocześnie kimś bardzo bliskim i bardzo dalekim... Nie mógłby nie kochać istoty, która przypominała sobą ukochaną kobietę. A jednocześnie w tym podobieństwie było coś, co drażniło... Jakby to Dziecko stało między nim a Miriam, jakby to Ono było winne rozdziałowi, który im został narzucony.

Oczy Dziecka pobiegły za matką, ale szybko ją zgubiły. Teraz patrzyły na Józefa. Znowu wydawało się, że za tym spojrzeniem kryje się myśl nie wypowiedziana, a przecież dojrzała.

Wyciągnął rękę, aby wyprostować zawinięte uszko Dziecka. I nagle dostrzegł jakieś intensywne wpatwienie się w oczach Małego. Spojrzenie ciemnych oczu biegło wyraźnie za jego ręką.

Mała rączka wyciągnęła się. Niepewnym, wahliwym ruchem chciała coś złapać. Drobne paluszki napotkały palce Józefa i zacisnęły się na nich. Pojął: Dziecko spostrzegło na jego ręku stary, rodzinny pierścień i usiłowało go schwytać. Zdjął pierścień z palca i podał Małemu. Mała rączka usiłowała pierścień ująć, ale jednocześnie zrobiła radosny wyrzut i pierścień upadł na ziemię. Pochylił się, aby go podnieść – i nagle myśl jak błyskawica przeleciała mu przez głowę.

Ten kawałek złota – to był pieniądz. Wprawdzie był także znakiem rodu. Ale ród wyparł się ich. Przeszłość zniknęła. Mały potomek rodu Dawida znalazł się poza rodem. Niepotrzebny był mu już znak przynależności do tego, co odeszło.

– Patrz! – powiedział do Miriam, która właśnie wróciła – patrz, co mi przyszło do głowy. Ten pierścień to pieniądze. Wykupimy Jezusa, złożymy ofiarę oczyszczenia. On zdjął mi ten pierścień z palca i rzucił...

Położyła mu czule dłoń na ramieniu. Rzekła:

– Widzisz? Byłam pewna, że On sam będzie wiedział, jak to załatwić.

Na rozległym placu przed świątynią kręciło się wielu ludzi. Nie był to czas świąteczny, nie dostrzegało się przybyszów z dalekich stron, ale sama Jerozolima – choć niewielka rozmiarami – gnieździła w swoich murach ogromną liczbę mieszkańców. Ci

zaś każdą wolną chwilę spędzali na dziedzińcu świątyni.

Pod portykami, zwłaszcza pod Portykiem Królewskim, zawieszonym nad urwiskiem niby nad przepaścią, skupił się tłum, aby przysłuchiwać się dysputom uczonych doktorów roztrząsających głośno przedstawione im sprawy. Gdzie indziej otaczano ulicznych głosicieli nowin i plotek. Obok Żydów spacerowali tu grupkami obcy: Grecy, Syryjczycy, Idumejczycy. Na zewnętrzny dziedziniec wejść mógł każdy.

Portyk od strony miasta, mniej wspaniały niż portyki Salomona i Królewski, zastawiony był straganami kupców. Ta część dziedzińca była jednym targowiskiem. W dni świąteczne, gdy ruch był wielki i gdy nadchodzili pielgrzymi, liczba straganów rosła. Stały wtedy wszędzie, nawet na schodach prowadzących do Przybytku, poza niskim murkiem, którego nie wolno było przestąpić nie-Żydowi – o czym głośno w kilku językach wystawione tablice. W tej chwili ruch był mały, więc czynne były jedynie stragany pod portykiem. Przy najruchliwszym wejściu na dziedziniec, prowadzącym przez most do Xystosu, ustawione były stoliki bankierów i zmieniaczy monet. Za to znakomite miejsce bankierzy płacili arcykapłanowi Szymonowi ogromną kwotę pieniędzy, która stanowiła podstawę bogactwa ojca żony Heroda.

Józef niosący Dziecko na ręku i idący u jego boku Miriam weszli skromnie przez Bramę Narożną, do której trzeba było wspiąć się z Dolnego Miasta po wysokich schodach. Znalazłszy się na pełnym ludzi i hałasu dziedzińcu stanęli oszołomieni, nie bardzo wiedząc, gdzie skierować kroki. Panujący tutaj gwar i zamęt mąciły im w głowach. Poczuli się jeszcze bardziej zagubieni, gdy otoczyła ich rozkrzyczana gromada małych chłopców z pejsami przy uszach, którzy zaczęli szarpać Józefa za płaszcz i ciągnąć go – każdy w inną stronę. Byli to naganiacze wysyłani przez właścicieli straganów, aby przyprowadzali im kupujących. Czyhali na ludzi, z których zachowania można było wnosić, że przychodzą złożyć ofiarę. Chłopcy podskakiwali, potrząsając puklami włosów, i wrzeszczeli ogłuszająco, starając się wzajemnie przekrzyczeć. Ciągnąc Józefa, jednocześnie wymierzali sobie uderzenia i kopnięcia. Oczy małego Jezusa, który na to patrzył, otworzyły się szeroko. Pojawił się w nich wyraz jakby przestachu. Buzia Dziecka wygięła się w podkówkę. Płacz Syna przerażał zawsze Miriam. Chwyciła Józefa za rękę, zawołała:

– Chodźmy stąd, chodźmy! On będzie płakał!

Józef starał się opędzić od natrętów i aby się ich pozbyć, zbliżył się szybko do najbliższego straganu. Sprzedawano tu ptaki w małych klateczkach. Nie targując się kupił parę szarych synogarlic. Klateczkę wzięła Miriam i podniósłszy ją w górę pokazała ptaki Jezusowi. Trzepoczące się ptaki zwróciły uwagę Dziecka. Trzepotało się jak one, śmiało się i wsuwało paluszki między pręty klatki.

– Patrz, jak Mu się podobają – powiedziała Miriam. – Na pewno cieszyłyby się jeszcze bardziej, gdyby poleciały wysoko. – Westchnęła. – Chętnie bym je puściła.

– A co byś wtedy złożyła na ofiarę?

Nie odpowiedziała, tylko jeszcze raz westchnęła i zaciśnęła usta. Znał jej miłość do wszystkich stworzeń. Żadnego nie dała skrzywdzić, każde chroniła i broniła. Nawet upartych much nie chciała zabijać. Osioł, pies, ptaki zdawały się wyczuwać jej życzliwość.

Szli dalej przez podwórze, kierując się w stronę stolików zmieniaaczy. Cały czas trzymała klatkę wysoko, aby Jezus mógł patrzeć na synogarlice. Dziecko ruchami rąk przypominającymi ruch skrzydeł zdawało się lecieć ku ptakom.

Zatrzymali się przy pierwszym z brzegu stoliku bankierskim. Za stolikiem siedział chudy mężczyzna z haczykowatym nosem i rzadką brodą nieokreślonego koloru. Jego oczy między czerwonymi, ropiejącymi powiekami spoglądały bez zainteresowania na parę ubogo odzianych ludzi. Musiał dostrzec ich onieśmienie, bo zapytał:

– No? No i co? Co tak stoisz? Czego chcesz? Wymienić?

Józef sięgnął w zanadrze. Wymotał pierścień z gałganka i położywszy na otwartej dłoni podsunął bez słowa bankierowi.

Tamten wziął pierścień w palce. Oglądał go ze wszystkich stron. Pocierał palcem zatarty rysunek. Miał usta skrzywione lekceważąco, ale oczy jego błyskały zainteresowaniem.

– Skąd to masz? – zapytał. – To twoje?

– Moje. Został mi po ojcu.

– Chcesz sprzedać?

– Muszę złożyć wykup za syna. Bankier na nowo zaczął oglądać pierścień.

– To stare – mruczał – powycierane... – Pogardliwym gestem rzucił pierścień na stojącą na stole wagę. – Potrzeba ci na wykup pięć syklów – powiedział. – Dam ci

osiem... No, jesteś biedny, dam ci dziesięć...

Józef odruchowo cofnął się. Nie miał najmniejszego pojęcia, jaką wartość mógł posiadać ten stary pierścień. Ale pamiętał, że mieli długi. Także gdyby miał zostać, musiałby kupić drewna na warsztat i jeszcze trochę narzędzi...

Wyciągnął rękę po leżący na stole pierścień, ale bankier, ruchem o wiele szybszym, nakrył go dłonią.

– Mało ci? Na moje sumienie, chcę ci pomóc. Na czoło Mojżesza, ten pierścień nie jest tyle wart. Ale ja ci dam piętnaście, nie, dam ci dwadzieścia syklów... Dwadzieścia syklów! Czy ty rozumiesz, ile to pieniędzy? Ile za to można kupić? Za dwadzieścia syklów możesz wykupić syna i jeszcze kupić sobie osła!

Nie umiał się targować. Gdy sprzedawał swoje wyroby i ktoś próbował zmniejszyć postawioną przez niego cenę, rozkładał bezradnie ręce i wyliczał: „Drewno kosztowało mnie tyle... za pracę chciałbym mieć tyle...” Było to wyliczenie tak skromne, że nabywca natychmiast odstępował od targu. Dwadzieścia syklów wydawało się dużym pieniądzem. Półgłosem zaczął obliczać, co by mógł za to kupić. Starczy na wykup, na popłacenie długów, na narzędzia... Na drewno na wyrabiane przedmioty, aby nie trzeba było brać zaliczek, chyba nie starczy...

Bankier dostrzegłszy, że Józef zastanawia się, zawołał:

– Niech mnie przedwieczny Adonaj skarże, jeśli nie chcę wspomóc potrzebującego! Słuchaj, człowieku, daję ci trzydzieści syklów! Trzydzieści srebrnych syklów! To strasznie dużo, o wiele, wiele więcej, niż się należy za ten stary, wytarty pierścień. Niech stracę! Masz żonę i pierworodnego syna... Chcę ci pomóc. Weź pieniądze! Bierz, kiedy ci tyle daję...! – Spieszył się, aż mu ręce drżały. Porwał pierścień z szybkością sroki chwytającej błyskotkę i ukrył go w zanadrzu. Otworzył stojącą obok niego skrzyneczkę. Teraz już ruchem zwolnionym, jakby ociągającym się, wyjmował monety sztuka za sztuką. Niektóre wyłożywszy szybko chował z powrotem, a na ich miejsce wyciągał inne o przyciętych brzegach. Hasmonejskimi syklami dał tylko pięć monet, resztę wypłacił Herodowymi staterami.

– Widzisz, jaki jestem – powiedział krzywiąc wargi w uśmiechu. – Żał mi ciebie. Pragnę ci pomóc. Żaden z tych oszukańców – ruchem ręki wskazał na inne stoliki – nie dałby ci tyle. Zabierz pieniądze i schowaj je dobrze, bo tu na dziedzińcu nie brak

złodziei. No, idź w spokoju. Widzisz, ile dla ciebie zrobiłem. Co też można kupić za taką górę pieniędzy! Możesz kupić dwa osły, a potem je wynajmować i zarabiać na tym. Ba, za taki pieniądz możesz kupić nawet niewolnika, który będzie dla ciebie pracował. Idź już, idź. Zrobiłeś znakomity interes i możesz być zadowolony...

Ruchem dłoni o cienkich smagłych palcach robił gesty odprawiające Józefa w stronę Przybytku. Józef zsypał pieniądze do woreczka, skłonił się bankierowi, powiedział:

– Niech Najwyższy będzie z tobą.

Tamten odpowiedział jeszcze jednym uśmiechem. Wolno odeszli od stolika.

– Dał nam za pierścień bardzo dużo pieniędzy – Józef rzekł do Miriam. – to chyba to nie jest z jego krzywdą?

– Zrobił to na pewno z dobrego serca. Podzielił się swoim bogactwem z nami, a my powinniśmy podzielić się z tymi, którzy potrzebują. Czy pozwolisz, że damy Acie? Ona także biedna!

– Będę szczęśliwy mogąc jej pomóc.

– Jaka to radość móc pomagać drugim! Wiesz, razem z pasterzami przychodziła dziewczyna. Bardzo biedna... Będzie miała dziecko. Jej także chciałabym pomóc...

– Dasz, komu zechcesz. Gdybym był bogaty, zawsze bym dawał tobie, abyś mogła rozdawać ludziom. Ty zawsze widzisz tego, kto potrzebuje. I tak dajesz, że ludzie się cieszą... Umiesz dawać.

Spojrzała na niego, potrząsnęła głową i uśmiechnęła się bez słowa.

Teraz szli w stronę Przybytku. Musieli znowu przeciskać się przez ciżbę. Weszli na schody, najpierw na pierwszą, potem na drugą kondygnację. Bram prowadzących na Dziedziniec Kobiet było wiele, ale kobietom przychodzącym, aby złożyć ofiarę oczyszczenia, wolno było wchodzić tylko jedną z nich. Przeszli przez nią.

Dziedziniec Kobiet był rozległy. Stanowił jednocześnie niby przedśrodek do właściwego Dziedzińca Wiernych, do którego wstęp mieli jedynie mężczyźni. Przy bramach stały wielkie skarbony, do których wchodzący mogli wrzucać ofiary. Obok znajdowały się stoliki, przy których lewici przyjmowali podatek świątynny. W jednym z kątów Dziedzińca odbywało się ślubowanie nazarejczyków. W innych gromadziły się kobiety, aby złożyć kapłanowi ofiarę oczyszczenia.

Po opłaceniu wykupu za Jezusa zbliżyli się do miejsca oczyszczeń. Kapłan wziął klatkę z rąk Miriam. Józef widział, jak zamknęła oczy i zagryzła wargi, gdy wyjmował kolejno ptaki i rozcinał im gardła. Szarożółte ciała leżały teraz w kałuży krwi na kamiennym stole. Kapłan strząsnął kroplę krwi na głowę klęczącej Miriam, a potem, uniósłszy nad nią dłonie, odmówił modlitwę. Trzepał ją prędko, niewyraźnie, głosem, który zdradzał, że jest już znudzony wciąż powtarzającą się ceremonią. Nawet nie spojrzał na klęczącą przed nim kobietę. Miriam nisko schylona modliła się. Patrząc z boku myślał, jak bardzo jej modlitwa jest inna niż modlitwa kapłana. Miriam odmawiała swoją berakę, jakby mówiła w skupieniu do kogoś, kto słuchał pilnie każdego jej słowa.

Kapłan skończył, Miriam wstała, skłoniła się nisko przed kapłanem i zbliżywszy się do Józefa wzięła Jezusa z jego rąk. Już szli ku wyjściu z Dziedzińca, gdy nagle zobaczyli zbliżającą się ku nim parę starych ludzi.

Mężczyzna szedł przodem. Starał się iść z pośpiechem, chociaż przychodziło mu to z trudem. Mocno, jakby niecierpliwie uderzał laską we flizy dziedzińca. Miał dużą, białą brodę, rozpostartą szeroko na piersi. Kobieta była mała, drobna, zasuszona. Nie mogła nadążyć za mężczyzną, choć i ona zdawała się spieszyć. Drobiła małymi kroczkami. Jej spłowiałe oczy pełne były jakby gorączkowego blasku.

Mężczyzna pierwszy przeciął drogę Miriam. Spostrzegłszy go przed sobą zatrzymała się. On podszedł blisko, przysunął twarz do jej twarzy, jakby chciał się upewnić, że jest naprawdę tak, jak widzą jego stare oczy.

– To ty jesteś? – zapytał. – To ty? To ciebie spotkałem wtedy w Jerychu?

Ty doprowadziłaś mnie do Betanii, opiekowałaś się mną, prawie niosłaś?

Nie opuściłaś, choć samej zabrakło ci sił? To ty?

Pytał z taką gwałtownością, aż się zadyszał.

– To ja, ojciec – powiedziała. – Nie zrobiłam nic więcej, niż zrobiłby każdy...

– Nie – zaprzeczył stanowczo. Wyciągnął ręce, położył swe starcze, pokurczone dłonie na ramionach Miriam. Jego oczy wciąż wpatrywały się w jej twarz. – Już wtedy moje serce biło i zdawało się coś przeczuwać... – mówił. – Wtedy, po nocy, zrozumiałem... Ale ciebie już nie było...

– Spieszyłam się, ojciec. A gospodarze obiecali, że się tobą zaopiekują...

– Zaopiekowali się. Po tym, co się stało, zrobili wiele dla mnie. Ale ty zniknęłaś. Nie wiedziałem, gdzie cię szukać. A przecież musiałem cię zobaczyć. I dziś Najwyższy pozwolił mi ciebie odnaleźć. Oto najszczęśliwszy dzień, jaki przyszedł dla mnie!

Wyciągnął swe drżące ramiona. Zapytał:

– Czy pozwolisz mi wziąć twego Syna na ręce?

– Weź, ojcie – odpowiedziała bez wahania, choć przebiegł ją dreszcz niepokoju, że stary człowiek może upuścić Dziecko.

Symeon wziął Jezusa, unióś w górę, a potem przytulił do piersi. Schylił nad małą twarzyczką swą pomarszczoną twarz. Wyblakłe oczy starca wpatrywały się pilnie w czarne oczy Dziecka, jakby chciał w nich coś znaleźć. Jezus nie przestraszył się, nie zapłakał. Jego wzrok odpowiadał spokojną ciekawością na gorące spojrzenie mężczyzny. Ta wymiana spojrzeń trwała długo, jakby nigdy się nie miała skończyć.

Wreszcie Symeon podniósł głowę. Jeszcze raz przycisnął Dziecko do piersi. A potem zwrócił twarz w górę. Patrząc w prostokąt nieba, rozpiętego nad dziedzińcem, szeptał:

– Dziękuję Ci za to, Panie, że chciałeś spełnić swoją obietnicę. Teraz mogę odejść spokojny w mrok śmierci, bo widziałem... Bo zobaczyłem Jego, który się narodził na chwałę ludu izraelskiego i po to, by weszło światło dla wszystkich, którzy przebywają w ciemnościach... Dzięki Ci, Panie, że uczyniłeś, jak obiecałeś!

Józef spoglądał na Symeona wstrząśnięty. Gdy on ciągle nie dostrzegał znaków niezwykłości, byli ludzie, którzy w Synu Miriam zobaczyli cudowność pod pozorami codzienności. Jakże im tego zazdrościł. Ten stary człowiek spojrzał i natychmiast zobaczył. On patrzył codziennie i ciągle nie widział tego, czego szukał.

Symeon skończył swoją berakę i obrócił się ku Miriam. Podał jej Dziecko, a ona schwyciła Je śpiesznie z ukrywaną starannie ulgą. Stary człowiek wyciągnął przed siebie ręce i zawiesił je nad pochyloną głową dziewczyny.

– Błogosławię ci, córko – powiedział drżącym głosem. – Niech tobie i twemu mężowi Najwyższy zsyła wszelkie dobro, jakie potrzebne jest człowiekowi wędrującemu po tej ziemi. To dobro, którego nie znamy, którego nie potrafimy sami poznać, a które jest prawdziwym dobrem. To dobro, które rodzi się z posłuszeństwa umysłu i serca... Niech wam nie zabraknie sił w służbie Najwyższego i niech nigdy nie przygaśnie wasza

miłość...

Opuścił ręce, ale dalej patrzył na Miriam.

– On – podjął solennie, a jego głos drżał jeszcze bardziej niż przedtem, niby pod brzmieniem znaczenia wypowiedzianych słów – narodził się po to, by wielu w Izraelu zobaczyło i poznało Jego blask. Ale jakże wielu popadnie w bunt i znajdzie się w ciemnościach! Jak wielu zamknie oczy i oślepie!

Tyłu pójdzie za głosem sprzeciwu – mówił coraz ciszej, jakby zaczęło mu braknąć sił. – A twoje serce przebija miecz...

Zadrżała. Chciała zapytać: dlaczego – ale nie zdobyła się na otwarcie ust. Tam, na zboczu nad Nazaretem zapytano ją o zgodę i w tym pytaniu była zapowiedź cierpień. Ale radosny wstrząs przygłuszył wszelką myśl o nich. Największe nawet cierpienie wydawało się niczym wobec łaski wybrania. Zresztą, jeśli myślała o cierpieniach – myślała o tych, które poprzedzą urodziny. Cóż znaczą cierpienia, gdy mają się spełnić marzenia niezliczonych pokoleń!? A jednak ten stary człowiek mówił o mieczu, który przebija serce teraz, gdy już jej Syn był na świecie...

Ale nie było w niej buntu. Z nisko, pokornie schyloną głową stała z Dzieckiem na ręku. Zobaczyła, że staruszka, która przyszła z Symeonem, zbliża się do niej. Podszedłszy kobieta zatrzymała się i z wysiłkiem uklękła. Skłoniła się tak nisko, że aż dotknęła czołem barwnych płyt, którymi wyłożony był Dziedziniec Kobiet.

– I ja Ci dziękuję, Panie, Panie – mówiła z twarzą przy ziemi. – Oto dałeś mi po latach osamotnienia i starości zobaczyć Tego, którego przysłałeś dla ocalenia wszystkich. Póki starczy mi życia, będę głosiła Jego chwałę. O, Panie, jaki jesteś dobry i miłosierny, że schodzisz do nas w pył ziemi i oddajesz swoją świętość w nasze niegodne ręce... O, Panie, przecież mogłeś spaść wstrząsającym świat gromem. Mogłeś nas obalić i oślepić. Wiesz, że jesteśmy pyłem, i Ty temu pyłowi zawierzyłeś największy skarb.



## Część druga

# Syn

1

W ciągu tego roku Herod zmienił się nie do poznania. Twarz mu ściemniała i stała się prawie czarna. Nos nabrał kształtu krogulczego i wydawał się dłuższy niż dawniej. Zwisał mu nad wiecznie obeschniętymi wargami. Zapadłe oczy płonęły ciągłą gorączką.

Bóle, które go teraz nachodziły, były straszne. To było tak, jakby miał kół wbity w ciało i jeszcze ktoś ten kół obracał. Gdy nadchodził atak bólu, nic nie mogło cierpienia przytłumić. Dawniej potrafił zapanować nad bólem. Teraz wył, ryczał, gryzł do krwi wargi i rwał na sobie odzież. A kiedy fala bólu odchodziła, król popadał w stan całkowitego wyczerpania.

Nie opuszczało go teraz rozdrażnienie. Wszystko go gniewało. Podejrzliwy z natury, obecnie dostrzegał wszędzie zdradę. Nie ufał nikomu, zwłaszcza od czasu, gdy mu Salome doniosła o spiskach Antypatra z Ferorasem. Nie uczynił chwilowo nic, aby ukarać winnych. Ferorasowi kazał wyjechać do Perei, motywując to zachowaniem Roksany wobec królewskich córek. Antypatra wyprawił do Rzymu. Za oboma posłał szpiegów. Kazał także śledzić wszystkich, o których doniesiono mu, że się znosili z synem i bratem.

W kilka zaledwie tygodni po wyjeździe Ferorasa doszła z Gadary wieść, że król Perei ciężko zachorował. Herod oświadczył, że lęka się o życie brata, nie bacząc na świeży spór i na swoje bóle kazał się wieźć za Jordan. Zabrał ze sobą całą rzeszę muzykantów, którzy mieli nakazane, aby w chwili nadchodzącego bólu grali przy królu swoje dzikie melodie beduińskie. Nie c«ciał, aby ludzie słyszeli, że krzyczą z bólu.

Ale następnego dnia po przybyciu Heroda do Gadary Feroras zmarł. Król ogłosił,

że jego brat został otruty, i kazał wszcząć śledztwo. Uwięziono Koksane, jej matkę i siostrę oraz cały dwór królowej. Roksana próbowała popełnić samobójstwo, wyskakując z okna, ale straż zdołała ją powstrzymać. Kobiety były badane i torturowane. Pałac rozbrzmiewał kobiecymi wrzaskami i rykiem Heroda. Roksana załamała się na torturach. Ocalała życie, zwalając wszystko na Antypatra. Feroras, zeznawała, miał z namowy bratanka starać się otruć Heroda. Truciznę dostarczyła Doris. Feroras musiał przez nieostrożność sam napić się tej trucizny...

Herod darował życie Roksanie i natychmiast uczynił ją swą kochanką. Od tej chwili wierzył wszystkiemu, co mówiła. Każdy, na kogo wskazała – był winny.

Ciało Ferorasa zostało przywiezione do Jerozolimy i pochowane we wspaniałym grobowcu, który Herod kazał wznieść dla siebie w górach za miastem, obok Jeziora Węzów. Pogrzeb był uroczysty i cała Jerozolima została zmuszona do wzięcia w nim udziału. Nikt się nie uchylił. Obecność Roksany przy królu budziła strach, że każdego, kogo nie zobaczy na pogrzebie, oskarży przed królem o wrogość. Herod okazywał swoją rozpacz po śmierci brata, łkał i darł na sobie szaty, ale ludzie nie wierzyli w jego łzy. Podejrzewano, że w taki sposób rozprawia się ze spiskiem.

Po pogrzebie ataki bólów jeszcze się nasiliły. Stały się tak częste, że król musiał wyrzec się rozpusty i zamknął się w pokojach, do których dostęp miała tylko Salome. Doktorzy namawiali go na wyjazd do ciepłych źródeł w Kallirroe po drugiej stronie Morza Asfaltowego. Przywieziona w beczkach woda przyniosła rzeczywiście pewną ulgę, więc Herod postanowił nie wracać do Sebaste, ale wyruszyć do Kallirroe. Na dworze zaczęto lżej oddychać.

Herod leżał rozciągnięty na łożu, gdy tego dnia Salome wkroczyła do komnaty królewskiej. Dwóch pięknych chłopców stało przy królu i poruszało trzymanymi w rękach kadzielnicami. Komnata pełna była wonnego dymu. Jego aromat głużył smród, jaki stale wydzielał się z ciała Heroda i doprowadzał go do szaleństwa.

- Czego chcesz? – podniósł wzrok na siostrę.
- Mam ci coś ważnego do powiedzenia...
- Naprawdę ważnego? Opowiadasz mi jakieś głupstwa...
- To nie głupstwo. Stęknął niechętnie.
- Mów.

– Przybyli do Jerozolimy trzej dziwni ludzie...

– Nie będę się zajmował każdym głupcem, który tutaj przyjeżdża!

– Ale posłuchaj. To są ludzie z królestwa Partów. Jacyś mędrcy, uczeni czy może wróżbici...

– No i czego chcą?

– Niczego nie chcą. Ale szpiedzy donieśli mi, że wypytują ludzi na targowisku o jakiegoś króla żydowskiego, który się miał narodzić...

Herod zainteresował się nagle słowami siostry. Usiadł na łożu.

– Precz! – odprawił gestem chłopców. Przywołał Salome bliżej siebie. Zapytał: – O jakiego króla pytają?

– Niewiele można pojąć z ich gadania. Szpiedzy nie wszystko zrozumieli. Szukają jakiegoś króla i pytają o niego. Ludzie się do nich pchają. Wszystkich ogarnęło podniecenie... Wiesz, jacy są Żydzi. Mają swoje przepowiednie... Roksana mówiła ci na pewno o tym jakimś mesjaszu, którego oczekują faryzeusze...

– Mówiła.

– Pomyślałam, że niedobrze, aby ludzie o tym słuchali. Więc powiedziałam Boargasowi, aby ich odnalazł, powitał i powiedział, że skoro przybyli do twego królestwa, ty sam gotów jesteś ich przyjąć i odpowiedzieć na ich pytania.

– Chcesz bym z nimi mówił? – skrzywił się.

– Jeśli czujesz się źle, wyznacz kogoś. Ale myślę, że tylko ty będziesz wiedział, co im odpowiedzieć.

– Ne Herkulesa, chyba masz rację – przyznał. Drapał się po piersi, zastanawiał. – Mówisz, że przybyli z królestwa Partów? Licho wie, kim są i kto ich przysyła... Tak, ja sam muszę z nimi mówić.

– Więc widzisz...

– Widzę. Złe duchy przywiodły ich tutaj... Gdzie są?

– Kazałam sprowadzić ich do pałacu.

– Nie mogą zobaczyć, że jestem chory! Zawołaj służbę, niech przyniosą królewskie szaty, klejnoty... Och! – wydał nagle bolesne stęknienie – Już przychodzi... Och! Och! – wczepił palce w brzuch. – Co za ból! – zawył.

Stoczył się z łoża na ziemię. Skręcał się szarpany skurczami. Charczał, jęczał,

wył. Wbiegła służba. Otoczyła kołem leżącego władcę. Nikt jednak nie śmiał go tknąć.

Spazmy bólu trwały czas jakiś. Wreszcie jednak ustąpiły. Herod leżał na marmurowej posadzce niby ciśnięta chusta. Z rozchylonych ust spływała biała ślina. Oczy miał pokryte bielmem. Ale przemógł słabość: dał znak. Podniesiono go, posadzono w lektyce i wyniesiono do gotowalni królewskiej.

Trzej ludzie ubrani w długie szaty i z turbanami na głowach weszli do sali tronowej wolnym, pełnym godności krokiem. Dwaj byli mężczyznami w sile wieku, trzeci – starcem, którego wzrok musiał być bardzo przyćmiony, gdyż szedł niepewnie, wspierając się na kiju i trzymając przed sobą wyciągniętą rękę.

Zbliżyli się do tronu, skłonili się, lecz bez czołobitności. Musieli być ludźmi cieszącymi się szacunkiem w swoim kraju. Ich szaty były kosztowne, na szyjach wisiały złote łańcuchy.

– Witaj, królu Herodzie – powiedział ten, który stał w pośrodku.

Wydawał się najmłodszy wiekiem, ale musiał być wśród nich trzech najważniejszy godnością. Jego łańcuch był dłuższy i cięższy niż łańcuchy jego towarzyszy. Miał także na palcach cenne pierścienie. – Niech pan nieba i ziemi – ciągnął – przeświety, odwieczny Ahura-Mazda obdarzy cię swoim błogosławieństwem i łaską. Pozwól, że powiem ci, kim jesteśmy i po co przywędrowaliśmy do twego królestwa. Nazywam się Baltazaru i jestem księciem z rodu Sasanidów, a także pilnym badaczem ksiąg zostawionych przez naszego świętego nauczyciela Zaratustrę. Moimi towarzyszami są znakomici mędrcy naszego kraju. Oto czcigodny Kaspar – wskazał ręką na wspartego na kiju starca – znawca tajemnych dróg gwiazd. A oto Melichu, przesławny uczonec, którego nasz władca powołał, by pozbierał i spisał na nowo zniszczoną w czasie wojen z Grekami – a niegdyś zapisaną złotymi literami na skórze wołowej – świętą księgę nauk naszego nauczyciela.

Każdy z nas zamieszkuje gdzie indziej, lecz spotkaliśmy się i wspólnie postanowiliśmy wyruszyć w podróż...

Zrobił małą pauzę. Herod siedział sztywno na tronie i tylko stojąca tuż za bratem Salome mogła widzieć jego zaciśnięte wargi, dygocące policzki i spływające po policzkach strumyczki potu. Sala pełna była kadzidlanego dymu. Nad głową Heroda

kołysały się wachlarze z piór. Dwór otaczający króla nie był zbyt liczny. W Jerozolimie znajdowali się tylko ci, którzy podróżowali razem z Herodem i mieli mu towarzyszyć do Kallirroe.

Baltazaru podjął swoją mowę:

– Jak ci już powiedziałem, królu, czcigodny Kaspar jest tym, który z wielką umiejętnością śledzi drogi gwiazd. Jego wzrok, zaciemniony na sprawy ziemskie, potrafi dostrzec tajemnicze znaki, jakie gwiazdy stawiają na niebie. To on doniósł nam pierwszy o tajemniczej gwieździe, która zapaliła się na niebie zachodu. Uczony Kaspar dokonał pomiarów i ustalił, że gwiazda rozplamiała się nad twoim, królu, królestwem.

Wśród dworaków rozległy się szepty, ale Herod siedział dalej milcząco i sztywno na tronie.

– Zaczęliśmy – mówił dalej Baltazaru – szukać wytłumaczenia dla gwiazdy w księgach naszego świętego nauczyciela. Tu okazał swą wiedzę czcigodny i uczony Melichu. W składanej przez siebie na nowo księdze znalazł wiadomość, iż na końcu czasów ludzkich pojawi się sauszajanta – pomocnik boskiego Ahura-Mazdy, noszący tajemnicze imię Askwatereta, czyli ten, który jest samą prawdą. Jego urodzenie zapowie nowa gwiazda.

Zestawiwszy tę wiadomość z odkryciem czcigodnego Kaspara doszliśmy wspólnie do przekonania, że czas przyszedł i narodził się zapowiedziany przez księgę. Postanowiliśmy więc udać się w drogę i odnaleźć nowo narodzonego. I rzeczywiście – gwiazda pokazywała nam drogę. Kiedy jednak przekroczyliśmy rzekę, która oddziela twój kraj, królu, od wielkiej pustyni, już nie mogliśmy się dalej kierować gwiazdą. Świeci ona, ale nie pokazuje wyraźnie miasta, w którym narodził się Askwatereta. Dlatego przybyliśmy do Jerozolimy, która jest świętym miastem twego królestwa i ma, jak mówią, najpiękniejszą świątynię, jaka wzniesiona została dla Najwyższego. Tu pragnęliśmy dowiedzieć się reszty. Pytaliśmy ludzi, ale oni nie umieli nam nic powiedzieć. Nawet nie dostrzegli gwiazdy! Byliśmy już pełni rozterki, kiedy przybył twój dworzanin, królu i zaprosił nas do twego pałacu. Stajemy radośni przed twoim obliczem, pewni, że ty powiesz nam, gdzie i jak mamy szukać narodzonego. Jako król tej ziemi znasz niewątpliwie miejsce narodzin, Tego, który stanie się królem nad królami...

Herod drgnął przy ostatnich słowach Baltazaru, jakby obudziły go one ze snu.

Zapytał – a jego głos dobywający się spoza zaciśniętych zębów brzmiał jak krakanie:

– Jak powiedziałeś, książę? Król nad królami?

– Tak jak rzekłeś, królu.

– Każde królestwo ma tylko jednego króla.

– Nie zawsze, królu. Są królowie, a nad nimi jeszcze potężniejsi. Święta księga naszego nauczyciela głosi, że Askwatereta będzie królem nad wszystkimi królami ziemi. To on sprawi, że dokona się ostateczne zwycięstwo przedwiecznego Ahura-Mazdy...

Znowu rozległ się kraczący głos Heroda:

– Nie znam waszej wiary, czcigodni mężowie. Nie wiem nic o narodzeniu, o którym mówicie. Być może pomyliliście kraj, w którym szukacie waszego Askwaterety? To o cesarzu rzymskim mówią poeci, iż jest tym, którego zapowiadały stare przepowiednie, że przyniesie złoty wiek pokoju i szczęścia. Ale nie chcę was zawracać z waszej drogi, uczeni mężowie, zanim sami się nie przekonacie, czy dobry kierunek wybraliście. Wstrzymajcie na chwilę wasze poszukiwania i przyjmijcie gościnę w moim pałacu, a ja porozmawiam z uczonymi mojego kraju. Może oni coś wam będą mogli wskazać. Mój syn, Filip, zajmie się wami i jestem pewien, że nie zabraknie wam u nas niczego, co by potrafiło zabawić wasze umysły i serca. Odpocznijcie po waszej długiej drodze. Za dzień lub dwa powiem wam, co mi odkryli żydowscy uczeni. Synu – skinął na Filipa – zajmij się naszymi czcigodnymi gośćmi.

Pożegnalnie skinął dłonią, a przybysze skłonili się znowu z godnością.

Wyszli w towarzystwie Filipa. Gdy zamknęły się za nimi wielkie drzwi pałacowe, Herod wydał okrzyk podobny do wilczego skowytu i zwałił się z tronu na posadzkę. Straszny ból ścisnął mu wnętrzności w swe żelazne kleszcze.

## 2

– Więc co o nich sądzisz? – pytała Salome.

Herod siedział na swym łożu. Twarz miał tak bardzo skurczoną, że mogło się wydać, iż nie ma na niej nic poza oczami płonącymi gorączką, i wielkim nosem. Straszny wysiłek, jaki sobie zadawał, aby ukrywać swoje cierpienia, wyczerpywał go bardziej niż

chwile, w których pozwalał sobie na krzyk.

– Miałś rację – mruknął – zwracając na nich uwagę. To są na pewno wysłannicy króla Partów. Musiało do niego dotrzeć, że jestem chory. Myśli pewno, że już umieram. Ta historia o tym jakimś sauszajancie to tylko pozór! Nie wierzę w ich opowiadanie. Tamten ich przysłał dla zbadania sytuacji...

– I nic, myślisz, nie znaczy ta historia o Dziecku, które się narodziło...?

– Doszły do nich bajania faryzeuszy. Naprawdę to szukają tutaj sojuszników.

– Więc trzeba ich wyprawić.

– Muszę wpierw porozmawiać z Żydami. Czy już przyszli ci, których wezwałem?

– Są i czekają, abyś im pozwolił stanąć przed sobą.

– Niech wejdą. Powiedz im, żeby mówili krótko. Niech nie gadają, jak to oni potrafią! Nie mam sił na słuchanie głupstw! Już powinienem być w Kallirro. Tam, jestem pewien, bóle ustąpią... Że też ci Partowie musieli się teraz zjawić! Toś ty ich sprowadziła do pałacu...

– Sam powiedziałeś, że uczyniłam słusznie.

– Tak. To prawda. Miałś rację. Wezwij tych Żydów!

Wchodzili do sali po jednym, sztywni, wyprostowani, ubrani w powłóczyste szaty. Kapłani mieli na sobie znaki swej godności. Pierwszy szedł arcykapłan Szymon syn Betosa, teść Heroda, ojciec pięknej Mariammy, która została żoną króla po śmierci Mariammy Hasmonajki. Aby podnieść w godności tę, którą zapragnął uczynić swą oficjalną żoną, Herod uczynił Szymona arcykapłanem, pozbawiając władzy dawnego arcykapłana, Jezusa syna Foabisa. Szymonowi towarzyszyło kilku kapłanów. Za nimi z oczami skierowanymi w ziemię, jakby dla okazania, jak mało ważą sobie wspaniałości pałacu, a może, by nie patrzeć na stojące w rogach komnaty greckie rzeźby, weszło kilku faryzeuszy. Na ich czele szli Polion i Samea – dwaj przywódcy faryzejscy, którzy utrzymywali bliskie stosunki z królem. Za nimi dwaj młodszy faryzeusze prowadzili pod rękę starego Hillela. Herod łaskawym gestem kazał podać czcigodnemu doktorowi krzesło. Wielki hakam – zwierzchnik całej szkoły, noszącej nazwę Domu Hillela, był człowiekiem szanowanym w całym królestwie, a także poza królestwem, tam wszędzie, gdzie znajdowały się kolonie żydowskie.

Przybyli stanęli półkolem przed królem. Na ich twarzach malował się nie zawsze

dający się ukryć niepokój. Nie wiedzieli, po co naprawdę zostali wezwani. Herod budził w nich lęk. Starał się wprawdzie być układny, jednak znali go, że potrafi być jednocześnie lisem i lwem. A poza tym uważali, że choroba uczyniła go szaleńcem.

Króla otaczały jak zawsze kłęby wonnego dymu. Salome stała za bratem gotowa pospieszyć mu z pomocą.

– Wiecie, po co was wezwałem? – zapytał gwałtownie.

– Domyślamy się jedynie... – Tym, który zabrał głos w imieniu wszystkich, był Szymon. – Sądzymy, że chodzi o tych ludzi, którzy przybyli z królestwa Partów...

– Tak. Słyszeliście, z czym przyjechali?

– Księżna Salome powiedziała nam...

– Co myślicie o tej historii z narodzinami!?

Głowy przybyłych zwróciły się ku Hillelowi. Oddano głos wielkiemu nauczycielowi.

– Tę sprawę, królu Herodzie, znamy... – Hillel mówił głosem nieco bełkoczącym, który jednak, w miarę jak przemawiał, nabierał wyrazistości. – W dawnych wiekach, wtedy gdy król perski okazał łaskawość Izraelowi i zezwolił mu powrócić do ziemi ojców, byli uczeni żydowscy, którzy starali się wykazać w swoich pismach, że wierzenia uczniów Zaratustry są echem naszych oczekiwań na mesjasza. I wydaje się, że czekają na to, na co my wyczekujemy od wieków, co zostało nam przyobiecane i co przyjdzie jedynie dla nas...

– Chcesz powiedzieć – Herod przerwał Hillelowi – że Persowie, oczekując na swego sauszajantę, oczekują po prostu na żydowskiego mesjasza?

– Tak jak powiedziałeś, królu. Prawda jest jak słońce, które odbija się w tysiącu zwierciadł.

– Dobrze. – Herod sięgnął po kubek z winem pomieszanym z ziołowym naparem, który zdolny był powstrzymać nadchodzący skurcz bólu. – Kiedy na przyjsć ten mesjasz?

Pytanie to cisnął Szymonowi, ale ten przerzucił je natychmiast ruchem głowy do stojącego obok kapłana. Tamten uczynił podobnie. Od człowieka do człowieka, niby toczący się pieniądz, pytanie obiegło w krąg stojących i zatrzymało się znowu przy Hillelu.

– Pytasz królu – powiedział wielki rabbi – o to, o czym wie jedynie Najwyższy,



niech będzie chwała Jego imieniu. Ale są znaki.

– Jakie znaki? – Herod przerwał znowu pełną namaszczenia mowę Hillela. – Gdzie one są?

– Te znaki pojawiają się jedynie w sercach ludzkich. Są tacy, którzy czują, że czas się przybliżył...

Nic więcej nie powiedział. Zakończył, jakby chciał urwać swoją myśl. Herod chwilę czekał, potem znowu sięgnął do kubka. Pragnął mieć siłę na dokończenie tej rozmowy. W gruncie rzeczy nie znosił faryzeuszy. Uważał ich za nadętych mędrków. Hillelowi okazywał szacunek, z Polionem i Sameą układali się w rozmaitych sprawach. Czasami bywali mu potrzebni. Przez nich, wydawało mu się, trzyma w ryzach groźną sektę. Wiedział, że masy ciemnych amhaareców, choć obdarzane przez faryzeuszy pogardą, żywią wobec nich uległy lęk. Ci doktorzy byli panami tajemnic tego dziwnego ludu, którym przyszło mu władać. Kto chciał rządzić Żydami, musiał liczyć się z faryzeuszami. Herod był królem Żydów i chciał być królem Żydów. Ten lud drażnił go, a jednocześnie pociągał swoją niezwykłością. To było tak jak z Mariamną Hasmonijką: kochał ją do szaleństwa, a jednocześnie podejrzewał ją, lękał się jej, czasami nienawidził. Kiedyś wydawało mu się, że potrafi faryzeuszy zniszczyć. Oni jednak odrodzili się. Wydawali się niezniszczalni... Z kapłanami dawał sobie radę łatwo. Oni nade wszystko cenili wygodę, dobrobyt, dobre stosunki z władcami. Nie uważali, że wiara izraelska jest jedynie prawdziwa, a wszyscy, którzy wierzą inaczej, są albo głupcami, albo grzesznikami – skazanymi jedni i drudzy na zaturę. Szymon który pochodził z Aleksandrii, był przyzwyczajony do współżycia z Grekami i nie powiedziałby nigdy, jak powiedział niedawno jeden z doktorów faryzejskich (o czym doniesiono Herodowi): „Przeklęty, który hoduje świnię, i przeklęty, który uczy syna mądrości greckiej”. Faryzeusze byli niezdolni w swej pysze. To ich poglądy, którymi zarażali masy, sprawiały, że królestwo Heroda było zawsze uważane za coś całkiem odmiennego niż wszystkie inne królestwa. W Rzymie mówiono o Żydach z pogardą, a przecież cesarz obdarzał Żydów łaskami jak żaden inny lud, który był mu podległy. Gdziekolwiek istniała kolonia żydowska, sięgały do niej wpływy faryzejskie... Teraz stali przed nim ze spuszczonej oczami. Nienawidził ich – a jednak czuł, że musi się z nimi liczyć. Rozgłaszali, że są bardziej niż wszyscy inni ludzie pod opieką Żydowskiego

Boga... Może tak było naprawdę? Może znali jakieś tajemne zaklęcia? Wiedział, że byli wmieszani w spisek Antypatra i Ferorasa, ale nie próbował dochodzić, co obiecywali tamtym.

– Słyszałem – powiedział patrząc spode łba na stojących przed nim ludzi – że ten mesjasz ma się narodzić, gdy królem żydowskim nie będzie człowiek z pokolenia Judy. Czy tak mówią wasze przepowiednie?

Spojrzeni po sobie z niepokojem. Tym razem wyrazicielem opinii był Samea.

– Przepowiednia nie jest wyraźna, można ją rozmaicie tłumaczyć...

– A jednak jest coś takiego? Hirkan, zanim poniósł zasłużoną karę, przebywał u Partów. Kto wie, co im wtedy naopowiadał. Ludzie, którzy tu przyjechali, mogą znać tę przepowiednię.

Dyplomatycznie milczeli. Gniewnym spojrzeniem trącił w ich twarze, a oni kulili się w sobie.

– Gdzie się ma narodzić ten mesjasz? – rzucił błyskawiczne pytanie, jakby cisnął dzidą.

Ich spojrzenia umykały jego oczom. Biegły w krag, aby raz jeszcze spocząć na Hillelu.

– Przepowiednia mówi wyraźnie – powiedział po chwili milczenia rabbi. Zacytował, jakby intonował śpiew: – „Ty Betlejem, miasto Judy, nie będziesz pozbawione czci między miastami judejskimi, gdyż w twoich murach narodzi się wódz, który zapanuje nad ludem izraelskim...”

– Beltejem? – Herod przesunął dłonią po swej brodzie, która nie malowana wyglądała jakby posypana popiołem. – To ta nędzna wieś tu w pobliżu, z której wywodzi się ród Dawida?

– Nie ma innego Betlejem – zapewnił Polion. – Masz rację, królu, to nędzna wieś. Ród Dawidowy zbiedniał i utracił znaczenie.

– Nie potrzebujesz mi tego mówić – rzucił. – Wiem sam o tym. Lecz w takim razie... – Gniewny wzrok króla pobiegł po twarzach stojących półkolem ludzi. – Gdzie się narodzi ten wasz mesjasz? Skąd przyjdzie? Kim będzie? Czego oczekujecie, rozpowiadając o nim pospólstwu?

– Nie oczekujemy niczego... – zaczął lękliwie arcykapłan. – Mamy naszą wiarę,

a wśród jej prawd są także przepowiednie o mesjaszu... Nie możemy ich zataić. Ale sami się lękamy, że pospólstwo gotowe wziąć zbyt dosłownie słowa starych przepowiedni...

Wybuchnął zgryźliwym śmiechem.

– Lękacie się? Tobie wierzę, teściu. Jesteś człowiekiem rozsądnym i wiesz, że w każdej wierze są rzeczy niezrozumiałe. Ale oni – wyciągnął palec w stronę faryzeuszy – oni tak nie myślą. Plotą o mesjaszu przy każdej okazji. – Nagły wybuch gniewu zerwał tamę ostrożności. – Czy myślicie, że nie wiem, iż maczaliście ręce w spiskach mojego syna?

W komnacie zrobiła się głucha cisza. Potem jednocześnie zawołali Polion i Samea:

– To nie my! To nie my, królu!

– Jeśli nie wy, to wasi towarzysze.

– Było rzeczywiście kilku szaleńców, którzy wdali się w niewłaściwe rozmowy...

Zostali ukarani.

– A jednak odmawiacie ludzi od składania przysięgi cesarzowi.

– Jesteśmy poddanymi twoimi, królu, nie Rzymian...

– Sami kiedyś przywołaliście Rzymian przeciwko własnym królom. Gdy wam będzie wygodnie, zrobicie to samo znowu!

Nagle zerwał się z łoża. Był podniecony. Biegał od jednego do drugiego wykrzykując i wygrażając pięściami.

– Dziś szczujecie amhaareców na Rzymian, jutro poszczujecie ich na mnie. Znam was dobrze! Jeśli będzie wam potrzebny król partyjski, dla niego wywołacie bunt przeciwko mnie i Rzymianom! Domyślam się, dlaczego ci ludzie przyjechali. To gadanie o mesjaszu i sauszajanie to tylko mydlenie oczu. Moje królestwo leży na granicy dwóch potęg. Trzeba się zdecydować: jesteśmy z Rzymianami czy z Partami. Ja postanowiłem: będę przyjacielem cesarza. Gdy Rzymianie są z nami, mamy pokój. Ale wy lubicie spiski i macie swoje własne plany. Dla nich chcecie zniszczyć to, co ja zbudowałem. Ci ludzie przyjechali, aby znaleźć wśród was sojuszników.

I wy także – stał teraz przed kapłanami i wygrażał im pięścią – daliście się w to wciągnąć! Myślicie, że Rzymianie dadzą się wypędzić przez byle amhaareca, którego nazwiecie mesjaszem! Z Rzymianami nikt nie wygrał!

Urwał, bo mu zabrakło oddechu. Ciężko kaszląc usiadł znowu na łożu. Biło od niego trupa wioną, której nie potrafił zagłuszyć wonny dym. Korzystając z tego, że umilkł, porozumiewali się wzrokiem. Odezwał się Szymon. Mówił prędko, gorączkowo, głos mu dygotał:

– Niesłusznie nas oskarżasz, zięciu, niesprawiedliwie. Tak nie jest, jak nam zarzuciłeś. Pytałeś o przepowiednię, więc ci odpowiedzieliśmy, według tego, jak znajdujemy w starych księgach. Ale, jak ci mówiłem, te stare przepowiednie nie wiadomo co naprawdę znaczą. My jesteśmy z tobą.

Jesteśmy tobie wierni. Wiemy, ile zrobiłeś dla królestwa. Jeśli ci ludzie przyjechali, by szukać sojuszników dla wywołania buntu, to ich w nas nie znajdą. My buntów nie chcemy. Istnieje przepowiednia o mesjaszu, to prawda... Lud o niej wie i czeka na mesjasza. Czeką od wieków. Nikt naprawdę nie wie, kim ma być ten mesjasz... Ostatnio ludzie zaczęli się gorączkować. Wiążą sprawę przysięgi ze sprawą mesjasza... Jest w tym trochę winy faryzeuszy... Ale nie wszystkich! Cenimy rabiego Poliona, rabiego Sameę, czcimy wielkiego nauczyciela Hillela... Ale w Galilei zdarzają się niepoczytalne, zapalne głowy. Rabbi Polion mówił: Tamci zostali ukarani... Buntów nie chcemy. Na żadnego mesjasza, który by wzywał do buntu, nie czekamy. Nie chcemy takiego mesjasza! Zresztą po co nam mesjasz? Mamy króla, mamy cesarza... Panuje pokój, rozwija się handel, drogi spokojne, tyle pięknych, nowych budowli. Tych ludzi, którzy tu przyjechali, najlepiej byłoby... – nie dokończył, zrobił tylko wymowny gest. – Ale ja wiem. Tak nie można. To są słudzy wielkiego króla. Im stać się nic złego nie może. Więc trzeba ich jakoś odprawić... Ale nas, królu, nie oskarżaj. Jesteśmy twoimi wiernymi sługami!

Długie przemówienie Szymona pozwoliło Herodowi odzyskać siły. Gniew zapadł znowu w głąb serca. Słuchał trwożnych słów arcykapłana przechyliwszy na ramię głowę i zmrużywszy oczy. Dzięki podnieceniu zapomniał o chorobie. Był znowu sobą: przebiegłym lisem.

– A co powie rabbi Hillel? – zapytał, gdy Szymon umilkł. Stary doktor podniósł na Heroda oczy półnakryte brwiami. Powiedział wolno jak poprzednio:

– Arcykapłan zapewnił ciebie, królu, że nie jesteśmy buntownikami. I tak jest naprawdę. W nadejście mesjasza wierzymy... Kiedyś niewątpliwie przyjdzie... Ale

uwazamy, że nie należy się śpieszyć z jego uznaniem. Gdy ktoś krzyknie: „Nadchodzi mesjasz!”, prawdziwy mędrzec nie da sobie tym krzykiem zakłócić myśli, ale spokojnie dosnuje ją do końca. Bowiem nauka doktorów jest równie ważna i święta, jak słowa Tory i Najwyższy nie przerwie jej biegu po to, by zesłać swego pomazańca...

Inni faryzeusze przytakiwali słowom rabiego kiwaniem głów. Poczuł się uspokojony.

– Dobrze – rzekł. – Wezwę ich i powiem: niech jadą do Betlejem. Wasza głowa, aby go nie znaleźli ani tam, ani gdzie indziej. Niech się przekonają, że żadnego mesjasza nie ma. Potem gdy wrócą do mnie, obdarzę ich i wyślę z powrotem do królestwa Partów.

– Jesteś mądry, królu – przyznali wielu głosami. – Jak sam Salomon.

– Idźcie sobie – powiedział.

Dopiero po pewnym czasie po ich odejściu przyszedł atak. Choć skręcał się z bólu, nie przestawał snuć projektów postępowania. Powiedzieli, że jestem mądrym królem – myślał. Jak ten ich Salomon... A jednak nie jestem ich pewien... Nic to, dam sobie radę. Gdyby tylko nie ten ból...! Jakbym był nadziany na pal... Będę zawsze zręczniejszy niż ci, którzy myślą, że mnie oszukają. Jeszcze się taki nie narodził, co by mnie oszukał! Och, żeby nie ten ból...

### 3

Wspaniałe perskie rumaki, na których przybyli do królestwa Heroda, po odpoczynku w stajniach królewskich szły z nową fantazją, w susach i podskokach, po kamienistej drodze prowadzącej wzdłuż skalnego grzbietu. Ani się spostrzegli, gdy zobaczyli wieś na zboczu górskim.

– Zatrzymajmy się – powiedział Baltazaru. – Przed nami Betlejem, o którym mówił król Herod. Rzeczywiście nie zasługuje na nazwę miasta.

Czy nie sądzicie, że zanim wjedziemy między domy, powinniśmy się jeszcze raz zastanowić spokojnie nad tym, co mamy uczynić?

Sklonili głowami potakująco i zatrzymali swoje wierzchowce. Podróżowali lekko:

towarzyszyło im tylko trzech służących i jeden juczny koń. Zjechali z drogi na małą łączkę w cień rozłożystego terebintu. Zsiadłszy z koni wyciągnęli się na ziemi na rozścielonym przez służbę dywanie.

– Chcę zacząć od ciebie, Kasparze – mówił Baltazaru – ponieważ ty byłeś pierwszym, który podjął myśl tej wyprawy. Mówiłeś wtedy, że zobaczyłeś nad dalekim horyzontem nową, niezwykłą gwiazdę i wymierzając jej drogę doszedłeś do przekonania, że zatrzymała się nad ziemią żydowską. A jednak, gdy przyjechaliśmy tutaj, przekonaliśmy się, że nikt gwiazdy nie dostrzegł i nikt nie wie o cudownych narodzinach. Miasto, do którego nas skierowano, jest podłą wsią. Powiedz, czy jesteś pewien, że nie zawiodły cię twoje obliczenia?

Stary mag odpowiedział spokojnie, bez pośpiechu:

– Jestem pewien swoich obliczeń, bracia. Życie zeszło mi na śledzeniu gwiazd. Oczy moje zgasły od ciągłego wpatrywania się w niebo. Nie widzę drogi pod nogami. Ale wielki Ahura-Mazda pozwala mi dostrzec gwiazdę, której szukam na niebie. Sprawdziłem wiele razy mój rachunek i mam pewność, że jest prawidłowy. Gwiazda jest gdzieś tu, nad nami.

Odruchowo podnieśli głowy. Ale na błękitnym niebie nie było widać gwiazd.

– I widziałeś gwiazdę w ciągu całej naszej podróży? – pytał dalej Baltazaru.

– Widziałem ją każdej nocy.

– Jednak nie potrafisz ustalić dokładnego miejsca?

– Nie potrafiłem dotąd. Ale jestem pewien, że skoro staniemy we właściwym miejscu, gwiazda potwierdzi, że naprawdę dotarliśmy do naszego celu.

– A więc dla przekonania się o tym musimy doczekać zmroku. Przyznaję, że ta wieś nie budzi mego zaufania. W takich domach zwykli mieszkać prości chłopci. A teraz zwracam się do ciebie, Melichu. Przypomnij raz jeszcze, co mówią o Askwaterecie stare księgi.

– Powtarzam, co mówi księga Wendidad: będzie to sauszajanta z rodu ojca Zaratustry. Zapewni dobru ostateczne zwycięstwo nad złem i uczyni wszystkich ludzi szczęśliwymi. Także tych, którzy pomarli...

– Czy księga nie mówi o jego narodzeniu?

– Nie mówi nic, co by mogło nam pomóc.

– A teraz powiedz, co wiesz o żydowskim mesjaszu.

– Żydzi oczekują kogoś, kogo nazywają mesjaszem. Mówią, że będzie to wódz, który im zapewni panowanie nad światem i wszystkimi narodami. Ale niektóre ich księgi mówią o tym mesjaszu rzeczy dziwne, przeczące tamtym oczekiwaniom. Powiadają, że będzie cichy i dobry, że nauczy ludzi miłości, dokona zwycięstwa nad złem... I że obdarzy swą łaską nawet zmarłych.

– Czyżby nasze oczekiwania zbiegły się z ich oczekiwaniami?

– Na to wygląda.

Jednak ten, który ma być wybawicielem całego świata, nie mógłby być królem Izraela podbijającego inne narody. Ta wieś, choć taka nędzna, jest kolebką żydowskiego królewskiego rodu. Mesjasz podobno ma pochodzić z rodu Dawida. Kim będzie ten, kogo mamy nadzieję odnaleźć? Do kogo doprowadziła nas gwiazda? Do żydowskiego mesjasza czy do Askwaterety? To pytanie stawiam wam obu.

Choć zapytywał ich obu, najpierw spojrzał na Kaspara. Stary mag siedział z głową wspartą o pień drzewa. Swoje ledwo widzące – a może nic już ziemskiego nie widzące – oczy utkwili w przestrzeń, jakby gdzieś, w odległej dali szukał odpowiedzi na swoje myśli.

– Jeżeli odwieczny Ahura-Mazda – zaczął głosem lekko drżącym – pozwolił mi zobaczyć mymi wygasłymi oczami gwiazdę, to znaczyć to może tylko jedno, że chciał, abym ją zobaczył. Podobnej gwiazdy nie widziałem, odkąd patrzę w niebo. On sam mi ją wskazał. Czy ważne jest pytać, kogo szukamy, skoro jesteśmy na śladach Tego, którego polecono nam znaleźć?

– A jeśli Ten, którego znajdziemy, okaże się żydowskim mesjaszem, wodzem Izraela?

– Kimkolwiek będzie, będzie Tym, którego zesłał nam Przedwieczny. „każdej przepowiedni, która musi przejść przez usta człowieka, zawierają się obok woli Bożej pragnienia ludzkie. I zdarza się, że spełnia się jedno i drugie. Ale inaczej. Wola Boża zgodnie z zamierzeniem Najwyższego, pragnienia ludzkie oczyszczone od ludzkich pożądań...

– Kaspar powiedział to, co i ja myślę – rzekł milczący dotąd Melichu.

– Jesteśmy zgodni, gdyż i ja nie myślę inaczej – powiedział Baltazaru. – Nie

szukajmy tego, czego pragniemy, szukajmy tego, czego nakazał nam szukać Najwyższy...

– Powiedziałeś – potwierdzili obaj.

– W takim razie pomódlmy się, aby boski Ahura-Mazda zechciał nam wskazać, czy jesteśmy tu, gdzie kazał nam przybyć.

Powstali i obrócili się ku słońcu. Z rozłożonymi szeroko ramionami powtarzali długo i uparcie słowa hymnów.

Pozostali na łące do zmroku. Wreszcie zaczęło się ściemniać. Po sfiolutowiałym niebie przesuwały się strzępiaste obłoczki. Wiatr od morza niósł je ku skalnemu murowi, otaczającemu Jezioro Asfaltowe, i dalej ku ich ojczyźnie równie górzystej, jak kraj, w którym się znajdowali. Szare płyty mroku spadały z gałęzi, niby obudzone nietoperze.

Nagle Kaspar, który poprzednio siedział nieruchomo, jakby spał lub był głęboko zanurzony w rozmyślaniach, wstrząsnął się i ożywił. Można by myśleć, że ogarnął go jakiś niepokój. Jego głowa poruszała się na chudej szyi, a niewidzące oczy biegały niespokojnie. Chuda dłoń poszukała kija i gdy go znalazła, stary mag dźwignął się energicznie na nogi z jego pomocą.

– Patrz! – Baltazaru trącił w bok Melichu. – Patrz! Kaspar odzyskał wzrok...

Wiatr rozwiewał długą szatę i miękką białą brodę starca. Dotknięciami kija odnajdując ścieżkę Kaspar wyszedł na trakt, którym przybyli z Jerozolimy Baltazaru i Melichu szli za nim. Na drodze było pusto. Przechodnie, którzy szli tędy w ciągu dnia, od dawna już musieli dotrzeć do celu swej podróży. Wiatr uderzał mocno raz po raz. Jego podmuchy niosły świeżość wody.

– Zapalają się gwiazdy... – szepnął Baltazaru.

Gdzieś nad nimi błysnęła bledziutko pierwsza. Potem zaraz pojawiły się druga, trzecia, czwarta...

Kaspar stał z głową podniesioną w górę, jak ktoś, kto śledzi lot ptaków. Splótł palce i położył obie dłonie na czole. Na jego twarzy widać było skupienie i ogromny wysiłek. Oddychał ciężko.

– Jeszcze jedna gwiazda – powiedział Melichu.

– Tam cała ich gromada – zauważył cicho Baltazaru. – Lecz czy jest wśród nich nasza? Kaspar wydaje się szukać. Czyżby nie mógł jej odnaleźć.

Stary mag stał ciągle na drodze z głową podniesioną, z oczami utkwionymi



w niebo, które stawało się coraz jaśniejsze od nieustannie wysypujących się gwiazd. Padały na niebo całymi garściami niby klejnoty rzucane ręką doświadczonego sprzedawcy na czarny materiał. Kaspar wpił palce w czoło i ścisnął je mocno dłońmi. Wiatr nadlatywał, wybuchał szumem liści, który przypominał dźwięk osypującego się piargu w górskich żlebach. Oddychał coraz spieszniej i coraz boleśniej.

– Pomyliliśmy się... – szepnął Baltazaru. – Wskazano nam niewłaściwe miejsce.

– Jeszcze czekajmy – odpowiedział Melichu takim samym cichym szeptem.

I znowu ciągnęły się chwile oczekiwania, odmierzane uderzeniami wiatru. Niebo było już tak nabite gwiazdami, że nie wydawało się możliwe dostrzec w tej masie nową. Ale nagle Kaspar odjął dłonie od czoła. Wyraz napięcia, jakim nabrzmiała była jego twarz, pękł. Ciało starego maga zaczęło dygotać.

– Jest! – zawołał.

– Zobaczylesz ją? – zapytali obaj.

– Widzę ją. To tu. Świeci tuż nad głową. Wskazuje tam – wyciągnął rękę.

– Nie pokazujesz na wieś.

– Wskazuję kierunek, który mi podaje gwiazda. – Stary mag potrząsnął stanowczo wyciągniętą ręką.

– Tam nie ma żadnych domów!

– Mimo to musimy tam iść...

– Idźmy.

Baltazaru kłaśnięciem w dłonie przywołał służących. Byli w pobliżu z już przygotowanymi do drogi końmi. Ale oni nie siedli na wierzchowce, lecz ruszyli na przełaj piechotą w kierunku, który wciąż wskazywał idący przodem Kaspar. Służba z końmi szła za nimi.

Mrok zgęstniał, ale sypiąca się z góry srebrna poświata pozwalała im odnajdywać polne ścieżki. Gwiazdy Kaspara nie potrafili zobaczyć, szli jednak za towarzyszem pełni zaufania do jego tajemniczej wiedzy. Stary mag kroczył przed nimi z ciągle wyciągniętą przed siebie ręką. On, którego często trzeba było prowadzić, aby nie potknął się na drodze, teraz szedł pewnie i niezwykle szybko.

– Prowadzisz nas na skały – rzekł nagle Baltazaru. Jego bystry wzrok dostrzegł nagą ścianę.

– Idę za gwiazdą – zapewnił stanowczo Kaspar.

Jeszcze szli przez chwilę, aż wreszcie zobaczyli skalne urwisko. Kiedy stanęli tuż przed nim, zobaczyli sterczącą przybudówkę niby narośl. Tworzyła zamknięcie niewidocznej groty. W przybudówce były drzwi zasłonięte matą uplecioną z twardej trzciny. Mata nie sięgała ziemi i pod nią widać było pas rozjaśniony słabym blaskiem. Tam w środku musiał się palić ogień.

Baltazaru położył dłonie na ramionach towarzyszy.

– Zatrzymajcie się – powiedział.

Stanęli. Kaspar zapytał:

– Dlaczego nas zatrzymujesz?

– Obudziły się we mnie wątpliwości. Co znaczy, że człowiek, do którego domu mamy wejść, mieszka za wsią?

– Może jest bardzo ubogi? – rzucił przypuszczenie Melichu.

– A nie sądzisz, że został wypędzony ze wsi?

– To możliwe...

– Jednak gwiazda stoi tutaj – rzekł Kaspar. – Pokazuje na te drzwi.

– W takim razie za tą zasłoną jest ten Ktoś, do kogo kazano nam iść – zdecydował Melichu.

– Musimy więc uwierzyć gwieździe. Uwierzyć – to znaczy uznać, czego nie zobaczyły oczy... – mówił Baltazaru – a skoro tak jest, musimy przyjąć prawdę tego, co zobaczymy, już teraz. Nim podniesiemy zasłonę, trzeba nam się pozbyć wszelkiego niepokoju i zwątpienia. Musimy przyjąć z góry wszystko, co nas czeka... Tylko tak wolno przyjmować wezwania Najwyższego.

– Powiedziałeś prawdę – przyznali. – To jest ostatnia chwila wahania.

– Odrzucmy je! – ciągnął Baltazaru. – Za moment ujrzymy Zesłanego. Co Mu ofiarujemy? Ja chcę Mu dać złoty łańcuch pięknej roboty. Skoro ma być królem nad królami...

– Ja Mu ofiaruję kadzidło i kadzielnicę, jak przystało wielkiemu sauszajancie boskiego Ahura-Mazdy – powiedział Melichu.

– A ja Go obdarzę mirrą – odezwał się ostatni Kaspar. – Urodził się jak człowiek, więc czeka Go śmierć. Chodźmy, aby ukłęknać przed Tym, którego gwiazda wołała do

nas z daleka...

Unieśli zasłony i weszli do środka. Na posłaniu siedziało Dziecko z podwiniętymi nóżkami, z rączką przy ustach. Znad małej dłoni patrzyły na nich wielkie, czarne oczy. Kobieta, która stała w pobliżu, przybiegła i chwyciła Dziecko w objęcia. Objęła Je ramionami, jakby chciała osłonić przed nieznanymi przybyszami. W głębi przy warsztacie pracował mężczyzna. I on także porzucił swą robotę i wysunął się do przodu, zasłaniając sobą żonę i Syna. Ale oni wyminęli go – a on nie śmiał ich zatrzymać – i szli, jeden za drugim, pełni godności, w swych długich szatach, z darami w rękach. Stanęli przed kobietą trzymającą Dziecko. Uklękli i skłonili się nisko. Zapanowała cisza. Przerwał ją śmiech Dziecka. Chłopiec zobaczył na wyciągniętych dłoniach Baltazaru złoty łańcuch i wyciągnął do niego rączki. Potrząsnął łańcuchem, który skrzył się w blasku kaganka. Śmiał się wesoło niby z pięknej zabawki.

#### 4

Noc była w pełnym biegu, gdy Baltazaru poczuł na sobie dotknięcie czyjejś ręki. Obudził się natychmiast. Panowała ciemność i tylko od paleniska biła czerwień skrytego pod popiołem żaru.

– Kto mnie budzi? – zapytał.

– To ja, poznał głos Kaspara. – Wstań. Trzeba nam zaraz jechać.

– Przecież to noc...

– Nie wolno nam czekać dnia. Obudź się i ty, Melichu.

Obaj obudzeni patrzyli zaskoczeni na starego maga, który stał między ich posłaniami. Przez szpary w zasłonach, które oddzielały miejsce, gdzie spali w podsieniach zajazdu, od wewnętrznego podwórka, przeświecała rozgwieżdżona noc.

– Ustaliliśmy inaczej – powiedział Baltazaru. – Przeżyliśmy wielkie szczęście znalazłszy Nowo Narodzonego. Mieliśmy Go zobaczyć jeszcze raz i dopiero wtedy postanowiliśmy jechać do Jerozolimy, aby zawiadomić króla o naszym odkryciu. A ty mówisz, aby jechać zaraz...

– Musimy jechać zaraz.

– Do Jerozolimy blisko...

– Nie pojedziemy do Jerozolimy.

Obaj patrzyli coraz bardziej zdumieni na Kaspara. Gospoda pogrążona była w wielkiej ciszy. Nocowali w niej jako jedyni goście. Ich wierzchowce stały przywiązane do koniowiazu na dziedzińcu. Widzieli je przez szparę w zasłonie, jak stały ze zwieszonymi nisko głowami i z lekko ugiętymi nogami. Obok rozpalonego ogniska spali ich słudzy. Noc była zimna. Kropelki rosy osiadłe na nitkach zasłony wyglądały jak perły.

– Mówisz wbrew temu, cośmy ułożyli, zanim poszliśmy spać. Nie rozumiem...

Co się stało?

– Usłyszałem głos.

– Czyj?

– Głos anioła.

Teraz od razu zerwali się ze swych posłań.

– Co powiedział?

– Abyśmy natychmiast ruszyli w drogę. I abyśmy nie jechali do Heroda, gdyż on będzie chciał zabić Dziecko...

Zapanowała pełna napięcia cisza.

– Jeśli tak jest – powiedział Baltazaru – a wiem, że tak jest, gdyż twoje widzenia są zawsze prawdziwe, nie możemy odjeżdżać. Nie możemy zostawić Nowo Narodzonego, gdy Mu grozi niebezpieczeństwo. Tamci niczego nie przeczuwają. Mieszkają sami, z dala od ludzi. Jeśli król Herod przyśle żołnierzy, nie zdołają im uciec. Dziecko zostanie zabite. Nie możemy odjechać. Musimy, stanąć na straży i bronić, choćby trzeba było ponieść śmierć!

– Tak – rzekł Melichu – Baltazaru ma słuszość. Ofiarowaliśmy życie dla szukania Nowo Narodzonego, więc zginijmy w Jego obronie! Obudźmy służbę, niech wyciągną broń.

Ale Kaspar trząsł swą siwą głową.

– Anioł powiedział: nie lękajcie się o Dziecko. Ono nie zginie. Wy macie odjechać. Jak najszybciej.

Baltazaru wstał, owinał się w płaszcz.

– Skoro tak powiedział, musimy być posłuszni jego wezwaniu. Trzeba nam niezwłocznie wyruszyć. Idę obudzić służących. Niech siodła konie.

– Nie możemy odjechać nie rozliczywszy się z gospodarzem – zauważył Melichu.

– Zostawmy mu pieniądze. Jeśli anioł każe wyruszać natychmiast, to znaczy, że chce, abyśmy odjechali przez nikogo nie dostrzeżeni.

– Powiedziałeś słusznie. Musimy odjechać cicho, nie budząc gospodarza. Może od tego zawisło bezpieczeństwo Dziecka?

– Anioł powiedział Kasparowi, że możemy się o Jego los nie lękać.

– Tak mi powiedział – rzekł stary mag. – A jednak... Najwyższy uczynił Go człowiekiem i chce Go ocalić zwyczajnie jak człowieka...

– Więc kim On jest?

– Tym, którego kazano nam uczyć. Sauszajantą, Mesjaszem, Synem ludzkim... Nie wszystko potrafię pojąć... Serce mi mówi, że śmierć zaczęła za Nim swój pościg... Czego przyjdzie Mu dokonać, tego dokona w ciągłej ucieczce.

– A jednak to Jego zapowiedziały święte księgi – zapewnił Melichu.

– I Jego zapowiedziała gwiazda – dorzucił Kaspar.

– Nie pojmiemy tego naszym ludzkim rozumem – powiedział Baltazaru. – To są tajemnice Najwyższego, przed którymi należałoby tylko schylić głowę. Siadajmy na wierzchowce. Niech nie zaskrzypi brama, gdy będziemy ją otwierali. Niech nie stuknie na kamieniu kopyto końskie. Ludzką przezornością trzeba przesłonić wszechmoc. On tak chce. Wrócimy z tej podróży, jakbyśmy nic nie przywozili. Świat będzie dalej biegł swoim torem. Ale będzie biegł jak człowiek, w którego boku utkwiał grot. Te urodziny i ta ucieczka staną się punktem wyjścia... Czy nie sądzicie, że dobro, razem z Nim urodzone, będzie się rodziło ciągle na nowo. To, co przyniósł Nowo Narodzony, nie skończy się nigdy! Ludzie będą umierali, będą padały trony, będą gasły gwiazdy – On przecież pozostanie w sercach ludzkich. Zawsze słaby, śmiertelny, zagrożony – i zawsze wieczny...

– Wstań, weź Dziecko.

Zerwał się z posłania gwałtownie, jakby obudzony łoskotem pioruna. Głos, który usłyszał we śnie, zdawał się wisieć dalej w powietrzu, ale w izbie, którą rozświecał swym mdłym blaskiem kaganek, nie było nikogo obcego. Tylko na drugim posłaniu widział Miriam śpiącą obok małego Jezusa.

Położył dłoń na piersi. Serce biło gwałtownie. Zbierał myśli. Gdy zasypiał, pełen był zachwytu. Wizyta przybyszów z dalekich stron nappełniła go oszałamiającą radością. Nareszcie – uświadomił sobie – nadchodzi godzina chwały. Był zmęczony trudnościami ostatnich miesięcy. Ten rok upłynął ciężko. Wrogość ze strony rodziny nie znikła. Przez cały ten czas nikt ich nie odwiedził, nikt im nie pomógł. Pieniądze otrzymane za pierścień skończyły się – żyli jedynie dzięki pomocy otrzymywanej od pasterzy. Tylko kilka razy trafiła się jakaś robota i tylko dlatego, że zamówienie przyniósł człowiek z innej wsi. Żyli ubogo, prawie nędznie. Zrezygnował z projektu, aby pozostać w Betlejem. Przyszło im do głowy, aby udać się w góry do kapłana Zachariasza i jego żony. Ale kiedy Józef zaczął wypytywać się o tamtych, okazało się, że oboje starzy umarli prawie jednocześnie, a pozostałym po nich chłopcem zaopiekowała się daleka rodzina. Wtedy postanowili, że wrócą do Nazaretu. Tam była siostra Miriam, był Kleofas. Galilejskie miasto okazało im swą życzliwość. Ale, aby wyruszyć w tak daleką drogę z Dzieckiem, trzeba było pieniędzy.

Wizyta magów rozwiązała sprawę. Złoty łańcuch ofiarowany przez Baltazara miał dużą wartość. Można go było sprzedawać kawałkami i żyć z niego przez dłuższy czas.

– Teraz będziemy mogli wrócić – powiedział do Miriam, gdy po odejściu magów układali się do snu. – Najwyższy pomógł nam...

– On zawsze pomaga.

Uśmiechnięta pochyliła się nad Dzieckiem. To On – cicho gaworzący sam ze sobą i wyciągający do niej ręce – sprawił, że skończyły się ich kłopoty. Ze strony Miriam nie usłyszał nigdy słowa skargi na to, co ich spotkało w Betlejem. Widział, że martwi się jego zmartwieniami, zawsze jednak starała się ułagodzić jego gniew wobec braci. Ale choć o tym nigdy nie mówiła, zdawał sobie z tego sprawę, że nie czuje się dobrze w odpychającej ich wsi. Zauważył także, że bliska Jerozolima napawa ją dziwnym, nie

dającym się niczym wytłumaczyć niepokojem. Znała przecież lepiej od niego święte miasto, mówiła o nim zawsze z czcią i miłością. Teraz czuł, że gotowa jest odejść jak najdalej od Jerozolimy, jakby to było miejsce grożące jakimś niebezpieczeństwem jej Synowi.

Leżąc na posłaniu, z dłońmi pod głową, z wzrokiem utkwionym w niskim sklepieniu groty, na którym drgał blask kaganka, rozmyślał o tym, co się stało. Chwała, której nadejścia oczekiwał, zjawiała się wraz z tymi trzema dziwnymi ludźmi w powłóczystych szatach. Było coś cudownego, a jednocześnie zaskakującego, że tymi, którzy złożyli hołd Synowi Miriam, byli poganie z dalekiej ziemi, wyznający obcą wiarę. Najbliżsi Go nie przyjęli, wielcy w Izraelu nawet Go nie dostrzegli... Uczcili Go jedynie półdzicy pasterze, dwoje świątobliwych starców i ci obcy!

Dziecko rosło, miało już prawie dwa lata, a przecież wciąż było dzieckiem jak inne. Na próżno, śledząc Jego rozwój, doszukiwał się śladów jakiegoś niezwykłego dojrzewania. Chłopiec zaczynał mówić, a Jego pierwsze słowa były pełne przeinaczeń, które zachwycały matkę. Oboje byli najszczęśliwsi, gdy przebywali ze sobą. Chłopiec wołał za nią, szukał jej wzrokiem, śmiał się radośnie, gdy ją dostrzegał. Kiedy zaczynał chodzić, przebiegał wśród wesołego chichotu od wyciągniętych rąk matki do ramion Józefa i z powrotem. Teraz już kroczył sam zupełnie pewnie. Śmiało wyciągał rękę do osia lub wczepiał małe paluszki w kudłatą sierść psa. Zwierzęta pozwalały Mu na wszystko. Pies nie odchodził od Niego, lizał Go po buzi i rączkach. Spali często przytuleni do siebie. Jeśli co odróżniało Go od innych dzieci, to chyba tylko ta miłość do wszystkiego żyjącego, co Go otaczało. Czy ci mędrcy ze Wschodu, zastanawiał się, mogli zobaczyć coś więcej niż to, co każdy mógł dostrzec? Bo jednak padli na kolana i złożyli Dziecku hołd, jakby wiedzieli o Jego cudownym narodzeniu. Ja wiem, myślał z żalem, a przecież szukam czegoś jeszcze...

To, co usłyszał wtedy, tamtej nocy, gdy chciał uciec biorąc wszystko na siebie, nie zniknęło z pamięci. Moc Najwyższego sprawiła, że Miriam urodziła Syna, a on został wezwany, by być cieniem prawdziwego Ojca. Wierzył mocno, że tak jest – że to wszystko nie było złudzeniem. Pogodził się ze swą rolą cienia. Pokochał Jezusa – ale przede wszystkim pokochał Go, bo był Synem Miriam. Wciąż potrzebne mu było wyjaśnienie, kim jest Ten, nad którym sprawował ojcowską opiekę...

Głos, który usłyszał, sprawił, że usiadł na posłaniu. Był przekonany, że nie spał, ale widocznie musiał spać, gdyż w grocie nie było nikogo. Kaganek się tlił – mała kulka drgającego blasku. Poza nią wszystko ginęło w mroku. Słyszał oddechy śpiących: wolniejszy, głębszy oddech Miriam i szybszy, lżejszy oddech Dziecka. W głębi groty za przegrodą dyszał osioł. Gdzieś posapywał pies. Innych dźwięków nie było.

A jednak nie położył się z powrotem. Postawił stopy na zimnej ziemi.

Słowa, które, wydawało mu się, usłyszał rozbrzmiewające głośnie obok, były dopełnieniem słów, które mówiono do niego we śnie. Musiał jednak spać, bo pamiętał, że widział niezwykłą istotę spowitą niby w barwny szal w tęczowe skrzydła. Nigdy kogoś takiego nie widział. Jako prawowity Żyd zwykł był zamykać oczy na rzeźby i malowidła wyobrażające postać ludzką. Jednak niegdyś, jak uczono go, na pokryciu Arki Przymierza znajdowały się postacie cherubów. Ta istota była jak jeden z tych mieszkańców nieba. Powoli wydobywał z pamięci początek przemowy tamtego: „Król Herod chce zabić Dziecko. Musicie uciekać. Jedźcie do kraju Kemi, do ziemi, z której Mojżesz przyprowadził niegdyś naród izraelski. Zbierzcie siły – czekają was trudy i niebezpieczeństwa. Prędko obudź matkę, weźcie Dziecko. Nie macie czasu. Musicie się spieszyć. Uciekajcie...!” Wstał, podszedł do posłania Miriam.

– Miriam – powiedział cicho, aby nie zbudzić Jezusa – Miriam, obudź się.

Otworzyła oczy i natychmiast uśmiechnęła się.

– Czy chcesz czegoś, Józefie? Chyba to jeszcze noc?

– Noc. Ale musiałem cię obudzić. Miriam – szeptał – zobaczyłem kogoś we śnie. To musiał być anioł. To był anioł...

– I co ci powiedział?

– Abyśmy natychmiast uciekali do ziemi egipskiej, gdyż Herod pragnie zabić Jezusa...

Usiadła na posłaniu, przesunęła dłonią po wargach, które zaczęły drżeć.

– O, Adonaj! – zawołała cicho. Ale już znowu była sobą: opanowana i zdecydowana. – Idźmy natychmiast.

– Lecz, Miriam, to był sen. Sny mogą być tylko snami.

– Ten sen przyszedł od Najwyższego.



– Jesteś tego pewna?  
– Całkowicie pewna.  
– Gdyby anioł przyśnił się tobie...  
– Jestem pewna właśnie dlatego, że ty go widziałeś. Nie ja, ale ty.  
– Przecież...  
– To ty jesteś opiekunem, ojcem...  
– Jestem cieniem!  
– Jesteś ojcem. Tobie dano Jego tak samo jak mnie. Jestem kobietą. Gdybym ja zobaczyła we śnie anioła, mogłaby to być złuda. Ale gdy ty zobaczyłeś – zbierajmy się prędko do drogi! Spieszmy się, Józefie. Nie możemy pozwolić, aby niebezpieczeństwo zagroziło Jezusowi!

Szybko zaczął składać rzeczy, które chciał zabrać ze sobą. Pochylony nad workiem z narzędziami westchnął. Powiedział:

– Gdy zjawili się ci cudzoziemcy, myślałem, że już nadszedł czas chwały...  
Ona także spiesznie zbierała najpotrzebniejsze drobiazgi. Na chwilę obróciła się ku Józefowi.  
– I ja tak kiedyś myślałam... Ale czy pamiętasz, Józefie, co powiedział Symeon?  
– Pamiętam. Ale to przecież niemożliwe... On narodził się dla chwały!  
– Może wpierw – odpowiedziała – chce spróbować naszej, ludzkiej nędzy?

## 6

Prędko mieli spakowane rzeczy najpotrzebniejsze: trochę odzieży, trochę żywności, kilka narzędzi ciesielskich. Józef wyprowadził osła, założył na niego juki. Przez ten czas Miriam ubierała Jezusa. Dziecko obudzone nagle w środku nocy płakało i nudziło. Chłopiec zwykle mało płakał – podobny był do matki, wesoły i pogodny. Miriam zawijając Go w chusty przemawiała do Niego. Chciała Go nakarmić przed drogą, ale Dziecko odwracało się od jedzenia.

Noc była zimna. Tylko ułamek księżyca toczył się po niebie wśród pasem chmur, porozwlekanych przez wiatr. Gwiazdy błyskały słabo to tu, to tam.

Zanim wyruszyli, zastanawiał się przez chwilę, w którą stronę powinni iść. Droga do Egiptu prowadziła brzegiem morza. Aby dojść do tej drogi, trzeba się było spuścić z wysokiego płaskowzgórza judejskiego na równinę nadmorską. Najbliższe zejście skalistymi wąwozami było niezwykle uciążliwe. Nikt tamtędy nie chodził. Podróżni woleli nałożyć drogi, aby iść traktem, prowadzącym z Jerozolimy przez Emaus do Gazy. Oni jednak tak iść nie mogli. Gdyby ruszyła za nimi pogoń, znalazłaby ich na tym szlaku natychmiast. Musieli unikać uczęszczanych dróg, iść ścieżkami, którymi zwykli byli chodzić tylko zbiegowie i rabusie.

Zaraz za Betlejem zaczynała się wielka rozpadlina skalna, której środkiem, w porze deszczów, spływała z gór woda. Schodząc wyrytym przez nią wąwozem trafiało się prosto na Azot. W Azocie nie mogli się pokazać, zostaliby tam szybko odkryci. Należało ominąć Azot i dotrzeć do Askalonu. W Askalonie Józef znał człowieka, któremu kiedyś udzielił pomocy, i był przekonany, że tamten, wywdzięczając się, udzieli im schronienia, aby mogli odpocząć przed dalszą drogą. Z Askalonu do granicznej rzeki nie było daleko. Za rzeką ciągnęło się królestwo nabatejskie, którego władca był sprzymierzeńcem Heroda. Dopiero za krajem Nabatejczyków mogli poczuć się bezpiecznie. Ale tam właśnie zaczynała się groźna pustynia, ciągnąca się aż do samych wrót Egiptu. Mieli przed sobą podróż długą i niebezpieczną.

– Musimy iść w tę stronę – ręką wskazał kierunek.

Przyjęła jego wskazówkę bez słowa. Nie wypytywała się, nie dyskutowała. Jechała na osle trzymając w objęciach Jezusa, który na nowo zasnął. Droga początkowo była równa – tędy wiódł szlak do Hebronu. Ale na pierwszym zakręcie porzucili go. Mimo mroku znaleźli niewyraźną ścieżkę prowadzącą w stronę skał. Gdy dotarli do nich, zobaczyli wyłom, niby ujście wielkiej rynny. Nad wyłomem rozpinało się niebo, gwiazdy mieli u swych stóp. Przestrzeń zdawała się ciągnąć. Zatrzymali się, nawet osioł zaparł się wszystkimi czterema nogami i nie chciał postąpić kroku. Wyglądało, jakby trzeba im było rzucić się w przepaść.

Jednak właśnie przez ten wyłom ścieżka prowadzi w dół. Trzeba było zejść najpierw wąską półką; potem wchodziło się w środek szerokiego osypiska niby w rzekę. Ścieżka wiła się między głazami i strumykami piargu. Chwilami zacierała się i wtedy można ją było łatwo zgubić.

Józef szedł przodem prowadząc osła, który chrapał z przerażenia, potykając się, i co chwila przysiadł lękliwie na zadzie. Z tyłu postępowała Miriam niosąc Jezusa. Dziecko przytuliło się do matki i spało. Musieli iść bardzo ostrożnie i bardzo wolno.

Z dołu dmuchał w rozpadlinę ostry, morski wiatr. Na górze był witany radośnie – zwłaszcza po skwarным dniu – jako miła ochłoda. Ale w głębi żlebu budził dreszcze swoim mokrym zimnem. Nie wiedzieli, czy to ten wiatr sprawia, że słyszeli wokół siebie jakieś tajemnicze szmery. Mieli wrażenie, że ktoś się koło nich skrada, że wśród skalnego rozkruszu słyszą jakieś szybkie, niespokojne kroki.

W miarę jak schodzili, wyłom stawał się ciągle głębszy. Z obu stron rosły coraz wyższe ściany skalne.

– Proszę... Odpocznijmy przez chwilę... – posłyszał za sobą.

Natychmiast zatrzymał się. Zajęty szukaniem drogi całkiem zapomniał, że ona idzie z Dzieckiem na rękę. Wrócił do niej. Miriam stała oparta o wielki głaz i ciężko oddychała.– Jakież ja jestem głupiec! – powiedział. – Zupełnie zapomniałem, że niesiesz Dziecko.

– Ale ty szukasz drogi. I prowadzisz osła. Odetchnę i zaraz pójdę dalej.

– Teraz ja wezmę Jezusa.

– Nie, nie...

– Ależ tak. Ja Go poniosę. Tak trzeba. Jesteście pod moją opieką, sama to powiedziałaś.

Bez dalszego opierania się oddała mu Dziecko. Po chwili ruszyli dalej. Przodem szedł Józef z Dzieckiem na rękę. Za nim stapał osioł, popędzany z tyłu przez Miriam.

Wąwóz stał się teraz bardzo wąski. Wydawał się tunelem, przez który płynęła rzeka kamieni. Ścieżki nie było. Józef szedł jednak w dół, pewnie, przekonany, że znajdzie ją znowu niżej. Nogi zapadały głęboko w drobny piarg. Osioł utknął najgłębiej. Wyszarpując nogę spomiędzy kamieni, upadł. Cała masa piargu poruszonego tym upadkiem potoczyła się z łoskotem w dół.

To będzie straszne, jeśli złamał nogę! – przeleciało Józefowi przez głowę. W czas powstrzymał się, aby nie wypowiedzieć głośno swej myśli. Chciał cofnąć się, pomóc zwierzęciu wydobyć się spomiędzy kamieni. Uprzedziła go Miriam. Z jej pomocą osioł stanął znowu na nogach.

– Nic mu się nie stało – powiedziała, jakby odgadując niepokój Józefa. – Idzie znowu. Tylko się potłukł, biedaczek.

Wąwóz znowu się rozszerzył i nie opadał teraz tak stromo. Ścieżka odnalazła się. Wydało mu się, że Miriam oddycha szybko i ciężko.

– Zmęczyłaś się? – zapytał.

Chwilę milczała, potem dopiero rzekła:

– Nie zwracaj na mnie uwagi. Gdy ja słabnę, ty jesteś silniejszy... Tak trzeba...

Położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie mogę znieść myśli, że teraz to spadło na ciebie... Nie pojmuję...

Przerwała mu.

– Dla każdego człowieka odmierzona jest jego własna ludzka miara. Pomyśl, ile kobiet musi się zrywać po nocy i uciekać, by ocalić swoje dziecko...!

– Ale ty...

– Dlaczego miałabym być bardziej chroniona niż inne? Nie chciałabym tego. Chodźmy już.

Znowu ruszyli. Posuwali się bardzo wolno, ale ciągle. Jezus spał nadal. Czuł Jego gorącą buzię przytuloną do swego policzka i małe rączki zaciśnięte na szyi.

Noc dobiegała końca. Gwiazdy przygasły, przestrzeń nasiąkała szarą, wilgotną mgłą. Gdzieś za nimi, za grzbietem górskim wstawał dzień. Ale jego blask nieprędko jeszcze miał zstąpić w wąwóz, którym schodzili.

– Nie pójdziemy teraz daleko – powiedział. – Jak się tylko rozjaśni, poszukam jakiegoś schronienia wśród skał. Ukryjemy się, przeczekamy dzień...

– Masz na pewno słuszność.

Z każdą chwilą stawało się widniej. Wiatr ucichł. Skały nad nimi rysowały się wyraźną linią na tle nieba.

Nagle kamienie zachręściły za nim mocniej. Dobiegł go cichy okrzyk. Gwałtownie obrócił się.

– Co się stało?

– Nic... Żle stąpnęłam. Zobaczył, że stoi z uniesioną nogą.

– Nie możesz jej postawić? – pytał z przerażeniem w głosie.

– Ależ postawię, zaraz postawię. Nic się nie bój. Już ból przechodzi. Kobieta –

powiedziała – którą mąż wysłał w nocy, by szukała zagubionej owcy, choćby źle stąpiła, musi iść...

– Nigdzie bym cię nie wysłał!

– Wiem. Ale ja chcę być jak inne.

Opuściła nogę i ruszyła dalej. Szła jednak wolno, utykając, chwytając się ręką za mijane głązy. Dzień spływał w wąwóz coraz szybciej. Poczuł, że ogarnia go niepokój. Prawie zapomniał, że dziewczyna ledwo idzie. Rzucił za siebie:

– Musimy szybciej!

Posłyszał jej kroki, które jednak natychmiast ustały.

– O, Józefie, Nie mogę...

Wrócił do niej. Stała znowu z uniesioną nogą. Miała twarz ściągniętą bólem.

– Boli cię?

– Boli... Ale zmuszę się...

– Wybacz... Gdybym mógł, wziąłbym cię na ręce. Ale niepokoi mnie ta jasność.

– Pójdę... Już idę...

Kulała, ale szła. Nie mógł patrzeć na wyraz bólu, jaki malował się na jej twarzy przy każdym stąpieniu.

– O, Miriam – jęknął. – Dlaczego Najwyższy... I tym razem nie dała mu skończyć.

– On chce, abyśmy pozostali ludźmi.

Szli jakiś czas w milczeniu. Tylko z jej pośpiesznego oddechu mógł wnioskować, jaki ból sprawiać jej musiała naciągnięta noga. Osioł włókł się także potłuczony.

Nagle Józef podniósł głowę. Jeden ze szczycików nad nimi zapalił się, jakby skalnego stożka dotknęła niewidzialna pochodnia. Czerwonozłoty blask ściekał prędko po czarnej skale. Miriam także podniosła głowę. Powiedziała:

– Słońce.

– Tak, słońce. Już dzień. Jeszcze trochę wysiłku. Musimy się ukryć...

W tej samej chwili załomotały kamienie gdzieś wysoko nad nimi. Józef obejrzał się przerażony.

– Ktoś jest za nami! – powiedział głosem drżącym. – Chyba biegnie szybko. O, Adonaj!

W mroku, który nadal spowijał dno wąwozu, nie widzieli nikogo. Ale ktoś musiał biec za nimi, gdyż słysząc było chrzęst strącanego szybko piargu.

– To tylko jeden... I ma bardzo lekkie kroki... – zauważyła.

– Tak wygląda. Ale podejźmy pod skały. Może tam jest jakiś występ, jakiś boczny wąwóz, w którym moglibyśmy się ukryć...

Zbliżyli się do ściany. Ale jeszcze do niej nie doszli, gdy zachręściły tuż obok kamienie pod szybkimi krokami. Usłyszał nagle śmiech Miriam.

– Ach, Józefie, patrz, kto to przybiegł za nami.

Sadząc wielkimi susami, z językiem wywieszonym z pyska na łokieć, nadbiegł pies, ich pies. Dopadł nóg Miriam i skomląc ocierał się o nie całym ciałem. Radośnie chwycił zębami za odzież. Był taki szczęśliwy, że ich odnalazł. Miriam gładziła go po karku.

– Jaki dzielny. Znalazł nas – mówiła.

Gdy przyszli magowie, Józef prosił, aby Ata wzięła psa do siebie. Pozostał u niej na noc, dlatego nie odszedł z nimi, gdy wyruszali. Frasobliwie kręcił głową.

– Czy jednak nie wskazał drogi naszej ucieczki tym, którzy mogli przyjść nas szukać? W każdym razie dalej iść nie możemy. Trzeba zatrzymać się i ukryć.

W bocznej ścianie Józef spostrzegł rozpadlinę, która tworzyła jakby wąskie przejście. Ledwie się można było przez nie przecisnąć. Zostawiwszy Miriam z Jezusem na rękę, ruszył w głąb. Krętym wąskim przejściem wyszedł na suche, kamieniste łóżce potoku. Dalej były zwały piargu, mała łączka i czerniejący otwór niewielkiej groty. Szybko zawrócił szepcząc po drodze dziękczynną berakę. To było znakomite miejsce do ukrycia.

Miriam czekając na jego powrót usiadła na ziemi. Oparła głowę o skałę, zamknęła oczy. Jezus spał na jej kolanach. Ona także zadrzemała.

Tak ją znalazł, gdy wrócił. Obudził ją dotknięciem. Otworzyła powoli oczy.

– Jeszcze trochę wysiłku, Miriam – rzekł. – Znalazłem miejsce bezpieczne i wygodne.

– Widzisz, jaki On jest dobry – powiedziała.

– Tak, jest bardzo dobry – przyznał. – Zawsze pomaga... A Jezus ciągle śpi? – zapytał.

– Powierzono Go nam, aby mógł spać – odpowiedziała uśmiechając się nad przytuloną do piersi głową Dziecka...

## 7

Boargas roztrącił stojącą przy drzwiach służbę, pchnął drzwi i szybko, jak tylko pozwalało mu na to grube, przelewające się ciało, wbiegł do komnaty królewskiej.

Herod całkiem nagi siedział w wielkiej misie, napełnionej gorącą wodą. Dwaj efebowie stali nad nim. Jeden poruszał kadzielnicą, drugi zabawiał króla grą na cienkiej piszczałce. Kąpiele z grzanej wody, przywiezionej z Kallirroe, sprawiały Herodowi nieco ulgi w bólach. Siedział w wodzie całymi godzinami. Teraz dopiero, gdy nie miał na sobie powłóczystych szat, widać było, jaki jest wychudły. Pod smagłą skórą widać było każdą kość. Piersi obwisły jak u kobiety, która wiele razy karmiła. Pokrywające je włosy nastroszyły się i wyglądały jak sierść zwierzęcia. Tylko brzuch miał rozdęty, podobny do bukłaka, napełnionego winem.

– Czego chcesz? – zapytał eunucha, gdy ten stanął przed nim schylony pokornie.

– Panie – Boargas był wyraźnie przerażony przyniesioną nowiną – człowiek, któremu poleciłeś śledzić mędrców partyjskich, wrócił...

– Dlaczego wrócił? – w głosie Heroda zabrzmiał straszny gniew. – Kazałem mu przecież być przy tamtych cały czas. Miał wrócić, gdy oni wrócą! Jak śmiał...?

Boargas przełknął ciężko ślinę.

– Panie... Wrócił, bo tamci zniknęli... W nieznany sposób...

– Co? – wrzasnął Herod i poderwał się tak gwałtownie, że aż misa zatańczyła na posadzce i woda chlusnęła na flizy. – Jakieś sztuczki czarnoksiężskie?

– Być może... panie... To czarodzieje...

– Daj mi tego człowieka!

Eunuch podbiegł do drzwi. Krzyknął na służbę. Dwóch strażników wprowadziło szpiega. Człowiek trząsł się jak w febrze. Ledwie wszedł, rzucił się na kolana prosto w kałużę rozlanej wody.

– Łaski, królu, łaski – zaczął zawodzić bijąc czołem w kamienne płyty posadzki.

Herod krzyknął na chłopców, aby go wzięli pod ramiona i podnieśli z misy. Stał teraz nad skomlącym szpiegiem, ociekający wodą. Zniekształcone przez chorobę ciało przypominało ciało satyra z greckich rzeźb. Przylepione do skóry mokre włosy robiły wrażenie robaków.

– Gdzie są ci Partowie?! – głos króla był zdławiony, ale bardziej jeszcze straszny niż wtedy, gdy krzyczał.

– Łaski, łaski – jęczał człowiek. – Zniknęli...

– Gadaj od początku. A jeśli skłamiesz...

– Mówię prawdę, królu. Całą prawdę. Udali się wieczorem do zajazdu. Mieli w nim przenocować. Ich służba mówiła, że mają zamiar wrócić do ciebie, królu... Ale gdy przybiegłem o świcie, już ich nie było...

– Gdzie się podziali!

– Nie wiadomo... Nikt nie wie... Gospodarz nie słyszał, jak odchodzili... Nikt nic nie słyszał. To była jakaś sztuczka... Przysięgam...

– Trzeba ci było warować przy bramie. Nie spuścić ich z oczu. A ty poszedłeś zabawić się...

– Nie, królu nie. Odszedłem tylko na chwilę. Gdy wróciłem, już ich nie było...

– Jeśli chcesz ocalić głowę, gadaj: dokąd pojechali? Szpieg łkając wcisnął czoło w kałużę wody.

– Łaski... Skąd mogę Wiedzieć? Nie widziałem ich...

– Ale ja wiem, panie – ośmielił się wtrącić Boargas. – Doniesiono mi. Chciałem ci, panie, właśnie donieść...

– Mów prędko!

– Widziano ich. Bardzo wczesnym świtem. Wyminęli Jerozolimę i przez Betanię pojechali na Jerycho. Pędzili szybko, a mieli znakomite konie...

Herod patrzył chwilę drapieżnym wzrokiem na kulącego się Boargasa, a potem schylił się, chwycił za włosy klęczącego u swych stóp człowieka i dźwignął jego głowę.

– Coś ukryłeś... Gadaj prawdę, jeśli nie chcesz umrzeć najboleśniejszą ze śmierci. Co się tam stało w Betlejem? Dlaczego oni nie wrócili do mnie?

– Panie... panie... – skowytał szpieg. – Powiedziałem prawdę. Zniknęli w nocy... Nie wiem, dlaczego tu nie wrócili...



– A co robili wczoraj? Z kim gadali? Kogo widzieli? Gadaj! Miałeś ich nie spuszczać z oczu.

– Nie spuściłem ich z oczu ani na chwilę, panie.

– Więc co robili?

– Powiem... powiem wszystko... Siedzieli prawie cały dzień na łące przed wsią... Nie weszli między domy, nie rozmawiali z nikim... Dopiero kiedy się ściemniło, poszli... Szli, jakby wiedzieli, dokąd mają iść. Nie do wsi. Na pola za wsią. Tam w skałach jest grota i w tej grocie ktoś mieszka...

– Kto mieszka!?

– Dowiedziałem się potem we wsi... Jeden z synów przywódcy rodu. Tego, który umarł przed rokiem... Bracia go wygnali ze wsi... Mówią, że nie chcieli mieć z nim nic wspólnego... To, powiadają, zły człowiek... Ale on wrócił...

– I tamci do niego poszli?

– Do niego, panie. Sami trafili do tej groty... Nikt ich nie prowadził... Nie mogłem wejść za nimi... Nie mogłem się pokazać, panie...

– Co zrobiłeś?

– Gdy byli w środku, podczołgałem się... Zajrzałem... Tam byli mężczyzna, kobieta i Dziecko. Ci ludzie uklękli przed Dzieckiem. Więcej zobaczyć nie mogłem, bo tam był także pies i ten pies mnie wywęszył... Musiałem uciec. Gdybym nie uciekł, ich słudzy byliby mnie schwytali i zabili... Stali blisko... Mieli wielkie kindzały... Na pewno byliby mnie zabili... O, panie, łaski...

Herod puścił włosy człowieka i szpieg padł w kałużę z głośnym plaśnięciem. Gorejące oczy króla obiegly komnatę. Szczęki poruszały się, jakby coś żuły z wysiłkiem. Nie mówił nic, ale to jego milczenie wydawało się dziwnie straszne. Cicho, głosem zdławionym rzucił:

– Niech wejdą wszyscy!

Do komnaty wpadł pośpiesznie cały dwór królewski, który był zebrany w sąsiedniej komnacie. Wszyscy już wiedzieli o tym, co się stało, i wszyscy dygotali ze strachu. Z wyglądu Heroda, który stał przed nimi, nagi, z wykrzywioną twarzą, pojęli, że króla ogarnęła furia gniewu, jedna z tych przerażających furii, jakim ulegał ostatnio. W takich chwilach Herod załatwiał wszystkie dawne porachunki, więc każdy, kto

cośkolwiek miał na sumieniu drżał i krył się za drugich.

Tym samym bezbarwnym, jakby zduszonym głosem rozkazał:

– Euryklesa!

Strach dworaków przekroczył wszelkie granice. Ten Spartańczyk był dowódcą oddziału najemników, suto opłacanych przez króla i używanych do wykonywania najokrutniej szych rozkazów. Wiedziano, że to Eurykles osobiście podusił obu królewiczów. Było jasne, że jeśli Herod jego wzywa, jacyś ludzie będą musieli postradać życie.

Czekając na przybycie Greka Herod stał na szeroko rozstawionych nogach. Jego brwi były zmarszczone, nos o rozdygotanych nozdrzach napięty niby łuk, usta rozchylone ukazywały czarne zęby, trące się o siebie niby tryby jakiejś maszyny. Oddech króla był świszczący.

Eurykles zjawił się w towarzystwie dwóch setników.

– Witaj, królu – nie padł na kolana przed Herodem, ale powitał go służbiście uniesieniem ręki. – Czekam na twoje rozkazy.

– Słuchaj – Herod wysunął rękę i oparł dłoń na pancerzu Greka, na którym, choć budziło to zgrozę Żydów, widać było wykrzywioną głowę kobiecą z węzami zamiast włosów. – Natychmiast wyślesz setkę ludzi do Betlejem. Tam się ukrywa Dziecko. On – kopnął leżącego szpiega – pokaże ci miejsce. Niech zabiją Dziecko, a ciało jego przywiozą! Rozumiesz? Ale nim pójda to zrobić, niech otoczą wieś. Nikogo nie wolno im wypuścić. Ta podła rodzina ukrywała dzieciaka i spiskowała z Partami. Mogliby Go znowu próbować ukryć. Więc dla pewności wyciąć wszystkich chłopców. Ile lat miało to Dziecko? – znowu kopnął szpiega.

– Rok, panie... Może więcej...

– Więc wszystkich chłopców do dwóch lat. To się zgadza. Oni gadali, że gwiazdę widzieli w tamtym czasie. Wszystkich! Żeby żaden nie uszedł! Niech ród zapłaci za zdradę! Łotry! Zostawiłem ich w spokoju, bo udawali spokojnych amhaareców. A oni spiskowali... Muszą być ukarani. Wszystkich chłopców! Rozumiesz?

– Będzie, jak poleciłeś, królu – zapewnił Grek. – Sam tego dopilnuję.

– Nie! Wyślij swoich. Sam zostaniesz. Będziesz mi potrzebny. – Dziki wzrok króla obiegił stojących półkolem dworzan. – To wszystko było ze sobą powiązane –

wyliczał wolno i okrutnie: – spisek mego syna, przyjazd tych Partów, to Dziecko... Teraz wszystko jasne... Nie brakło takich na moim dworze, którzy w spisku maczali palce. Wiedziałem o tym, ale czekałem... Patrzyłem, jak będą postępowali... Oni chcieli znowu próbować... Znowu mnie oszukiwać...

Nagle wyciągnął rękę i wskazując na Boargasa wrzasnął:

– Na tortury go!

– O, panie – gruby eunuch rzucił się do nóg króla. – Ja nie! Ja nie. Powiem, kto...

– Na tortury! Musi powiedzieć wszystko, co wie. I tego wziąć! I tego! I tego...!

Ciemny palec wysuwał się raz po raz w stronę tłumu dworzan. Kto został wskazany, padał na twarz i wył o łaskę. Ale już wbiegali żołnierze greccy i wywlekali wskazanych z komnaty. Ci, na których nie wskazano, stali sztywno, ze szklanym wzrokiem, ani nie śmiejąc spojrzeć w oczy królowi, ani też obrócić głowy...

– I tego...

Początkowo palec wysuwał się szybko, niby język z pyska żmii. Teraz poruszał się coraz wolniej. Herod wydawał się upojony przerażeniem, jakie dostrzegał w oczach swych dworaków. Namyślał się, przeciągał swą decyzję. Długo przyglądał się twarzy człowieka, zanim na niego wskazał palcem.

Teraz patrzył na dwóch efebów, którzy byli przy nim, gdy siedział w misie. Starszy trzymał piszczalkę, na której grał królowi. Był to chłopak niezwykle piękny. Nazywał się Karus. Był synem niewolnicy syryjskiej. Król dostrzegłszy go kiedyś, zabrał go matce. Uczynił pierwszym w haremie swoich chłopców. Nie przeszkadzało mu, że sam mógł być ojcem Karusa. Był dumny z urody tego efeba. Szczycił się nim. Nie przejmował się doniesieniami szpiegów, że chłopak przyjmuje podarunki od Boargasa, o którego powiązaniach z Antypatrem i Ferorasem wiedział od Salome. Ale w tej chwili gniew kazał mu zapomnieć o wszystkich względach. Czuł, że wszyscy go nienawidzą, i on nienawidził wszystkich. Nikomu nie ufał. Wpatrywał się w twarz chłopca. Ale Karus uśmiechał się tylko, nawet nie podejrzewając niebezpieczeństwa. Był przekonany, że schorowany król zawsze będzie pragnął jego pieszczot. Ta pewność siebie wywołała nieoczekiwany skutek: smagły palec Heroda wystrzelił w stronę chłopca niby grot nadlatującej strzały.

– I jego...! – krzyknął.

Nie tak szybko zdołali dotrzeć do Askalonu. Miriam miała zranioną nogę. Czekając, aż rana się wygoi, ukrywali się przez trzy dni w łożysku wyschniętej rzeki. Tylko z najwyższym niepokojem, że musi zostawić Miriam i Jezusa samych na pustkowiu, Józef wyprawił się do pobliskiej wsi dla zakupu żywności.

W ciasnej pieczarze, w której się kryli, wyrwał ogniwo z ofiarowanego im przez Baltazara łańcucha i rozklepał je na płytki. Tymi płytkami miał zamiar płacić za żywność. Pieniądzy nie miał. Lękał się natomiast zdradzić, że posiada cenny łańcuch.

Za małą blaszkę złota udało mu się kupić żywność. Ostrożnie wypytywał amhaareców, czy nie słyszeli, aby żołnierze królewscy kogoś poszukiwali. Chłopi jednak bardzo byli zajęci swoją pracą i o żadnych poszukiwaniach nie wiedzieli.

Nareszcie opuchlizna zeszła z nogi Miriam. Można było ruszać dalej. Nocą po bezdrożach Józef zaprowadził swoich do Aszkelonu zwanego przez Greków Askalonem.

Rodzinne miasto Heroda, leżące na wybrzeżu Wielkiego Morza, otoczone było przez króla szczególną opieką. Herod kazał wznieść w mieście liczne budowle, zwłaszcza piękne termy i otoczony prawdziwym lasem figur rozległy stadion. Poleciał także rozbudować i upiększyć świątynię opiekunki miasta, Afrodyty, czczonej przez Greków i Syryjczyków. Dla siebie wznosił pałac, w którym przebywał przynajmniej raz w ciągu roku, przeważnie w dniach świąt bogini. Wtedy składane były Afrodycie bogate ofiary w jego imieniu.

Z powodu kultu Afrodyty Askalon był miastem znienawidzonym przez całą Judeę. Większość mieszkańców miasta stanowili Grecy i Syryjczycy, ale nie brakło tu także Żydów. Rządy w mieście sprawowali Grecy, posiadali nawet przyznany im przez króla samorząd. Żydzi – z wyjątkiem bogatych kupców – musieli się gnieździć we własnej dzielnicy. Był to ubogi, rzemieślniczy plebs.

Tu w Askalonie mieszkał znajomy Józefa, tkacz Attaj, któremu Józef kiedyś pomógł i który, jak mówił, chciał się za tę pomoc wywdzięczyc. Józef nie widział Attaja od kilku lat, ale był przekonany, że tamten udzieli im schronienia. Gdy znalazł się

w dzielnicy żydowskiej, przechodnie natychmiast wskazali mu nędzny domek, w którym mieszkał Attaj. Była to ciemna, pełna zaduchu i pyłu nora. Attaj gnieździł się w niej razem z żoną i dziewięciorgiem brudnych, zasmarkanych i głodnych dzieci. W domu panowały bieda z nędzą. Attaj chorował: kaszlał, gorączkował i niewiele mógł zarobić. Dzieci chodziły żebrac.

Mimo nędzy przyjął od razu Józefa. Nie miał mu jednak nic do ofiarowania poza ciemnym kątem w brudnej izbie. Rozkładając żałośnie ręce mówił:

– Sam widzisz, jak jest u mnie. Niczego bym nie pożalował dla ciebie i twoich. Nic jednak nie mam. Choroba siedzi tutaj – przyciskał dłoń do piersi – i nie daje pracować. Owszem, mam zamówienia na liny okrętowe...

Kiedy jednak zaczynam pleść, dusi mnie... Kaszel nie daje spać. O żywność musisz się sam postarać. A tego psa to wygoń! Jaki pożytek z nieczystego zwierzęcia? Jeszcze kogoś ugryzie.

Miriam gorąco zaprotestowała. Lubiała zawsze zwierzęta, a do psa przywiązała się, zwłaszcza w tych dniach, gdy musiała sama – pod nieobecność Józefa – pozostawać w pieczarze w łożysku rzeki. Pies okazał się wiernym towarzyszem i stróżem, kilka razy odpędził włóczące się w pobliżu szakale. Jezus był do niego bardzo przywiązany, nie chciał zasnąć, gdy nie czuł w pobliżu zwiniętego w kłębek zwierzęcia.

Attaj krzywił się:

– Po co ten pies? Na co pies? Pies dużo biega, potem dużo je, a jak nie ma co jeść, to porywa jedzenie ludziom. Mówię wam: wypędźcie go.

– Pozwól, Attaju, aby został – prosił Józef widząc błagalne spojrzenie Miriam. – Będziemy u ciebie krótko...

Tkacz wzruszył ramionami.

– Skoro niedługo jedziecie... Ale pilnujcie go dobrze.

Zaraz następnego ranka po przybyciu do Askalonu Józef udał się na targowisko. Chciał kupić żywność i przepytać się o dalszą drogę. Chodził między straganami, gdy nagle dobiegły jego uszu słowa, które wywołały prawdziwy wstrząs.

Gromada ludzi otaczała jakiegoś człowieka, który coś im żywo opowiadał. Nazwa rodzinnej wsi, która wypadła spod języka zebranych ludzi, niby wytaczający się spod nóg

pieniądz, kazała Józefowi przyłączyć się do stojących, a nawet przepchnąć się ku środkowi.

Mężczyzna, który stał w pośrodku zebranych, był mały, rudy i obdarty. Robił wrażenie wydrwigrosza. Rozprawiał żywo gestykulując, wykrzykując poszczególne słowa, jakby dla większego efektu. Gdy mówił, jego wzrok biegał niespokojnie na wszystkie strony.

– Więc pozabijali wszystkich! Rozumiecie? – słowa stawały się krzykiem. – Cały królewski ród wytępiony! Królewski ród! Nie będzie już potomków króla Dawida!

Słuchający kiwali głowami, powtarzali słowa opowiadającego tym, co stali dalej. Józef słuchał przerażony. Z przerażeniem łączyło się poczucie bólu i jakby okropnej, przytłaczającej go winy. Zapomniał o bezpieczeństwie, rozepchnął stojących, dotarł do rozprawiającego człowieka. Chwycił go porywczo za ramię.

– Nie słyszałem wszystkiego, o czym opowiadałeś – mówił gorączkowo.

– Powtórz: co się stało w Betlejem...!

Rudy mężczyzna cofnął się gwałtownie. Chciał wyrwać się Józefowi.

– Czego chcesz ode mnie? Puść mnie! Nic nie wiem o żadnym Betlejem! Nic nie mówiłem...

– Opowiadałeś o tym, co się stało w Betlejem...

– Mówiłem stare baśnie. Puść mnie!

Znowu szarpnął się. Wyglądało na to, że chce się wkręcić między otaczających ich ludzi, jak wystraszony szczur stara się wkręcić w pierwszą napotkaną dziurę. Ale Józef trzymał mocno.

– Mówiłeś, że królewski ród Dawida został wymordowany...

– Kto to mówił? Ja nic takiego nie mówiłem!

– Słyszałem! Nie kłam. Powtórz!

Tamten jeszcze raz próbował się wyrwać. Gdy mu się to nie udało, zmienił postępowanie: mrugnął porozumiewawczo na Józefa. Lekkim ruchem głowy dał znak, aby razem wymknęli się z tłumu. Ledwo wydobyli się spomiędzy stojących, rudy zaczął biec ciągnąc za sobą Józefa. Kołowali między straganami, przemykali się między płatami pasiastej materii, którą kupcy rozwiesili na drągach, między szeregami ustawionych na ziemi sandałów. Wreszcie znaleźli się z dala od tamtych. Ciągący Józefa mały

mężczyzna zatrzymał się pod portykiem, okalającym plac targowy, w miejscu zupełnie pustym.

– Więc czego ty chcesz? – zapytał. – Opowiadałem, co sam słyszałem. Może to nieprawda...

– Powtórz, co mówiłeś.

Małe oczka rudego mężczyzny wpatrywały się w Józefa.

– Mówię ci, że opowiadałem tylko to, co mnie ludzie mówili. Są tacy, co lubią słuchać nowin. Dadzą parę asów... Czy jesteś Judejczykiem? – przechylił głowę i nagle zapytał Józefa.

– Mieszkam w Galilei...

– Nie mówisz po galilejsku. Jesteś Judejczykiem, ale szpiegiem chyba nie jesteś?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Na szpiega nie wyglądasz... – wciąż przypatrywał się Józefowi. – Naprawdę to wyglądasz na głupca. Trzeba być głupcem, aby pytać jak ty. Nie wiesz, że tu szpiegów pełno?

– Chciałem się dowiedzieć wszystkiego.

– Chciałeś, chciałeś...! – wzruszył ramionami. – Co cię tak podnieciło? – twarz mu się skurczyła złośliwym uśmiechem. – Nie wiesz, co czeka tych, co chcą za dużo wiedzieć?

Małe myszkujące oczka mężczyzny były wpatrzone w Józefa. Strach widać opuścił go całkowicie, w wyrazie twarzy wyczytać można było przebiegłość. Wysunął przed siebie dłoń i znacząco potarł o siebie dwa palce. Józef sięgnął do trzosa i dał tamtemu kilka asów. Mężczyzna spojrzał na miedziaki. Lekceważącym gestem wsunął je za pas.

– Za ten pieniądz niewiele ci powiem – rzekł. – Pozbawiłeś mnie zarobku. Tamci byliby mi dali więcej.

– Jak mi powiesz wszystko, co wiesz, jeszcze ci dam.

– Więc słuchaj – rudy mężczyzna pochylił się ku Józefowi. Mówił cicho, prawie szeptem. – Gadają ludzie, że żołnierze królewscy przybyli do Betlejem i pozabijali wszystkich chłopców...

– To straszne...

Mężczyzna niespodziewanym szarpnięciem wydarł się Józefowi i odskoczył. Ale nie uciekł. Stojąc czujnie o kilka kroków, gotów do ucieczki, powiedział:

– Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej, daj statera.

Cena była duża, ale Józef czuł, że musi usłyszeć wszystko.

– Powiesz wszystko, co wiesz? – zapytał.

– Tylko zapłacić.

Józef sięgnął do trzosa po monetę. W grocie, gdzie przebywali czekając, aż wyzdrowieje noga Miriam, zrobił kilka łyżek i innych drobnych przedmiotów. Dzięki ich sprzedaniu miał trochę pieniędzy i nie musiał płacić blaszkami złota, co komplikowało transakcję i zwracało uwagę. Wyciągnął dłoń z monetą do człowieka, ale tamten cofnął się.

– Jeśli chcesz, abym mówił, połóż pieniądz na murku, o, tam – rzekł. – Sam odsuń się.

Gdy Józef cofnął się, tamten skoczył i podobny do kota rzucającego się na mysz, porwał monetę i znowu wrócił na taką odległość, aby Józef nie mógł go chwycić.

– Słuchaj, skoro ci tak na tym zależy, Judejczyku – mówił. – Ci żołnierze, którzy przybyli do Betlejem, szukali jakiegoś Dziecka. To podobno królewskie Dziecko, po które przyjechali posłowie od króla Partów. Ale Dziecka nie znaleźli. Jego rodzice uciekli z Nim. Więc ze złości pozabijali tamtych.

A tych, co uciekli, szukają dalej. Jeżdżą po drogach, wypytują o rodzinę z małym dzieckiem. Obiecali dużą nagrodę...

Przy ostatnich słowach oczy mężczyzny dziwnie błysnęły. Józef dostrzegł to i poczuł lęk. Usiłował go ukryć, ale tamten musiał coś dostrzec, bo dorzucił złośliwie:

– Znajdą ich, choćby tamci skryli się pod ziemię...

Głosem, któremu usiłował nadać ton jak najbardziej obojętny, zapytał:

– I to wszystko, co słyszałeś?

– A czego chciałeś się jeszcze dowiedzieć?

Ciągle starając się okazać obojętność wzruszył ramionami. Obrócił się na pięcie i wyszedł spod portyku. Ale kiedy obejrzał się, zobaczył, że mężczyzna patrzy za nim. Od razu, podobnie jak to przedtem robił tamten, zaczął kluczyć wśród straganów targowiska. Zanim wrócił do domu, chodził długo po ulicach, wciąż sprawdzając, czy



gdzieś w pobliżu nie zobaczy rudego mężczyzny. Nie dostrzegł go. Mimo to przyszedł do domu Attaja pełen niepokoju.

Był pełen bólu, obaw i rozpaczy. Znowu dręczyło go jakby poczucie winy. Bracia potraktowali go niegodnie. A jednak to byli jego bracia... Poza tym okazało się, że ich obawy były uzasadnione. Gdyby nie był przyjechał, ta przerażająca klęska nie byłaby spadła na ród.

Siedział zgnębiony tymi myślami. Nie podzielił się nimi z Miriam. Nie chciał jej trwożyć. Były w nim także jeszcze inne, niejasne uczucia. Zdawał sobie sprawę, że jego bracia byli bardziej winni wobec niej niż wobec niego. Nie powiedziała wprawdzie nigdy ani słowa nieżyczliwego o nich. Jeszcze go powstrzymywała w gniewie. Nieomal lękał się, że znowu usłyszy słowa usprawiedliwienia dla tego, co się stało. A tego nie chciał usłyszeć – właśnie od niej.

Ale Miriam widać poznała z jego miny i zachowania, że coś się stało niezwykłego. Nie pytała go. Usługując mu i starając się każdym gestem okazać mu swą miłość, cierpliwie czekała. Taka była zawsze, odkąd ją poznał: pełna cierpliwej dobroci. Gdy ją widział taką, nie potrafił nic zataić. Pamiętał swe postanowienie, że to ona będzie kierowała ich życiem.

Przywołał ją i cichym szeptem opowiedział wszystko, czego dowiedział się od rudego. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– O, Adonaj! – wykrzyknęła cicho. – Wszyscy chłopcy!? Oni przyszli szukać Jego, na pewno... – wzrok Miriam pobiegł do Jezusa, który bawił się cicho zwierzątkiem zrobionym przez Józefa z kawałka drewna.

– Tak, szukali Jego – potwierdził jej słowa.

Wydawało mu się, że kobieta drży. Ale po chwili opanowała się. Jej ręka odszukała główkę siedzącego na posłaniu Dziecka; palce pieśczoćliwie przesunęły się po Jego włosach.

– Musimy dalej uciekać – powiedziała.

– Musimy – zgodził się. – Ale może nie od razu. Wydaje mi się, że lepiej pozostać jakiś czas w domu Attaja. Nie będą bez końca szukali...

– Zrobimy, jak postanowisz. Och, jak mi żal tamtych matek, tamtych ojców... – westchnęła.

– Moi bracia mieli jednak słuszość, że lękali się – nie potrafił utrzymać w sobie goryczy. – On ich nie ostrzegł... To prawda, byli źli... Miałem do nich żal, urazę... Może jednak...

Poczuł na dłoni dotknięcie jej palców.

– Nie powinieneś sobie wyrzucać – powiedziała.

– Ale czy ty zdajesz sobie sprawę, Miriam, z tego, czym jest śmierć syna!? – wybuchnął.

Nie odpowiedziała od razu. Milczała jakiś czas. Znowu patrzyła na Dziecko obracające w paluszkach drewnianą kózkę. W jej oczach zauważył jakieś przymglenie. Pożałował swoich słów.

– Źle powiedziałem – szepnął. – Na pewno to rozumiesz...

– To straszny ból, najstraszniejszy... Nieraz myślę o Abrahamie i o Sarze...

Teraz oboje spojrzeli na Dziecko.

– Najwyższy nie mógłby tego chcieć – rzekł. – On Go zawsze będzie chronił...

Potrząsnęła mocno głową.

– Nie wiem, Józefie, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Będzie tak, jak On zechce. Ja tylko pragnę jednego: zawsze ufać i zawsze wierzyć, że to, co przychodzi z Jego ręki, jest najlepsze...

– Śmierć syna nie jest dobrem. Wobec Abrahama to była tylko próba.

– A może jest ona ostatnim odważnikiem na wadze? Tym, który decyduje, gdy wszystko inne zawiodło. – Położyła mu rękę na ramieniu, jakby ta myśl była dla niej nieoczekiwanym odkryciem. – Może tamte dzieci ocaliły swą śmiercią twoich braci, Józefie?

## 9

Tak jak powiedział Miriam, był przekonany, że nie należało teraz opuszczać miasta. W domu Attaja byli ukryci. Trzeba w tym ukryciu pozostać jakiś czas, aż ustaną poszukiwania.

Po tamtej rozmowie z rudym mężczyzną wołał jednak nie pokazywać się – na

rynku. Wieczorem skinął na Attaja i odwołał go na małe podwórko za domem. Nic nie mówił dotąd tkaczowi o powodach, które go zmuszały do podróży do Egiptu. Wolał nie mówić i teraz.

– Słuchaj, Attaju – rzekł – chcę cię o coś poprosić. Udzieliłeś nam gościny i jesteśmy ci za nią bardzo wdzięczni. Spodziewałem się, że jutro wyruszymy dalej. Ale doszedłem do przekonania, że byłoby lepiej, gdybyśmy mogli jeszcze kilka dni pozostać w mieście. Chciałbym, aby żona wypoczęła...

– Skoro tak postanowiłeś, Józefie, zostańcie.

– Dziękuję ci. Ale zdaję sobie z tego sprawę, że sprawiamy ci kłopot. Chciałbym ci jakoś ten kłopot wynagrodzić. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Będąc dzisiaj na targu przekonałem się, że Judejczycy nie są u was chętnie widziani...

– Nie są. My nauczyliśmy się żyć obok goimów. A ludzie z Judei wszczynają spory. Dochodzi wciąż do kłótni i bijatyk. Czasami nawet do walk. Bywają zabici... Władza jest w rękach Greków i gdy coś takiego się stanie, są wtedy przeciwko nam wszystkim. Także przychodzą z pomocą goimom żołnierze Heroda...

– Więc widzisz. Jestem obcy i zwracam na siebie uwagę. Byłoby lepiej, gdybyś ty dokonywał zakupów żywności. Wiem, że ci trudno wykarmić rodzinę... Weź, proszę, te pieniądze, kup za nie żywności i dla swoich, i dla nas.

Położył na zrogowaciałej dłoni Attaja trzy małe złote blaszki z rozklepanego ogniwa. Tkacz patrzył na złoto w milczeniu, a potem nagle zaczął się cały trząść.

– Coś ty mi dał, Józefie?

– Nie mam pieniędzy, tylko te kawałki złota.

– Takiego bogactwa jeszcze nigdy nie widziałem!

– Zrobiłeś dla nas dużo.

– To, co zrobiłem, niewarte nawet okrucha tego złota.

– Dobroci nie mierzy się złotem. Otrzymaliśmy to i chcemy się tym podzielić z tobą.

Attaj nic już nie powiedział. Oczy mu błyszczały, jakby miał gorączkę. Stał ciągle drżący ze złotymi blaszkami na dłoni. Chcąc go uspokoić, zapytał:

– Czy nie doszło do ciebie, że żołnierze Heroda kogoś szukają w mieście?

Ale tkacz spojrzał na Józefa wzrokiem nieprzytomnym.

– Szukają? Nic nie wiem... Nie słyszałem... Niech wam Najwyższy wynagrodzi to, co zrobiliście dla mnie i dla moich dzieci! Niech błogosławieństwo wiecznego Szekinah będzie nad wami i waszym Synem!

Długo wykrzykiwał podziękowania i błogosławieństwa. Zapadła noc, ale Attaj nie spał. W blasku kaganka Józef widział tkacza, jak chodził między matami, na których spały jego dzieci. Coś mówił sam do siebie.

Wczesnym rankiem był już gotów, aby iść na targ. Zabrał ze sobą najstarszego syna, który niósł wielki kosz.

Na południowy posiłek wrócił tylko chłopiec. Powiedział, że na targowisku zgubili się z ojcem. Attaj nie zjawił się do wieczora. Gdy nadszedł zmierzch, a tkacza wciąż nie było, wszystkich w domu ogarnął niepokój. Żona Attaja przyszła z płaczem do Miriam, która musiała ją pocieszać. Najbardziej przerażony był Józef. Wydawało mu się rzeczą niewątpliwą, że zaginięcie Attaja ma jakiś związek ze złotem, które mu dał.

Była już głęboka noc, gdy skrzypnęła furtka i usłyszeli niepewne stapania i szlochy. Do izby wszedł zataczając się i łkając Attaj. Buchało od niego zapachem wina. Miał pokrwawioną twarz i podartą kuttone. Wrócił bez płaszcza. Nie przyniósł ani kosza, ani żywności.

Znalazłszy się na środku izby rzucił się na kolana. Jęcząc i zawodząc tłukł głową w ubitą ziemię. Obudziły się dzieci i podniosły krzyk. Żona Attaja przybiegła do męża. Na widok jego rozpaczy ona także łkała i targała włosy. Nikt nie wiedział, co się stało, a przecież wszyscy czuli, że na dom spadło jakieś straszne nieszczęście.

Usiadłszy na ziemi obok szlochającego Attaja, usiłował dowiedzieć się powodu jego rozpaczy. Nie przychodziło to łatwo. Tamten jęczał, ale z jego urywanych słów niewiele można było zrozumieć. W końcu jednak Józef pojął, co się stało: Tkacz na targu pochwalił się blaszkami złota spotkanym znajomym. Tamci namówili go, aby udał się z nimi do winiarni. Pił i wino uderzyło mu do głowy. Zapomniało wszystkim. Nawet nie pamiętał, co się z nim działo, co mówił, co mówili tamci. Kiedy oprzytomniał, był sam na ulicy. Jego znajomi zniknęli. Natomiast został napadnięty przez jakichś złoczyńców. Poranili go oni, zabrali płaszcz i pieniądze...

W miarę słuchania przerywanej szlochami opowieści Attaja Józef czuł narastającą grozę. Nie miał wątpliwości, że Attaj musiał opowiedzieć w winiarni o ludziach, od

których otrzymał złoto. Zdradził go! Ogarnął go gniew na wijącego się na ziemi nędzarza. Dla niego była to strata pieniędzy – ale dla nich był to wyrok śmierci... Ci, którzy słuchali Attaja, na pewno domyślą się związku między ukrywającymi się w domu tkacza ludźmi a szukającymi zbiegów żołnierzami.

Od czasu spotkania z rudym mężczyzną Józef zdawał sobie sprawę z krążącego w pobliżu niebezpieczeństwa. Ale dom wydawał mu się ukryciem. Teraz poczuł się jak tropione zwierzę, do którego nory podchodzą ze wszystkich stron nieprzyjaciele. Jakby nagle ciemny kąt, w którym się skryli, został oświetlony wieloma pochodniami!

Siedział z głową opartą na ręku, gdy posłyszał za sobą cichy głos Miriam:

– Tak bardzo gniewasz się na tego biedaka?

– Widzisz, co zrobił!

– On nie pija, więc nie zna siły wina. A tamci może naumyślnie chcieli go upić.

– Plótł o nas. Sam teraz nie pamięta, co mówił!

– Ucieszył się pieniędzmi. Człowiek nie umie cieszyć się samotnie. Chce się podzielić radością z drugim. A on przecież nie wiedział, że musimy się ukrywać.

– Bronisz! Lecz mówiłem ci, co opowiadał tamten: szukają nas, wyznaczyli nagrodę... Może jeszcze tej nocy...

Podniósł na nią pełen rozpaczy wzrok. Podniecił się własnymi słowami. Ale twarz Miriam pozostała spokojna.

– Ten, który ostrzegł cię tam, w Betlejem, nie przyszedł do ciebie. To znaczy, że pozostał nam jeszcze czas do ucieczki...

Pod wpływem jej słów uspokajał się.

– Musimy uciekać jak najszybciej – rzekł. – Ale nie mamy żywności na drogę. On miał kupić.

– Już go więcej nie obwiniaj. Mamy ciągle ten łańcuch. Starczy i dla nas, i żeby im zostawić...

– Chcesz, abym dał jeszcze raz? Jemu? Zmarnuje!

– Teraz na pewno nie zmarnuje. A oni czekali na jedzenie. I dzieci są głodne. Proszę cię, Józefie.

– Nie proś. Jedno twoje słowo wystarczy.

Chociaż rozmowa z Miriam przygasiała w nim gorączkowy lęk, nie utracił

poczucia, że ziemia pali się im pod stopami. Tak – na pewno, trzeba było jak najszybciej wyruszyć. To było takie dziwne, a jednak powtarzało się: gdy groził cios nieoczekiwany, Najwyższy przychodził z pomocą uprzedzając; ale nie czynił nic więcej. Pozostawiał ich własnej przedsiębiorczości. Pozostawiał jemu rolę ojca...

Wyciągnął łańcuch ukryty na dnie juków i oderwał od niego dwa dalsze ogniwa. Potem spakował ich skromny dobytek. Mogli wyjechać choćby natychmiast. Ale Józef zdecydował, że będzie lepiej, jeśli wyruszą w samo południe, gdy na miasto spływał dławiący skwar i ludzie kryli się w cieniu. Rankiem, póki jeszcze między murami utrzymywał się nocny chłód, na ulicach pełno było ludzi. Na pewno cały tłum gapiów stał przy bramie miejskiej. Łatwo mogli się natknąć na rudowłosego obdartusa, a on zobaczywszy ich trójkę od razu wiedziałby, kim są.

Ale godziny czekania upływały niespokojnie. Serce zaczynało bić mocniej, gdy na ulicy przed domem rozległy się kroki. Józef siedział napięty, odmawiając beraki.

Attaj po wypłakaniu się zasnął i spał ciągle chrapiąc głośno i pojękując przez sen. Gdy zbliżyło się południe, obudził go.

– Wstań, chcę ci coś powiedzieć...

Tkacz stał z nisko pochyloną głową. Trzymał dłoń w dłoni i wyłamywał palce.

– Postanowiłem wyjechać, zaraz, teraz...

– Masz słuszość, Józefie – bąknął. – Powinniście jechać jak najszybciej...

– Wiesz coś?

– Tak... To was ścigają...

– A ty powiedziałeś?

Rozcapierzonymi palcami dłoni przesunął po twarzy, jakby chciał zedrzeć z niej skórę.

– Nie wiem... Nie wiem, co mówiłem... Ale przecież mnie nie ostrzegłeś. Skąd mogłem wiedzieć? Dopiero kiedy zaczęli mówić o zabitych dzieciach, o żołnierzach, o nagrodzie... Jedźcie, jedźcie jak najszybciej... Nie darowałbym sobie, gdyby się wam coś stało!

– Przyznaję, to moja wina, że ci nic nie powiedziałem. Powinienem był ci zaufać, powiedzieć, dlaczego uciekamy i dokąd jedziemy...

– Nie mów, dokąd jedziecie! Jestem słabym człowiekiem. Nie chcę wiedzieć!

- Dobrze, nic ci nie powiem. Chcę ci tylko podziękować za schronienie.
- Nie dziękuj! Straciłem twoje pieniądze.
- Moja żona postanowiła, abym ci oddał to, co straciłeś. Masz.
- O Adonaj! – zawołał podnosząc w górę ręce. – Twoja żona jest kobietą, jakiej nigdy nie widziałem! Takiej drugiej nie ma na świecie. Moje dzieci będą jadły. Jesteście miłosierni. Niech Najwyższy opiekuje się wami. A ja was zdradziłem...
- Mówiłeś, że nie wiesz, co powiedziałeś.
- Nie wiem... Nie pamiętam... Ale oni ciągle mówili o tym, że was żołnierze szukają i że wyznaczili nagrodę. Jeśli was zobaczą na ulicy...
- Dlatego wybrałem porę, gdy słońce stoi wysoko...
- Niech was prowadzi Najwyższy. Niech wam pomaga za wasze miłosierdzie.

Nadeszła godzina, gdy na miasto spadł skwar tak wielki, że przydusił nawet ciągnący od morza powiew. O tej godzinie każdy człowiek i zwierze chronił się w cień. Józef wyprowadził osła, pomógł Miriam wsiąść na jego grzbiet. Podał jej Jezusa. Wszyscy nakryli głowy chustami. Attaj uchylił furtki i rozejrzał się. Ulica była pusta. Józef ruszył trzymając osła przy pysku. Za nimi szedł pies z podwiniętym ogonem.

Wszędzie uliczki, którymi jechali, świeciły pustką. Były tak wąskie, aby blask słońca nie mógł sięgnąć ich dna. Ale mimo cienia gorące, stłoczone powietrze aż dławiło. Pod murami widać było leżących, uśpionych ludzi.

Zbliżając się do rogu Józef zatrzymywał się i ostrożnie najpierw wyglądał spoza muru. Ruszał dopiero, gdy na ulicy nie widział żadnego ruchu.

I tak udało im się przejechać dzielnicę żydowską. Teraz dojeżdżali do bramy. Przed nią był mały plac, ale na nim nie dojrzał nikogo. W samej bramie nie zauważył także żadnych ludzi. Spojrzał na Miriam, spojrzał na Dziecko, które nie spało, ale patrzyło na niego wielkimi, czarnymi oczami, westchnął w duchu – i ruszył naprzód. Przecieli plac, jakby przechodzili przez ognisko. Znaleźli się w cieniu bramy. Józef drgnął dostrzegłszy niespodziewanie siedzącego na ziemi strażnika. Ale tamten spał z głową wspartą na włóczni. Cicho minęli bramę i znaleźli się znowu w słońcu – już poza nią. Józef jeszcze się obejrzał. Nikt za nimi nie patrzył, nikt nie szedł, nikt nie wołał.

Mimo spiekoty przejechali kilka staj pustą zupełnie drogą. Nie odezwali się do siebie ani słowem. Potem Józef dostrzegł z boku mały palmowy zagajnik. Zjechał z drogi

w cień drzew. Było tu nawet małe źródelko.

Teraz dopiero lżej odetchnął. Dotychczas szedł odruchowo tłumiąc oddech. Ogarnęły go radość i duma. Plan się udał – wyszli niepostrzeżenie z miasta! To, co wydawało się takie trudne i niebezpieczne, okazało się łatwe i proste. Ale natychmiast pohamował rozpierające pierś uczucia. To nie ja, myślał, to On... Jestem cieniem, mam kryć wszechmoc. Nie wolno mi przywłaszczać sobie tego, co nie należy do mnie...

Pomógł zsiąść Miriam. Powiedział:

– Myślę, że trzeba nam tu zostać do wieczora. Odpoczniesz, prześpisz się. Ruszemy dalej nocą. I nie traktem, ale tamtędy – wskazał ręką – wzdłuż tych wzgórz. Droga może być ciężka, jednak na rano powinniśmy dojść do granicznej rzeki.

– Będzie dobrze, co postanowisz – rzekła.

– Ja postanawiam, ale to On prowadzi. I dlatego uchodzimy niebezpieczeństwu.

– Jest tak, jak powiedziałeś – uśmiechnęła się. – I tak jest zawsze... Boli cię, że jesteś tylko cieniem? – zapytała, jakby odgadywała jego myśli. – O, Józefie, każdy twój trud i niepokój są trudami i niepokojami prawdziwego Ojca. On naprawdę potrzebuje ciebie. On taki jest. Może wszystko sam – a przecież chce naszego udziału...

## 10

Nad nimi płonęły gwiazdy, a od nich spływała w dół jakby srebrna, mieniąca się kotara drgających nitek poświaty. Panowała cisza i tylko od strony morza dochodził łomot fal, bijących o skalisty brzeg. Podmuchiwał z tamtej strony wiatr, chłodny, ale rzeński.

Wędrowali już od paru godzin, kierując się gwiazdami i linią wzgórz, które ciągnęły się równolegle do morza. Wypoczęty osioł szedł dzielnie, nie trzeba go było popędzać. Pies biegał wokół nich: to nurkował w ciemności, i tylko słychać było jego głośnie niuchanie, to znowu przemykał koło nich podobny spłoszonemu, wylatującemu spod nóg ptakowi. Czasami natrafił na jakieś zwierzę i gonił za nim wydając cichy skowyt.

Miriam jechała na ośle trzymając w objęciach Syna. Gdy odpoczywali



w zagajniku palmowym, Jezus spał mało. Bawił się. Przestał już być małym ciągle posypiającym dzieckiem. Stał się chłopcem roztropnym, pogodnym, nielekliwym, lubiącym patrzeć i pytać się o wszystko. Józef obserwował Go często. Jezus nawet charakterem przypominał matkę. Zwyczajność graniczyła w Nim z czymś niezwykłym i nieuchwytnym. Jeszcze wczoraj patrzył na Niego, gdy się bawił z dziećmi Attaja. W wąskiej uliczce, w którą wpadał ukosem blask słońca i tworzył mglistą płataninę blasków i cieni, poruszały się sylwetki bawiących się dzieci. Figurka Chłopca widoczna była z boku. Był za mały, by brać udział w zabawie, a jednak uczestniczył w niej śledząc ciekawie szybkie ruchy starszych dzieci. Czasami wśród wybuchów dzieciennego śmiechu dochodził uszu Józefa Jego śmiech. Śmiał się jak matka – pogodnie, radośnie, nigdy złośliwie.

Gdy go przywołał, zapytał:

– Bawiłeś się dobrze?

– Oni skakali, a ja się śmiałem – odpowiadał w swym dzieciennym języku.

– Chodź, mama czeka. Trzeba się umyć i zjeść.

Nigdy nie uciekał ani się nie krzywił, gdy żądano, aby odszedł od zabawy. Wystarczyło powiedzieć: „Mama czeka” – aby natychmiast porzucił wszystko.

– Powiem mamie, że się śmiałem – gaworzył wkładając małą rączkę w dłoń Józefa. – Chodź, Kadu, mama czeka, chodź – wołał na psa. – Musisz się umyć...

Nazwał psa Kadu. Pies, który tak bardzo przywiązał się do nich, najbardziej był przywiązany do Dziecka. Nigdy nie warknął ani zaskomlał, gdy rączki Jezusa w gorącej pieśczoce szarpały jego sierść. Leżał ulegle i tylko łypał białkami oczu. Wobec Chłopca pełen był niewyczerpanej cierpliwości. Gdy Jezus spał, pies przytulał się do Niego. Obudzone Dziecko szukało natychmiast rączką wokół siebie: „Gdzie Kadu?”

Zmęczony zabawą teraz spał. Miriam siedziała na ośle sztywno i czujnie. Gdy spoglądał z boku na jej twarz, wydało mu się, że widzi poruszające się lekko wargi. Pewno odmawiała swoje beraki.

– Modlisz się? – zapytał.

– Modlę. Dziękuję Najwyższemu.

– Jeszcze wiele niebezpieczeństw przed nami...

– On o nich wie. Nie chcę myśleć o tym, co jest przede mną. Dziękuję za to, co

już otrzymałam. Za niego... – ruchem głowy wskazała przytuloną do piersi główkę Dziecka – za gwiazdy, które nam oświecają drogę, za osiołka, że tak dzielnie postępuje...

Ja jednak muszę myśleć o tym, co jest przed nami – zastanawiał się. W tej myśli nie było goryczy. Cieszyło go to, że dziewczyna, którą kochał, nie znała lęków i była taka pełna ufności. Ona zawsze żyła tym, co było w danej chwili. On jednak musiał żyć tym, co będzie. Musiał przewidywać każdy ich następny krok.

– Pomódl się także – powiedział – aby nie zabrakło nam i teraz Jego pomocy.

– Jakżeby mogło zabraknąć?! – w głosie Miriam zabrzmiało zdumienie.

– Nie, oczywiście nie – przyznał. – Ja także wierzę, że On będzie zawsze z nami. Ale każda chwila przynosi nowe niebezpieczeństwa. Trzeba będzie decydować...

– Na pewno będziesz wiedział, jak postąpić.

Zamilkł. Ona ma słuszość, uświadomił sobie. Skoro On kazał mi spełniać zadania ojca – jest niewątpliwie przy mnie. Ja jednak tego nie czuję – Wciąż wracają lęki, wraca poczucie bezradności... Nigdy nie wiem na pewno, czy droga, którą wybrałem, jest tą, którą powinienem był wybrać! Poczuł na ramieniu dotknięcie jej dłoni.

– Tak bardzo troszczysz się o nas – powiedziała, a w jej głosie była miłość. – I za ciebie muszę wciąż dziękować.

– Troszczę się, jak umiem. Ale gdy przychodzi decydująca chwila, to On bierze wszystko z moich rąk w swoje ręce.

Dłoń kobiety przycisnęła silniej jego ramię.

– Postępuje jak ojciec. Nie tylko Jego – wskazała Jezusa. – Także twój i mój...

I dalej wędrowali pod nabitą gwiazdami stropem nieba. Drogi, którymi jechali, były puste. Mijali uśpione wsie. Wśród wzgórz wyły szakale, a ich połyskujące oczy towarzyszyły im nieustannie. Pies teraz nie oddalał się. Szedł przy nogach osła z czujnie nastawionymi uszami. Czasami cicho powarkiwiał.

Z wolna poczęło ich opanowywać zmęczenie. Ale już niebo nad skalistą ścianą wyglądającą spoza wzgórz pojaśniało. Kontury gór stały się wyraźne. Gwiazdy na wschodzie gasły. Reszta utraciła swój szklany blask. Cisza była jakby jeszcze większa. W niej słychać było hurgot morza, tak równomierny, że zlewał się w jedno z ciszą. Z jakiejś zagrody, którą minęli, doszło do nich pianie koguta. Noc opadała na ziemię jak zsuwający się z ramion płaszczy.

Wyszedszy na małe wzniesienie Józef rozglądał się na wszystkie strony. Otoczone murem miasto, które mieli już za sobą, było niewątpliwie Gazą. Linia zieleni zamykająca im drogę musiała być linią granicznej rzeki.

Mieli do niej niedaleko, ale zaczął się już dzień, a oni znajdowali się na otwartej przestrzeni. Oddzielał ich także od rzeki trakt biegnący z Gazy do Berszeby. Aby dotrzeć do granicy, musieli go przeciąć. Teren po obu stronach traktu był otwarty i nagi: porzuciwszy linię wzgórz, przy których się obecnie znajdowali, nie mogli już znaleźć żadnego ukrycia.

Pozostać wśród wzgórz – czy iść dalej? Znowu musiał powziąć decyzję. Jak trudno jest zobaczyć wolę Najwyższego w sprawach tak bardzo zwykłych! Wśród wzgórz można się było ukryć i w ukryciu doczekać nocy. Ale wyjechali bez żywności i bez wody. Dzień pobytu pośród skał bez jedzenia i picia, zwłaszcza dla Dziecka, byłby dokuczliwy. Należałoby raczej – pomimo zmęczenia – dotrzeć jak najszybciej do rzeki, przebyć ją i odpocząć dopiero po drugiej stronie. Ale co tam znajdą? Wiedział jedno, że za rzeką zaczynają się ziemie królestwa nabatejskiego. Król nabatejski był sojusznikiem Heroda, jednakże Józef sądził, że śmieiej można będzie na tamtym brzegu szukać pomocy we wsiach i osadach.

Wołałby już mieć rzekę za sobą. Ogarniał go przecież niepokój, czy to nie niecierpliwość narzuca mu decyzję. Był zmęczony, a jak bardzo musiała być zmęczona Miriam! Nie powiedziała mu tego, on jednak odgadywał to zmęczenie z jej twarzy. A jaka będzie przeprawa? Tędy, gdzie miał przeprowadzić swoich przez rzekę, nie biegł żaden trakt. Aby dojść do uczęszczanego szlaku, musieliby zboczyć wiele staj na południe. Natknęliby się na idących, a kto wie, czy także nie na żołnierzy. Szlak mógł być pilnowany. Może ci, którzy szukali ich w Askalonie, czyhają na nich nad rzeką?

Rozważania tłukły się w głowie, jak ptaki, które wpadły do klatki i na próżno szukają wyjścia. Jednak musiał powziąć decyzję – musiał swoją decyzję narzucić Najwyższemu! Zanim zeszedł do czekających na niego żony i Dziecka, obróciwszy się twarzą ku górą, wśród których, daleko, leżała Jerozolima, odmówił krótką berakę: „O, Panie, który czynisz pokój w sercu człowieka, spraw, aby decyzja, którą podejmę, była tą, jakiej pragnie Twoja wola...”

Zeszedł ze wzgórza. Miriam siedziała na ziemi i karmiła Jezusa jakąś resztką

jadła, które wzięła ze sobą. Osioł szczypał suche, nędzne zielsko, wyglądające spomiędzy głazów. Pies leżał z językiem wywalonym z pyska i dyszał. Łakomie patrzył na kawałek placka w rękę Jezusa.

– I co postanowiłeś? – zapytała podnosząc wzrok na Józefa.

Przez chwilę boleśnie wyłamywał palce.

– Wydaje mi się, że musimy zrobić jeszcze trochę wysiłku, dotrzeć do rzeki i przeprowadzić się na drugą stronę. To może być ciężkie, bardzo ciężkie...

– Jeżeli uważasz, że tak powinniśmy postąpić, chodźmy. – Zwróciła się do Jezusa: – Czy zjadłeś już, Synku?

Podniósł na nią oczy.

– Nie jadłem. Mama głodna, Kadu głodny...

– I ojciec, i Kadu, i ja zjemy, kiedy przejdziemy rzekę. Ale Ty musisz zjeść teraz. Bo już idziemy dalej.

– Czy nie jesteś jednak zanadto zmęczona? – pytał cicho.

– Odpoczniemy za rzeką...

– Och, gdybym był pewny...!

– Musisz być spokojny, Józefie. Patrz, Jezus się cieszy, że jedzie.

Nie siadła na osła, posadziła tylko na nim Jezusa. Chłopca bawiło, że jedzie sam. Suwał bosymi stopami po włóchatym karku zwierzęcia, śmiał się radośnie. Był jak zawsze wesoły i promienny.

Słońce wytoczyło się spoza gór i od razu jego żar przytłumił i zgasił świeży morski powiew, jaki odczuwali w ciągu nocy. Kamienista równina szybko traciła swój chłód.

Dotarli do traktu. Ułożony z wielkich płyt przecinał ich drogę prostą, równą linią. Zanim go przekroczyli, zatrzymał swoich za zasłoną porośniętego różowym kwieciem krzaku, a sam wyszedł na drogę. Trakt był pusty i tylko gdzieś w dali wydawało mu się, że widzi poruszające się sylwetki ludzkie. Skinął na Miriam. Przejechali przez trakt, jakby przestępowali jakiś próg.

Zwarta ściana zieloności, która porastała brzeg rzeki, była już niedaleko, ale przestrzeń, jaka ich od niej dzieliła, była całkowicie otwarta. Choć czuł, że pośpiech męczy Miriam, zmuszał ją, aby szła szybko. Dysząc zbliżył się do płataniny kolczastych

krzewów, spoza których zalatywało rześką wonią rzeki. W chwili, gdy mieli już krzewy tuż przed sobą – obejrzał się i zamarł z niepokoju. Na trakcie w tym miejscu, w którym go przekroczyli, znajdowało się trzech jeźdźców. Nie jechali, ale stali z głowami zwróconymi w stronę rzeki. Wyglądało jakby patrzyli na nich. To było najbardziej niepokojące, że ci ludzie siedzieli nie na osłach, ale na koniach!

– Prędeż! – powiedział przez zęby. – Prędeż! Musimy jak najszybciej zejść do rzeki...!

Ale krzaki cierniowe stanowiły zwarty, nie dający się przekroczyć mur. Żadna ścieżka nie szła między nimi. Pozostawało tylko jedno: wdrzeć się między kolce. Józef rozgarnął gałęzie i usiłował wprowadzić między nie osła. Zwierzę jednak zaparło się, nie chciało iść. Miriam owinęła Jezusa płaszczem, całego, z głową, i wzięwszy Go na ręce ruszyła pierwsza. Widział, jak kolce drą na niej odzież, kaleczą jej ramiona. Na kuttonie kobiety pojawiły się czerwone plamy. Oslaniając sobą Dziecko przedarła się do rzeki. Osioł jednak dalej nie dawał się wprowadzić między ciernie. Wojując z upartym zwierzęciem dostrzegł – ponad jego łbem – że trzech ludzi, którzy poprzednio stali na trakcie, teraz zjechali z niego i skierowali się ku rzece. Nie jechali szybko, a jednak posuwali się jakby ich śladem. Było coś dziwnie groźnego w tym powolnym posuwaniu się za nimi. Słońce odbiło się od czegoś, co tamci mieli na głowach, błysnęło, jakby zapaliła się błyskawica. To musiały być hełmy! A więc to byli żołnierze! Józefa ogarnął popłoch. Z niezwykłą gwałtownością szarpnął osła. Zaskoczone tą brutalnością zwierzę nareszcie uległo. Szło teraz za Józefem zostawiając na kolcach całe kępy swej sierści. On także miał ramiona i plecy pokłute. Ale byli już poza zaporą z krzewów.

W głębokim korycie płynęła rzeka. Woda była mętna, toczyła się wolno. Był jednak pewien, że nie napotkają głębi.

– Przejdźmy przez wodę – powiedział. – Szybko. Jacyś ludzie jadą za nami od traktu... Nie wiem, co to znaczy...

Po ramionach Miriam spływała krew. Jakich kolec skaleczył ją w czoło, tuż przy nasadzie włosów, ciemnopurpurowa kropla zastygła nad łukiem brwi, niby zawieszony klejnot. Starał się nie patrzeć na jej okrwawione stopy i dłonie. Sam czuł ból od wielu skaleczeń. Nawet na jasnej sierści osła pojawiły się różowe plamy.

Wszedł pierwszy w rzekę, macając dno kijem. Woda sięgała mu po pas.

Prowadził osła, na którym jechał Jezus. Obok szła Miriam trzymając Dziecko. Woda stała się jeszcze głębsza, sięgnęła nóżek Chłopca. Jezus pochylał się, zanurzał dłonie w wodzie i śmiejąc się radośnie chlapał na wszystkie strony. Matka, idąc obok, nie przestawała do Niego mówić. Przemawiała spokojnie i wesoło, jakby brała udział w Jego zabawie. Zdawała się nie czuć bólu, jaki sprawiało zanurzone w wodzie poranione ciało.

Jezus nagle przestał chlapać. Patrząc na matkę dostrzegł zawieszony nad prawym okiem czerwony wisiołek. Wyciągnął palec, dotknął nim czoła Miriam.

– Mama boli? Mama boli? – pytał.

– Nie, nie boli – zapewniła Go.

Ale On jakby nie wierząc jej słowom dotknął lekko paluszkami krwawej kropli, a potem tym samym palcem dotknął swego czoła.

– Boli... – powiedział.

Woda stawiała się z każdym krokiem płytsza. Bez trudu dotarli do drugiego brzegu. Ten był wyższy i bardziej stromy. Pozostawiwszy osła, by własnym przemysłem wydobył się z wody, pośpieszył z pomocą Miriam. Ich odzież nasiąkła wodą i wydawała się ogromnym ciężarem. Na szczęście południowy brzeg rzeki nie był porośnięty tak gęsto jak północny. Ledwo wydostali się z koryta, Miriam usiadła wyczerpana na ziemi. Jezus witał psa, który pierwszy przepłynął rzekę i czekał już na nich na drugim brzegu machając radośnie ogonem.

Józef znalazłszy się na brzegu, obejrzał się. Nic nie mógł zobaczyć, więc wspiął się na mały wzgórek. Stojąc na nim patrzył na drugi brzeg. Tamci dojechali właśnie do ściany z krzaków cierniowych. To byli żołnierze. Jeden pozostał na koniu, dwaj zsiadli i uderzeniami mieczów wyrąbywali sobie przejście.

Teraz był już pewien: tamci gonili ich. Nie wybraliby sobie takiej drogi, gdyby nie szli ich śladem. Nie śpieszyli się, gdyż nie potrzebowali się śpieszyć. Zbiegowie nie mogli im ująć. Graniczna rzeka nie powstrzymała goniących. Przypominali drapieżców, którzy biegą bez końca za ściganą gazelą, aby rzucić się na nią dopiero wtedy, gdy

padnie bez sił.

Nie mogli ujść tamtym. Byli więc zgubieni! Wróciła zaraz natrętna myśl: spowodowałem to wszystko swoją decyzją. Czuł to dotkliwie, że Najwyższy brał inicjatywę z jego ręki, jakby zupełnie nie potrzebował jego starań. Teraz jednak wyglądało, jakby chciał powiedzieć: zaufałeś sobie – i patrz, co zrobiłeś!

Wrócił do Miriam, powiedział łamiącym się głosem:

– Słuchaj, jesteśmy zgubieni. Ci ludzie, którzy jechali za nami, to żołnierze. Myślałem, że może przypadkowo jadą naszym śladem. Ale teraz jestem pewny: oni nas dostrzegli i gonią nas! Już wjeżdżają w rzekę. To ja was zgubiłem! – wybuchnął.

– Nie mów tak – powiedziała. – Jesteś naszym opiekunem i obowiązany byłeś powziąć decyzję. Postanowiłeś słusznie. Skoro nas ścigają, musimy uciekać.

– Jak im uciekniemy? Są na koniach.

– Próbujemy jednak... Sam mówiłeś, że trzeba zrobić wszystko, a wtedy On weźmie sprawę w swoje ręce...

Poderwali się, posadzili Jezusa na osła. Szli po obu stronach wierzchowca, trzymając ręce na Dziecku, jakby potrzebne im było to dotknięcie. Starali się iść szybko, ale naprawdę posuwali się wolno. Zmęczony osioł włókł ociężałe nogi. Oni także byli zmęczeni. Mokre ubrania ciążyły. Z pokaleczonych ramion spływała krew, a kąśliwe muchy bzykały nad ich pokrwawionymi ciałami.

Gdy obejrzał się, zobaczył, że żołnierze są już na ich brzegu. Dostrzegł, jak pokazują sobie palcem uciekających. Ale i teraz nie przyśpieszyli. Jechali za nimi spokojnym stępem. Jednak każdy krok koni zbliżał ich do zbiegów.

Wreszcie zrównali się z nimi. Jeden zajechał im drogę.

– Zatrzymajcie się – powiedział twardo.

Stanęli, z Dzieckiem w pośrodku, przytuleni do siebie. Tylko Kadu wyskoczył i począł gniewnie obszczekiwać żołnierzy. Jeden z nich podniósł włócznię. Miriam krzyknęła – ale było już za późno. Cios spadł. Przygwożdżony do ziemi pies wił się i skowyczał przez chwilę. Miriam zawołała boleśnie jeszcze raz i Jezus wyszeptał: „Kadu”. Nogi psa wyprężyły się, oczy zaszyły bielmem, ciało znieruchomiało.

Jeden z żołnierzy musiał być dziesiętnikiem. Tamci dwaj byli posłuszni jego rozkazom. To on groźnym gestem przywołał do siebie Józefa. Wyciągnął miecz

i przytknął ostrze do jego piersi.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Wędrowcem...

Zagulgotał śmiechem. Dotknięciem miecza zmusił Józefa do podniesienia wyżej głowy.

– Nazywasz się Józef i pochodzisz z Betlejem? To twoja żona i twoje Dziecko.

Odpowiadaj!

Przemógł się: nie zaprzeczył tamtemu, choć lęk podsuwał mu słowa zaprzeczenia.

– Jest tak, jak powiedziałaś...

Tamten zaśmiał się znowu.

– I myślałaś, że uciekniesz, co?

Nie musiał nic odpowiadać. Wszystko było wykryte. Rzekł:

– Zabijcie mnie, ich puśćcie... Ja jestem najstarszym z rodu Dawida... Jeśli kto powinien zginąć – to ja!

– I ciebie zabijemy, i ich – powiedział dziesiętnik. – To swego Syna chciałeś zrobić królem? – Nie czekał na odpowiedź. Ruszył nagle koniem, a wierzchowiec obalił Józefa. Podjechał do Miriam, która chwyciła Jezusa i trzymała Go przytulonego do piersi. Krzyknął:

– Daj to Dziecko!

– Potrząsnęła głową.

– Nie...!

Nagle odezwał się Jezus. W Jego głosie nie było lęku, ale jakby gniew:

– Nie krzycz na mamę! Nie wolno!

Dziesiętnik wybuchnął śmiechem.

– Słyszycie, co powiedział? On już uważa się za króla! Powiedz – zwrócił się wprost do Dziecka. – Jesteś królem?

– Jestem – odpowiedział Chłopiec.

– A gdzie Twoje królestwo?

Uniósł rączkę w górę i zatoczył nią krag.

– To wszystko Twoje? – śmiał się żołnierz. – I my także?

– Wszystko – zapewnił.



Dziesiętnik przestał się śmiać. Na jego okrutnej twarzy pojawił się dziwny wyraz jakby nienawiści przemieszanej z lękiem. Gestem przywołał jednego ze swych podwładnych. Wskazał mu dziecko, rzucił rozkaz:

– Zabij Je!

Ale żołnierz krnąbrnie wzruszył ramionami.

– Sam Je zabij. Nie najmowałem się do zabijania dzieci.

– Wiesz, że taki jest rozkaz. I ja ci rozkazuję! – krzyknął.

Tamten jednak nie wydawał się przestraszony.

– Nie wygłupiaj się. Ten, kto wydał rozkaz, na pewno już nie żyje.

Widziałeś, w jakim był stanie, gdy go wywozili.

– Jego następcą będzie także zabijał.

– To jego sprawa. Ja tego Małego zabijać nie będę. Zabij Go sam.

– Nie chcesz nagrody?

Odezwał się trzeci żołnierz. Gdy tamci kłócili się, on tymczasem przetrząsnął juki osła.

– Nie mają nic ze sobą. Ani wody, ani jedzenia. Ale to znalazłem!

Triumfalnym gestem wyciągnął i podniósł w górę łańcuch – dar Baltazara.

Oczy tamtych błysnęły. Dziesiętnik wydarł żołnierzowi łańcuch. Przypatrywał mu się uważnie.

– Złoto – powiedział.

– Złoto – potwierdzili tamci.

– To musi być wiele warte...

– Na pewno więcej niż nagroda, którą obiecali.

– Można mieć jedno i drugie.

– Głupis. Tamci może wiedzą o tym złocie... Będą o nie pytali.

– Powiemy, żeśmy nic przy nich nie znaleźli.

– Potem któryś się wygada i zapłacimy głową...

– Lepiej wziąć złoto, a na tych machnąć ręką.

– I tak zdechną na pustyni. Bez jedzenia, bez wody...

– Nikt nie wie, żeśmy ich znaleźli...

– A złotem się podzielimy. Nie wiadomo, jak długo teraz naszej służby.

– Ale musimy się podzielić sprawiedliwie!  
– Tylko tak, bo ty lubisz brać dla siebie największą część.  
– Jestem dziesiętnikiem!  
– Do złota nie ma dziesiętników! Policzymy ogniwa i każdy musi otrzymać jednakowo!

– Najlepiej zrobmy to od razu...!  
– Dobra! Podzielimy się. A ci niech idą precz!  
Gdy żołnierze rozmawiali, Józef podszedł do Miriam i wziął Jezusa z jej rąk. Stali znowu obok siebie, wyczerpani, słabi, ledwo trzymający się na nogach. Nie słyszeli, co żołnierze mówili między sobą. Dziesiętnik podjechał do nich. Widząc to Józef oddał Dziecko matce, a sam wysunął się do przodu.

– Jeśli chcesz zabić – zabij mnie.  
– Głupis! – powiedział dziesiętnik. – Słuchaj! Daruję wam życie. Puszczam was wolno. Pamiętaj: nie widzieliśmy was, nie spotkaliśmy was... Ale żebyś się nie ośmielił wracać do królestwa! Rozumiesz? Jeśli wrócisz, będziecie wszyscy zabici! A teraz uciekajcie!

Popchnięciami miecza zmusił ich, aby wsadzili Dziecko na osła i ruszyli w stronę południa. Chwilę patrzył za nimi.

– Daleko nie ujdą – rzekł jeden z żołnierzy, który także patrzył za odchodzącymi.  
– Ledwo idą...  
– Na pewno nikogo nie spotkają.  
– A choćby spotkali, nikt im za darmo nie da żywności. Teraz daj ten łańcuch!  
– Nie spieszcie się tak...  
– Dlaczego mamy się nie śpieszyć? Złoto jest do podziału...

Minęło południe z jego zabójczym żarem. Nie uszli rzeczywiście daleko. Ledwo tamci zniknęli im z oczu, wyciągnęli się w pierwszej napotkanej plamie cienia rzuconego przez wystającą z równiny skałę. Leżeli wyczerpani głodem, wędrówką, upływem krwi.

Po paru godzinach obudziło ich pragnienie. Józef usiadł. Trąc czoło powiedział:  
– Żołnierze na pewno już pojechali. Nie odeszliśmy daleko od rzeki. Pójdę, przyniosę wody...

– Tylko uważaj... – rzekła.

Wstał z wysiłkiem, sięgnął do skórzanej gurdy, którą miał w jukach. Gdy miał już się oddalić, Jezus rzekł wskazując kierunek paluszkami:

– Tam Kadu... Biedny Kadu...

– Uważaj – powtórzyła.

Szedł jak błędny, ślaniając się. W głowie tłukła się myśl: On ocalał, a jednak byli zgubieni. Wyczerpani, bez jedzenia, w pustynnym kraju...

Do rzeki wprost miał bliżej, a jednak słowa Dziecka sprawiły, że podświadomie skierował się na miejsce, w którym zostali złapani. Z dala już dostrzegł, że żołnierze odjechali. Nie było nikogo. Leżał tylko trup zabitego psa. Obok leżało coś jeszcze...

Pochylił się nad ciałem. Człowiek był zabity uderzeniem włóczni z tyłu. Leżał twarzą do ziemi. Gdy go obrócił, poznał dziesiętnika. Tamci zabrali jego hełm i miecz. Także jego konia. Porzucili tylko worek, który wisiał przy kulbace. Gdy zajrzał do worka, znalazł w nim zapas żywności i bukłak pełen wody.

## 12

Osiem lat minęło, odkąd zamieszkali w ziemi Goszen. Ani się spostrzegli, kiedy te lata przeleciały.

Pierwsze miesiące pobytu obfitowały w kłopoty i trudy. Dotarli do Egiptu po wyczerpującej wędrówce przez pustynię, w czasie której wydawało im się nieraz, że nie dojdą. Żywność znaleziona w worku zabitego żołnierza nie mogła starczyć na długo. Potem spotkali ludzi i aby zdobyć żywność, musieli im sprzedać osła. Kiedy weszli do Egiptu, byli nędzaczami nic nie posiadającymi.

Ale w starożytnej ziemi Goszen wciąż żyło wielu Żydów i oni pośpieszyli przybyłym z pomocą. Józef zaczął pracować, a jego umiejętności sprawiły, że po roku byli już całkiem nieźle zagospodarowani. Mieli mały domek, a przy domku znajdował się warsztat. Dzierżawili także niewielkie pólko. Leżało ono na samym skraju ziemi uprawnej i trzeba je było stale nawadniać przepompowując wodę z kanału. Tym zajmowali się Miriam i Jezus. Józef pracował w warsztacie i zrobione przedmioty woził

na targ do pobliskiego Heliopolis.

Nauczyli się żyć życiem egipskich chłopów. Zapomnieli już prawie, jak wyglądają góry. Wzrok ich przyzwyczaił się do równin. Na horyzoncie widzieli jedynie sterczące pylony pałaców, a za Nilem piramidy Cheopsa, Kefrena, Mykerinosa, Zosera. Ziemia wymagała pracy, ale dawała obfity plon. Kraj był bogaty – toteż, gdy wreszcie stanęli na nogach, mogli żyć całkowicie dostatnio.

Miriam nie zmieniła się przez te lata wcale. Gdy patrzył na jej sylwetkę, schyloną podczas pracy na roli lub sztywno wyprostowaną, gdy deptała młynek pompujący wodę, miał uczucie, że wciąż widzi dziewczynę, która zeszła do niego pod kamienny łuk nazaretańskiej studni. Także jej twarz pozostała młoda, dziewczęca, pełna pogody. Trudy i niebezpieczeństwa nie zgasiły blasku, który przeświecał ją całą, jakby jakiś kaganek płonął we wnętrzu kobiety. W jednym się tylko zmieniła: stała się jakby poważniejsza. Nie umniejszała ta powaga jej radości, a jedynie czyniła ją inną, bardziej spokojną, jeszcze silniej zespoloną z dobrocią.

Niełatwo było uwierzyć, gdy znajdowała się obok Jezusa, że ten dziesięcioletni już chłopiec, tak nieprawdopodobnie do niej podobny, jest jej Synem. Wydawał się raczej młodszym bratem. Był chłopcem wysokim, szczupłym, silnym i dorodnym. Podobnie jak oboje rodzice pracował dużo w domu: uprawiał rolę, pompował wodę i zaczynał coraz więcej nabierać znajomości pracy w warsztacie Józefa. Ojciec mógł mu powierzyć drobniejsze roboty. We właściwe dni uczęszczał z rodzicami do synagogi. Od piątego roku życia chodził stale do szkoły przy synagodze i godzinami siedząc na ziemi, razem z innymi dziećmi recytował głośno za nauczycielem słowa Tory. Powtarzał je potem w domu, wiele, wiele razy, jakby powtarzanie tych słów sprawiało mu radość. Umiał na pamięć niezliczoną ilość wersetów i często wplątywał słowa Pisma w to, co mówił. Nie tylko potrafił na wezwanie hazzana przytoczyć każdą cytate – umiał ją także skomentować i wytłumaczyć. „Macie mądrego Syna – mówił nauczyciel rodzicom Jezusa, gdy przychodzili pytać o postępy Chłopca w nauce – Oj, jakiego mądrego! Inni chłopcy, jeśli nawet zapamiętają słowa, nie rozumieją, co one oznaczają. On zawsze pojmuje. A jak umie wyłożyć! Ja myślę, że z niego mógłby być rabbi. Wy powinniście pojechać z nim do Jerozolimy. Tu Go wiele nie nauczymy. Ale tam, w świętym mieście, miałby możliwość słuchać wielkich nauczycieli...”

Hazzan powtarzał te słowa co roku, a zwłaszcza stanowczo wrócił do tej sprawy w ostatnim czasie. „My już Go niczego więcej w naszej szkole nie nauczymy – mówił. – Nie ma po co do nas przychodzić. Jemu potrzebna inna szkoła. Ja wam mówię – weźcie Go do Jerozolimy. Macie tylko jednego Syna, prawda? To musicie o Niego dbać.”

Słowa hazzana obudziły niepokój Józefa. Lata płynęły spokojnie i cicho, tak właśnie, jak on tego pragnął. Po tamtych latach niepokojów był niby czas wielkiego wypoczynku. Był znowu otoczony szacunkiem i uznaniem. Praca dawała mu zadowolenie i zarobek. Może jeno zdrowie zaczynało zawodzić. Nic właściwie mu nie dolegało, a przecież czuł się coraz słabszy. Ale nad tym nie cierpiał: Miriam okazywała mu tyle starań, że prawie sprawiało mu to radość, gdy czuł się otoczony jej ciągłą troską.

Jego miłość do niej nie uległa umniejszeniu. Utraciła jedynie swój niecierpliwy charakter. To, co odzywało się w nim na początku buntem – przepaliło się. Nie oczekiwał teraz żadnej zmiany. Pragnął tylko, aby ją mieć przy sobie, taką jak teraz: oddaną, pogodną i tak gorąco kochającą.

Nie, nie pragnął wcale zmiany. Już nie myślał teraz nigdy o tym, że Syn stoi między nim a Miriam. Pokochał tego Chłopca, jakby On naprawdę był jego własnym synem. Z radością przekazywał Mu całą swoją rzemieślniczą wiedzę. Nawet czasami chwycił się na myśli, że Jezus niedługo dojrzeje, ożeni się, sprowadzi do domu żonę – a on razem z Miriam będą radośnie patrzyli na ich szczęście.

A jednak – uświadomił sobie – może hazzan ma rację? Może trzeba, aby Jezus nauczył się więcej niż to, co mogła Mu dać wiejska szkoła? Lata pobytu w Egipcie pozwoliły Józefowi zapomnieć, że jest tylko cieniem Ojca. Niepokój kazał pytać: czy spełniam właściwą rolę, do której zostałem powołany?

– Miriam – rzekł kiedyś, gdy po pracowitym i upalnym dniu siedzieli odpoczywając w cieniu – czy nie sądzisz, że hazzan ma słuszość? Może rzeczywiście trzeba nam wrócić do ziemi ojców, aby Jezus mógł poznać i nauczyć się więcej? Dochodzi lat dojrzałości. Niedługo obowiązywać Go będzie nakaz odbywania corocznej podróży do świątyni... Mówię: obowiązywać Go będzie, bo chyba powinien żyć jak wszyscy prawowierni Żydzi...

Miriam skinęła potakująco głową, a po jej twarzy przeleciał radosny błysk. Pomyślał, że ona mniej łatwo pogodziła się z życiem w Egipcie. A jednak nie okazała

tego nigdy w ciągu tych lat – ani słowem, ani nawet aluzją.

Powiedziała:

– Na pewno, Józefie, masz słuszość. Czy wiesz, co się dzieje w Palestynie?

Po prawdzie nie wiedział. Ogarnęło go całkowite zubożnienie dla tego, co tam zostało. Może po prostu podświadomie nie chciał wiedzieć... Dopiero po roku w Egipcie posłał przez jadącą do Galilei karawanę wiadomość do Kleofasa o tym, że żyją i że są w Egipcie. Po paru miesiącach otrzymał odpowiedź. Znowu – po roku czy dwóch – napisał – i znowu mu odpisano. Gdy ostatni raz – gdzieś przed rokiem – wysłał wiadomość do szwagra, odpowiedział mu na nią Szymon, najstarszy z synów Kleofasa. Szwagier umarł, ale rodzina mieszkała dalej w Nazarecie.

– Wiem – powiedział – że Herod umarł wtedy, gdy myśmy wędrowali przez pustynię. Potem mówiono mi, że tron po nim objął jego syn Archelaos. Podobno jest równie okrutny jak jego ojciec.

– I ciągle panuje?

– Nie wiem. Myślę, że powinienem iść pomiędzy ludzi, dowiedzieć się. Opowiadał mi Symche, wiesz ten kupiec, że akurat wczoraj przybyła jakaś karawana z Jerycha... Pójdę, spróbuję zobaczyć się z tymi ludźmi...

Nie przynaglała. A jednak czuł coraz mocniej, że bardzo pragnie powrotu. Umiała milczeć, lecz teraz pękła jakby jakaś tama, która kazała jej ukrywać swe pragnienie. A ja wcale tego powrotu nie pragnę – myślał. Jest mi dobrze. Żyję życiem spokojnym obok kobiety, którą bardzo kocham. Tutaj wszystko ma naturalny bieg. Tam, czuję, czekają sprawy, które zniszczą spokój...

W cieniu rozpiętego namiotu zasiedli we trzech, aby napić się cierpkiego judejskiego wina. Zezowaty Symche zaznajamiał Józefa z przybyłym kupcem.

– Ruben syn Gery handluje pachnidłami. Od czasów Kleopatry tutejsze ślicznotki nauczyły się używać olejków jerychońskich. Płacą cenę, jakiej się tylko od nich zażąda. Ruben przywozi także wino dla naszych. Dobre wino, przygotowane jak należy, według

przepisów, jakie głoszą pobożni doktorzy. Nie dotknął gron nikt nieczysty... A to, Rubenie, Józef syn Jakuba, znakomity naggar. Chciał cię zapytać o rozmaite rzeczy...

Kupiec o szerokiej, prawie kwadratowej twarzy napił się, otarł usta wierzchem dłoni i skłonił się lekko Józefowi.

– Pytaj, Józefie, o czym chcesz wiedzieć. Na wszystko odpowiem ci chętnie.

– Mieszkam w Egipcie od wielu lat. Kiedyś przybyłem tu z Judei. Mój Syn dorasta i czas się zbliża, aby się wybrać z Nim do świątyni, jak każe przepis. Chciałbym, abyś mi powiedział, co się dzieje w ziemi judzkiej... Gdy odjeżdżałem, objął tron król Archelaos...

– Archelaos już nie panuje w Judei! Był okrutny i dokuczał wszystkim. Obiecał i nie dopełnił tego, co obiecał. Wciąż wybuchały bunty i lała się krew. Zebrało się wielu czcigodnych doktorów i wysłało posłów do cesarza, błagać go, by pozbawił Archelaosa tronu, a na jego miejsce ustanowił rzymskiego namiestnika. Rzymianie nie są źli. Lepszy niż przeklęty ród idumejski! Można przy nich handlować, a do spraw religii nie mieszają się. Cesarz wysłuchał prośby i wezwał do siebie Archelaosa. Nie pozwolił mu wrócić do Judei. Skazał na wygnanie...

– Więc kraj przeszedł pod władanie Rzymian?

– Nie cały. Galileę Rzymianie pozwolili rządzić Antypasowi, a Abilena i Trachonitis dostały się Filipowi. Mają jednak rządzić pod nadzorem rzymskim. Do Judei przybyło dwóch dostojników Rzymian: Kwiryniusz i Koponiusz. Ledwo przybyli, zarządzili, aby dokonany został spis ludzi w całym kraju...

– Spis!?

– Oburzyłeś się? Wielu się oburzyło. Powstało wielkie podniecenie. Ale arcykapłan, starsi, a nawet niektórzy doktorzy uspokajają. Wzywają do spokoju. Mówią, że grzech za spis spada na goimów, nie na wiernych. Nie wszyscy chcą ich słuchać. Wybuchły nawet walki. Wszczął je Juda z Gamali. Ogłosił, że królestwo żydowskie ma tylko jednego władcę: Najwyższego, Sabaoth... A on, Juda, jest zapowiedzianym przez Pisma mesjaszem...

Drgnął. Powróciły stare wspomnienia: rozmowa ze spotkanymi ludźmi, gdy szedł po raz pierwszy do Nazaretu... Zapomniał o ambicjach tamtego człowieka, gdy codziennie patrzył na Chłopca, który był zapowiedzianym Mesjaszem.

– I co się stało z tym Judą? – zapytał.

– Walczy dalej. Znalazł sobie zwolenników w Galilei. Nie porwał jednak całego narodu. Antypas wezwał przeciwko niemu Rzymian, a oni ścigają go. Musi się kryć i tylko napada z ukrycia. Gdyby był prawdziwym mesjaszem, na pewno by wszystkich pociągnął za sobą i zwyciężył...

– Więc jednak w kraju walki i niepokoje?

– Ach, nie, mówię ci przecież, że Juda jest ścigany. Może już został schwytany? Wszędzie pod rządami Rzymian panuje ład i spokój. Nie było tak za czasów Archelaosa...

– A spis odbywa się?

– Już się odbył.

Jeszcze przez jakiś czas rozmawiali o tym i o tamtym – a potem Józef podziękował Rubenowi za wiadomości i udał się do domu.

Słońce paliło, suchy egipski skwar nie był zbyt dokuczliwy. Józef idąc szeptał berakę: „Panie, Królu świata, zechciej wskazać swemu słudze, jaka jest Twoja wola. Nie daj, abym szukał dla siebie spokoju, gdy Ty żądasz działania...”

Niełatwo mu było tę modlitwę sformułować. Może inni potrafili mówić do Najwyższego słowa, których się potem wypierali. Józef wiedział: gdy wyciągnął rękę, tę rękę zawsze ujmowała niewidzialna Dłoń... A jednak, choć było mu ciężko, powtarzał: „Okaż mi, proszę Twoją wolę...”

Gdy zbliżył się do domu, usłyszał szurganie hebla. Cicho stanął przy drzwiach. Jezus pracował pochylony nad warsztatem. Widział Jego chłopięce plecy poruszające się rytmicznie i wężyki pejsów bujające się przy uszach. Co chwila przerywał pracę, brał w dłoń heblowaną deseczkę i przesuwiał po niej palcem próbując jej gładkości.

– Nad czym pracujesz? – zapytał.

Chłopiec rozprostował zgarbione plecy. Obrócił się i wierzchem dłoni otarł spocone czoło.

– Mamie potrzebna półeczka – powiedział. – Obiecałem także Azubie zrobić dla niej stółek.

Azuba była córką sąsiadów, rówieśnicą Jezusa. Gdy byli młodszy, bawili się często



razem, potem także zachowali dla siebie przyjaźń. Kiedyś powiedział do Józefa Mika, ojciec Azuby: „A może kiedyś poženimy nasze dzieci?” Józef nic nie odpowiedział. Rodzina była przyjazna i pobożna, dziewczyna ładna i zapowiadała się na dobrą gospodynię. Co mam mu odpowiedzieć? – myślał wtedy. Jak długo wszystko będzie jak dotąd, zwyczajnie? Kiedyś pragnął, aby przyszła wielka chwila kończąca zwyczajność. Dziś wolałby, aby zwyczajność trwała jak najdłużej...

– Azuba – rzekł Jezus – zbiera rzeczy na swoje gospodarstwo. Niedługo wyjdzie za mąż.

Więc jednak Mika zrozumiał jego milczenie jako odmowę i powziął inne postanowienie. A może zresztą były inne tego przyczyny. Azuba, jako dziewczyna, była już dojrzała. Jezus pozostawał ciągle jeszcze chłopcem.

Położył dłoń na ramieniu Syna. Zapytał:

– Powiedz, czy chciałbyś abyśmy wrócili do ziemi ojców?

Chłopiec odwrócił twarz. Jego oczy – zupełnie takie same jak oczy matki – patrzyły spokojnie na Józefa.

– Tak, abba – powiedział.

– Czy tutaj jest Ci źle? Potrzęsnał głową.

– Nie. Ale tam jest Dom Najwyższego.

– Moglibyśmy pójść do świątyni i wrócić...

– Stanie się według twojej woli, abba.

Tak samo jak matka posłusznie zdawał się na jego wolę.

– Ja jednak chciałbym, abyś sam rozważył – rzekł. – Dorastas, niedługo może zechcesz założyć własny dom. Tam w ziemi ojców żyją Twoi bliscy. W Nazarecie są synowie i córki wuja Kleofasa. W Betlejem... – urwał uświadomiwszy sobie, że więzi między jego Synem a rodem Dawida zostały całkowicie potargane. – Tak – podjął dalej – ziemia żydowska jest Twoją ojczyzną i rozumiem, że chcesz do niej wrócić. Ale musisz pamiętać, że chciano Cię tam zabić...

Jezus stał z heblem w dłoniach. Czas jakiś panowało milczenie.

– Dzięki Najwyższemu ocalałeś – znowu podjął. – Ale niebezpieczeństwa mogą odżyć. Na pewno trzeba będzie wrócić... Nie wiem jednak, czy czas już nadszedł...

Znowu przez chwilę trwała cisza.

– Skoro kazałeś mi, abba, rozważyć – odezwał się Chłopiec – pozwól, że ci powiem, co myślę. Sądzę, że czas powrotu nadszedł. Napisano u Proroka: „Z Egiptu wezwałem Mego Syna...”

– Prorok mówił o Izraelu...

– Teraz mówi o Mnie. Woła Mnie...

Drgnął. Niespokojnie spojrzał w twarz Chłopca. Szukał wzrokiem, czy coś się na niej nie zmieniło. Wydawała się taka sama, jaką znał: pogodna, spokojna, chłopięca. A jednak miał wrażenie, że dostrzegł w oczach Jezusa dziwny, nieznany błysk. Schylił głowę.

– W takim razie – powiedział – wrócimy.

14

Teraz pośpiesznie załatwiał sprawy powrotu. Pozostawiali wszystko, czym narosło ich życie w ciągu lat pobytu w Egipcie. Ludzie w Goszen byli zdumieni: „Jak to? – mówili. – Chcecie odejść od takich bogactw? Oczywiście, oczywiście, to bardzo pięknie, że wracacie do ziemi ojców. Każdy z nas wróciłby. Każdy z nas o tym tylko marzy. Ale nikt rozsądny nie rzuca tego, co zbierał przez całe życie. Mamy domy, warsztaty, ziemię... Egipt jest krajem bogatym. Panuje tutaj spokój. A Judea i Galilea, po tym, co się tam ostatnio działo, leżą w ruinach. Kto tam pojedzie, będzie musiał wszystko zaczynać od nowa...”

Słuchali tych słów – i nie odpowiadając na nie, gotowali się do drogi. Józef zabrał swoje narzędzia, Miriam odzież, trochę statków domowych. Wracali na dwóch osłach. Na jednym miała jechać Miriam, na drugiego załadowano bagaż i żywność na drogę.

Przeprawili się przez zatokę do Peluzjum, a potem ruszyli drogą nad brzegiem morza. Rzymskim traktem, którym szli, wędrowały liczne karawany i całe gromady ludzi. Nie śpiesząc się na piąty dzień dotarli do Gazy.

Nie mieli zamiaru pokazywać się w Betlejem, więc szli dalej traktem do Emaus. Miasto Zaczynało się odbudowywać po całkowitym zniszczeniu. Z Emaus skręcili do

Jerozolimy. Po powrocie do ojczyzny chcieli przede wszystkim złożyć ofiarę Najwyższemu. Wpłątani w tłum zbliżyli się do murów świętego miasta.

Ich droga prowadziła do bramy Efraima. Z prawnej strony mieli zębate obwarowania pałacu Heroda z wieżami Hippikos, Fazaela i Mariammy. Z lewej wznosiło się wzgórze Gaerb. Choć położone poza murami, pokryte było domami leżącymi wśród ogrodów. Tu były wille najbogatszych mieszkańców Jerozolimy. Ale i tędy przeszła wojna. Domy stały spalone lub zburzone, zieleń odrastała ze zrąbanych pni.

Ze zbocza wzgórza, bliżej drogi wyrastało kilka odrębnych wzniesień. Były to nagie, białe skały sterczące pośród zieleni. Najwyższa z nich miała kształt niby wielkiej czaszki wynurzającej się z ziemi. Dwa ciemne zagłębienia wydawały się oczodołami. Na gładkim szczycie skały – jak zresztą i na innych – sterczało kilka słupów, przypominających odarte z gałęzi i liści drzewa. Niektóre stały prosto, inne chyliły się, jakby miały za chwilę upaść. Któryś zachował poprzeczkę. Józef nie wiedział, co oznaczają te słupy – a jednak dziwny dreszcz przebiegł jego ciało, gdy patrzył na nie.

Minęli bramę. Wąskie uliczki prowadziły w dół zapadliska Tyropeonu, a potem w górę pod skałę, na której wznosiła się świątynia. Wielki masyw budynku ciążył nad miastem. Obok, groźnie, na skraju góry Moria, sterczała przysadzista wieża, Baris, której nadano imię Antonia. Służyła jako koszary dla żołnierzy rzymskich.

W ulicach mniej było widać śladów walk, ale otoczenie świątyni ucierpiało bardzo. Wspaniałe krużganki zostały spalone i świątynię otaczał wieniec czarnych, osmalonych słupów. Ale już i tutaj trwała praca nad odbudową, widać było pracujących i rozlegał się stukot młotów ociosujących kamienie.

Mimo spalonych krużganków na dziedzińcu świątyni znajdowało się wielu ludzi i między opalonymi kolumnami stały stragany sprzedawców. Słysząc było głosy zwierząt i zgiełk targowy. Kupcy przywoływali nabywców, chwyтали ich za poły płaszców.

Oni jednak nie mieli zamiaru nic kupować. Józef wiedząc jak boleśnie Miriam znosi krwawe ofiary, zaproponował, aby złożyć ofiarę z ciasta. Miriam przyjęła ten pomysł radośnie. Poprzedniego wieczoru w domu, w którym się zatrzymali, uprosiła gospodynię, by pozwoliła jej upiec przeznaczone na ofiarę praśne placki. Mozoliła się nad tym pieczeniem do późna w noc. Były starannie wypieczone, cieniutkie, skropione

oliwą. Niosła je w wielkim koszu.

Z trudnością przepychali się przez tłum. Józef oglądając się raz po raz na Syna, aby go nie zgubić w ciżbie, dostrzegł, jak na twarzy Jezusa pojawiło się zdumienie, które przemieniało się z wolna w wyraz oburzenia. W pewnej chwili Chłopiec pociągnął Józefa za rękaw.

– Abba – zapytał – dlaczego ci kupczacy zebrali się tutaj pod Przybytkiem?

– Sprzedają zwierzęta ofiarne. A bankierzy zmieniają pieniądze...

– Kto zdoła usłyszeć głos Najwyższego wśród zgietku? – w słowach Jezusa dźwięczał żal. – Kto znajdzie do Niego drogę? Tak nie powinno być, abba.

– Masz słuszość, Synu. Co jednak można zrobić, aby było inaczej?

Chłopiec nie odpowiedział. Tak bywało nieraz: rzucał jakieś pytanie dotycząc jakiejś niezmiernie ważnej sprawy, lecz kiedy zrozumiał, że dorośli właściwego wyjaśnienia dać Mu nie potrafią – milknął. Sam nie próbował na swe pytanie odpowiedzieć.

Kapłan przyjął ofiarę i pobłogosławił Miriam, Jezusa i Józefa. Opuścili Przybytek i przez ciągle zapchany Dziedziniec Pogan wrócili do miasta; do osłów, pozostawionych pod opieką w gospodzie. O zanocowaniu w Jerozolimie nie mogło być mowy: nie było tu miejsca dla przybyszów. Opuścili miasto i ruszyli dalej. Pod wieczór dotarli do Betanii.

Wieś leżała na zboczu Góry Oliwnej. Gdy wjechali między domy, przekonali się, że nie ma tutaj zajazdu. Postanowili poprosić o gościnę mieszkańców. Miriam, zobaczywszy kobietę, która szła z koszem świeżo wypranej bielizny na głowie, podeszła do niej.

– Wybacz, że cię zatrzymuję, siostró. Ale jesteśmy wędrowcami: idziemy z daleka i mamy jeszcze przed sobą długą drogę. Odwiedziliśmy święte miasto, tam jednak nie było miejsca do zanocowania. Przybyliśmy tutaj sądząc, że znajdziemy zajazd. Nie ma go tu, a noc się zbliża. Czy nie zechciałabyś wskazać nam domu, w którym zgodzono by się przyjąć nas na noc?

Kobieta zatrzymała się i zdjęła kosz z głowy. Wtedy Miriam zobaczyła jej twarz. Wydawało jej się, że tę twarz musiała kiedyś widzieć. Na pierwszy rzut oka należała do starej, zmęczonej kobiety. Ale naprawdę, to nie była stara twarz i uśmiech kobiety pełen był życzliwości i dobroci.

– Jeśli chcecie, zatrzymajcie się u mnie. To tu, niedaleko. Dom nasz przestronny, a dzieci tylko troje. Mąż i ja będziemy wam radzi. Mamy syna akurat jak ten Chłopiec – wskazała Jezusa.

– To mój Syn.

– Nie wyglądasz na tak dużego Syna. Wydajesz się prawie dziewczyną. Czy ja cię już kiedyś nie widziałam...? – popatrzyła na Miriam, a potem zmrużyła oczy, jakby szukała w pamięci.

Miriam spuściła oczy i nie odpowiedziała. Teraz była już pewna, że zna kobietę, że spotkały się ze sobą. Jakaś nieśmiałość sprawiła, iż nie chciała przypominać tego spotkania.

Kobieta nie podjęła tej sprawy. Zrobiła zapraszający ruch ręką.

– Chodźcie, chodźcie – powiedziała. Szła przodem w stronę wskazanego przez siebie domu. Miriam, gdy zbliżyła się, poznała także dom.

Przed domem stał chłopiec w wieku Jezusa. Obok niego może trzyletnia dziewczynka.

– To mój syn Łazarz – przedstawiła kobieta. – A to córeczka, Marta... Weź, Łazarzu, ten kosz ode mnie, a ja pokażę naszym gościom, gdzie mogą złożyć swoje rzeczy. Gdy skończysz z bielizną, zajmij się osłami.

– Ja ci pomogę – rzekł Jezus. Nie zawsze z taką śmiałością podchodził do obcego chłopca. Wzięli we dwóch kosz i oddalili się. Idąc mieli głowy pochylone ku sobie i coś do siebie mówili, jakby coś od razu mieli sobie do powiedzenia. Dziewczynka biegła za nimi.

W izbie w kołysce leżało jeszcze jedno dziecko. Miriam przechodząc pochyliła się nad nim.

– Jaka śliczna – powiedziała uśmiechając się do dziecka. – To dziewczynka, prawda?

– Tak. Mam chłopca i dwie córki. Najwyższy nie dał więcej. – Kobieta westchnęła, ale zaraz podjęła weselej: – Z chłopcem miałam wiele zmartwień i już myślałam, że nie będę miała w ogóle więcej dzieci...Najwyższy okazał zmiłowanie, niech na wieki będzie chwalone Jego imię...

Zaczęła się krzątać po domu, aby ugościć przybyłych. Wydobyła ze schowka

chleb, ser, mleko, owoce.

– Chodźcie, proszę do stołu – mówiła. – Nie jest u nas bogato, ale tym, co mam, dzielę się chętnie. Byliście w świętym mieście? Widzieliście zniszczenia?

– Rzeczywiście – przyznali – są ogromne.

– Och, dziś już połowy zniszczeń nie widać! – Kobieta rozgadała się, lubiła widać mówić. – Trzeba było widzieć zaraz jak się skończyło oblężenie. Widzieliśmy stąd dym nad świątynią. Walczono na dziedzińcu. Mówią, że wódz rzymski zrabował skarb Przybytku. A potem kiedy przybyli inni Rzymianie, by uwolnić tych, którzy byli oblężeni w mieście, żebyście widzieli, co się wtedy działo! – załamała ręce. – Buntownicy uciekli, a Rzymianie chwyтали, kogo popadło, i przybijali do krzyżów. Wycięli wszystkie drzewa wokoło miasta na krzyże. Jeszcze niektóre z nich stoją na Golgocie....

Podsuwała im jedzenie i nie przestawała opowiadać. Przyszli tymczasem z pola jej mąż i brat. I oni także zasiedli do stołu. Chcieli dowiedzieć się od Józefa, skąd idą. Gdy usłyszeli, że przybywają z Egiptu, zaczęli ich z kolei wypytywać o to, co się dzieje w kraju nad Nilem. To była w ich pojęciu ziemia wszelkich bogactw i radości. Mówili o niej z podziwem i zazdrością. Tam nie dzieją się takie straszne rzeczy, jakie działy się tutaj. Może teraz nareszcie przyjdzie pokój. Rzymianie obiecują, że będą sprawiedliwie zarządzili...

Rozmawiali do późna, aż wreszcie przyszła chwila, aby się położyć spać. Gospodyni wskazała gościom miejsca. Było znowu jak wtedy przed laty: ciemną izbę słabo rozświecał drgający blask kaganka i w kołysce leżało dziecko. Ale dziewczynka nie płakała, jak wtedy tamten chłopiec. Spała spokojnie.

Obie kobiety pochyliły się nad kołyską dziecka.

– Dziewczęta są zdrowe – powiedziała matka. – Nie mam z nimi kłopotu. Inaczej było z Łazarzem...

Przyłożyła dłonie do policzków i uniosła oczy w górę.

– To było straszne, straszne... – mówiła. – On miał przecież – ściszyła głos, jakby tylko szeptem wolno było wymówić to przerażające słowo – Urząd...

Na chwilę zamilkła, ale zaraz podjęła znowu:

– Przyszedł lewita, aby powiedzieć, że muszę oddać dziecko. Że nie wolno mu pozostawać ze zdrowymi, ale musi być oddane trędowatym...

Byłam bliska śmierci. Łazarz ciągle płakał... Następnego dnia mieli przyjść po niego...

Urwała, Miriam poczuła, że oczy kobiety są w nią wlepione.

– Przecież to ty byłeś wtedy! To ty! Teraz jestem pewna. Przyszedłeś ze starym człowiekiem, który zasłabł...

Nie odpowiedziała. Schyliła głowę.

– To ty byłeś – mówiła gorąco kobieta. – To ty go uzdrowiłeś! Tym razem potrząsnęła stanowczo głową.

– Nie, nie, to nie ja...

– Ależ to ty – kobieta przekonywała z zapalem. – Pamiętam, jak pochyliłeś się nad Łazarzem. Inni cofali się. Ty się nie bałeś... Kim jesteś?

Powiedz.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

– Jestem matką jak ty. Tylko matką... Patrz – starała się zwrócić uwagę kobiety w inną stronę – chłopcy rozmawiają ze sobą. Zaprzyjaźnili się od razu.

– Oby Najwyższy sprawił, żeby ta przyjaźń nigdy się nie skończyła! – powiedziała matka, składając dłonie.

## 15

I znowu wędrowali znajomym szlakiem, omijającym Samarię. Jerycho leżało jeszcze w gruzach od czasu, gdy miasto znalazło się w rękach Szymona, niewolnika z dworu Heroda, który stanąwszy na czele bandy rozbójników z Perei, próbował ogłosić siebie królem. Wszędzie na drodze napotykali ruiny i zgliszcza. Ale już pokój wrócił i ludzie krzatali się przy odbudowywaniu spalonych domostw i sadzili drzewa na miejsce zrąbanych. Na drogach panowało bezpieczeństwo wywołane obecnością Rzymian. Każdy schwytany rozbójnik był natychmiast krzyżowany. Straszna, najokrutniejsza z kazi pojawiła się na nowo w Judei. Stosowana w czasach wojen hasmonejskich, później została prawie całkiem zapomniana. Na nowo zaczął krzyżować Herod. Potem przyjęli ten sposób karania żołnierze rzymscy. Liczne egzekucje spowodowały wyniszczenie tak

rzadkich w kraju drzew. Mówiło się, że złożono prośbę do nowo mianowanego namiestnika Judei, aby nie stosował kary krzyża.

Przeprawili się przez Jordan i szli przez dwa dni drogą między zapadliskiem ghoru a nagimi górami perejskimi. Potem drugi raz przekroczyli rzekę między Pellą a Scytopolis. Teraz znaleźli się na obszarze Galilei, która tworzyła obecnie samodzielną tetrarchię. I tu także napotykali wszędzie ruiny. Były świeże – walki z buntownikami toczyły się przed kilkoma dniami. Miasteczko Naim dymiło się jeszcze, kiedy je mijali. Ludzie wracający do swych spalonych domów opowiadali, że przed czterema dniami pod miastem odbyła się krwawa bitwa Rzymian i żołnierzy tetrarchy Antypasa z powstańcami, którym przewodził Juda z Gamali. Powstańcy zostali otoczeni i wycięci. Tych, którzy nie zginęli, żołnierze ukrzyżowali.

Mieli się o tym przekonać, gdy znaleźli się na szerokim grzbiecie górskim między Nazaretem i Sefforis. Wzdłuż drogi ciągnęła się niby kolumnada krzyżów. Wisieli na nich ujęci buntownicy. Nad poskręcany w męce ciałami unosiły się całe chmury ptactwa. Ptaki siadały na ramionach krzyżów i na głowach skazańców. Wydziobywały oczy, kuły dziobami ciała. Nocami pod krzyże musiały przychodzić szakale i rzucały się na zwłoki, gdyż wiele ciał miało poszarpane nogi i brzuchy.

Nad drogą ciągnęła się woń rozkładu. W większości wisały już tylko trupy. Ale tu i tam ciało poruszało się jeszcze węzowym ruchem, jakby czołgało się po krzyżu to w dół, to w górę. Wokół aż huczało od rojów much.

Gdźniedzie pod krzyżem stała kobieta i odpędzała kijem szarpiące ciało ptactwo. Drogą przejeżdżały patrole rzymskich żołnierzy. Żołnierze nie odganiali kobiet. Patrzyli obojętnie na ciała ukrzyżowanych i tylko popędzali konie, aby oddalić się jak najszybciej od gnijących zwłok.

Na wzniesieniu, gdzie droga schodziła w dwie strony: do Sefforis i do Nazaretu, na wyższym niż inne krzyżu wisił człowiek, a nad jego głową była deseczka z napisem. Choć zgębieni przerażającym widokiem, jaki mieli przed oczami, usiłowali szybciej minąć las krzyżów, tutaj zatrzymali się. Człowiek zawieszony musiał dopiero co umrzeć. Jeszcze na jego ciele widać było świeżą krew. Jeszcze było mokre od potu. Głowa zwisała nisko, usta były szeroko otwarte, jakby z krzyku, naprężone mięśnie skamieniały w ostatnim zrywie. Na tabliczce nad głową wiszącego było napisane: „Juda z Gamali,



mesjasz żydowski”.

Józef machnięciem ręki odpędził ptaka, który siadł na ramieniu wiszącego i wyciągnąwszy długą, pozbawioną pierza szyję usiłował dziobem sięgnąć oka. Bez tego napisu nie byłby poznał Judy. Patrzył ze zgrozą na skręcone i zniekształcone męką ciało. Nie przypominało człowieka pełnego sił i pewności siebie, który przed laty namawiał go, by stał się jednym z jego zwolenników.

O, Adonaj – posłyszał szept koło siebie. – Jak ten nieszczęsny musiał cierpieć... Powinniśmy złożyć ofiarę za niego, jak Juda Machabeusz składał za swych żołnierzy...

To powiedziała Miriam. Już poprzednio, gdy wędrowali wzdłuż kolumnady krzyżów, widział, jak po jej policzkach spływały łzy, a wargi poruszały się cichą modlitwą. Ale widok tego ciała zdawać się mogło nappełnić ją większą jeszcze żalością niż widok tamtych. Jej usta drgały boleśnie, łzy staczały się, pozostawiając lśniące smugi.

Chciał powiedzieć coś uspokajającego, zabrakło mu jednak słów. Patrząc na to umęczone ciało myślał, że świat, w którym jedni ludzie potrafią zadawać takie męki drugim, jest światem szaleństwa. Trzeba od niego uciec albo trzeba się pogodzić z jego strasznymi prawami. Dla człowieka nie było innego wyjścia, człowiek nie mógł tych praw zmienić. Żaden ludzki mesjasz nie zdołałby tego uczynić. Każdego czekało to samo...

Wzrok Józefa oderwał się od okrwawionego ciała i pobiegł ku stojącemu obok Chłopcui. Jezus patrzył uważnie na wiszącego. Jego spojrzenie zdawało się schodzić wolno, jak po stopniach, od tabliczki nad zwisłą głową do poprzębijanych nadgarstków, do rozdętej piersi, do zapadniętego brzucha, do przygwożdżonych stóp. Można by sądzić, że Chłopiec pragnie zobaczyć każdy szczegół kaźni i zachować go w pamięci. Józefowi wydawało się, że w tym spojrzeniu czyta zgrozę; ale także coś niby zażartą wolę...

Kim On naprawdę jest – zadał sobie pytanie – On, który zwracał się do niego słowem „ojcze”? Jeśli ma być jeszcze jednym ludzkim mesjaszem, jak ten, który wisi na krzyżu, czeka Go nieuchronna klęska. Nic Go nie ocali od niej. Czy Mesjasz prawdziwy będzie inny niż ci, którzy przyjmowali Jego imię? Wszystko zaczęło się od cudownego początku. Ale życie biegło coraz dalej, zwyczajnie... To wszystko było zbyt trudne do pojęcia. Już dawno zwątpił w możliwość zrozumienia tajemnic, które przyszło mu kryć. Jedno czuł: był z tymi tajemnicami związany nierozzerwalnie. Nie tylko dlatego, że został

wezwany. Z wolna pojął, że pragnie być tym, kim kazano mu być. Czy jego rola była mała, czy duża – nie wiedział ale była to rola, której za żadną cenę nie zgodziłby się wyrzec. Czymkolwiek miałoby to grozić... To ciało przeraża – myślał patrząc na krzyż. Ale gdyby nawet tym trzeba było zapłacić – zapłacę, aby mój Syn stał się prawdziwym Mesjaszem! Choć boję się tego bólu każdym skrawkiem mego ciała – niech tak będzie!

## 16

W kraju wracał spokój – i ich życie w Nazarecie stawało się podobne do cichego, spokojnego życia, jakie wiedli w ziemi Goszen.

Zamieszkali w tym samym domu, który Józef niegdyś przygotował dla Miriam. Obok żyła rodzina Kleofasa: jego żona, synowie i córki. Józef podjął pracę w swym dawnym warsztacie i szybko rozeszła się po mieście i okolicach wieść o tym, że w Nazarecie pracuje znakomity naggar. Jak dawniej nie brakło mu zamówień. Było ich nawet więcej niż kiedykolwiek, gdyż wiele przedmiotów domowego użytku uległo w czasie pożarów i wojen zniszczeniu i teraz gdy wszystko się odbudowywało, zapotrzebowanie na sprzęt rolniczy i domowy wzrosło. Trudno się było po prostu opędzić od nachodzących warsztat ludzi.

Jezus coraz więcej pomagał Józefowi. Pracowali obaj ciężko. Dzięki ich pracy dom został zaopatrzony we wszystko, co było potrzebne. Gdy już niczego nie brakło, Józef powrócił do sprawy nauki Syna.

Udał się do zwierzchnika synagogi i po rozmowie z nim wysłał Jezusa, aby zwierzchnik i hazzan mogli się przekonać o Jego umiejętnościach. Egzaminy ciągnęły się przez kilka dni. Potem zwierzchnik wezwał Józefa.

– Zrobiłem, co chciałeś, Józefie synu Jakuba – powiedział.– Obaj z hazzanem przepytaliśmy twego Syna. Jest tak, jak mówiłeś: On wie dużo. Chłopcy, którzy się uczą w naszej szkole, nie umieją więcej po jej skończeniu. A nawet powiem ci szczerze: nie umieją tyle co On. Bo On nie tylko dużo pamięta, ale jest mądry i potrafi myśleć. Może rzeczywiście byłoby dobrze, aby Go wykształcić na doktora? My Go jednak tutaj niczego nie nauczymy. Tylko w Jerozolimie mógłbyś znaleźć dla Niego stosowną naukę.

Zaprowadź Go tam, oddaj w ręce któregoś z nauczycieli. Hillel jeszcze żyje, ale jest już bardzo stary. Uczą jego uczniowie. Mówią, że wnuk Hillela odziedziczył po dziadku wielką wiedzę. Są także uczniowie Szamaja, a wśród nich najslawniejszy Johanan ben Zakkaj. Jest Jozue syn Ananiasza, o którym mówią, że jako dziecko zaniósł swą kolebkę do świątyni, aby móc brać udział w uczonych dysputach. Do nich Go prowadź. Tu w Nazarecie niczego Go nowego nie nauczymy.

Wracając z rozmowy ze zwierzchnikiem synagogi Józef poczuł się nagle źle. Już od rana dręczyła go dziwna słabość. Potem spadł na niego ostry ból w piersiach i dławiący brak oddechu. Ledwo zdołał wrócić na górę do domu. Miriam pomogła mu się położyć i zaopiekowała się nim troskliwie.

Dopiero po kilku dniach bóle i duszność ustąpiły. Pozostała wielka słabość. Nie było mowy, aby podjąć pracę w warsztacie. Przychodzili ludzie, którzy zgłaszali się po odbiór zrobionych przedmiotów, i Józef słabym głosem przeproszał ich i tłumaczył, dlaczego nie dotrzymał terminu. Był tak nawykły do punktualnego wykonywania wszystkich zamówień, że niedotrzymanie terminu czuł jako bolesne upokorzenie. Przez całe życie był wierny każdej złożonej przez siebie obietnicy, w małej czy wielkiej sprawie i wobec każdego człowieka. Ta solidność zdobywała mu otoczenie, gdziekolwiek przebywał.

Niektóre drobniejsze roboty mógł wykonać Jezus. Józef pilnie patrzył ze swego posłania na pochylonego nad warsztatem Chłopca. Umiał na pewno wiele, był zręczny, lubił pracę przy drewnie. Ale był ciągle jeszcze tylko chłopcem. Dopiero za rok miał osiągnąć bar micwa – dojrzałość religijną. Ale ile jeszcze czasu trzeba było, aby stał się całkiem dojrzały życiowo?

Co będzie, jeśli stracę siły, zanim On będzie umiał zapracować na matkę i na siebie? Co będzie z nimi, jeśli umrę? Myśl o śmierci zjawiała się nagle. Nie był człowiekiem starym, nigdy dotychczas nie chorował. Ludzie w rodzie Dawida żyli na ogół długo. Czyżbym jak Mojżesz – stanęło niespodziewanie przed Józefem – wyprowadziwszy Izraela z Egiptu miał umrzeć na samym progu Ziemi Obiecanej? Czy to znaczy, że nie wykonałem zadania, które mi zostało powierzone?

Leżał z twarzą wciśniętą w posłanie coraz mocniej przygnieciony brzemieniem tych myśli, gdy usłyszał nad sobą głos Miriam:

– Przyniosłam ci, Józefie, rosółu z kury. Musisz wypić, aby się wzmocnić.

Ta choroba zupełnie pozbawiła cię sił.

Drgnął, dźwignął głowę. Jego oczy spotkały się z oczami Miriam. Musiała dostrzec zawarte w jego spojrzeniu niepokój i przygnębienie.

– Znowu trapisz się czymś – powiedziała z łagodnym wyrzutem.

– Myślę – powiedział – że źle wypełniłem zadanie, które Najwyższy mi powierzył. I dlatego On odebrał mi siły.

– Po co próbujesz odgadywać Jego myśli? – przysiadła na posłaniu obok niego. – On ma swój własny sposób mówienia do człowieka. Może gdy zsyła słabość, właśnie chce, aby człowiek wydobył z siebie wszystkie siły? Napij się tego, co ci przyniosłam, i odpędź od siebie niepotrzebne myśli.

– Lecz, Miriam...

– Odpędź! Mówię ci! – dawno nie słyszał tyle stanowczej energii w jej głosie. – Wiem, kto ci je przysyła. Czuję to... O, Józefie, wiesz przecież dobrze, że niebezpieczeństwa nie skończyły się. Musimy mieć siły, aby je przyjąć.

– Ty je masz.

– Mamy ich oboje tylko tyle, ile On chce nam ich dać. Raz wspiera jedno z nas, drugi raz drugie... I myślę, że kiedy się wspieramy wzajemnie, wtedy On wchodzi niedostrzegalnie między nas i pomaga słabszemu przez silniejszego. On chce wszystko przez człowieka. Pij, proszę – podała mu kubek. – Dlaczego sądzisz, że źle wypełniłeś zadanie?

– Tylu rzeczy jeszcze Go nie nauczyłem...

– Nauczyłeś Go wiele. Cóż możemy Mu dać więcej, my, zwykli ludzie? Naszym obowiązkiem jest służyć Mu i gdy trzeba, ofiarować dla Niego wszystko... Może ważniejsze jest: czy my nauczyliśmy się dosyć od Niego?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Patrzę na Niego i wydaje mi się, że On nas więcej uczy swoim życiem niż my Jego. My wciąż pytamy, On nie pyta...

– To ja pytam, nie ty...

– Ja pytam także. Tylko inaczej. Ale staram się nie martwić. On wybrał mnie taką, jaka jestem... Pamiętajmy o tym, Józefie. Jest ktoś, kto chce, abyśmy o tym

zapomnieli. Abyśmy uwierzyli, że to nie z łaski Najwyższego, ale dla własnych naszych zalet zostaliśmy rodzicami Jezusa...

– Ja jestem tylko cieniem...

– I to także on ci podszeptuje. Nie słuchaj go! Każdy człowiek jest tylko cieniem. Ale Najwyższy i ceniom daje życie.

Zdrowie w końcu wróciło. Józef czuł się jeszcze słaby, ale już mógł nieco pracować w warsztacie. Rzecz dziwna: on, taki zawsze pełen zapału do pracy i tak wiele w swą pracę wkładający serca – tym razem czuł dziwną ociężałość. Także inaczej niż dawniej patrzył na swą pracę. Poprzednio, chociaż ludzie chwalili jego wyroby, on sam pełen był zawsze wątpliwości, czy rzeczywiście są dobre. Obecnie miał tego pełną świadomość. Zdawał sobie sprawę, że w swym zawodzie osiągnął mistrzostwo. A przecież było mu to całkowicie obojętne.

Nie spieszył się jak dawniej od samego świtu do warsztatu, ale wołał przedtem pospacerować i porozmyślać. Czas nie dłużył mu się na myśleniu: tyle rzeczy domagało się spokojnego ułożenia w głowie.

Tego dnia, wczesnym świtem, ruszył ścieżką w górę na łąkę na zboczu. Lubił tam chodzić. Tyle się rzeczy stało właśnie tutaj: tu prosił Miriam, aby została jego żoną, tu wyjawiała mu ona swój ślub, tu – w bolesną noc rozterki – usłyszał głos, który kazał mu zostać cieniem... Na pochyłym zboczu porośniętym bujną trawą, w obliczu rozciągającego się szeroko krajobrazu – od szarzejącego w dali morza po białą koronkę gór – czuł się dziwnie bliski Najwyższego.

Szedł powoli między rozsianymi wśród trawy głazami, pochylony i zamyślony, gdy nagle uświadomił sobie, że nie jest na łące sam. Ktoś klęczał w miejscu, gdzie zbocze kończyło się urwiskiem. Odruchowo chciał się cofnąć. Ale zdał sobie z tego sprawę, że poznaje po chłopięcemu szczupłe plecy i włosy opadające na ramiona. Był zaskoczony. Gdy wychodził z domu, sądził, że Jezus jeszcze śpi. Więc gdy rodzice chodzili cicho na palcach sądząc, że Chłopiec odpoczywa, On wymykał się z domu, by tutaj się modlić samotnie?

Tak mało właściwie znał Syna. Jezus przestał być pewnego dnia dzieckiem, które opowiadało Józefowi o swych dziecinnych sprawach i pytało go o otaczający ich świat.

Teraz bywał często zamyślony i milczący. Miał swój krąg towarzyszy, rówieśników i kuzynów, z którymi się bawił, chodził na spacer, łowił ryby. Ale żadnego spośród tamtych chłopców nie wybrał sobie na szczególnie bliskiego przyjaciela – i często wymykał się z grona roześmianych towarzyszy w samotność. Z powagą rozmawiał z dorosłymi, którzy przychodzili do warsztatu Józefa. W tych rozmowach nigdy nie zapominał o szacunku, jaki winien okazywać starszym. Nie popisывał się mądrością. Raczej pytał, ale były to pytania, którymi nieraz zaskakiwał pytanych i wprawiał ich w kłopot, gdyż sięgały w samą istotę sprawy. Interesowało go wiele rzeczy, nie drobne plotki nazaretańskie, ale to wszystko, co się tyczyło najważniejszych zagadnień życia. Gdy tamci Mu odpowiadali, On przywoływał słowa Pisma – które, widać, dobrze zapamiętane i często odnawiane, tkwiły mocno w Jego pamięci – i przesiewał słyszane słowa niby ziarno przez sito do wiania.

Ale choć rzadziej teraz rozmawiali, Józef czuł, że nie utracił miłości Chłopca. Już tam w Egipcie zdał sobie sprawę, że jego miłość do przybranego Syna, która wyrosła z wolna na gruzach niespełnionych marzeń, spotyka się z głębokim uczuciem ze strony Chłopca. Jeśli on pokochał Syna Miriam, jakby to był jego własny syn – to Jezus odpłacał mu miłością naprawdę synowską, chociaż nie było dla Niego tajemnicą, kim naprawdę jest Józef. Nigdy własny syn nie byłby bardziej oddany, posłuszny, kochający. Nie padło nigdy w ciągu lat z Jego ust żadne słowo lekceważące. Nigdy – nie zdradził tajemnicy Józefa żadnemu z ludzi.

I Józef czuł, że i teraz – mimo milczenia, jakie powstawało między nimi – Jezus kochał go tak samo jak przedtem. Było to dla Józefa pociechą, gdyż mógł myśleć, że może także milczenie, jakie powstało niegdyś między nim a jego ojcem, nie było odczuwane przez Jakuba jako odejście syna od miłości.

Pojmował, że Jezus żyje w jakimś zupełnie własnym związku z Najwyższym. Odmawiali codziennie razem kadosz i modlitwy dnia, widział, jak Syn modli się ze wszystkimi w synagodze, czasami wspólnie układali beraki. Ale był przekonany, że w chwilach zamyślenia, w jakie popadał Jezus, są także modlitwy, z którymi zwracał się do Najwyższego sam. Nigdy takiej modlitwy nie słyszał. Nie miał pojęcia, jak ten cudownie urodzony Chłopiec może się modlić do Wszechmocnego.

Teraz Jezus modlił się i mówił swą modlitwę głośno. W Józefie walczyła

nieśmiałość zrodzona z poczucia szacunku dla drugiego człowieka, rozmawiającego z Najwyższym, z gorącym pragnieniem usłyszenia bodaj strzępka tajemniczej rozmowy. To pragnienie przemogło. Postąpił kilka kroków. I wtedy mógł usłyszeć słowa:

– Ojcze – mówił Chłopiec – czy długo jeszcze każesz mi czekać na tę godzinę? Tak gorąco jej pragnę. Taki jestem niecierpliwy. Wiem, że będzie bolesna, a Ja lękam się bólu. Ale wiem, że odkryje ona Ciebie, Twoje miłosierdzie i Twoją miłość. O, Ojcze, tak bardzo tego pragnę! Oni nie wiedzą, jaki jesteś. Boją się Ciebie, ale nie kochają Ciebie. Chcę, abyś był kochany. To pragnienie pożera mnie. Rozkaż, niech spełni się czas, który wyznaczyłeś. Ale, Ojcze, niech we wszystkim będzie tylko Twoja wola. Chcę się jej całkowicie poddać. Niech to, co się ma stać, stanie się wtedy, gdy Ty tego zażadasz...

Cofnął się. Słowa, które pozwolono mu usłyszeć, oszałamiały. Odkrywały – taką głębię... Czymże wobec nich były wszystkie walki, które on w sobie kiedykolwiek toczył! Jaką nicością były ofiary, które kiedykolwiek złożył!

Wolno schodził po zboczu. Słońce wznosiło się coraz wyżej. Własny cień, po którym deptał, stawał się coraz krótszy, zdawał się topnieć. Nagle drgnął. W piersi odezwał się ból. Krótki, niezbyt ostry. A jednak to dotknięcie pozwoliło mu odkryć niespodziewany związek między chorobą, jaką niedawno przechodził, a usłyszanymi słowami modlitwy. Pojął: zanim przyjdzie godzina, o której nadejście modlił się Jezus – cień będzie musiał zniknąć całkowicie...

Ale to odkrycie nie obudziło smutku. Przeciwnie – na Józefa spłynęła pogodna radość. Wydało mu się, że odkrywa nie wszechmoc, ale przekraczającą wszelką miarę miłość.

## 17

Miasto tak pełne było pielgrzymów, że w wąskich uliczkach nie można się było prawie poruszać. Na dziedzińcu ludzie stali zbitym tłumem, głowa przy głowie. Ogromna cizba oblegała stoliki zmieniaczy i stragany sprzedawców zwierząt ofiarnych.

Święto Pesahim ściągnęło tego roku niezwykle wielką liczbę wiernych. Po stłumieniu powstania Judy z Gamali w całym kraju zapanował spokój. Szybko zaczęły

odbudowywać się miasta i miasteczka, w zapomnienie poszła budząca sprzeciwu sprawa spisu. Rzymianie starali się przekonać do siebie ludność. Namiestnik Koponiusz okazywał na każdym kroku łaskawość. Sam przyczynił się do odbudowy krużganków świątyni. Nie było mowy o zawieszeniu na nowo rzymskiego orła na frontonie Przybytku. Na miejsce starego orła, zniszczonego przez grupę młodych faryzeuszy w ostatnich dniach życia Heroda, wróciła na fronton złota kiść gron winnych. Oddziały rzymskie, stacjonujące w mieście, miały polecenie, aby występowały bez swoich znaków, na których wyobrażone były głowy cesarzy, chodziło o nieobrażanie uczuć religijnych Żydów. Arcykapłan otrzymywał złoto, aby składał w imieniu cesarza coroczną ofiarę dla Jahwe.

Zapowiadał się czas spokoju i dobrobytu, toteż każdy, kto tylko mógł, wyruszył w tym roku na świętą pielgrzymkę.

Dla Józefa i Miriam, którzy przez kilka lat nie mogli wypełnić nakazanego przepisu o odwiedzaniu świątyni, był to dzień wielkiej radości. Poprzedniego roku byli w Jerozolimie sami, bez Jezusa. W tym roku zabrali Go ze sobą. Jezus szedł na pielgrzymkę już nie tylko jako towarzyszące rodzicom dziecko, ale jako dojrzały mężczyzna, wypełniający swój obowiązek religijny.

Szli złożyć ofiarę, a przy sposobności Józef pragnął porozmawiać z którymś z wielkich nauczycieli o nauce Jezusa. W tej sprawie trzeba było ostatecznie zdecydować. Wprawdzie dawna sprawność Józefa nie wróciła: nadal czuł pewną ociężałość, łatwo się męczył, brakło mu zapału do pracy. Zmuszał się jednak i pracował. Nie potrafił jednak, mimo najlepszej woli, zrobić wiele. Zmniejszyły się zarobki, praca Jezusa była teraz koniecznością. Chłopiec coraz częściej musiał wyręczać ojca. Józef przecież czuł, że nie wolno mu swoim niedołęstwem ciążyć na przyszłości Syna.

Przez długie tygodnie boleśnie walczył ze sobą. Początkowo sądził, że odzyska dawną zdolność do pracy. Przewycięzał niecierpliwość. Ale tygodnie i miesiące biegły, a dawne siły nie wracały. W końcu zrozumiał, że choroba, choć ukryta, pozostała i dawna sprawność już nie wróci. Musiał teraz walczyć z goryczą. Tak bardzo czuł się odpowiedzialny za rodzinę, tak bardzo kochał pracę. Natrętny głos szeptał mu w ucho, że gdy tylu rzeczy w życiu został pozbawiony, powinien przynajmniej zachować zdolność pracowania i sprawowania opieki. W ciężkiej walce zwyciężył pokusę. Przekonał siebie,



że także ta przedwczesna słabość przyszła od Najwyższego. On, który wyznaczył mu działanie – teraz go możliwości działania pozbawiał. Taka była widać Jego wola, jak zawsze tajemnicza. Gdyby się temu sprzeciwiał, byłby to bunt. Już nie szukał w sobie winy, a w tym, co na niego przyszło, kary. Chciał przyjąć wolę Najwyższego w uniżeniu i w milczeniu. Nie pozwalał sobie teraz na żadną skargę. Przymuszał się do pogody i uśmiechu.

Nie wiedział, jak pogodzić tę swoją słabość z projektem wysłania Jezusa na naukę do Jerozolimy. Podjął tę sprawę w rozmowie z Miriam. Postawił rzecz jasno: jeśli oddamy Jezusa któremuś z doktorów na naukę, będzie jeszcze ciężiej, gdyż On będzie żył z dala.

Ze słów Miriam zrozumiał, że oddalenie od Syna bardziej ją niepokoi niż kłopoty materialne. Nie wydawała się zbyt przekonana o tym, że jej Syn powinien się kształcić na uczonego w Piśmie doktora. Była jednak jak zawsze gotowa na każde poświęcenie. Zgodziła się z Józefem, że trzeba w czasie pobytu w Jerozolimie omówić sprawę nauki Jezusa.

W natłoczonym mieście tradycyjna paschalna uczta odprowadzana musiała być kolejno. Przybyli z Galilei ze względu na ich liczbę doktorzy udzielili zgody na spożywanie baranka w wieczór poprzedzający wieczór paschalny. Ludzie zbierali się w gromadki, by razem przygotować wspólną wieczerzę. Zaraz po jej spożyciu odstępowali lokal następnej grupie. Ale byli i tacy, dla których nie starczyło miejsca w obrębie murów miejskich i ci musieli zasiąść do wieczerzy w rozbitych poza murami namiotach.

Jezus, Miriam i Józef mieszkali w czasie tygodnia świątecznego w namiocie, jednak na samą ucztę wypożyczyli pokój w mieście. Mieli ją jeść razem z rodziną Kleofasa i jeszcze jedną, przybyłą także z Galilei. Wszystko odbyło się zgodnie z tradycją. Na stole znalazły się: baranek upieczony w całości, pszeniczny chleb, gorzkie zioła, czerwony sos roślinny. Józef, jako najstarszy w tym gronie, pilnował porządku. Stojąc z kijami w rękach odmówili psalm:

Gdy Izrael wyszedł z Egiptu, gdy dom Jakuba opuścił obcych, wtedy Juda stał się świętym w Przybytku, a Izrael królestwem...

Potem przystąpili do uczty. Jedli i pili wino ze wspólnego kielicha, który

przechodził z rąk do rąk. Przy trzeciej kolejce znowu wstali, by odśpiewać radosny hymn:

Chwalcie, słudzy Pana, Imię Pańskie. Niech będzie ono błogosławione teraz i przez wieczność, od wschodu aż do zachodu słońca...

Śpiewając trzymali się za ręce i poruszali się rytmicznie, jakby wiedli taniec. To był hymn radości i braterstwa. Jeszcze spełnili jeden kielich, a potem szybko zaczęli sprzątać ze stołu. Ich czas upłynął, inni już czekali, aby wnieść swoje nakrycia.

W pobożnej ciszy, rozważając słowa odśpiewanych psalmów, wracali do swego namiotu przez pełne świątecznego zgiełku miasto. Mimo wieczornej godziny nikt nie spał. Z tarasów dochodziły śpiewy, wszędzie płonęły światła, tłumy błędziły po ulicach. Drzwi domów zgodnie z tradycją naznaczone były krwią baranka. Wysoko nad dachami wznosiła się świątynia. Przybytek otoczony był wieńcem pochodni i płonących kaganków. Wydawał się jedną wielką górą światła.

W trzy dni później pielgrzymka, która przybyła z Nazaretu i z Sefforis, szykowała się do powrotu. Zostało ustalone, że ludzie mają się zebrać o kilka staj za miastem, na drodze prowadzącej do Jerycha. Połączyć się w mieście wciąż pełnym ludzi było niemożliwością.

Dopiero ostatniego dnia udało się Józefowi odnaleźć rabiego Jehudę ben Gerim, który był przyjacielem słynnego Johanana ben Zakaj. Miał do niego polecenie od zwierzchnika synagogi nazaretańskiej. Faryzeusz, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, wysłuchał Józefa, a potem obojętnie wzruszył ramionami. Oczywiście, zapewnił, może porozmawiać z czcigodnym rabbim Johananem o Chłopcu, skoro prosi o to zwierzchnik synagogi. Nie robi jednak nadziei, aby ta rozmowa sprawiła, że wielki rabbi zechce wziąć Chłopca na naukę. Uczony doktor ma wielu uczniów, świetnie się zapowiadających i pochodzących ze znanych rodzin faryzejskich. On, Jehuda, nie sądzi, aby Syn naggara z Nazaretu (skrzywił usta wypowiadając nazwę miasta) miał szansę błysnięcia wobec tamtych. A poza tym, jeżeli ma wielkiemu rabbiemu powiedzieć o Chłopcu, to nie zrobi tego teraz. Są jeszcze dni świąteczne i doktorzy zajęci są czymś ważniejszym niż sprawy chłopców starających się o naukę u wielkich nauczycieli. Wreszcie rabbi Jehuda wie, że znakomity doktor Johanana rozważa w tej chwili pewien

werset i póki nie dojdzie do właściwego wytłumaczenia, co znaczą słowa psalmu: „Będę mówił przypowieściami i wyjaśniał tajemnice odwieczne”, nie wolno mu przeszkadzać.

Nie było więc nadziei, aby można było rzecz teraz załatwić. Józef z Jezusem dopchnęli się wprawdzie pod Portyk Królewski, do miejsca, gdzie siedzieli uczeni doktorzy i publicznie dyskutowali nad pewnymi zagadnieniami. Za plecami uczonych stali kręgiem młodzi faryzeusze, i tylko zza ramion można było coś zobaczyć i usłyszeć. Wprawdzie zdarzało się, że jakiś człowiek w tłumie podnosił rękę, wstawał i pokornie prosił mądrych rabbich, by zechcieli wyjaśnić pewien problem. Doktorzy jednak tylko czasami interesowali się pytaniami. W takim wypadku przywoływali człowieka, wypytывali go i przy nim z powagą roztrząsali sprawę. Częściej jednak nie zwracali uwagi na pytającego, a gdy tamten zaczynał mówić, młodzi faryzeusze uciszali go groźnym: Milcz!

Na dziedzińcu świątyni Józef zgubił Jezusa. Nie przejmował się tym jednak. Chłopiec chodził sam po mieście i zawsze wracał potem do rodziców. Zdarzało Mu się nawet nocować poza namiotem: jak dziesiątki tysięcy ludzi przesypiał krótką noc, zawinięty w płaszcz, gdzieś pod murem, aby móc o wczesnym świcie, gdy jeszcze bramy miasta były zamknięte, wziąć udział w modlitwach otwarcia Przybytku.

Nie był także zaniepokojony tym, że Jezusa nie było, gdy zwijali namiot.

Wprawdzie zjawiał się zawsze, gdy było coś o zrobienia i można było w pracy wyręczyć rodziców – ale był wciąż jeszcze chłopcem i mógł zapomnieć o wszystkim zobaczywszy coś ciekawego. Józef był pewien, że Syn za chwilę przybiegnie. Rozsądny i poważny, rzadko dawał się ponosić chłopięcej samodzielności i nigdy nie zapominał, że matka mogłaby się o Niego niepokoić.

Jednak nie zobaczyli Jezusa także na miejscu zbiórki. Ale i teraz żadne z nich nie poczuło się zaniepokojone. W tłumie kilkuset osób niełatwo było kogoś znaleźć. Przyszli jedni z ostatnich w chwili, gdy już pochód wyruszył w drogę, wśród radosnego śpiewu. Idących doganiały grupki tych, którzy się na zbiórkę spóźnili.

Tego dnia nie uszli daleko. Zatrzymano się na nocleg i teraz dopiero Józef wyruszył na poszukiwanie Chłopca. Odnalazł żonę Kleofasa i jej synów. Ale Jezusa nie było między nimi.

– Nie widzieliście Go? – pytał, tym razem już zaniepokojony.

– Nie, wuju – mówili. – Nie widzieliśmy Go od wczoraj.

– Nie wiecie, z kim mógłby być?

– Nie. On gdy chodzi, to tylko albo z nami, albo sam.

Z bijącym sercem wrócił do Miriam. Był zafrasowany myślą, jak jej powie o nieobecności Jezusa. Miriam zajęta była przygotowywaniem posiłku. Siedziała na jukach, trzymając na kolanach miskę z rozrobionym ciastem. Ale zaledwie stanął przed nią, gwałtownie podniosła głowę. Z wyrazu jej oczu poznał, że domyśla się, z czym przychodzi.

– Nie znalazłeś Go? – w jej głosie posłyszał drżenie.

– Nie...

– Gdzie On jest? Józefie, gdzie On jest?!

– Nie wiem... Nikt Go nie widział... Musiał zostać w mieście... Poruszyła wargami, jakby chciała coś zawołać, ale żadne słowo nie wyrwało się jej z ust. Jej policzki pokryła bladość. Oddychała szybko. Miska wysunęła się jej z rąk i upadła na ziemię. Nie schyliła się po nią. Zapytała:

– Co robić?

– Wróćmy, odnajdziemy Go. Zerwała się na nogi.

– Chodźmy!

– Chcesz iść zaraz? Teraz? Za chwilę zapadnie noc.

– Czy możemy Go zostawić samego?

Nie próbował jej zatrzymywać. Pośpiesznie na nowo objuczyli osła i nie tykając jedzenia wyruszyli. Zmierzch zapadł, na drodze nie było nikogo. Szli prędko. Miriam kroczyła pierwsza. Nie mówiła nic. Słyszał idąc za nią jej szybki oddech, jeszcze nigdy nie widział jej taką. To on zwykle bał się, lękał, niepokoił, przewidywał, wyobrażał sobie rzeczy najgorsze. Ona była zawsze spokojna i opanowana. Jeżeli się nawet lękała, nie pokazywała tego po sobie.

Dochodziła trzecia godzina straży nocnej, gdy na tle czarnego jeszcze nieba zobaczyli roziskrzoną plamę palących się ogni. Świątynia na górze wydawała się jakąś konstelacją gwiazdną, która zawisała tuż nad horyzontem. Im byli bliżej, tym dostrzegali więcej światel.

Byli zmęczeni szybkim marszem. Prawie biegnąc w ciemnościach poobijali sobie

stopy aż do krwi o kamienie.

Bramy miasta były zamknięte. Nie pozostawało nic innego jak czekać świtu. Odnaleźli miejsce, na którym poprzednio nocowali, mając nadzieję, że może tutaj znajdą Chłopca. Ale Jezusa nie było. Nie rozstawiali namiotu, rozjuczyli tylko osła i położyli się na ziemi owinięci w płaszcze. Ciągłe panowało między nimi milczenie. Miriam nic nie mówiła, Józef nie śmiał się odezwać zaniepokojony jej niezwykłym zachowaniem. Leżąc bezsennie słyszał obok siebie jej nierówny oddech, który mówił, że kobieta także nie śpi.

Z rosnącym z każdą chwilą lękiem myślał o tym, co się stało. Jezus był zawsze taki czuły dla matki. Od dzieciństwa strzegł się sprawienia jej najmniejszego bólu. Nie, to było nie do pomyślenia, aby się zagadał czy zapatrzył na coś. Nie był także dzieckiem, które mogło się zabłąkać. Więc co się stało?

Tak łatwo każdy przeżywany niepokój budził w nim imaginację. Co się mogło stać? Dawniej zdarzało się porywanie chłopców i dziewcząt. Robili to ludzie, którzy dostarczali porwanych na dwór Heroda. Chodziły także słuchy o porywaniu chłopców przez rozbójników perejskich, którzy sprzedawali ich potem na targowiskach wschodnich. W czas wojny dokonywane były różne gwałty, ale odkąd Rzymianie przywrócili w kraju spokój, wszyscy czuli się bezpieczni. Dwunastoletni chłopiec nie znika, jakby wpadł w wodę. Gdyby się nawet zabłąkał, ludzie wskazałiby mu drogę. Zresztą jak mógł się zabłąkać w mieście, w którym z każdego miejsca widać było świątynię?

A jeżeli to była tamta, dawna sprawa? Herod nie żył, jego synowie nie byli już królami żydowskimi. Czy mógł być ktoś, kto by pamiętał odwiedziny mędrców partyjskich? Mogli o nich pamiętać jedynie ludzie w Betlejem... Tak, tamci nie zapomnieli na pewno. Któryś z jego braci mógł go zobaczyć i śledzić. Na pewno żywili do niego nienawiść. Pragnęli zemsty. Więc może któryś pobiegł z doniesieniem do Rzymian? Partowie byli wrogami, konszachty z nimi mogły być uważane za zdradę... Ale mogło być jeszcze inaczej: ktoś z tych szaleńców, którym roило się zrzucenie rzymskiego zwierzchnictwa, mógł pomyśleć, że łatwiej mu będzie podnieść żagiew buntu, gdy będzie miał w rękach dziedzica rodu Dawida...

Te rojenia stawały się coraz dokuczliwsze. Pobudzana przez imaginację myśl nie przestawała pracować. Nie było sposobu na opanowanie jej gorączkowego biegu. Miriam

przynajmniej, myślał, nie podlega tym rojeniom. Nie zwykła wyobrażać sobie niezwykłych sytuacji. Ale jeśli się boi o Syna – to jej ból jest odczuwany przez całą jej istotę. To tak jakby odrąbano jej część ciała.

A może, myślał, cierpi w poczuciu, że jest winna tego, co się stało? On sam tak często w życiu tego doświadczał. Była w nim skłonność do oskarżania siebie. Po latach obcowania z Miriam, porównując jej spokój z własnym niepokojem, zaczął pojmować, skąd się w nim ta skłonność brała. Całe życie pragnął służyć, ale chciał także czuć, że potrafi służyć. Najwyższy wezwał go, lecz nie zawierzył jego siłom. Pozwalał mu działać, a potem sam brał sprawę w ręce. Budziło to w Józefie gorycz, a ta gorycz przemieniała się w pretensję do samego siebie. Oskarżał siebie nie śmiejąc oskarżać Niepojętego...

Miriam nigdy siebie nie oskarżała. Były w niej tylko pokora i miłość. Nie spodziewała się niczego po sobie. Była przekonana, że wszystko otrzymała za nic – z łaski. I teraz na pewno niczego nie wyrzucała sobie. Po prostu cierpiała, o niczym nie rojąc, nic sobie nie wyobrażając, nie próbując rozumować.

Kiedyś powiedział sobie, że to ona, a nie on będzie kierować ich życiem. Wiele razy usiłował ją naśladować. Wobec tego, co się stało, nie znajdował swojej winy, więc i teraz jej nie szukał. Myślał jedynie: wszystko, co mam, otrzymałem z woli Najwyższego. Miałem być cieniem. Gdy słońce staje w zenicie – cienie znikają. Może On po prostu daje mi znak, że ta chwila nadchodzi? Może On zniknął, abym wiedział, że czas już mi zniknąć?

Gorączkowe rojenia i niepokój przygasły. Wiedział, że skoro przyjdzie świt, pobiegną szukać Jezusa i będą Go szukali nieustępliwie. Zrobią wszystko, aby Go znaleźć. Ale tylko wtedy znajdą Go, jeżeli Niewypowiedziany będzie chciał, aby Go znaleźli. Bo może zbliża się godzina, o której nadejście modlił się Jezus. I to będzie godzina, w której ziemski ojciec przestanie być potrzebny...

Przycisnął głowę do zwiniętego w wałek płaszcza i zasnął.

Szukali Go cały dzień – bez skutku. Po sto razy tam i z powrotem przepychali się przez zatłoczone uliczki, rozpytywali ludzi, zostawiali wiadomości o swych poszukiwaniach w gospodach i sklepach. Potem znowu do tych gospód i sklepów

wracali. Ale już z daleka właściciele wołali, że Chłopca nie było i nie mają dla nich żadnej pomyślnej nowiny.

Miasto ciągle było pełne ludzi. Jeszcze nie odeszli pielgrzymi, a już wrócili do pracy robotnicy, którzy odbudowywali zniszczone domy. Tłumy pielgrzymów przelewały się między gromadami pracujących, pobożne śpiewy łączyły się ze stukotem młotów.

Miriam przepychała się między ludźmi rozgorączkowana, z rozwianymi włosami. Ledwo mógł za nią nadążyć. Nie chciała nic jeść, nie chciała odpocząć. To ona, gdy natknęli się na kogoś znajomego, wypytywała go i błagała o pomoc.

Jak bardzo chciał przejąć na siebie jej niepokój! Ale ona nawet nie słuchała jego słów. Więc tylko spieszył za nią, przyciskając nieznacznie dłoń do piersi, w której odzywał się raz po raz znany ból.

I tak na tych poszukiwaniach minął cały dzień. Opuścili miasto dopiero o zmierzchu, gdy rozległy się trąby na zamykanie bram. Zmęczeni wrócili do miejsca, gdzie zostawili osła. Jezus nie czekał tutaj na nich. Józef, choć bardzo był wyczerpany poszukiwaniami, ustawił namiot. Miriam po raz pierwszy w życiu nie pomagała mu w niczym. Siedziała na ziemi z twarzą ukrytą w dłoniach.

Ustawiwszy namiot, rozpałił ogień i próbował przygotować jakiś posiłek. Gdy już miał jedzenie gotowe, przyniósł je Miriam. Ale ona potrząsnęła głową.

– Miriam – prosił. – Miriam... Zjedz coś. Musisz zjeść. Zrobiłem, jak umiałem, ale zjeść można... Zjedz, proszę. Rozumiem cię. Wiem... Wierz mi...

Odjęła dłonie od twarzy. Oczy miała suche, ale w jej spojrzeniu malował się wyraz rozpaczliwego cierpienia.

– Och, Józefie – powiedziała – jesteś taki dobry... Dziękuję ci. Ale, wybacz, nie potrafię nic przełknąć. – Nie mogę zrozumieć... Jak mogło się to stać? Jak On mógł na to pozwolić...

– To ja się zawsze tak pytałem. A właśnie ty umiałaś odpowiedzieć...

– Dziś nie potrafię... Wokoło mnie jest mrok, pustka... Nie rozumiem... To tak jakby Najwyższy zniknął razem z Nim...

– Najwyższy nie odchodzi. Ukrywa się tylko.

– Dlaczego? Dlaczego, Józefie?

- Nie wiem... Mniej wiem o Nim, niż wiesz ty...
- Wydobył mnie z nicości. Dał mi wszystko. A teraz wszystko zabrał...
- Może nie zabrał...
- Więc czemu ukrył Jego?
- Nie wiem...
- Mówisz tak, jakbyś Go nie kochał!

Nie odpowiedział, uderzony jej porywczymi słowami. To ona podjęła natychmiast:

– Och, wybacz! Wybacz, Józefie! Jak mogłam tak powiedzieć? Tobie, który oddałeś całe życie... Nie wiem, jak cię przeproszać...

Wziął w dłoń jej palce i lekko je ścisnął.

– Nie masz za co przeproszać. Nie gniewam się i nie potrafiłbym się gniewać. Moja miłość dla Niego jest niczym wobec twojej. Widać każde z nas musi mieć chwile swojej nocy. Tak niedawno jeszcze to ja byłem w mroku...

- Teraz nie jesteś? Jak to dobrze.
- Gdybym mógł ci pomóc...
- Więc pomóż! Naucz mnie zaufać ślepo!

Mocno splótła palce z jego palcami, przytuliła się do niego. Nie mówili już nic, ale czuł, że Miriam uspokaja się, przezwycięża rozpacz. Siedział nieporuszony długo, aż wreszcie usłyszał jej spokojny oddech. Zasnęła. On nie spał. Był cały zdrętwiały od nieruchomego siedzenia. Ból znowu kołatał w piersiach.

Od rana wyruszyli znowu na poszukiwania. Uspokojenie, jakie wieczorem przyszło na Miriam, znowu z niej opadło. Józef widział, że stara się zapanować nad niepokojem, jednak ten niepokój zwyciężał jej wysiłki. Znowu przyspieszyła kroku, prawie biegła, roztrącając ludzi. Coraz trudniej było mu nadążyć za nią.

I znowu przepychali się przez te same zatłoczone ulice, kolejno odwiedzali gospody i stragany, w których już ich znano. Jezus nigdzie się nie pojawił, nie dał znaku o sobie.

Minęło południe, a oni ciągle szukali. Obojgu zaczynało braknąć sił. Nawet Miriam nie biegła już tak gorączkowo. Józef z trudem włókł się za nią.

Po raz nie wiadomo już który szli przez most nad doliną Tyropeon, kiedy Józef



usłyszał, że ktoś na niego woła.

– Hej, człowieku z Galilei! Zatrzymaj się.

Józef zwrócił się w stronę wołającego. Zobaczył rabbiego Jehudę.

– Pokój tobie, czcigodny – powiedział.

– Pokój i tobie. Nie pamiętam twego imienia, ale to ty byłeś u mnie z prośbą, bym przedstawił twego Syna czcigodnemu Johananowi ben Zakkaj, prawda?

– Jest, jak powiedziałeś, czcigodny.

– Czy to twój Syn rozmawia z doktorami w Liszekat-ha-Gazit?

– Mój Syn? Czy widziałeś, czcigodny, mego Syna?

– Widziałem galilejskiego Chłopca, który zwrócił się z pytaniem do czcigodnych doktorów, a oni w swej łaskawości zgodzili się odpowiadać na Jego pytania...

– Gdzie? Gdzie Go widziałeś, czcigodny?

– Jest w sali Ciosanych Kamieni. Doktorzy uznali Go za rozsądnego i mówią z Nim. Okazali Mu wielką łaskę. Kto wie, czy nie zechce który z czcigodnych wziąć Go za swego ucznia... Twoje pragnienia byłyby spełnione.

– Pokaż nam, czcigodny, jak iść do sali Ciosanych Kamieni. Nie wiedzieliśmy, gdzie jest nasz Syn, i byliśmy bardzo niespokojni...

– Idźcie tamtędy – wskazał ręką. – A jeśli straż zatrzyma was, powiedzcie, że jesteście rodzicami Chłopca, którego najczcigodniejsi zaszczylili rozmową.

– Niech ci Najwyższy okaże swą wielką łaskę, rabbi, za nowinę, którą nas ucieszyłeś. Niech da światło twemu rozumowi, by szedł zawsze Jego drogą...

Podeszli do wejścia, które im wskazał Jehuda. Strażnik usłyszawszy, że są rodzicami Chłopca, z którym rozmawiają doktorzy, z szacunkiem otworzył przed nimi drzwi.

W sali panował półmrok. Kamienne ławy tworzyły półkole, w pośrodku była mała mównica i ozdobna szafka z rulonami świętego Pisma.

Na ławach siedzieli dostojni doktorzy w swych powłóczystych szatach. Przed nimi w skromnej postawie ucznia stał Jezus.

Doktorzy mówili wolno, z namaszczeniem. Gdy któryś zabierał głos, wpierw kłaniał się pozostałym. Każdy mówiący zaczynał od słów: „Tak powiedział czcigodny rabbi... tak rzekł dostojny rabbi...” Długie zaplątane w opowieści cytaty płynęły z ust

mówiących. Czasami któryś z doktorów zwracał się do Chłopca. Wtedy On odpowiadał. Mówił zwyczajnie, krótko. Czasami zaczynał od słów: „Mówi Pismo”. Niektórzy uczeni po Jego odpowiedzi cmokali z uznaniem.

Józef i Miriam zatrzymali się w drzwiach onieśmieni. Ale Miriam na widok Syna nie mogła się powstrzymać. Podbiegła do Jezusa, objęła Go ramionami. Zawołała:

– Synu! Synu! Jesteś! Tak Cię szukaliśmy! Tak się o Ciebie lękałam!

Urwała dostrzegłszy nagle skierowany na siebie wzrok doktorów. Łaskawe spojrzenia, jakimi obdarzali chłopca, od razu zgasły. Teraz w ich oczach były pogarda i gniew.

– Kto wpuścił tutaj tę kobietę!? – zawołał któryś.

– Wypędźcie ją! – krzyknął inny.

Józef wysunął się do przodu. Złożył błagalnie dłonie.

– Nie gniewajcie się, czcigodni – rzekł. – Jesteśmy rodzicami tego Chłopca. On nam zaginął i my pełni niepokoju szukaliśmy Go. Ucieszyliśmy się znalazłszy Go tutaj...

– Jeśli tak jest – rzekł jeden z doktorów – zabieraj Chłopca i tę kobietę i wynoście się stąd! To nie jest miejsce, aby tu mógł wchodzić byle amhaarec! Idźcie sobie! Wasze wejście zmaciło myśli czcigodnych uczonych. No! Idźcie prędzej! – niecierpliwie tupnął nogą.

Miriam nie zdjęła ani na chwilę ręki z ramion Syna. Józef szedł za nimi. Strażnik, który poprzednio otworzył przed nimi drzwi, teraz krzyknął na nich grubiańsko. Nie mówili nic do siebie, póki nie znaleźli się na dziedzińcu. Teraz dopiero Miriam wybuchnęła słowami żalu:

– Coś Ty zrobił, Synu!? Sprawileś nam tyle lęku i zgryzoty! Byliśmy oboje pełni trwogi! Szukaliśmy Ciebie drżąc... Jak mogłeś tak postąpić!?

Nie spuścił głowy jak ktoś poczuwający się do winy. Józef patrząc na Syna z boku dostrzegł w Jego oczach błysk – ten sam tajemniczy błysk, jaki już kiedyś zobaczył.

– Szukaliście Mnie? – powiedział. – Lękaliście się o Mnie? A przecież powinniście byli wiedzieć, że moje miejsce jest w domu Ojca!

Ton głosu był opanowany, ale to, co mówił, zabrzmiało jak wyrzut. Józef widział, jak Miriam pobladła, jak jej zadygotały usta. Nie powiedziała nic. Bez słowa skierowali

się na most.

Wyszli z miasta, odnaleźli swój namiot. Jezus ciągle bez słowa wziął się do składania rzeczy. Spakował juki, założył je na osła. Gdy pracował, oni śledzili Go pilnie spod oka.

– Bądź spokojna – szepnął Józef. – On pojedzie z nami. Wszystko zostanie po staremu.

– Tak wygląda – odpowiedziała równie cicho. – A już się bałam... Lecz, Józefie, dlaczego On tak powiedział?

Miał już na ustach: Abyś pamiętała, gdy przyjdzie chwila prawdziwego odejścia... Nie powiedział tego jednak. Nie śmiał przechwalać się wiedzą, która na niego spłynęła. Ich droga rozchodziła się. Ona miała iść dalej – on, cień, miał zniknąć. Dlatego ona jeszcze nie pojmowała tego, co on już pojął. Po raz pierwszy wyprzedził ją...

– Wszystko gotowe do drogi – powiedział Chłopiec, stając przed nimi. – Jeżeli każesz, abba, możemy jechać.

– Jedźmy – skinęła głową.

Pomogli Miriam wsiąść na osła. Jezus wziął wodze i Józef, widząc to, nie wyciągnął po nie ręki. Po raz pierwszy to Syn miał prowadzić wierzchowca matki.

Ujechali kawałek drogi, kiedy zapytał:

– Co myślisz, Synu, o nauce wielkich doktorów? Wiesz, że chciałem w Twojej sprawie rozmawiać z czcigodnym Johananem. On nie miał czasu na rozmowę ze mną. Ale rozmawiali z Tobą... Powiedz, czy chcesz, abyśmy znowu udali się do świętego miasta i abym poprosił, żeby rabbi Johana wziął Ciebie na naukę?

Dostrzegł, jak Jezus potrząsnął mocno głową. Potem Chłopiec obrócił się ku Józefowi i rzekł:

– Jeżeli zezwalasz, abba, bym wyraził, co myślę – powiem. Nie pragnę nauki u doktorów. Ci ludzie są mądrzy w słowach, ale nie widzą życia. Chcą rozważać o niebie, a nie dostrzegają ziemi...

– Najwyższy mieszka jednak w niebie – zauważył.

– On także mówi: podnieś kamień, a Mnie znajdziesz, zatnij kawałek drwa – i tam jestem...

Drgnął. Nie przypominał sobie słów, które jego Syn zacytował.

– On tu jest ukryty – mówił dalej Chłopiec – i teraz chce przyjść i być z ludźmi... Pozwól, że nie pójde uczyc się u nich. Zostanę przy mamie. Będę się nią opiekował...

W ostatnich słowach była czułość tak gorąca, jakby nie padły przed chwilą tamte pełne wyrzutu słowa. Zobaczył, jak dłoń Miriam spoczęła pieszczotliwie na ramieniu Syna, a On potarł o tę dłoń policzkiem. Spojrzeli na siebie i widział, jak się do siebie uśmiechają.

Był szczęśliwy patrząc na ich miłość. Nie czuł osamotnienia ani zazdrości. Wiedział, że ich miłość jest niby pełen dzban, z którego woda spływa wokoło. Tam gdzie zrosiła ziemię – rodziło się życie. W piersiach łaskotał ból, a on szedł i uśmiechał się także.

*7 czerwca, w dniu święta Maryi Matki Kościoła*